



*Abel i Kain*

KATARZYNA KWIATKOWSKA

**Katarzyna Kwiatkowska**

# **Abel i Kain**

REDAKCJA: Zuzanna Gościcka-Miotk

KOREKTA: Aleksandra Tykarska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

SKŁAD: Anita Szejder

© Katarzyna Kwiatkowska i Novae Res s.c. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7722-585-1

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | [Legimi.com](http://Legimi.com)

# Rozdział 1.

– Oskarżono go o zamordowanie brata? – Jan w oszołomieniu odłożył łyżkę, którą nakładał lody do wysokiej kryształowej szklanki.

– Właśnie tak – skinął głową Tadeusz. – Został aresztowany. Jednak nikt nic nie wie, bo z uporem odmawia zeznań.

– Ale dlaczego?

– Też nie wiadomo.

Tego lipcowego wieczoru siedzieli w jednym z prywatnych gabinetów przy sali restauracyjnej hotelu Bazar. Było to pomieszczenie wyraźnie zarezerwowane dla mężczyzn – ze swymi ciemnymi boazeriami, skórzanymi kanapami typu chesterfield i sztychami o tematyce myśliwskiej do złudzenia przypominało palarnie w angielskich klubach. Kobiety zazwyczaj nie gustują w takich mrocznych jaskiniach, gdzie lampa musi być zapalona nawet latem i skąd nigdy nie udaje się usunąć zapachu dymu tytoniowego, skóry i okowity.

Jan przyjechał do Poznania w drodze do Tarnowic, gdzie miał zostać ojcem chrzestnym małego Jasia Tarnowskiego. Gdy tylko Morawski zobaczył Tadeusza na dworcu, od razu wiedział, że coś się stało. Przyjaciel nie chciał jednak podczas kolacji wyjawic przyczyn swego niespodziewanego przyjazdu do miasta. Po posiłku zaproponował, aby przenieśli się w bardziej zaciszne miejsce, i dopiero w tym odosobnionym pokoju zdradził sensacyjną wiadomość.

Tarnowski sięgnął po stojącą przed nim filiżankę z kawą, wypił odrobinę i mówił dalej:

– Powiem ci wszystko, co wiem. Edward, ten oskarżony, to młodszy syn. Jest architektem i mieszka na stałe w Berlinie. Przyjechał z opóźnieniem na pogrzeb bratowej, która zmarła kilka dni wcześniej, wydając na świat martwe dziecko. Dotarł do pałacu dopiero po południu. On i brat zjedli razem z ojcem kolację, rozeszli się, a rano służba znalazła ciało starszego. Został zastrzelony.

Jan uniósł stojący na stole dzbanek i zalał kawą lody w szklance.

– I tak od razu oskarżono tego młodszego?

– Ktoś słyszał odgłosy kłótni dochodzące z pokoju zabitego. Ale nie wiadomo nic pewnego, bo wkrótce potem nad pałacem rozszalała się burza i pioruny skutecznie wszystko zagłuszyły. Ojciec przyznał, że atmosfera przy kolacji była napięta, ale wtedy wierzył, że po prostu mieli za sobą trudny dzień i to wszystko. On sam poszedł wcześniej do siebie, zostawiając synów przy stole. Służący zeznali, że Adam junior szybko przeniósł się do swojego apartamentu, natomiast Edward siedział jeszcze przez pewien czas w jadalni. Później jeden z lokai widział, jak wchodził do pokoju brata.

– A potem?

– Potem zaczęło grzmieć, błyskać i lunął deszcz. Rano odkryto ciało Adama, a Edward został znaleziony w sypialni matki. Nie przyznaje się – w ogóle nic nie mówi. Senior zawiadomił prokuratora. Przyjechała komisja śledcza i następnego dnia aresztowano Edwarda. Policja twierdzi, że to zbrodnia dla korzyści majątkowych.

Jan zmarszczył brwi, słysząc ten wniosek.

– Przecież jako oskarżony i tak na tym nie skorzysta.

– Wy tłumacz to śledczym.

– Ale dlaczego nic nie mówi? I co na to ojciec?

– Nie wierzy w winę Edwarda. Najpierw do mnie napisał, a potem przyjechał. Wygląda dwadzieścia lat starzej – Tadeusz się zawahał. Wpatrywał się w przyjaciela, który zdawał się pochłonięty wyławianiem łyżeczką topiących się w kawie lodów. Po chwili Tarnowski wyznał: – Wiem, że nie przyjechałeś tu, by rozgrzebywać takie sprawy, ale czy mógłbyś...? On słyszał, że bardzo mi pomogłeś w styczniu i teraz prosił, byś przyjechał i udowodnił, że Edward tego nie zrobił.

Jan uniósł głowę i spytał wprost:

– A jeśli zrobił?

Na to pytanie nie otrzymał odpowiedzi, choć mógłby przysiąc, że Tadeusz już miał na końcu języka gorące zapewnienie o niewinności oskarżonego.

Morawski wstał, podszedł do stojącego tuż obok barku na kółkach, uniósł jedną z karafek i odczytał nazwę trunku na platerowanej przywieszce. Odstawił, sprawdził jeszcze dwie inne. Dopiero trzecia karafka go usatysfakcjonowała. Przyniósł ją do stołu razem ze szklaneczką. Nalał bursztynowego płynu do naczynia, podał Tadeuszowi, usiadł i poprosił:

– Opowiedz mi o nich.

Tarnowski upił kilka łyków i odchrząknął.

– Senior jest typem patriarchy. To idealny gospodarz, prawdziwy Polak. Jedynym jego błędem, prawie grzechem, jest przekonanie o doskonałości starszego syna, swego spadkobiercy i infanta. Przyszłego ordynata.

– A on? Ten dziedzic? Niewart tego podziwu? – Tadeusz nie odpowiedział, za to zaczął obracać przechyloną szklanę. Morawski go pogonił: – No, mów.

– A ten dziedzic to był kompletny degenerat i narkoman. A do tego podlec.

Jan aż uniósł brwi.

– Nigdy nie słyszałem, abyś o kimś tak mówił.

– To, co powiedziałem, to i tak za mało. Zresztą sam zobaczysz. O ile zgodzisz się tam pojechać.

– Czym się zajmował?

– Przed ojcem udawał, że prowadzi kancelarię adwokacką i przygotowuje się do kariery politycznej, ale w rzeczywistości nawet nie ukończył studiów.

– Prawdziwy szwarczarakter.

Jan do mieszaniny lodów i kawy dolał alkoholu z karafki i oznajmił:

– Prosisz mnie o pomoc, gdy tymczasem masz pod własnym dachem prawdziwego jasnowidza.

Odpowiedział mu zdumiony wzrok Tadeusza, więc wyjaśnił:

– Chodzi mi o twoją żonę. Nie zapomniałem, że od początku wiedziała, kto zabił Zosię.

Wyraźnie zakłopotany Tarnowski sięgnął po łyżkę do deserów i rozgrzebywał waniliową masę w salaterce. Po chwili wyduł usta i oznajmił:

– Julia twierdzi, że gdyby zginął ktokolwiek inny, jako jedynego możliwego sprawcę wskazałaby Adama juniora, a tak to jest skonfundowana i nie wie, co o tym wszystkim myśleć.

– Żartujesz?

– Nie. Uważała go za nikczemnika i jej zdaniem ten, kto go usunął, wyświadczył światu przysługę.

– A co mu zarzuca?

– Narkomanię, okrucieństwo, dwulicowość, dręczenie żony. Julia jest też przekonana, że wyrządził jakąś krzywdę bonie, która pracowała w pałacu i opiekowała się jego małą córeczką.

– Skąd ten pomysł?

– Byliśmy u nich w kwietniu. Ta dziewczyna, chyba Angielka, była ewidentnie zastraszona i wyjechała w dniu naszych odwiedzin. Najprawdopodobniej uciekła. To nieoficjalna wiadomość. Po prostu widzieliśmy ją spanikowaną na dworcu. Zresztą pani Lili też wyglądała jak cień samej siebie.

W tym miejscu Tadeusz przerwał i z niesmakiem przyglądał się, jak Jan łyżeczką wyjada resztki mieszaniny lodowo-kawowo-alkoholowej.

– To, co ty robisz, to jest profanacja. I kawy, i whisky.

– To jest przepyszne. Chcesz spróbować?

– Nigdy w życiu – Tadeusz pokręcił głową z dezaprobatą i wrócił do tematu: – Pokażę ci list, który dostałem od seniora Ponińskiego...

– Ponińskiego???

Jan nieoczekiwanie stracił opanowanie i dystans. Szybkim ruchem sięgnął po list, który podał Tadeusz.

– No, to całkiem inna historia – mruknął, przebiegając wzrokiem po kartce. – Sporo słyszałem o tym młodym...

– Słyszałeś? – Jan zignorował to pytanie, lecz Tarnowski nie ustępował. – Znasz go?

Morawski na moment uniósł głowę i wyjaśnił:

– Dotychczas udawało mi się zawsze uchylić od jakichkolwiek kontaktów z nim.

– To znaczy, że nie pojedziesz?

Tadeusz wpatrywał się w przyjaciela poważnie zaniepokojony i jakby rozczarowany. Jan skończył czytać list, starannie go złożył i schował do koperty. Kilkakrotnie uderzył nią o gładki blat stołu, spoglądając na rozmówcę spod brwi.

– A ten młodszy? Jaki jest?

– Najlepszy człowiek pod słońcem. Ale nie w taki... fajtłapowaty sposób. Po prostu porządny chłopak. I do pracy, i do zabawy.

– A matka? Znaczy się żona seniora Ponińskiego?

– Nie żyje. Od kilkunastu lat. Domem zarządza pani Barbara. Jest prawą ręką pana Adama. Niesłychanie sprawna i całkowicie mu oddana. Jej ojciec wychowywał się z panem Ponińskim, bo chyba ich rodzice wzięli ślub, gdy chłopcy mieli po kilka lat.

– A nieświętej pamięci Adam tam mieszkał?

– Na stałe przebywał w Poznaniu lub w Berlinie. Czasami we Wrocławiu. Tak jak ci mówiłem, udawał, że prowadzi kancelarię i przygotowuje się do kariery politycznej.

Jan pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem tego. Przecież jest o nim głośno. Wszyscy wiedzą o jego wyczynach. Jak to możliwe, że nic z tego nie dotarło do ojca?

Tadeusz wzruszył ramionami.

– Młody osiągnął mistrzostwo w udawaniu przed seniorem syna idealnego. A stary pan Poniński prawie nie opuszcza majątku, bo nie tylko sam zarządza ogromną posiadłością, ale jeszcze wspiera kilku sąsiadów, którzy sobie nie radzą. A poza tym on jest taki... onieśmielający, taki władczy i prawy, że nikt nie umie mu powiedzieć, jakiego nikczemnika wychował.

– Prawdziwa zmowa milczenia. Został w pałacu sam?

– Mieszka tam jego stary przyjaciel. Birbant i kawał lenia, ale poczciwy do szpiku kości.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Tadeusz, mówiąc z zakłopotaniem i niepewnością:

– Przykro mi, że cię tym obarczam. To miały być dla ciebie wakacje, a wygląda na to, że po raz kolejny zapewniam ci...

Jan spojrzał na przyjaciela, który siedział naprzeciw niego i zdawał się autentycznie zafasowany. Rzucił wesoło, by choć trochę rozluźnić atmosferę:

– A pytałeś małego Jasia Tarnowskiego o zgodę? Może nie spodoba mu się takie odwołanie ceremonii.

Na samą wzmiankę o synku twarz Tadeusza rozpogodziła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Poczekamy z chrzcinami na ciebie.

– Bardzo ci zależy na panu Ponińskim.

– Nie wiesz, jaki to wartościowy człowiek. I Edward też. Senior ma zły czas: najpierw zmarła przy porodzie jego synowa, a teraz ukochany syn... Dobrze, że Julia urodziła już w czerwcu. Śmierć Lili zdenerwowałaby ją znacznie bardziej, gdyby sama była jeszcze przed rozwiązaniem. Jakaś plaga zresztą – w Borku u Graevów też zmarła Anna, tyle że tam dziecko przeżyło – na chwilę umilkł. – Pojedziesz, Janie?

– Pojadę. Oczywiście, że pojadę. Po prostu rozważam, co się kryje za milczeniem młodego Edwarda.

Zadowolony Tadeusz dolał sobie odrobinę whisky i zauważył:

– Coś nam się nie układa z twoimi odwiedzinami w Tarnowicach.

– Wiesz, że na Wielkanoc ugrzęzłem w Awinionie. To chyba cecha tego miasta. Kilku papieży mogłoby coś o tym powiedzieć.

– *À propos* kwietnia. Czy to prawda, że byłeś w Belgii, kiedy strzelano do księcia Walii [1]?

– Prawda – Jan oddał list i mrugnął

– Nic więcej z ciebie nie wyciągnę? – nalegał Tadeusz. Morawski tylko się zaśmiał, a przyjaciel przekomarzał się dalej: – Czasami się zastanawiam, czy to ty pojawiaasz się w miejscach, gdzie coś się dzieje, czy coś się dzieje, bo ty się tam pojawiaasz.

Jan wydał usta, jakby poważnie rozważał tę alternatywę. Nie uzyskawszy odpowiedzi, Tadeusz porzucił owianą tajemnicą kwestię i zapewnił:

– Poczekamy z chrzcinami, aż załatwisz tę sprawę w Sępowie.

– Postaram się. We wrześniu mam się spotkać z Konstancją i Antonim w Amalfi, a najdalej za dwa tygodnie muszę być jeszcze raz w Awinionie.

– Mnóstwo podróżujesz.

– Tak, większość czasu spędzam w pociągu. Ciekawe, kiedy wynajdą szybszy środek transportu. Może teraz, gdy Zepellinowi powiodła się wreszcie próba lotu sterowcem...

– Udało się? Kiedy?

– Niedawno. Na początku lipca. We Friedrichshafen [2].

Wstali.

– Nocujesz w hotelu? – spytał Jan.

– Nie. Zdążę jeszcze na wieczorny pociąg. Zostawiłem konia na stacji, więc bez problemu dotrę stamtąd do domu.

Ruszyli w stronę drzwi.

– Jeśli naprawdę zechciałbyś tam pojechać, to pociąg do Leszna odjeżdża rano. Portier hotelowy poda ci godzinę.

– Tak, zdecydowanie jadę.



– Z dworca wyśle telegram do pana Ponińskiego, że przyjedziesz jutro. Jestem pewien, że ktoś będzie na ciebie czekał w Gostyniu – trzymając dłoń na mosiężnej gałce, Tadeusz zawahał się po raz kolejny. – Chyba że chciałbyś odpocząć jeden dzień w hotelu...

– W żadnym przypadku. Nie ma chwili do stracenia. A zresztą mieszkanie w sąsiedztwie placu budowy nie należy do przyjemnych.

– Tak, ta dobudowa nowego skrzydła hotelowego już i tak trwa dłużej, niż planowano, a z pewnością przeciągnie się jeszcze o kilka miesięcy.

Tymczasem dotarli do recepcji. Tarnowski wyciągnął do przyjaciela dłoń:

– Daj znać, gdy dojedziesz.

Morawski mocno uściskał podaną sobie rękę i uśmiechnął się:

– Pozdrowienia dla Julii i Jasia.

Tadeusza męczyło sumienie. Ściszył głos, aby nie usłyszał go recepcjonista ani hotelowy boy.

– Janie, ja naprawdę...

– Przestań. Jeżeli istnieje niebezpieczeństwo, że skazany zostanie niewinny człowiek, to po prostu trzeba się tym zająć.

## Rozdział 2.

Jan stał przed głównym wejściem do hotelu i chował portfel do kieszeni jasnoszarej marynarki, zaś Mateusz razem z fiakrem mocowali dwie walizy z tyłu dorożki. Ciszę poranka przerwała melodia kościelnych dzwonów. Morawski spojrzął w dół ulicy Nowej. Od strony Starego Rynku nadjeżdżał tramwaj elektryczny z tablicą „Posener Strassenbahn”, nowość, którą wprowadzono w mieście zaledwie dwa lata wcześniej. Tuż przed pojazdem przebiegła grupka łobuzów w „drajfirtlach” – tak nazywano tu spodnie o długości powyżej kostek – bluzach i rogatywkach, za dużych, bo kupowanych jako gotowe ubrania „ze sztangi”, czyli z drażka. Jan, widząc tę eksplozję energii, z podziwem pokręcił głową, bo miejscowi ulicznicy do późnej nocy grali w piłkę, gonili się i wrzeszczeli.

Z tego zamyślenia wyrwał go głos kamerdynera:

– Taki upał, a pani zapomniała zdjąć ci kozuszkę?

Uwaga ta padła pod adresem futrzastego stworzenia barwy błota, które parcianą smyczą przytwierdzone było do lokaja w liberii. Trudno byłoby orzec, która z tych dwóch istot z większą niechęcią człapała po chodniku.

Rzeczywiście, mimo wczesnej godziny czuło się wzbierający upał. Lato było szczególnie męczące w zatłoczonym Poznaniu, choć i tak w miejscu, gdzie się znajdowali, w bezpośrednim sąsiedztwie placu Wilhelmowskiego, dało się jeszcze oddychać.

Miasto dusiło się w murach niczym kobieta zbyt mocno skrupowana gorsetem. Sznurówkę zaciśnięto lata temu, gdy była młodsza, szczuplejsza, mniej wymagająca, gdy łatwiej znosiła poświęcenie i niewygody. Od tamtej pory nie zmieniła obwodu pancerza i z uporem się w niego wbijała, mimo że przybyło jej lat, centymetrów w pasie, biodrach i biuście, mimo że nie mogła oddychać, nie mogła swobodnie żyć. Chciało się podejść, chwycić za nóż i rozwiązać problem metodą Aleksandra Wielkiego.

Ten brak przestrzeni odczuwano dotkliwie latem, ale także zimą, gdy niezliczone kominy wypluwały z siebie tony sadzy, przyczerniając nawet wróble i rachityczne drzewa. Od kilku lat władze walczyły o zniesienie obwarowań chociażby na lewym brzegu Warty, ale na razie armia skutecznie stawiała veto.

Jan i Mateusz wsiedli, dorożkarz wspiął się na kozioł, zaciął konia i ruszyli. Jechali ulicą Rycerską i dalej Świętym Marcinem, wszędzie dookoła oglądając szyldy w języku niemieckim. Minęli hotel Altes Deutsches Haus i budynek jednej ze szkół, precyzyjnie się przez wąski przełyk Bramy Berlińskiej i wydostali na wolność.

Tak przynajmniej odczuł to Mateusz, gdyż wydał z siebie ciężkie westchnięcie.

– Nareszcie. Nie ma jak na wsi. Znowu można oddychać.

– To już nie jest wieś, mój drogi. Jeżyce razem z dwiema innymi gminami włączono kilka miesięcy temu do obszaru miasta.

– Może jednak uda się doprowadzić do likwidacji fortyfikacji.

– Wiesz przecież, która instytucja rządzi w tym kraju.

Dotarli na centralny dworzec kolejowy, którego ciężka bryła z zegarem na szczycie od razu informowała podróżnych, że to miasto znajduje się pod wszechwładnym panowaniem wojska.

Wysiedli. Jan podniósł neseser, a Mateusz spytał, odpinając pasy mocujące walizy:

– Najpierw do Leszna, prawda?

– Tak, a stamtąd do Gostynia.

– A czy nie byłoby lepiej pojechać linią na Ostrów? Stępowo właściwie przy niej leży i...

W tym momencie nieoczekiwanie włączył się fiakier, dotychczas poprawiający coś przy końskiej uprzęży:

– Jaśnie pan do Stępowa?

Jan zwrócił na niego zdumiony wzrok, a Mateusz przerwał wypakowywanie bagaży. Morawski przytaknął:

– Tak. Znacie to miejsce? Może stamtąd pochodzicie?

– A gdzie tam, jaśnie panie. Ja żem stąd. Ino ledwie kilka dni temu, jak żem wiózł jedną taką z Hameryki, co to jechała właśnie tam, gdzie jaśnie pan hrabia.

Mateusz pozostawił walizy i podszedł bliżej.

– Mówiła, że tam jedzie? – pytał dalej Jan.

– A gdzie tam. Ona w ogóle po naszymu ni w ząb.

– To skąd wiecie, że tam jechała?

– A kartę miała z nazwą, bo nijak nie umiała tego wymówić. Żem ją zaprowadził do kasy, żeby tam jej bilet sprzedali. I stało napisane jak byk: „Stempowo, Kreis Gostyn”.

W Mateuszu obudził się śledczy. Zmarszczył brew i rzucił podejrzliwie:

– A skąd wiesz, przyjacielu, że ona z Ameryki?

– Ano już dwadzieścia років minęło, odkąd mój brachol tam wybył. Odwiedził nas latoś zeszłego roku i tak samo gadał jak ta paniusia.

Dwójka podróżnych zamieniła ze sobą spojrzenia. Wypytywanie podjął Jan:

– A jak wyglądała?

– Ano młoda, całkiem ładna. Jasna taka. Tylko czegoś wystrachana.

– Skąd wiecie, że przestraszona?

– Rączki jej się trzęsły, jak ten papiór dawała. O tak – mężczyzna oparł bat o dorożkę i zademonstrował zdenerwowanie swej pasażerki. – I sakiewka jej spadła. Musiałem ją zaprowadzić do kasy, bo szła zupełnie gdzie indziej.

– A może pamiętacie, kiedy to było?

– Jaki tydzień temu. Abo i dwa.

Naraz jego wzrok spoczął na czymś ponad ramieniem Jana i dorożkarz błyskawicznie przeszedł na język niemiecki:

– *Ist das alles, Herr Graf?* [3]

Grafowi nie drgnęła nawet powieka. Minimalnie odwrócił głowę i kątem oka dostrzegł zbliżającego się policjanta. Mateusz na szczęście również wykazał się przytomnością umysłu i natychmiast przestał zwracać się do fiakra po polsku. Jan zapłacił za kurs, dodając suty napiwek. Bystry mężczyzna nisko się skłonił:

– *Danke, Herr Graf.*

Na pożegnanie jeszcze zasalutował, lekko mrugnął i odjechał na pobliski postój. Jan ze współczuciem patrzył na obowiązkowy mundur dorożkarza, składający się z granatowego surduta i cylindra, myśląc, jaką mordęgą musi być praca latem w takim uniformie.

Mateusz rzucił nie wiadomo pod czyim adresem nieśmiałą wzmiankę, jakoby restauracja dworcowa słynęła z wyśmienitej kawy i pączków, ale odpowiedziało mu karcące spojrzenie pracodawcy.

Kupili bilety na pociąg pospieszny, nazywany powszechnie „sznelcugiem”. Jan odbył przy tej okazji miłą pogawędkę z kancelistą w kasie biletowej, który postanowił upchnąć Mateusza w przedziale drugiej, a najlepiej trzeciej klasy. Morawski sam przeprowadzał takie negocjacje, gdyż jego kamerdyner uparcie twierdził, że nie włada językiem niemieckim.

Dopiero gdy pociąg ruszył, Jan odpowiedział na pytanie, które Mateusz zadał w chwili wysiadania z dorożki.

– Pojedziemy do Gostynia, bo Tadeusz wspominał, że wysłał telegram do pana Ponińskiego, by tam po nas przyjechali.

Szczęśliwie byli jedynymi pasażerami w przedziale, mogli więc nie tylko swobodnie porozmawiać, ale też poluznić krawaty i przyjąć mniej formalne pozy na siedzeniach.

Morawski wydobył z bagażu pudełko *calissons d’Aix*. Było to już ostatnie opakowanie z przywiezionych z Prowansji zapasów. Nie mógł uwierzyć, że potrzebował zaledwie trzech dni, by uporać się z dwoma funtami stateczków z masy melonowej.

Po kilku minutach – i kilku smakołykach – Jan zagadnął:

– I co myślisz o naszej misji?

Mateusz nie odpowiedział od razu. Pogimnastykował twarz, przesuwając kąciaki ust w prawo i w lewo, po czym stwierdził ostrożnie:

– Mało wiemy. Bardzo mało. A poza tym, szczerze mówiąc, trochę się dziwię, że wierzy pan w plotki o tym młodym. Nigdy nie słuchał pan tego, co „wszyscy mówią”.

– Stajesz się prawdziwym dyplomatą. Pamiętaj jednak, że nie ma dymu bez ognia, a biorąc pod uwagę ilość dymu, który spowijał postać młodego Ponińskiego, ogień musiał

być solidny.

– No tak. Tym bardziej że nawet pan Tarnowski dał temu wiarę.

Ten ostatni argument zdawał się mieć dla Mateusza moc dekalogu.

Morawski lekko się uśmiechnął:

– Powinno ci wystarczyć, że nasz młodzian należał do kliki barona Rudolfa, która z bandy wesołych burszów przedzierzgnęła się w stowarzyszenie zwyrodnialców.

– Ale przecież to oni są odpowiedzialni za porwania dzieci i gdyby nie wpływy rodziców...

– Właśnie.

Jan uznał rozmowę za chwilowo zakończoną. Z neseseru wyciągnął *Discours sur l'histoire d'Avignon* i zagłębił się w lekturze. Była to jedna z książek zaleconych mu przez pułkownika Richardsa, którego uznawał za swego mocodawcę.

Kamerdyner przez pewien czas wyglądał przez okno, po czym nagle oświadczył:

– Ale to właściwie dobrze, że miał takich koleśków.

Morawski uniósł głowę na to zagadkowe stwierdzenie. Mateusz, widząc oszołomiony wzrok swego towarzysza, wyjaśnił:

– Bo to zwiększa szansę, że ten młodszy brat jest niewinny. Krąg podejrzanych się poszerza, bo w takich zdemoralizowanych grupkach o konflikt nietrudno.

– To prawda. Hamulce są im raczej nieznane.

– No i doszła ta dziewczyna – dodawał sobie otuchy kamerdyner. – Ta prześladowana bona. To przecież nie może być zbieg okoliczności, że jakaś roztrzęsiona Angielka czy Amerykanka tam się wybiera i w tym czasie ginie dręczyciel tamtej niani.

– A nie przyszło ci do głowy, że mogli zatrudnić nową opiekunkę? – zasugerował Jan, ze zdumieniem wpatrując się w pusty kartonik po słodyczach. – I że to była właśnie ona?

Rysy Mateusza lekko się obsunęły. Bardzo szybko formował sądy, na każdej przesłance budował skomplikowane konstrukcje i nie lubił, gdy mu podkładano dynamit pod ściany nośne. Troszkę się naburmuszył i aż do Leszna w przedziale panowała cisza, przerywana od czasu do czasu gwizdem lokomotywy.

W trakcie przesiadki Mateusz rozchmurzył się na tyle, że łaskawie przyznał Janowi rację:

– Miał pan świetny pomysł, żeby przepakować w Poznaniu bagaż i zostawić w hotelu tę największą walizę.

– Przecież nie było sensu ciągnąć tutaj prezentu dla mojego chrześniaka, dla Julii czy twoich upominków dla Franciszka.

Udało im się złapać pociąg odchodzący prawie natychmiast do Jarocina. Ich współpasażerka, nadęta damulka, równomiernie pokryta pudrową masą, której jednorodną powierzchnię naruszyły strużki spływającego spod ciasnego kapelusza potu, wysiadła na stacji w Kręplewie i panowie mogli kontynuować rozmowę. Mateusz postanowił się

doinformować.

– Czy to Stępowo jest dużym majątkiem?

– Tak. Powierzchnia przekracza chyba trzy tysiące hektarów.

Mateusz aż zacmokał.

– Poza Stępowem do dominium należy też kilka innych folwarków – kontynuował Jan. – Z tego, co mówił Tadeusz, wszystkim zarządza z wielkim powodzeniem starszy pan Poniński. Majątek jest w kwitnym stanie. Podobno.

– Ciekawe, kto to odziedziczy. Starszy syn nie żyje, młodszy w więzieniu...

– Trafiłeś w sedno. Od tego należy zacząć. Zgodnie ze starorzyską zasadą, że ten winien, kto na tym zyskuje. Policja, zdaje się, nie dostrzegła jeszcze tego aspektu, bo twierdzi, że Edward zabił brata, by przejąć całą fortunę.

– Ale przecież...

Jan tylko znacząco uniósł brwi i pokiwał głową. Po chwili wyznał:

– Wiesz, co mnie najbardziej zastanawia? Milczenie Edwarda. Tego aresztowanego. Bo albo jest winny, albo chce kogoś osłonić. Kogoś bardzo mu bliskiego.

Podróż się przeciągała, bo pociąg co chwila zwalniał. Było coraz cieplej, a otwarcie okna w niczym nie poprawiło sytuacji. Zdawało się wręcz, że wpadające powietrze parzy skórę.

Wreszcie dotarli na miejsce. Wysiedli i zobaczyli budynek dworcowy z czerwonej cegły, dokładnie taki sam, jakich dziesiątki wybudowano na terenie całego Księstwa. Mateusz wyniósł obie walizki, Jan swój neseser i niewielką torbę kamerdynera. Nie zdążyli odstawić bagażu na peron, gdy podszedł do nich szczupły mężczyzna około czterdziestki, ogorzały niczym marynarz. W dłoni trzymał kapelusz przepasany czarną wstęgą. Odezwał się głosem pełnym werwy:

– Pan Jan Morawski? – zagadnięty tylko skinął głową. – Do pana Adama Ponińskiego? Jestem Szurkowski. Jeden z rządców pana Ponińskiego.

Morawski odstawił neseser i wyciągnął do mężczyzny dłoń. Tamten zareagował zdumieniem, szybko jednak oprzytomniał. Na wszelki wypadek otrzepał najpierw rękę i uściśnął podaną sobie prawicę. Ukłonił się Mateuszowi i wyjaśnił:

– Jechałem do landratury [4] i pan Poniński prosił, bym pana odebrał ze stacji.

Złapał jedną z waliz i ruszył przodem, cały czas mówiąc i co rusz odwracając się do podążających za nim gości.

– Okropnie gorąco. Choć początek lata był dość chłodny.

Tu nastąpił przerywnik, bo pan Szurkowski dał ręką jakiś znak zawiadowcy.

– Tydzień temu dopadła nas ostra burza, a i potem popadywało. Ale teraz już od dwóch dni niebo jest bezchmurne.

Cała trójka opuściła teren stacji i podeszła do oczekującego powozu. Temperatura nieubłaganie wzrastała. Jan rozejrzał się dookoła. Na ulicy zauważył tylko dwie czy trzy

osoby i nic dziwnego – ci, którzy wcześniej wstali i pracowicie spędzili ranek, teraz spożywali główny posiłek dnia. Jedynymi żywymi istotami były wygrzewające się na stopniach koty, a i one sprawiały wrażenie nieruchomych posągów w tym iście afrykańskim żarze.

W cieniu powozu kuczał piegowaty, jasnowłosy chłopak, który poderwał się na ich widok. Ukłonił im się w pas, porwał od Mateusza walizkę i sprawnie ułożył ją w metalowym koszu z tyłu pojazdu. Rządca położył drugą i zabezpieczył je pasami. Goście wsiedli do powozu i pan Szurkowski zamknął drzwiczki.

Jan od razu spytał:

– A pan nie jedzie?

– Nie, mam tu interesy do załatwienia. Zresztą nie mieszkam w Stępowie, tylko na folwarku w Górznie. Franek panów zawiezie. No, ruszaj.

Morawski skinął mu ręką i usłyszał:

– Powodzenia!

## Rozdział 3.

– Co za cudo! – Mateusz nawet nie próbował ukryć swego zachwytu.

Jan mu doradził:

– Uważaj, bo ci szczęka wypadnie.

Stangret najwyraźniej usłyszał te słowa, bo zatrzymał powóz, lekko odwrócił się w stronę pasażerów, a na jego twarz wypłynął pełen dumy uśmiech.

Stępowo. Ich oczom ukazała się idealnie symetryczna barokowa bryła. Piętrowy budynek nakryty był wysokim mansardowym dachem, a do naroży pałacu z każdej strony przylegały parterowe alkierze, które z kolei ozdobnymi bramami łączyły się z oficynami. Całość skupiała się wokół dziedzińca, na którym urządzono trzy gazony – jeden kwadratowy przed korpusem głównym, dwa prostokątne przed bocznymi pawilonami. Doskonałość tej kompozycji wprost oszałamiała.

Stangret miał wiele zrozumienia dla ich zachwytu, bo jechał bardzo wolno, pozwalając im chłonąć piękno miejsca, które wyraźnie traktował jako swój dom rodzinny. Nie padło żadne słowo. Ciszę zakłócały tylko stukot końskich kopyt i chrzęst żwiru mielonego kołami.

Wjechali pod ganek wsparty na półokrągłych arkadach.

W pierwszym momencie niewiele dostrzegli w tym półmroku, tak bardzo ich oczy przywykły do oślepiającego słońca. Mateusz otworzył powóz i po omacku wyskoczył, zaraz za nim wysiadł Jan. Znajdowali się na poziomie parteru domu, właściwie przed głównymi drzwiami, które teraz stały otworem. Usłyszeli ze środka:

– Idę! Idę!

Jan wziął neseser i wszedł do sieni. Było tam tak chłodno, tak nieprawdopodobnie rześko, że odniósł wrażenie, jakby zanurzył się w zimnej wodzie. Dopiero wtedy uświadomił sobie w pełni, jaka gorączka panowała na zewnątrz.

Z naprzeciwka przytruchtał wiekowy służący, cały ubrany na czarno.

– Jesteście. To dobrze.

Staruszek bez przerwy kiwał głową. Miał sztywne białe włosy, z tyłu zdecydowanie za długie, tak że odstawały, gdy się pochylał, co zabawnie przypominało opierzenie ptaka. Na bladej twarzy mocno odcinały się punkciki małych oczek i krwiste rumieńce.

Szurając po kamiennej podłodze, zmierzał w głąb domu i co chwila się odwracał, przywołując Jana ręką.

– Chodźmy. Pan Adam czeka. Chodźmy.

Jan oddał swą torbę Mateuszowi, który z błogim uśmiechem rozlokował się na ławce w holu, i ruszył za roztrzęsionym starcem. Celowo zwlekał, gdyż pragnął rozejrzeć się po



wnętrzu. Poczłł kompletne zaskoczenie. Barokowa bryła pałacu narzuciła mu przekonanie, że środek urządzony będzie w tym samym stylu: sarmackim, ozdobnym, pełnym przepychu i kąpiącym złotem. Niespodziewanie znaleźli się w wytonowanym klasycznym wnętrzu, które zachwycało elegancką prostotą. Czuć tu było fascynację antykiem.

Marmurową posadzkę holu ułożono w karo, a dolną część ścian pokryto białą boazerią. W tym samym kolorze pomalowano ościeżnice drzwi, natomiast same skrzydła były ciemnobrązowe. Dodatkowo usytuowano tam dwoje dwubiegowych schodów prowadzących na piętro i prawdopodobnie z tego powodu hol pełnił wyłącznie funkcje komunikacyjne.

Przeszli przez dwa ułożone w amfiladzie saloniki, skręcili w lewo i służący zdołał zapukać.

Odpowiedzi nie było słychać, ale mimo to nacisnął klamkę i gestem dłoni, jakim się zagania kurczaki, nakazał gościowi wejść do środka.

Jan wszedł. Ktoś podniósł się z fotela i ruszył w jego stronę. To był wysoki, sztywno wyprostowany mężczyzna. Musiał ostatnio schudnąć, bo i czarne ubranie, i skóra zrobiły się na niego jakby za duże. Minę miał gniewną, chciałoby się powiedzieć marsową, i skupione spojrzenie. To wszystko składało się na wrażenie godności, spotęgowane jeszcze przez siwe włosy. Morawskiemu od razu przyszedł na myśl rzymski senator. Wtedy też przypomniało mu się stwierdzenie Tadeusza, że nikt nie waży się wyznać panu Ponińskiemu prawdy o ukochanym spadkobiercy, gdyż „jest taki onieśmielający”.

Gospodarz uścisnął dłoń Jana, mówiąc:

– Witam pana – i zanim gość zdążył otworzyć usta, pan Poniński polecił służącemu, który nadal stał w progu: – Mój Jacenty, zechciej przyprowadzić Barbarę.

Odpowiedziało mu posapywanie i Morawski odwrócił się w stronę drzwi. Dostrzegł jeszcze spocone czoło wychodzącego mężczyzny.

Odezwał się pan domu:

– Pan Jan Morawski, prawda? – naraz zmrużył oczy i zmarszczył czoło. – Chwila, Morawski? Teraz dopiero skojarzyłem. Czy to nie pańscy rodzice się...?

– Tak, właśnie oni.

Gospodarz odchrząknął i odwrócił głowę. Był zakłopotany własnym nietaktem, ale Jan nie dostrzegł w jego zachowaniu niechęci. Senator wskazał gościowi fotel. Mebel wykonano chyba z granitu, lecz Jan był tego nieświadomy i usiadł z takim impetem, że zaboląa go głowa. Pan Poniński zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

– Dziękuję, że zgodził się pan tu przyjechać. Sam nie umiem... zająć się tym. To całkowicie niepojęta sprawa – wyznał i zamilkł.

Ciszę przerwał po chwili Morawski:

– Tadeusz pokazał mi pański list i dodał to, co było mu wiadome. Może opowie mi pan przebieg zdarzeń?

Pan Poniński spojrział wreszcie na Jana i zaczął bez żadnych wstępów:

– To było czwartego. Tydzień temu. Rano odbył się pogrzeb mojej synowej, żony Adama. Edward, młodszy syn, nie wziął udziału w uroczystości. Wiadomość nie dotarła do niego na czas. Przyjechał po południu, już po ceremonii. Razem zjedliśmy kolację. Tercjusz, mój przyjaciel, który tu mieszka, opuścił jadalnię jako pierwszy, ja poszedłem do siebie kilka minut później.

– I synowie zostali sami?

– Tak. Podobno Adam przeniósł się do swego gabinetu w alkierzu, a Edward został przy stole. Ale to wiem od służby.

– A potem?

– Jeden z lokai widział, jak Edward szedł do brata, a następnie kilka osób słyszało dochodzące stamtąd podniesione głosy.

Dotychczas wypowiadał się spokojnie i rzeczowo. Nagle zupełnie zmienił zachowanie. Gorączkowo wyrzucał z siebie kolejne słowa, jakby odpowiadał na wyimaginowane zarzuty.

– Ale to nic nie znaczy. Bracia przecież mogą się spierać. A podekscytowany ton nie świadczy o kłótni. Zresztą nie wiadomo, czyje to były głosy.

Obrócił fotel tak, że siedział teraz trochę ukosem, prezentując swój profil niczym na monecie. Nie patrzył na Jana, który spytał po chwili:

– Jaka atmosfera panowała podczas kolacji?

– Nie byliśmy rozmowni, ale to raczej naturalne, jeśli weźmie się pod uwagę panującą w domu żałobę.

Młody człowiek uznał, że powinien ugłaskać seniora Ponińskiego. Nie było sensu go rozdrażniać, tym bardziej że to, co powiedział, było w zasadzie prawdą.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć, że od razu nie złożyłem kondolencji.

Odpowiedzią było lekkie skłonienie głowy i machinalne sięgnięcie po leżącą na biurku zaczytaną książkę. Jan dostrzegł tytuł – *Rozmyślenia* Marka Aureliusza – i doszedł do wniosku, że ulubiona maksyma jego dziadka: „Skromnie przyjmować, spokojnie tracić” musi być wielką pociechą w takich chwilach. O ile człowiek dotknięty taką tragedią jak pan Poniński potrafi ten ideał wcielić w życie. Jan nie potrafił. Zwłaszcza tracenie go bolało.

Podpowiedział seniorowi ciąg dalszy:

– Wiem, że w nocy rozszalała się burza.

– Tak. Pewnie dlatego nikt nie usłyszał strzału.

– Pan pozostał u siebie?

– Tak. Służący zebrali się we wspólnym pomieszczeniu w południowym pawilonie i modlili się przy gromnicach. To przeciwny koniec domu.

– Pokój pańskiego syna jest zatem po stronie północnej? – senior znowu kilka razy poruszył głową i pogładził skórzaną okładkę. – I co było dalej?

– Rano pokojówka znalazła ciało. Jadłem śniadanie, gdy usłyszałem krzyki. Wyszedłem do holu i pobiegłem tam, skąd dochodziły głosy. W bocznym salonie zderzyłem się z Barbarą... ona zarządza domem...

– Tak, wiem, Tadeusz o niej wspominał.

Gdy tylko Jan zaczął mówić, tamten się skrzywił. Morawski postanowił zapamiętać, że nobliwy gospodarz nie lubi, gdy ktoś mu przerywa.

– A zatem spotkaliśmy się i zawołała: „Zastrzelono Edwarda!”.

– Edwarda?! – nie wytrzymał gość.

– Pobiegłem tam. Najpierw zobaczyłem nogi leżącego mężczyzny, zbliżyłem się – senior ciężko oddychał. – To był Adam.

Janowi przez głowę przebiegło pytanie, kogo pan Poniński wolałby zobaczyć martwego na podłodze. Na pewien czas każdy z nich zagłębił się we własnych myślach, co nie przeszkadzało gościowi rozglądać się po pomieszczeniu.

To z pewnością nie była kancelaria majątku, lecz raczej azyl mężczyzny o określonych upodobaniach. W zabudowanych szafach pełno było książek, na ścianach wisiały portrety przedstawiające mężczyzn w utrefionych perukach, charakterystycznych dla XVIII wieku. W głębi stało kilka foteli i krzeseł kurulnych, a także kanapa o niezbyt zapraszającym wyglądzie. I kominek, a nad nim, zamiast obrazu czy lustra, ustawiono konstrukcję przywodzącą na myśl lararium. Przy oknie stał stół z jakimiś porozstawianymi przedmiotami, które jednak trudno było z daleka rozpoznać. Pan Poniński głęboko westchnął i kontynuował relację:

– Posłałem po lekarza. Tercjusz zabronił dotykać czegokolwiek. Pytałem domowników o Edwarda. Nikt go nie widział. Sam go znalazłem. W pokoju mojej żony. Jego matki – senior jeszcze bardziej odwrócił twarz od gościa.

– Wezwali państwo policję?

– Tercjusz pojechał do Gostynia. Zawiadomił prokuratora. Po południu przyjechała komisja śledcza. Prokurator i sędzia powiatowy. Byli tu kilka godzin i odjechali. A - rankiem następnego dnia aresztowali Edwarda i przewieźli do więzienia.

Jan czekał na ciąg dalszy, a skoro ten nie nastąpił, zapytał:

– Jak rozumiem, pański syn nadal nie zgadza się zeznawać.

– Gdy go znalazłem, pytałem go i pytałem, ale nic nie mówił. Policjantom też nic nie powiedział. Ani się nie przyznał, ani nie zaprzeczył. Nie miał jednak alibi, za to silny motyw. Tak przynajmniej stwierdził prokurator. Ale ja w to nie wierzę! – nagle zwrócił się w stronę rozmówcy i agresywnie powtórzył: – Nie wierzę, rozumie pan?

Jan nie ośmielił się na żaden ruch, natomiast Poniński gwałtownie się poderwał, kilka razy przemaszerował od ściany do ściany, a w końcu podszedł do zagadkowego stołu.

– To prezent od Edwarda – wyznał. – Sam to wykonał.

Zaskoczony tym zwrotem, Jan wstał i zbliżył się do stołu. I oniemiał. To była makieta Forum Romanum: starannie odtworzony Łuk Septymiusza Sewera, okrągła świątynia

Romulusa, wykonana w skali Rostra. Wpatrywał się jak urzeczony. Z namaszczeniem dotknął jednej z budowli:

– To dzieło pańskiego syna?

Pan Poniński jakby się wyprostował.

– Po pierwszym roku architektury przyjechał na wakacje. Nie podobało mi się, że wybrał te dziwaczne studia. Gdy tylko się urodził, postanowiłem, że poświęci się karierze wojskowej, ale zuchwale mi się sprzeciwił – Jan aż się w sobie skurczył, słysząc o tym arbitralnym urzędowaniu życia własnemu dziecku. – Na szczęście starszy syn, Adam, poszedł wybraną przeze mnie ścieżką i ukończył prawo.

Senior uśmiechnął się tęsknie, a Morawski zdołał powstrzymać się od skomentowania tego ostatniego stwierdzenia. Spytał za to:

– I to pan Edward wykonał ten model?

– Liczyłem, że spędzimy razem czas, a on ciągle gdzieś znikał. Burczałem o to na niego, sarkałem, że się włóczy, zamiast pobyć ze starym ojcem. Rano przed wyjazdem do Berlina przyprowadził mnie tutaj. Całą noc to montował.

Jan przez chwilę podziwiał makietę miasta, w którym nadal trwały prace archeologiczne. Potem wrócili do biurka i stanęli po obu jego stronach. Poniński powiedział, akcentując każde słowo:

– On tego nie zrobił.

– Więc dlaczego nic nie mówi?

Dumny ojciec zmarszczył czoło i obdarzył pytającego niezadowolonym spojrzeniem:

– Wiem, co pan zrobił dla Tarnowskich. Tutaj wszyscy jesteśmy do pańskiej dyspozycji. Niech pan tylko udowodni, że mój syn jest niewinny.

Morawskiego korciło, żeby powtórzyć to cisnące się na usta pytanie, ale zrezygnował. Starszy mężczyzna ciężko opadł na swój fotel i zwiesił głowę. To nie była poza zwycięzcy. A gdy Jan zobaczył go na tle tego zniszczonego miasta, pomyślał, że pan Poniński do złudzenia przypomina Mariusza na ruinach Kartaginy. Temu człowiekowi również zawalił się świat.

– Kto pańskim zdaniem strzelał?

– Nie Edward. Ktoś obcy. Adam zajmował pokój dostępny od ogrodu. Jest, co prawda, stróż, ale ktoś mógł się prześlizgnąć, bo przykazałem, by w czasie burzy wszyscy pracownicy pozostawali pod dachem.

– Czy ktoś źle życzył pańskiemu synowi?

Padła gotowa – i zdaniem Jana wygodna – odpowiedź:

– Adam był wziętym adwokatem. Prowadził biuro prawne i pewnie komuś się naraził. Jakiemuś kryminaliście. Poza tym zajmował się polityką. Nie był jeszcze osobą z pierwszych stron gazet, ale opowiadał mi ostatnio, że na jakimś zebraniu w Berlinie ostro przeciwstawił się jednemu z radykalnych ugrupowań. To na pewno ktoś taki. Musi pan przeprowadzić śledztwo. Może przejrzy pan jego dokumenty? Mógł dostawać jakieś

listy z pogrózkami.

Do Jana zaczęło docierać, że nie ma co liczyć na rzeczywiste wsparcie z tej strony.

– A służba?

– Niemożliwe, żeby ktokolwiek z domowników miał z tym coś wspólnego. Mój syn był powszechnie lubiany.

Gość z niezadowoleniem skonstatował, że mimowolnie przyłączył się do panującej wokół seniora zmywy milczenia. Nie dosyć, że nie powiedział wprost Ponińskiemu o prowadzeniu się jego ukochanego syna, to bał się spytać, kto w razie skazania Edwarda odziedziczy majątek.

Czuł dziwny niepokój. Wstał. Na szafkach po obu stronach kominka stały posążki Zwycięstwa i Sprawiedliwości. Mariusz – to imię nieoczekiwanie przyłgnęło do seniora Ponińskiego – najwyraźniej uwielbiał Republikę i kultywował jej ideały. Jan nagle uświadomił sobie, że tamten ustrój promował władzę *pater familias*, ojca rodziny, który nad domownikami posiadał prawo życia i śmierci i nie wahał się z niego korzystać. Zwłaszcza gdy ktokolwiek zagroził jego *dignitas*, pozycji uzależnionej od reputacji i wyznawanych wartości moralnych. W jej obronie wypowiediano wojny i... zabijano synów.

Jan poczuł, że galopującej wyobraźni powinien czym prędzej nałożyć cugle.

– Czy prokurator zezwolił na odwiedzin u aresztowanego?

– Tak. Nie stawia żadnych przeszkód. Ja byłem dwukrotnie, ale Edward za każdym razem odmawiał spotkania.

– Chciałbym tam pojechać. Być może zgodzi się ze mną porozmawiać.

Mariusz spojrzał na zegarek.

– Dzisiaj może być już trochę późno. Zresztą jest naprawdę gorąco i mimo że jest pan młody, nie chciałbym narażać pana na taką podróż. Może jutro?

– Z samego rana, jeśli pan pozwoli.

– Mamy kilka dni do dyspozycji. Termin lokalnej rozprawy wyznaczono na przyszłą środę. Wszyscy w pałacu zostaną zobowiązani do udzielenia panu pomocy. Ja nie jestem w najlepszym stanie. Nie potrafię tego pojąć – przerwał i na moment pochylił głowę, ale już po chwili znowu był sobą. – Wspominałem, że mieszka tu z nami mój przyjaciel z młodości. On będzie odpowiedniejszym ode mnie informatorem. Ja mogę powiedzieć panu jedno: Edward nie zabił brata.

Usłyszeli w oddali bardzo szybkie kroki. Ktoś się zbliżał.

Jan nagle doznał przebłysku. Chyba na widok lararium, przypominającego kształtem świątynię, przyszedł mu do głowy kozioł ofiarny:

– A może ktoś popełnił tę zbrodnię i tak to ukartował, aby obciążyć pana Edwarda?

Odpowiedź padła natychmiast. Senior uniósł brodę i ze spartańską stanowczością oznajmił:

– Niemożliwe. Mój syn nie ma wrogów.

Ktoś zapukał.

## Rozdział 4.

Drzwi się otwarły i weszła kobieta, której wygląd całkowicie Jana zaskoczył. Ten dom skrywał w swym wnętrzu same niespodzianki. Morawski wyobrażał sobie tę mityczną panią Barbarę jako wysuszoną na wiór wiedźmę, gdyż taka osoba – jego zdaniem – nadawałaby się do kierowania domostwem Mariusza, a tymczasem stanęła przed nim atrakcyjna blondynka o wielkich błękitnych oczach. Była dużo niższa od obu mężczyzn, ani gruba, ani chuda, ot taka akurat.

Senior Poniński podszedł do niej i podprowadził w stronę gościa.

– To moja prawa ręka – na te pochlebne słowa kobieta w zakłopotaniu pochyliła głowę, po czym podniosła ją i w szybkim uśmiechu odsłoniła białe, duże zęby. Pan Adam kontynuował, patrząc na nią z sympatią: – Prowadzi wszystkie domowe sprawy. Nie wiem, jak dałbym sobie bez niej radę. To pani tego domu. Wychowywałem się z jej ojcem. Był mi niezwykle bliski – dodał, a zarekomendowana w ten sposób pani Barbara potarła kciukiem wnętrze drugiej dłoni. Komplementy Mariusza widocznie ją zawstydziły, tym bardziej że najprawdopodobniej nie zwykł nimi szafować.

Jan wyciągnął do niej rękę i nisko się uklonił.

– Bardzo mi miło. Wiele o pani słyszałem od Tadeusza Tarnowskiego.

Na brzoskwiniowej twarzy wykwitły mocne rumieńce. Nie zdążyła się jednak odezwać, gdyż głos ponownie zabrał senior:

– Zostawiam pana pod opieką Barbary.

– Będę musiał obejrzeć miejsce, gdzie to się stało – przypomniał sobie Jan.

– Oczywiście – przytaknął pan Poniński i spojrzał na swą pomocnicę, jakby przypieczętowywał tym swój akcept.

Od razu zaoponowała:

– Ale przecież prokurator zabronił komukolwiek...

Nie dał jej skończyć. Gestem Cezara uniósł dłoń, ucinając wszelkie dyskusje:

– To mój dom i ja tu rządę.

Dalszych protestów nie było. Otworzył drzwi i wypuścił przed sobą najpierw kobietę, a za nią młodego gościa. Rozstał się z nimi w bocznym salonie:

– Gdyby cokolwiek było potrzebne, proszę ze wszystkim zwracać się do Barbary.

Jan nie powążył się na jakikolwiek komentarz. Tylko skinął głową i pan Poniński ruszył w stronę przejścia do alkierza.

W chłodnym holu zobaczyli Mateusza, który, wygodnie rozparty na ławie, sącył jakiś napój. Na widok swego rozkazodawcy cały się rozpromienił:

– Pani Barbara była tak miła, że przyniosła mi tę niebiańską lemoniadę – upił jeszcze łyk i głęboko westchnął. Wstał i wskazał na stojący na stoliczku dzbanek: – Może się pan przyłączy?

Jan uniósł lewą brew:

– Ciekawe, co pani Barbara pomyśli sobie o mnie, który ci pozwalam na takie odzywki.

Roześmiali się, a najbardziej śmiała się ona. Szybko jednak przyszło otrzeźwienie, gdy przypomnieli sobie, jaka tragedia gości pod tym dachem.

Usłyszeli kroki. Z bocznego korytarza nadbiegł lokaj.

Jan nie miał kociej natury, uważał raczej, że bliższe są mu psy. Mimo to już dwukrotnie w życiu mu się zdarzyło, że spotkał kogoś, do kogo poczuł instynktowną odrazę; w takich sytuacjach twierdził, że są dla siebie jak dwa obce koty. Teraz nastąpił ten trzeci raz.

Służący miał wypomadowane ciemne włosy i małe, niepokojąco świecące oczka. Nawet jego czarna kamizelka zdawała się błyszczeć. Cały był taki... śliski.

– Pomogę państwu! – zawołał ugrzecznionym głosem. – Przyszedłem zamiast naszego biednego Jacentego, bo coś z nim ostatnio... nie tak.

Z jakimś sztucznym współczuciem pokręcił głową i nie czekając na zgodę, podniósł jedną z walizek, przy których stał Mateusz. Ruszył na górę, a sprawiał przy tym wrażenie, jakby był pozbawiony kości. Jan aż zmarszczył nos i wymienił ze swym kamerdynerem porozumiewawcze spojrzenia.

Pani Barbara tymczasem zdawała się nie podzielać wstrętu gości, gdyż spokojnie ruszyła za odrażającym lokajem. Jan sięgnął po neseser i kapelusz, Mateusz wziął sakwojaż i drugą walizkę i zaczęli wspinać się po drewnianych schodach. Na podeście zbudowano wnękę, w której stał naturalnych rozmiarów posąg kobiety. Dama ta wywarła na Mateuszu takie wrażenie, że z zapatrzenia wytrąciło go dopiero znaczące chrząknięcie Jana, który stał kilka stopni wyżej i z rozbawieniem obserwował zauroczonego przyjaciela.

Dotarli do dużego pomieszczenia na piętrze i dalej szli za panią domu. Wszędzie było przewiewnie, chłodno, elegancko. Na ścianach wisiało sporo obrazów, a jasne płaszczyzny ozdobiono prostą sztukaterią.

Nadgorliwy służący we wzorowej pozie ustawił się z boku drzwi, które otworzyła pani Barbara. Wskazała dłonią wewnątrz, zapraszając Jana do wejścia, on jednakże uklonił się przed nią. Błysnęła rumieńczykiem i weszła, a za nią kolejno Morawski, Mateusz i lokaj.

Kobieta stanęła trochę na uboczu, pozwalając gościowi obejrzeć jego lokum.

– Tutaj będzie panu chyba najwygodniej – stwierdziła. – Jest tu dodatkowy pokój i pomyślałam, że pewnie będzie pan wolał, by kamerdyner spał przy pańskiej sypialni. Oczywiście, możemy go ulokować w jednym z zapasowych pokoi dla służby, ale...

Zawiesiła głos i Jan od razu ją uspokoił:

– Tak będzie idealnie. Bardzo pani dziękuję.



Rozejrzał się zadowolony. Ściany pokrywała jasnoniebieska tapeta w jakiś drobny roślinny deseń, a na tym tle wspaniale odcinały się ciemne politurowane meble. Na podłodze z woskowanych desek leżały przy łóżku dwa niewielkie chodniki. Prawdopodobnie na czas lata usunięto z posadzek dywany, dzięki czemu w pokojach było chłodniej.

Pani Barbara tymczasem wygładziła pościel, sprawdziła, czy w karafce jest woda, upięła firanę i zabezpieczyła otwarte skrzydło okna.

Morawski tylko kątem oka zauważył jej działania, gdyż znacznie bardziej zajmowało go przyglądanie się pantomimie, jaką odgrywał duet służących. Miejscowy wprost tańczył i się wił, wszystko usiłował zabrać Mateuszowi z rąk i chciał mu za wszelką cenę pomóc w rozpakowywaniu, a Jan odnosił wrażenie, że te giętkie ręce pełzają wszędzie i jest ich z pewnością więcej niż dwie. Mateusz walczył z osaczeniem coraz bardziej histerycznie i gorączkowo: wyrywał intruzowi każdą rzecz, nie pozwalał otwierać walizek i wyglądało na to, że lada chwila rzuci się na bagaż, by go osłonić własną piersią przed dotykiem natręta.

Pani Barbara przeszła do przyległego pokoju i Jan przez uchylone drzwi widział, jak wyciągnęła z komody ręczniki i położyła je na pikowanej narzucie.

Naraz Morawski drgnął, gdyż na rękawie poczuł dotyk. Lokaj zbliżył się do niego bezszelestnie niczym wąż:

– Z przyjemnością zaopiekuję się jaśnie panem – irytująco akcentował szemrzące głoski „ś” i „sz”. – Mam do tego właściwe kwalifikacje – w tym miejscu sięgnął po neseser, który Jan kurczowo ścisnął w dłoni – gdyż zawsze zajmowałem się młodym panem Adamem. Można powiedzieć, że byłem jego osobistym kamerdynerem.

Gość odniósł wrażenie, że naprawdę ma do czynienia z gadem. Na szczęście wróciła pani Barbara.

– Myślę, że wszystko jest gotowe – oznajmiła. – Za pół godziny podamy lekki posiłek, o ile to panu odpowiada. Będzie panu towarzyszył przyjaciel pana Adama.

– To pan Tercjusz, prawda? – spytał Jan z uśmiechem. – Z przyjemnością go poznam.

W tym momencie włączył się lokaj:

– W takim razie pędzę na dół, aby dopilnować wszystkiego w jadalni, bo nasz biedny Jacenty jeszcze coś pomyli... – Morawski poczuł wielką ulgę, lecz nadzieja zgasła prawie natychmiast, gdyż służący zapewnił: – Ale wróć tu i odeskortuję jaśnie pana do stołu.

– Doskonale, Sewerynie – propozycję w imieniu gościa przyjęła pani Barbara.

Wąż po wielu wymyślnych ukłonach wyszedł, Jan odetchnął, a Mateusz nareszcie puścił obie walizki.

Pani domu prawdopodobnie wróciłyby do swoich obowiązków, gdyby Morawski jej nie zatrzymał:

– Wiem, że nie jest to może najlepszy moment, ale czy znalazłaby pani dla mnie chwilę? Chciałbym zadać pani tylko kilka pytań.

– Oczywiście – uśmiechnęła się.

Jan wskazał dwa fotele stojące przy otwartym oknie. Usiedli i od razu spytał o jej wrażenia z feralnego wieczoru.

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć. Widzi pan, ja nie brałam udziału w kolacji – a widząc zdumione spojrzenie Jana wyjaśniła: – Zazwyczaj jadam razem z rodziną, ale to była wyjątkowa sytuacja. Pogrzeb, żałoba. Uznałam, że powinni zostać wyłącznie najbliżsi krewni. Weszłam tam tylko raz. Pan Tercjusz też bardzo wcześnie odszedł do siebie. Wkrótce potem pan Adam przeniósł się do swego gabinetu. Myślę, że szybko położył się spać.

– A gdzie jest jego sypialnia?

– To takie małe pomieszczenie przy gabinecie. Możliwe, że widział pan w głębi drzwi. Przeprowadził się tam po śmierci żony.

– I młodzi zostali sami?

– Tak. Ale też niezbyt długo. Po kilku minutach minęłam się z Adamem w holu. Wychodził z jadalni i szedł do siebie, a...

W tym miejscu Jan jej przerwał:

– Czy wyglądał na wzburzonego? Rozgniewanego?

– Nie, raczej nie. Ale nie przyglądałam mu się uważnie. Edward został przy stole. Tego jestem pewna, bo widziałam go przez uchylone drzwi.

– Czyli Adam był w swoim pokoju, a Edward w jadalni.

– Tak. Później ktoś widział, jak Edward idzie w stronę tamtego alkierza, gdzie mieszczą się pokoje Adama, a następnie Seweryn słyszał dobiegające stamtąd krzyki. Ale zaczynała się burza, grzmiało, błyskało, więc mieliśmy inne sprawy na głowie. Służący w takich sytuacjach zwykle wpadają w panikę.

Jan okazał zrozumienie:

– Tak, pamiętam, że w domu mojej babki wybuchł w czasie burzy pożar, ale nie po uderzeniu pioruna, lecz przez to, że służące ze strachu przewróciły świece i stopy zajęły się ogniem.

Kobieta z powagą pokiwała głową. Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko pogwizdywaniem Mateusza, rozpakowującego ubrania Jana.

– Pan Poniński wspominał – podjął Morawski – że to pani pierwsza przybiegła, słysząc alarm pokojówki.

– Nie przyjrzałam się dokładnie leżącemu i wprowadziłam pana Adama w błąd. Co za okropna pomyłka... – wyszeptała.

– A jakie jest pani zdanie o tej całej sprawie?

– Nie wiem, kto mógłby...

– Ktoś ze służby?

– Niemożliwe – odpowiedziała zdecydowanym głosem. – Cały czas wszyscy byli razem. Już to rozważałam i jestem pewna, że nikt ani na chwilę nie wyszedł ze wspólnej

sali. Tylko Jacenty zszedł do piwnicy po dodatkowe świece, ale prowadzą tam jedne schody i cały czas je widzieliśmy.

Gość odnotował tę liczbę mnogą, gdyż pani Barbara, używając jej, zapewniała alibi nie tylko służącemu, ale też samej sobie.

– A pan Tercjusz? Mieszka na piętrze?

– Zajmuje mały pokój na parterze.

Jak dotąd niczym nie zdradziła, że cokolwiek wie o prawdziwym charakterze młodego Ponińskiego.

Jan nadal próbował coś z niej wyciągnąć:

– Słyszałem, że młody pan Adam spędzał większość czasu poza domem.

– Tak, przebywał głównie w Poznaniu i Berlinie.

– Czy słyszała pani, aby miał wrogów?

– Nie. Oczywiście mógł mieć wśród znajomych jakichś nieżyczliwych czy zazdrośników. Wie pan, jacy są ludzie. Choć ja osobiście nie rozumiem, jak można komuś zazdrościć powodzenia, szczęścia czy majątku.

– A może senior komuś się naraził i to wywołało pragnienie zemsty? Jacyś zwolnieni pracownicy? Służący?

– Ależ skąd! Pan Poniński to wzór sprawiedliwości. Jest dla swoich pracowników niczym ojciec rodziny.

Ojciec rodziny, czyli *pater familias*.

Zasłony pchnięte podmuchem zafalowały i musnęły twarz Jana. Pachniały wiatrem i świeżością. Pod wpływem tego wrażenia jego niechęć do całej tej historii jeszcze się nasiliła.

Ku jego zdumieniu pani Barbara przypomniała sobie jednak coś konkretnego:

– Straciliśmy ostatnio pokojówkę, ale to tylko tymczasowo – Jan wlepił w nią spojrzenie. – Miała kilka tygodni temu ciężkie przeżycie i pan Adam zdecydował, że powinna spędzić jakiś czas u matki.

– Ciężkie przeżycie?

– Tak.

Zapadła cisza i przez moment się wydawało, że nie padnie żadne słowo więcej. Mimo wszystko wyjaśnienie nastąpiło:

– Była świadkiem tragicznie zakończonych narodzin. Trochę to nią wstrząsnęło.

Morawski przypomniał sobie, że niedawno właśnie przy porodzie zmarła młoda pani Ponińska i to pewnie wtedy straciła równowagę pokojówka, teraz wysłana na odpoczynek. Podobała mu się ta niezwykajna troskliwość pracodawcy.

Zaryzykował jeszcze jedną prowokację:

– Słyszałem, nie pamiętam od kogo, że odeszła stąd guwernantka.

Czujny Mateusz natychmiast przestał gwizdać i lekko zwrócił się w stronę pani Barbary, nie przestając układać bielizny w komodzie. A kobieta odpowiedziała krótko:

– Tak, zdecydowała się odejść – i potarła kciukiem wewnątrz drugiej dłoni.

Jan znał ją od pół godziny, ale już potrafił zinterpretować ten odruch.

Milczała, kierowana lojalnością wobec rodziny. Morawski postanowił przy okazji ustalić, w czym tkwiło źródło tego przywiązania do seniora. Czuł pewność, że ona wie o Adamie juniorze – być może nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

Nie chciał zdradzać się ze swoją wiedzą, bo mógł powołać się tylko na pogłoski, które, niezależnie od tego, z jakich pochodziły ust, miały w sobie zawsze coś niskiego i odstręczającego. Musiał sprawić, by ktoś z domowników złamał tabu.

Patrzył na panią Barbarę i doszedł do wniosku, że sama nic nie powie. Trzeba rozbić tę skorupę z innej strony. Znaleźć kogoś, kto będzie miał odwagę zakrzyknąć, że cesarz jest nagi. Wtedy odezwie się cały chór.

Kobieta wstała i Jan również się podniósł:

– Bardzo dziękuję. Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Latem w gospodarstwie obowiązków nie brakuje.

Słońce rozjaśniło jej luźno spięte włosy. Musiał przyznać, że wyglądała bardzo ładnie, mimo tej czarnej bluzki i takiej samej spódnicy. Chyba jej młodzieńczy wygląd podsunął mu kolejny pomysł:

– Nie chciałem wypytywać pana Ponińskiego, ale z pewnością wie pani więcej od niego o sprawach braci, jest pani przecież bliska im wiekiem.

Pochyliła głowę i prawie zalotnie spojrzała na niego z ukosa. Mateusz, któremu nic nie dolegało, wydał z siebie delikatne kaszlnięcie, irytując tym Morawskiego. Jan ocenił jej wiek na czterdzieści lat. Adam był chyba w jego wieku, więc różnica między nią a zmarłym wynosiła dziesięć lat. Zatem nie kłamał. Była bliska wiekiem juniorowi.

Widząc jej rozpromienienie, gość nie ustępował:

– Wszyscy państwo twierdzą, że pan Edward nie zabił brata – skinęła głową. – Ale czy w ogóle mógł mieć motyw?

Zawahała się, splotła dłonie i potarła je. Jan zamarł, ale kobieta nie odsłoniła kart. Odpowiedziała wykrętnie:

– Pan Poniński jest pewien, że Edward tego nie zrobił.

– Bratobójstwa się zdarzają.

– Tak, wiem – podeszła do drzwi. – Od początku świata. Byli przecież Abel i Kain.

Uśmiechnęła się bezradośnie i wyszła.

## Rozdział 5.

Obiad miał swoją cenę, a było nią towarzystwo Seweryna na trasie do jadalni. Jan nabrał powietrza i opuścił bezpieczny azyl swojej sypialni, odprowadzany współczującym spojrzeniem Mateusza.

Lokaj nieruchomo tkwił na posterunku tak blisko drzwi pokoju gościnnego, że podejrzenie o podsłuchiwanie samo przychodziło na myśl.

– Jaśnie pan zechce podążyć za mną.

Morawski nie odpowiedział, tylko ruszył za służącym, który po drodze fuknął na jakiegoś chłopaka, niosącego wielki dzban z wodą:

– Z drogi!

Janowi udało się nie dzielić aroganta w oślizgłą czaszkę, ale swobodnie poczuł się dopiero w chwili, gdy znalazł się w jadalni, a lokaj zamknął za nim drzwi. Z drugiej strony.

W środku zobaczył pana Ponińskiego w towarzystwie innego mężczyzny, którego pulchniutka figura ostro kontrastowała ze szczupłością gospodarza.

– Panie Janie – odezwał się senior – oto mój przyjaciel, Tercjusz Drojewski – dobrotliwe spojrzenie jasnych oczu, spoglądających sponad okrągłych okularków, spoczęło na gościu, który odniósł jakieś niejasne wrażenie *déjà vu*. – Tercjuszu, tak jak ci mówiłem, pan Jan przyjechał, by pomóc nam rozwikłać tę... niezrozumiałą historię. Udziel mu każdej informacji, o którą poprosi.

– Oczywiście, Adamie. Wiesz, że możesz na mnie liczyć – głos puszystego pana o wykwintnym imieniu był cichy i bardzo miły dla ucha.

– Tak. Wiem. Zresztą już dałeś dowód przytomności umysłu – pan Poniński zwrócił się teraz do Jana: – To Tercjusz zabronił czegokolwiek ruszać, zamknął pokój i pojechał do prokuratora.

Pochwalony w ten sposób mężczyzna najpierw spiekł raka, a później wypiął dumnie brzuch – piersi wypiąć nie zdołał – założył kciuki za wycięcia jasnej kamizelki i wyjaśnił:

– Praktycyzm nie należy do moich cnót, ale, widzi pan, po tylu latach spędzonych w Anglii, gdzie narodziły się historie kryminalne, po prostu wiedziałem, co robić.

Jan się zaśmiał, ale zanim zdołał odpowiedzieć, senior krótko uciął te żarty:

– Niestety, muszę was opuścić. Przepraszam, że nie będę panom towarzyszył, zwłaszcza przy tym pierwszym posiłku, ale obowiązki mnie wzywają. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi – młody człowiek odpowiedział zgodnie z oczekiwaniem. – Ja też przyjechałem do pracy.

Pan Poniński tylko skinął głową i wyszedł. Miły dżentelmen, do którego Jan czuł od pierwszej chwili instynktowną sympatię, wskazał gościowi miejsce przy stole, który nakryto dla trzech osób.

Naczynia i sztucce rozłożono tylko na jednym końcu, pozostała część blatu lśniła nieskazitelną politurą.

Jan usiadł i rozejrzał się po pokoju, w duchu gratulując temu, kto wpadł na pomysł, by ściany pomalować na słoneczny, żółty kolor, który stanowił doskonale tło dla kolekcji błękitno-białej porcelany, a także mahoniowych krzeseł o oparciach w kształcie tarczy.

Pan Tercjusz zasiadł u szczytu stołu, ale nikt nie nadchodził, więc Morawski spytał:

– Pani Barbara nie zje z nami?

– W ciągu dnia biega, a poza tym nie chce siadać do stołu w jadalni, gdy w domu są obcy – i jakby wyczuwając własną niezręczność, pospiesznie dodał: – Proszę mi wybaczyć to sformułowanie.

W tym momencie usłyszeli kroki na korytarzu.

– To trzecie miejsce jest dla kogoś innego – wyjaśnił rezydent. – Zaraz dołączy do nas pewna młoda dama.

Otwarto drzwi. I weszła ona. Słodkie oczy w kształcie ćwiartek pomarańczy, o mocno opadających kącikach, lśniące niczym czekoladowa polewa włosy splecione w koronę, z której nad czołem wymykały się króciutkie kosmyki, zdrowo opalona karnacja kogoś, kto mnóstwo czasu spędza na świeżym powietrzu, czarujące rumieńczyki zaambarasowanej panny. Jan poczuł, że skradziono mu serce. Była po prostu urocza. A do tego wszystkiego miała około metra wzrostu i liczyła sobie mniej więcej cztery lata.

Natychmiast wstał. Przydrobiła do stołu, dygnęła przed Janem, ale nie tak jak dorosłe kobiety, lecz niczym baletnica: wierzch stópki ustawiła na podłodze i szybko zgięła nogi, rozpościerając fałdy lekkiej sukienki. Jan z powagą się uklonił, a Tercjusz dokonał prezentacji:

– Pan Jan Morawski. Panna Natalia Ponińska, wnuczka naszego gospodarza.

Gdy dopełniono formalności, do jadalni wszedł miły, płowowłosy lokaj – na szczęście dla Jana nie był to Seweryn – niosąc kilka poduszek. Ułożył je na krześle, a na nich umieścił dziewczynkę tak troskliwie, jakby była insygniami władzy podczas koronacji.

Jan usiadł, a zanim zdążył rozłożyć serwetkę, pojawił się ten sam lokaj w towarzystwie pokojówki. Służący postawili na stole przyniesione naczynia i wyszli. Tercjusz poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Proszę wybaczyć, że obywamy się przy obiedzie bez obsługi, ale już kilka lat temu Adam uznał, że wszyscy zasługują na chwilę spokoju w ciągu dnia. Służący jedzą obiad równocześnie z nami.

– Całkowicie się zgadzam z panem Ponińskim. To wspaniałe podejście.

Uspokojony zastępca pana domu zwrócił się do przedstawicielki płci pięknej:

– Może trochę zupki? – proponował, unosząc pokrywę. – Pełno tu różnych

kolorowych rzeczy. Tak jak lubisz.

Zademonstrował zawartość wazy, ale dziewczynka nie wyglądała na przekonaną. Sprytny Tercjusz spróbował rozwiązać problem czymś kosztem:

– Na pewno pan Jan zje.

Szczęśliwie Morawski spędził niejedne wakacje w towarzystwie Konstancji i znał na pamięć wszystkie metody postępowania z niejadkiem.

– Z przyjemnością. Przepadam za taką zupą – tu akurat mówił prawdę.

Wziął talerz i szczerze sobie nałożył rzeczywiście bardzo kolorowej zupy *à la* Julienne. Spojrzał pytająco na dziewczynkę, która z ociąganiem wyraziła zgodę. Napełnił jej talerz i czekał na reakcję. Spróbowała troszeczkę:

– Niedobra. Niesłodka.

– Daj. Pocukruję – Tercjusz od razu znalazł remedium. Sypnął do zupy cukru wprost z cukiernicy i zamieszał.

– A poza tym ślicznie się nazywa. Żulienka – zachęcał Jan.

To zadziało, bo mała zaczęła jeść. Morawski wskazał wazę Tercjuszowi, ale ten odmówił. Rzucił okiem, sprawdzając, czy dziewczynka jest zajęta, i zwierzył się konspiracyjnym szeptem:

– Wyznam panu, że nie znoszę tego całego zielska. Nie ma jak porządny stek.

Uniósł platerową pokrywę i odsłonił zawartość jednego z półmisków: kilka grubych na trzy, cztery centymetry plastrów polędwicy. Nałożył od razu dwa i polał ciemnym sosem. Następnie sięgnął po karafkę z czerwonym winem i nalał najpierw gościowi, a później sobie.

Przez chwilę w jadalni panowało milczenie. Jan kończył jeść zupę i przyglądał się swojej partnerce z *vis-à-vis*, która wybierała z talerza co ciekawsze warzywa, trzymając przy tym łyżkę niczym pałeczkę bębena.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko jej obecności – zaniepokoił się Tercjusz.

– W żadnym razie. Uważam, że błędem jest izolowanie dzieci od dorosłych.

Jan nałożył sobie kawałek mięsa i polał sosem pachnącym whisky.

– Najpierw je separujemy – dodał – zwłaszcza dziewczęta, a w wieku osiemnastu lat rzucamy na pożarcie towarzystwu, oczekując doskonałego obycia i wykwintnego zachowania.

Tercjusz pokiwał głową i oznajmił:

– Teraz ja zajmuję się jej edukacją. Głównie gastronomiczną.

Jan drgnął; towarzysz niejako sam poruszył temat prześladowanej bony. Czym prędzej zagał:

– A guwernantka?

Przez chwilę panowała taka cisza, że słyhać było tylko śpiew ptaków za oknem.

Tercjusz dolał do kieliszków bordo, ale nic nie mówił. Niespodziewanie odezwała się Natalia:

– Missa sobie pojechała.

– Właśnie – podchwycił Tercjusz. – Była missa, ale sobie pojechała.

Jan spojrzał na mówiącego. I wtedy się okazało, że dobroduszości pana Drojewskiego towarzyszy przenikliwość.

– Nie będę mówił o sprawie, która jest celem pańskiej wizyty, bo to by nam popsuło apetyt.

A zatem wiedział o tej opiekunce. I nie zawahał się poczęstować gościa prztyczkiem, dając mu do zrozumienia, że powinien wrócić na tory towarzyskiej pogawędki. Jan ukroił kawałek steku, który okazał się dokładnie taki, jak lubił. *À point*. Z zewnątrz wysmażony, w środku różowy.

Pomny udzielonej lekcji spytał:

– Czy zna pan pana Ponińskiego od dawna?

– Tak. Od 1859 roku. Poznaliśmy się w Oksfordzie. Połączyła nas fascynacja filologią klasyczną i historią. To było wkrótce po tym, jak uniwersytet otwarto dla studentów spoza Kościoła anglikańskiego. Gdy w 1861 wybuchła wojna domowa w Ameryce, Adam, który zawsze wykazywał się duchem bojowym, bardzo chciał tam pojechać, ale jego ojciec był temu przeciwny i wstrzymał dopływ środków. Nie pierwszy raz zresztą. Adam jako gimnazjalista nie wziął udziału w Wiośnie Ludów, bo tuż przedtem ojciec podstępem odesłał go z kraju.

Tercjusz pokiwał głową i dołożył sobie jeszcze jeden kawałek polędwicy wielkości męskiej dłoni.

– Ja miałem pieniądze i pożyczyłem Adamowi. Popłynął i przyłączył się do wojsk Unii. Walczył i został ciężko ranny pod Fredericksburgiem. Leżał unieruchomiony i nie dotarł na powstanie, które wybuchło w styczniu 1863. Może to i lepiej, bo pewnie skonfiskowano by pałac i byśmy tu nie siedzieli.

Pan Drojewski dzielnie walczył z mięsem, natomiast Jan nakładał sobie zieloną fasolkę ze zrumienioną bułeczką, próbując w myśli oszacować wiek obu panów.

– A potem? – spytał.

– A potem ja straciłem majątek. A raczej przejadłem – pan Tercjusz spojrzał filuternie znad okularów i Morawski uświadomił sobie, z kim mu się ten jegomość kojarzy. – Nigdy nie popełniłem ani jednego dobrego interesu i nie pomogły mi w tym nawet te lata spędzone w ojczyźnie sklepikarzy.

Zaśmiał się, ale bez goryczy, i Jan poczuł, że coraz bardziej go lubi. Pogodzony ze światem Tercjusz dolał sobie wina i kontynuował:

– Powiem panu, że wykształcenie klasyczne jest niewiele warte. Gdy się okazało, że moja szkatuła świeci pustkami, chciałem założyć jakiś kantor, czy coś takiego... przecież Cegielskiemu się powiodło, a on też filolog... ale chyba jakiś inny. Ja w każdym razie nie tylko nie potrafiłem powiększyć stanu posiadania, ale nawet go utrzymać.



– Montaigne twierdził, że pilnowanie pieniędzy jest bardziej kłopotliwe niż ich zdobywanie.

– Święta prawda – rezydent pokiwał głową z aprobatą. – Proszę wybaczyć to pytanie, ale pan chyba nie ma takich kłopotów.

– Powiem tak: nie zarabiam, ale jestem tak zajęty, że nie mam czasu tracić majątku.

– Gratuluję i zazdroszczę. Ale wracam do mojej opowieści. Gdy ja zmagalem się z własnym niedołęstwem, Adam dotarł do kraju, odziedziczył posiadłość, ożenił się, a w międzyczasie mnie szukał. Odnalazł mnie w 1885 roku w pewnym tanim pensjonacie i tu przywiózł. Chciał mi zwrócić pieniądze, które mu pożyczyłem na tę amerykańską eskapadę, ale wolałem, aby nie dawał mi gotówki do ręki. I tak oto tu zostałem, a na chleb zarabiam, porządkując rodzinne archiwum.

Nie wyglądało na to, aby ten człowiek musiał zarabiać na chleb, natomiast z pewnością na mięso i wino. Jan wskazał mu warzywa, ale tamten odmówił takim gestem, jakby mu proponowano truciznę.

– I zostanę tu, aż mnie święty Piotr odwoła do siebie – zakończył.

– I co się wtedy stanie? – włączyła się zniecka Natalia.

– Pójdę do Bozi.

Przez chwilę wpatrywała się z namysłem w swego opiekuna.

– A czy pieski też idą do Bozi?

– Jeśli są grzeczne.

– To mój nie pójdzie, bo był niegrzeczny i ukradł kaszkę.

Jan przysłuchiwał się temu jednym uchem, gdyż na widok dziewczynki zaczął się zastanawiać, jakie są warunki statutu ordynacji. Wiedział z doświadczenia, że zazwyczaj kobiety były wyłączone z praw dziedziczenia i w razie braku męskich potomków, majątek przechodził na krewnych z bocznej linii. Niestety, w toku tych rozmyślań zapomniał o tymczasowych ślubach milczenia i pytanie mimowolnie mu się wymknęło:

– Kto jest w tej chwili spadkobiercą?

Tercjusz wyciągnął zza kołnierza serwetkę, wytarł usta i zapatrzył się w Jana. Chyba też nie wiedział. Natalia debatowała nad psim niebem.

– Ale on już dostał karę za to, że ukradł, bo umarł. Na pewno pójdzie do nieba!

Drojewski natomiast kilka razy kiwnął głową i zdecydował:

– No ja myślę, że Gustaw?

– Gustaw? Jaki Gustaw? – Jan aż zmarszczył czoło.

– No, trzeci syn Adama, oczywiście. Najmłodszy.

\*\*\*

Ktoś otworzył drzwi. Ktoś wszedł. Ktoś coś powiedział.

Jan dopiero po chwili oprzytomniał na tyle, że zdał sobie sprawę z obecności w jadalni

pani Barbary, która sarkana na Tercjusza, wyrzucając mu, że dziewczynka nie tknęła mięsa. Oskarżony mętnie się bronił:

– I Natalia, i pan Jan zjedli za to po talerzu zupy.

Kobieta pokręciła głową i udało jej się przywołać minę wyrażającą naganę, ale było widać, że łączy ją z Tercjuszem prawdziwa sympatia. Spytała dziewczynkę:

– Skończyłaś?

Mała przytaknęła, zsunęła się z piramidy poduszek i pobiegła w stronę drzwi. Wyszły, a pan Drojewski upił kilka łyków wina, jakby po tym starciu potrzebował wzmocnienia.

Dopiero wtedy zauważył, że gość siedzi jak skamieniały.

– Ma pan dziwną minę. Nie smakowało panu?

– Nie wiedziałem o trzecim synu.

– Jak to pan nie wiedział?

– Tadeusz wspominał tylko o dwójce. Tak samo pan Poniński.

Tercjusz nie odpowiedział od razu. Dopił wino, wytarł usta i wyznał:

– To trochę grząski grunt. Powiedziałbym, że trudna miłość między ojcem a synem. Gustaw jako młody człowiek pokłócił się z Adamem, wyjechał i od tej pory go nie widzieliśmy.

– I nic o nim nie wiadomo?

– Chyba Edward utrzymywał z nim kontakt. Byli sobie bardzo bliscy.

– A z Adamem juniorem?

Tercjusz komicznie zmarszczył nos:

– Szczerze się nie znosili.

Sięgnął po karafkę i chciał Janowi dolać, ale ten odmówił i z zatroskaną miną wpatrywał się w tego mężczyznę, który chyba nigdy nie tracił pogody ducha.

– Proszę przyjąć ode mnie radę, młody człowieku, i nigdy nie martwić się przy jedzeniu. Co pana trapi?

– Zmowa milczenia.

– A zatem wie pan? – pan Drojewski, grając na zwłokę, sięgnął po nóż, zebrał nim sos, wytarł o łyżkę i zjadł. I spojrzał, ale jakoś smutno: – Czuję niejaki opór przed wprowadzaniem pana w tę sprawę. Ale z drugiej strony chciałbym, żeby to wszystko zostało raz wreszcie powiedziane na głos. I wyjaśnione. I żeby udało się panu znaleźć winnego – najlepiej nie Edwarda.

– Jeśli nic mi pan nie powie, będzie mi trudno dowiedzieć się czegokolwiek. Cała moja nadzieja w panu.

Tajemne zaklęcie: „Ty jesteś moją ostatnią nadzieją” zadziało i tym razem. Tercjusz spytał:

– Skończyłem już, a pan? – Jan przytaknął i tamten wstał: – Chodźmy zatem. Do komnaty Sinobrodego.

## Rozdział 6.

Chwilę czekali w holu, aż jasnowłosey lokaj sprowadzi Mateusza, na którego obecności bardzo Janowi zależało. Przyszedł, ale nie wyglądał na zachwyconego, można było zatem przyjąć, że brutalnie oderwano go od stołu.

Przez boczny salonik weszli do niewielkiego korytarza, usytuowanego w północnym alkierzu. Było tam kilka par drzwi, z których jedne, w tej chwili otwarte, prowadziły do ogrodu. Morawski od razu zwrócił na to uwagę:

– Czy zdarzało się, że zmarły przyjmował gości bez wiedzy pozostałych domowników?

– Tak. Chyba właśnie dlatego tu się ulokował. W czasach szkolnych i jako młody małżonek mieszkał w pałacu, ale potem uparł się, aby przenieść się do tego pawilonu.

Tercjusz zabrał z pomocnika lampę, zapalił ją i wprowadził gości na scenę zbrodni.

Początkowo niewiele zobaczyli. W pomieszczeniu panował półmrok, a wrażenie ciemności było tym intensywniejsze, że wchodzili z rozświetlonych lipcowym słońcem wnętrz. Ich przewodnik ustawił lampę na biurku i dopiero wtedy do pokoju wszedł Jan, a tuż za nim Mateusz. Duszno, przygnębiająco, nieprzyjemnie. I ten zapach – taki słodko-dymny.

Tercjusz wskazał miejsce między kanapą a biurkiem:

– Tu leżał. Te rzeczy są tak, jak je zastaliśmy. Chyba strącił je, upadając.

Na tyle, na ile przy jego tuszy było to możliwe, pan Drojewski postarał się odtworzyć pozę, w jakiej znaleziono młodego Ponińskiego: na boku, wzdłuż biurka, z podgiętą nogą, na której spoczywał. Faktycznie, tuż przy meblu leżały przemieszane szklaneczka, lampa, kałamarz, suszka, dwie fotografie w ramkach.

Jan od razu się zainteresował:

– Robiono zdjęcia?

– Szalał tu jakiś magik wyposażony w aparaturę i ważną minę, ale nie wiem, czy fotografował.

– A udało im się ustalić godzinę śmierci?

– Stwierdzili, że to było około północy. Nie mogliśmy im w tym pomóc, bo tamtej nocy szalała burza i przez prawie trzy godziny grzmoty i deszcz zagłuszały inne odgłosy.

Morawski rozejrzał się dookoła. Tuż przy wejściu stał niewielki stół bilardowy, na którym porzucono kule i dwa kije. W głębi po jednej stronie ustawiono dwie przeszklone biblioteczki, których zawartość była wprost wzorowa: kodeksy, biografie wszystkich wielkich świata starożytnego, Monteskiusz, historia Stanów Zjednoczonych i rewolucji francuskiej, *The History of the Decline and Fall of the Roman Empire* Gibbona.

Kątem oka Jan zauważył, że Mateusz bada zamek przy drzwiach i futrynę.

W przeciwieństwie do przyjemnego chłodu panującego w budynku głównym, tutaj wyczuwało się zdecydowanie gęste powietrze, choć prawdopodobnie temperatura nie była dużo wyższa. Morawski zdjął marynarkę, odłożył ją na oparcie fotela i usłyszał radosny głos Tercjusza:

– Czytasz w moich myślach, młody człowieku! – zawołał, po czym wy dobył wszystkie swe liczne krągłości z lekko przyciasnego żakietu. Wygodnie rozłokował się na skórzanej kanapie, wygładził poprzecierane oparcia i przyglądał się poczynaniom gości.

Jan przypomniał mu:

– Obiecał pan, że coś mi o nim opowie – zagadnięty zaczął się niespokojnie kręcić, więc Morawski dodał: – Zazwyczaj w charakterze ofiary tkwi informacja o zabójcy. To by mi pomogło.

– Proszę mnie zrozumieć, to takie krępujące. To tak, jakbym miał oczerniać kogoś, kto nie może się bronić. I do tego syna mojego przyjaciela i dobroczyńcy... Ale powiem panu, co wymyśliłem. Obejrzy pan sobie jego siedzibę, wywnioskuj to i owo, a ja panu udzielę dodatkowych wyjaśnień. Może być?

– Sprytne.

– Prawda? Mów mi Ulisses, młodzieńcze – i mrugnął tak, że nie powstydziliby się tego sam imć pan Zagłoba.

Jan, kręcąc z rozbawieniem głową, podszedł do jednej z dwóch szafek stojących naprzeciw biblioteczek. Pod nogami chrupało mu zasuszone na dywanie błoto, które miejscami układało się jeszcze w ślady butów. Tercjusz minimalnie się uniósł i gorączkowo przeszukiwał kieszeń kamizelki.

– Te dwie są zamknięte. Tu mam klucze.

Morawski wziął je i otworzył pierwszą szafkę. Wyciągnął z niej mnóstwo szpargałów i kilka książek.

– To już nie wygląda tak pięknie – mruknął. – Huysmans. *Dorian Grey*. Prawdziwy był z niego doktor Jekyll i pan Hyde. Ale dobry doktor tylko dla ojca.

Schował kontrowersyjne dzieła i wy dobył dwie lakierowane teczki. W pierwszej znalazł plik rysunków, w których od razu rozpoznał dzieła osławionego Féliciena Ropsa. Otworzył drugą:

– Są i zdjęcia.

Dołączył do niego Mateusz i Jan pokazał mu swe znalezisko. Kamerdyner zmarszczył nos i aż się wstrząsnął:

– Przecież ona nie ma więcej niż dziesięć lat.

Służący ze wstrętem upchnął zdjęcia w teczkę i odszedł w stronę kotar. Lekko odsunął jedną z nich, wzbijając tym chmurę kurzu. Pomiedzy kolejnymi kichnięciami Tercjusz wydukał:

– Nie pozwa... lał nikomu... tu wchodzić. Gdy go... nie było.

– Często przyjeżdżał?

– Ostatnio był tu chyba podczas Wielkanocy. Potem przyjechał dopiero po śmierci żony. Prawie stąd wtedy nie wychodził.

Mateusz poruszał gałkami okiennymi, po czym rozejrzał się po pokoju, po raz pierwszy widocznym w dziennym świetle. Te wesołe promienie jakoś tam nie pasowały. Zasłonił okno.

Jan otworzył drugą szafkę, wyciągnął jakieś kartki i przerzucając je, odezwał się do Tercjusza:

– Wie pan co? Nie bawmy się w kotka i myszkę. Szkoda naszego czasu. Ja wiem i widzę, że pan też wie. Porównajmy to, co nam wiadomo.

– Doskonale. Pan zaczyna?

– Wiem, że był narkomanem. Że jego moralność pozostawiała bardzo wiele do życzenia, ale ojciec był w niego zapatrzony i uznawał go za wcielony ideał, za swego dziedzica, spadkobiercę. Słyszałem też o okrucieństwie zmarłego wobec żony, o jakiejś krzywdzie wyrządzonej guwernantce. To była Angielka, która kilka czy kilkanaście tygodni temu stąd uciekła.

– Jest pan naprawdę nieźle poinformowany.

– Wiem też, że nawet nie skończył studiów, ale mimo to przed ojcem udawał, że prowadzi kancelarię adwokacką.

– Tak, czasami, gdy roztaczał przed nami wizje swoich przyszłych sukcesów w Kole Polskim... – Tercjusz przerwał, gdy zorientował się, że Jana pochłonęły trzymane w ręku kartki. – Jakież ciekawe dokumenty?

– Skrypty dłużne, weksle, kalkulacje wartości majątku ojca i świadectwo lekarskie oceniające stan zdrowia pana Ponińskiego...

Mateusz przerwał rozbieranie popiołu w kominku i podszedł do czytającego.

– Liczył na śmierć ojca? – spytał.

– Tak, w prawie angielskim to się nazywa *post-obit*. Zaciąganie długów na poczet spodziewanego spadku.

– Co za podlec!

Tercjusz zerwał się i do nich przyłączył.

– Niemożliwe!

Jan podał mu znalezione kartki.

– A jednak.

– Ale przecież poza pieniędzmi od ojca dysponował ogromnym majątkiem żony.

– Z tamtym chyba się uporał – mruknął Morawski, wręczając poczciwcowi listy od wierzycieli i dokumenty sprzedaży posiadłości wniesionych w posagu przez młodą Lili.

– Jest gorzej, niż myślałem – biedny pan Drojewski w jednej dłoni trzymał

obciążające skrypty, a drugą wzburzył liche kępki włosów z tyłu głowy.

Mateusz podszedł do biurka, otworzył środkową szufladę i wyciągnął z niej kartkę. Zaczął czytać, po czym podał Janowi z komentarzem:

– Była na samym wierzchu. Chyba to pisał, gdy wszedł brat.

Morawski przeczytał i skomentował:

– List z zapewnieniem, że już niedługo wszystko spłaci, bo „przecież stary nie będzie żył wiecznie”. Niestety, nie ma nagłówka, więc nie wiemy, do kogo to pisał.

Tercjusz usiadł z powrotem na kanapie i sięgnął po karafkę z bursztynowym płynem, stojącą na stole tuż obok pełnej popielnicy. Nalał sobie trunku do niewielkiej szklanki i jednym łykiem wypił.

Powąchał i mruknął:

– A ja się zastanawiałem, gdzie zniknęła moja ukochana glenmorangie – dolał sobie i wyznał z zadumą w głosie: – Był nadzieją Adama. Jego dumą. Wiedziałem, że nie jest taki, jaki się prezentuje, ale myślałem, że kocha ojca. Wiedziałem o narkotykach. I o tym, że nie skończył studiów.

– Jak to możliwe, że pan wiedział, a jego ojciec nie?

– Przecież poznał pan Adama. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć mu tego wprost. A ja trochę widziałem, trochę się domyśliłem z napomknien lekarza, poza tym czasami jeżdżę do Poznania na spotkania z rodzinnym prawnikiem. Ale cały czas uważałem, że junior jest po prostu słaby. Jak wielu z nas. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest zły. Aż tak zły... – tu się zatrzymał, po czym dodał: – Choć wiedziałem przecież, że krzywdził Lili.

– Spędzali z sobą dużo czasu? – spytał Jan.

– Prawie wcale. Trochę więcej na początku – przez chwilę milczał, po czym wyznał z pewnym zakłopotaniem: – Nie wiem, co się zdarzyło w czasie podróży poślubnej, ale wróciła zupełnie inna. Taka... przerażona.

Jan tymczasem usiadł w fotelu przy biurku i zaczął myszkować w szafkach. W prawej znalazł butelki po whisky, w lewej skórzane pudełka: w jednym metalowe strzykawki, osobno igły i sznurek z gumy indyjskiej, drugie było puste, aczkolwiek sądząc po zarysie odcisniętym w granatowej satynie, przechowywano w nim dwie buteleczki. W kolejnym pojemniku były pakiety z proszkiem, fajka o dziwnym kształcie, jakieś pachnące liście, szklane rurki. Mateusz zainteresował się fajką:

– Wygląda na jedno z tych ustrojstw, które widzieliśmy w Chinach.

– Alkohol i opium – skomentował Morawski – ulubione lekarstwa na nudę.

Kamerdyner ruszył w stronę przyległego pokoiku, pełniącego najwyraźniej funkcję sypialni, a Tercjusz przeglądał dokumenty i mruczał coś pod nosem. Jan, przeszukujący kieszenie wiszące na oparciu fotela marynarki, rzucił w jego stronę:

– Ciekawe, że pan Edward nie chce zeznawać.

– Nie wierzę, by mógł być winny. To najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam.

Jan oglądał znaną w kieszeni biżuterię: naszyjnik z szafirami, kolczyki do kompletu i dwa pierścionki. Precjoza wyglądały na bardzo wartościowe, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę katastrofalną sytuację finansową juniora. Odłożył klejnoty, przeszedł do sypialni i powiedział półgłosem do Mateusza:

– A może ojciec dowiedział się o wszystkich sprawkach synka i postanowił nie dopuścić do skandalu.

– Należałoby się synkowi.

W tym skromnym pomieszczeniu nie było zbyt wielu sprzętów: łóżko, walet, dwa fotele. Z boku ustawiono walizę i neseser. Mateusz położył bagaże na łóżku. W walizie zobaczyli kilka ubrań, dwie pary butów, dwie butelki whisky, przyborek ze strzykawką i metalowe pudełko – takie samo jak w biurku, również z pustymi miejscami na buteleczki. Zawartość neseseru także okazała się znamienita: margrabia de Sade, cygara, kolejne puste pudełko, mocno wyperfumowane koperty zaadresowane do zmarłego. W szafie ubraniowej wisały nieliczne garnitury.

Jan wrócił do gabinetu i zobaczył, że Tercjusz błędnym wzrokiem wpatruje się w dokumenty.

– Ma pan jakiś pomysł, kto mógł to zrobić? – zagadnął Morawski.

– Prokurator wypytywał o służbę...

– Pani Barbara jednoznacznie stwierdziła, że wszyscy byli razem przez cały czas trwania burzy, a myślę, że możemy uznać ją za wiarygodnego świadka. Nikt inny nie przychodzi panu na myśl? – nie otrzymawszy odpowiedzi, stwierdził: – Jeśli o mnie chodzi, teraz, po lekturze tych skryptów, sądzę, że należałoby przyjrzeć się wierzycielom denata.

– A wie pan? – Tercjusz nagle uniósł głowę, jakby podjął decyzję. – Tamtego dnia przyjechał tu jakiś obwieś. Zupełnie podejrzane indywiduum. Junior – tak nazywaliśmy młodego – nie chciał się z nim widzieć, ale tamten zaczął się pieklić, że pokaże starym papiery i wtedy młody zaśpiewa inaczej. Junior zabrał go do siebie i słychać było jakieś krzyki. Potem to ucichło i widziałem, jak razem szli w stronę bramy. Był zbyt daleko, bym mógł mu się przyjrzeć, ale zdaniem służących, wyglądał na ostatniego szubrawca. Może to od tych skryptów. Albo od morfiny. Bo nie sądzę, by komuś chciało się tu jechać aż z Galicji.

Jan właśnie podszedł do zrzuconych z biurka przedmiotów i podniósł jedno ze zdjęć. Zdążył tylko zauważyć, że było to zdjęcie ślubne, bo po ostatnim stwierdzeniu rezydenta zapomniał o fotografii:

– Z Galicji? Dlaczego z Galicji?

– Ja nie wiem, czy to prawda, ale podobno ktoś zarzucał młodemu, że przez niego jakaś dziewczyna rzuciła się do rzeki. W jednej z posiadłości Lili. Chyba niedaleko Krakowa. Grożono mu. Tak przynajmniej zrozumiałem, bo kiedyś wypił do kolacji butelkę starki i się odgrażał, że nic nie mogą mu udowodnić.

– I nic więcej pan nie wie? Co to była za dziewczyna? Szlachcianka? Wieśniaczka? Miała ojca? Męża? Narzeczonego?



Na wszystkie pytania pan Drojewski tylko kręcił przecząco głową i wyglądał, jakby brzydził się tą sprawą.

Jan przysiadł na biurku i nogą rozgarnął błoto. Część masy wypełniła powypalane w dywanie dziury. Z zamyślenia wyrwał go łopot pliku kartek, którymi wachlował się spocony Tercjusz. Morawskiemu przypomniała się inna młoda kobieta:

– A ta guwernantka Natalii? Miała tu jakichś znajomych? U kogoś poprzednio pracowała?

– Nie, chyba nie. Z tego, co wiem, przyjechała prosto z Anglii.

Jan sięgnął po jedno z tych pustych, charakterystycznych pudełek.

– Czy zmarły zachowywał się nietypowo w czasie kolacji?

– Był dziwnie podekscytowany. Nawet jak na niego. I pił na umór.

– A czy wiadomo, do kogo należała broń?

– Właśnie do niego, ale przechowywano ją w zbrojowni. Pod kluczem. Osobiście ją stąd wyniosłem kilka miesięcy temu. Nie wiem, skąd tu się wzięła. I do tego nabita.

– Tak, nadzwyczaj dogodnie nabita.

Jan rozglądał się dookoła, próbując znaleźć jeszcze jakiś punkt, na którym mógłby oprzeć nadzieję dla oskarżonego brata. Brata!

– Wspominał pan, że Gustaw, ten najmłodszy syn, nie przepadał za Adamem.

Na hasło „Gustaw, najmłodszy syn” zza drzwi wychynął Mateusz, wytrzeszczając oczy. Jan dał mu ręką znać, by się nie wtrącał.

– To za mało powiedziane – odparł Tercjusz. – Nie znosili się i nie przepuszczali żadnej okazji, by sobie dokuczyć.

– Adam był miłym dzieckiem?

– Odkąd go znałem, miał trudne usposobienie. Wszystko mówił i robił, aby rozdrażnić innych. Uwielbiał ranić i wywoływać gniew. I zawsze był dwulicowy – przerwał, uderzony nagłą myślą. – W gruncie rzeczy szkoda, że nie spróbował sił w parlamencie. Nadawałby się. Brak sumienia jest w polityce wielką dźwignią.

Morawski od razu dostrzegł głęboką prawdę zawartą w tym stwierdzeniu, aczkolwiek nie zamierzał w tym momencie dyskutować o cechach charakteru niezbędnych do osiągnięcia sukcesu w świecie polityki.

– A Gustaw? Jak sobie radził z ulubieńcem ojca?

– Był zmyślniejszy od Adama i bardziej dowcipny, więc potrafił zdrowo zaleźć za skórę.

– I naprawdę nie pojawił się tu od czasu ucieczki? Kiedy to było?

– Tuż po śmierci żony Adama, Natalii. Dziesięć lat temu.

– Może jest gdzieś w okolicy, tylko po prostu nie przyjechał do domu.

Tercjusz wydał usta i wyglądał na skonfundowanego.

– Przecież ktoś by go rozpoznał, prawda?

Jan nie potrafił na to odpowiedzieć, natomiast przypomniał sobie o zdjęciu ślubnym, które podniósł z podłogi. Rozejrzał się, szukając go wzrokiem.

– Proszę mi opowiedzieć o żonie młodego, o pani Lili.

Rezydent wielką chustką wytarł okulary, potem czoło, potem łysinę i zaproponował:

– Jeśli już pan tu skończył, to może wróćmy do pałacu. Ta duszna atmosfera źle na mnie działa. Ten mrok i zapaszek przypominają mi mordownie w londyńskich dokach. W bibliotece pokażę panu zdjęcia i opowiem o Lili.

Morawski skinął głową i ruszył za gospodarzem w stronę drzwi. Obrócił się w progu i Tercjusz się zainteresował:

– Ma pan już jakieś wnioski?

– Tak. Niemiłe. Coraz trudniej myśleć o nim jako o ofierze. Coraz trudniej myśleć o tym jako o zabójstwie. To przypomina wykonanie wyroku na kimś winnym.

Na jedną chwilę miła twarz starszego mężczyzny straciła swój dobroduszny wyraz:

– Wyznam coś panu. Nie zależy mi na tym, aby ukarać jego mordercę. Chciałbym tylko, aby pan odkrył coś, co uniewinni Edwarda.

## Rozdział 7.

– Podobno to pokojówka go znalazła, prawda? – spytał Jan, gdy dotarli do głównego holu.

– Tak, Nela.

– Mógłbym z nią porozmawiać? Oczywiście, nie chodzi mi o to, by podważać cokolwiek z tego, co pan mówił, ale możliwe, że...

Zagadnięty machnął ręką:

– Proszę się nie tłumaczyć. Każdy z nas zwraca uwagę na coś innego, więc może pan odkryje w jej słowach coś istotnego. Zadzwonimy z biblioteki i poprosimy, by ją tam przysłano.

W tym momencie włączył się Mateusz, który dotychczas podążał za nimi w milczeniu.

– Ja chętnie pójdę – Jan skinął głową z aprobatą, a kamerdyner po lekkim zawahaniu kontynuował: – I jeśli panowie pozwolą, to nie będę wracał. Sprawdzę, czy mógłbym być w czymkolwiek pomocny Jacentemu. Chyba trochę nie- domaga.

Zaniepokojony Jan zmarszczył czoło i ruszył za Tercjuszem, który wyjaśnił:

– To nasz marszałek.

– Marszałek? Jeszcze tacy istnieją?

– Tak, ale to gatunek zagrożony wyginięciem. Majordomus należy do służby, a marszałek do rodziny – pan Drojewski się zaśmiał i dodał: – Czasami w żartach nazywam go *Haushofmeister*. Okropnie tego nie lubi.

Weszli i Jan poczuł, jakby nagle jego wzrok wyzwolił się z praw grawitacji i gwałtownie poszybował w górę. Biblioteka zajmowała chyba dwa poziomy. Co najmniej. Pomieszczenie w niczym nie przypominało innych pałacowych wnętrz. Dominował tu ciepły kolor drewna teakowego, z którego wykonano półki, elementy architektoniczne regałów i podłogę, a całość przypominała zacisze angielskiego dżentelmena.

Jeszcze nie zdążyli zamknąć za sobą drzwi, gdy dołączyła do nich pani Barbara. Wpadła i z lekką zadyszką wyrzuciła z siebie:

– Nela zaraz przyjdzie.

– Pan Jan chciał z nią pogawędzić na temat... tego, co znalazła. Biedaczka – wzruszył się pan Tercjusz – strasznie to przeżyła.

Pani Barbara zareagowała błyskawicznie:

– Po co tam poszła? Cała Nela! Wiedziała doskonale, że dziewczynom nie wolno było chodzić do tamtej części, zwłaszcza...

Raptownie urwała, gdy uświadomiła sobie popełniony błąd, którego w dotychczasowych kontaktach z gościem udawało jej się uniknąć. Mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco. Ona natomiast szybko zmieniła temat na bezpieczniejszy i chyba bardziej atrakcyjny:

– Może po rozmowie z Nelą coś by panowie zjedli? – sięgnęła do zegarka przypiętego klipsem do bluzki tuż poniżej ramienia. – Jest teraz wpół do piątej, więc pora na podwieczorek byłaby odpowiednia.

– Barbaro najmiłsza! – reakcja Tercjusza nie sprawiła jej zawodu. – Wiesz dobrze, że takich propozycji nie trzeba mi powtarzać. A pan, drogi Janie?

– Cóż, nie ukrywam, że jestem pierwszym łasuchem Rzeczypospolitej.

Zadowolona kiwnęła głową. Odwróciła się z takim impetem, że zagrały klucze przypięte do paska na sztalenkach [5], i w drzwiach prawie zderzyła się z wchodzącą pokojówką.

Jasnowłosa dziewczyna była bardzo ładna, a we własnym mniemaniu chyba jeszcze ładniejsza. Zaprezentowała im odrobinę zbyt dopracowane dygnięcie i spojrzała na gościa z ukosa, jakby sprawdzała wywołane wrażenie.

– Nic się nie bój, moja droga – uspokoił ją Tercjusz, raczej bez potrzeby. – Pan Jan chciałby tylko, abyś mu opowiedziała o tym, jak znalazłaś pana Adama.

– Ale ja się wcale nie boję.

Było to bez wątpienia szczere zapewnienie. Wpatrywała się w Jana, który wskazał jej jeden z foteli zgrupowanych wokół niewielkiego, ośmiokątnego stołu. Bez zbędnych oporów Nela usiadła i natychmiast zaczęła swą relację, wyraźnie przećwiczoną:

– To było rano. Po tej burzy. Walek zaniósł dzbanek z kawą i postawił na stoliku przy wejściu do pokoi młodego pana. Ja tam później przechodziłam i ta kawa ciągle stała. Więc wzięłam tacę i zapukałam. Chciałam tylko odstawić. Otworzyłam drzwi – tu z doskonałym wyczuciem zrobiła pauzę, a Jan, choć przecież wiedział, co zaraz nastąpi, wstrzymał oddech – i on tam leżał. Krew dookoła. A obok niego... pistolet.

W bibliotece nastała cisza, a Nela w zachwycie aż przymknęła oczy.

– Wchodziłaś tam? – spytał Jan.

– Tylko ze dwa kroczki.

– A ruszałaś coś?

– Nie. Zobaczyłam krew i pistolet i uciekłam.

W tym momencie przypomniała sobie o pewnym zaniedbanym dotychczas środku ekspresji i umiejętnie załkała:

– A potem jeszcze pani Barbara mnie zrugła, że tam weszłam, zamiast zawołać Seweryna.

– Miała rację – Tercjusz próbował okazać surowość. – Wiesz, że miałyście się tam nie kręcić. Wystarczyłoby, abyś wezwała któregoś z chłopaków.

– Ale Seweryn był gdzieś zajęty – odpowiedziała po chwili.

Jan wpatrywał się w nią zmrużonymi oczyma, rozważając, czy coś mogło ją łączyć z Adamem. Raczej chyba nie, zwłaszcza że młody Poniński nie byłby na tyle głupi, by grasować pod bokiem ojca. Choć przecież ta guwernantka... Zaryzykował jednak wniosek, że pokojówka tam weszła, bo po prostu ma zwyczaj wtykać nos w nieswoje sprawy i zakazane kąty.

– Leżał tam – kontynuowała, przykładając do oczu chusteczkę – więc uciekłam. Wołałam: „Panicz nie żyje” – chlipnięcie. – Wpadłam na panią Barbarę. Popchnęła mnie na fotel – chlipnięcie. – A potem biegali, krzyczeli. Dopiero później sobie o mnie przypomnieli – poskarżyła się. – Walek mnie odprowadził do kuchni i pani Felicja, nasza kucharka, dała mi ziółka.

Jan, patrząc na nią, czuł się jak w teatryku ogródkowym. Postanowił wykorzystać jej wścibstwo:

– Czy ktokolwiek ze służących mógł żywić urazę do młodego pana Adama?

– Ale... – zaprotestował Tercjusz.

Ona poważnie pokiwała głową, z przyjemnością rozważając rysującą się perspektywę wyciśnięcia sensacji z tej teorii, musiała jednak zaprzeczyć:

– Nie. Przecież młody pan prawie tu nie przyjeżdżał. A jak był, to obsługiwał go Seweryn, a on zawsze mówił dobrze o panu Adamie. Młodym panu.

– I w czasie burzy bez przerwy byliście razem?

– Tak. Tylko raz wychodziłyśmy. Ja i pani Barbara. Ale to było jeszcze zanim zaczęło lać. Grzmiało i przybiegła ta głupkowata Balbina...

– Piastunka Natalii- wyjaśnił Janowi Tercjusz.

– Przyleciała z góry, wrzeszcząc – kontynuowała pokojówka – że ona boi się burzy i za nic tam nie wróci. A panienkę zostawiła samą. Więc pani Barbara pobiegła na piętro i ja za nią, bo przecież mogłaby potrzebować pomocy. I jak tam dotarliśmy, to panienka płakała, bo się obudziła i nikogo nie było, nawet tego jej pieska Tobiego, co to zdechł, a przecież grzmiało, błyskało i ta głupia Balbina zostawiła ją samą. Ja nigdy bym do czegoś takiego nie dopuściła.

Jan nie miał ochoty słuchać, jak bohatersko w kryzysowej sytuacji postąpiłaby Nela, więc przerwał:

– I co zrobiłyście?

– Oczywiście, dobrze się stało, że tam poszłam, bo pani Barbara nie dałaby rady przynieść tego wszystkiego na dół. Zawinęła panienkę w koc, kazała mi zabrać jakąś książeczkę, poduszkę i zeszłyśmy na parter. A przedtem szukałyśmy ukochanej zabawki panienki, takiej uszytej z aksamitu przez mamę panienki, ale nigdzie jej nie było. A schodząc na dół, widziałyśmy, jak pan Adam wychodził z jadalni.

– A potem?

– Poszłyśmy do naszej wspólnej sali, ułożyłyśmy panienkę na tej sofie w kącie

i chciałam natrzeć uszu durnej Balbinie, ale pani Barbara nie pozwoliła, choć to...

– I od tamtej pory nikt nie wychodził?

– Nie.

– A słyszeliście coś?

– Tak, raz. Na samym początku na chwilę przestało grzmieć i usłyszeliśmy krzyki. Od strony pokoi pana Adama. Seweryn z Walkiem wyjrzeli na korytarz, ale nikogo nie było. Tylko widać było, że coś tam się świeci.

Jan odniósł wrażenie, że ona wie coś ważnego. Choć mogła to być tylko kwestia jej wycucia dramatycznego. Odezwał się cicho, jakby wyjaśniał jej coś w zaufaniu:

– Śledczy już, co prawda, wszystkich przesłuchiwali, ale ja postanowiłem porozmawiać z tymi najważniejszymi – to słowo zaakcentował – świadkami.

– Ze mną w ogóle nie rozmawiali – zdradziła – więc powiedziałam sobie, że jak nie, to nie – przez chwilę wpatrywała się w Jana, po czym nachyliła się i rozejrzała dookoła. Obaj mężczyźni, niczym bezwolne marionetki, dokładnie powtórzyli jej ruch i nadstawili uszu. Wyszeptła: – A ja go widziałam.

– Kogo? – nie zrozumiał Tercjusz.

– Mordercę, oczywiście.

– Kiedy? – zainteresował się Morawski.

– Widziałam – wyjaśniła z taką intonacją, jakby czytała powieść grozy – jak ktoś w nocy wymykał się tym bocznym wyjściem z alkierza i uciekał w stronę bramy.

Jan spojrział na Tercjusza, a ten przytaknął:

– Tak, jest boczne wyjście. Po przeciwnej stronie niż pałac.

– Rozpoznałaś tego człowieka?

– To musiał być ten, co tu był przed południem. Wtedy też wrzeszczał. I miał jasny płaszcz i ciemny kapelusz, tak samo jak ten, co uciekał w deszczu. Widziałam go tylko, jak wychodził, bo padło na niego światło.

– A kiedy to było? Pamiętasz godzinę?

Zastanowiła się i po chwili pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego nie powiedziałaś policjantom o tym człowieku? – nie dowierzał Jan.

– Bo nie chcieli ze mną rozmawiać, więc łaski bez.

– Ale zaaresztowali pana Edwarda! – zdenerwował się na dziewczynę Drojewski. – Gdybyś opowiedziała, co wiesz, daliby mu spokój.

– Ojej! – zdziwiła się autentycznie i nie zapomniła przyłożyć jednej dłoni do piersi, a drugiej do ust.

W oczach jak na komendę zaszklily się łzy.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego pan Edward nic nie mówi – to pytanie niezmiennie nie

dawało Janowi spokoju. – Przecież nie osłaniałby jakiegoś nieznanego awanturnika.

Przez chwilę każde ze zgromadzonej trójki rozważało ten problem w milczeniu, po czym rozwiązanie znalazła Nela, której łzy zniknęły tak samo szybko, jak się pojawiły:

– Pan Edward pewnie jest w szoku – oznajmiła triumfalnie. – Czytałam w takiej powieści, że jak się człowiek zdenerwuje, to mu odbiera mowę. Gdybym ja była z policji, tobym mu dała kartkę. Na pewno by napisał, że jest niewinny.

Kłopot udzielenia odpowiedzi został Janowi oszczędzony, gdyż zapukano do drzwi i ukazał się w nich ten jasnowłosy lokaj, który z taką atencją pomagał Natalii zająć miejsce przy stole. Niósł tacę, na której stał dzbanek, filiżanki, talerzyki, patera z ciastkami i talerz z sandwiczami. Chłopak postawił tacę na blacie, wyprostował się i błysnął zębami w uśmiechu.

– Przepraszam panów, ale pani Felicja pytała o Nelę – powiedział, po czym z ukłonem wyszedł.

– Pewnie chce poradzić się mnie w jakiejś sprawie – Nela bezbłędnie zinterpretowała zainteresowanie kucharki swą osobą. – I tak musiałabym iść, bo mam strasznie dużo pracy. A teraz jeszcze spadło na mnie mnóstwo dodatkowych obowiązków po tym, jak tamta „panna służąca” zwariowała.

Przekąsu przy sformułowaniu „panna służąca” za nic nie dałoby się zlekceważyć, więc Jan spytał grzecznościowo:

– Zwariowała?

– Tak – prychnęła. – My jesteśmy pokojówki, a tamta to była „panna służąca”. Coś lepszego. Niby taka mądra i wszystkowiedząca, a jak pani dostała słabości... wie pan, zległa... i nie było lekarza, i pani Barbara sama odbierała dziecko, i potrzebowała pomocy, to tamta po prostu zemdląła. Wiadomo – Nela zrobiła odpowiedni grymasik. – Tak jest najprościej.

– Pewnie jest po prostu wrażliwa – okazał zrozumienie Tercjusz, choć na wzmiankę o porodzie pobałdł i przestał przeżuwać.

– Wrażliwa? – Nela spojrzała na niego, jakby uważała, że on też stracił rozum. – Niezrównoważona. Nie dosyć, że w niczym nie pomogła, to narobiła kłopotu i pani Barbara musiała ją cucić, a potem ta wariatka się trzęsła i wygadywała jakieś bzdury, że cały czas w uszach ma płacz, a przecież dziecko urodziło się siniuteńkie i bez ducha. I przez co to całe przedstawienie? Przez to, że zobaczyła łożysko – zakryła usta, zawstydzona, że zdradziła mężczyznom fakt istnienia czegoś takiego, jak łożysko. – Ojej, przepraszam. Muszę iść do pani Felicji.

Pobiegła, a Morawski przez chwilę wpatrywał się w drzwi, które za sobą zamknęła. Tercjusz tymczasem poczęstował się kolejnym kawałkiem chleba z wędzoną szynką, dla gościa pozostawiając spoczywające na paterze sześciokątne ciastka z żółtą masą i morelami. Jan sięgnął po jedno, powąchał i zatopił w nim zęby. Pachniało niebiańsko i tak samo smakowało. Kucharka miała szczęśliwy pomysł, by na ciasto, przypominające paryskie croissanty, nałożyć krem waniliowy i owoce.

Na moment obaj panowie chyba zapomnieli o morderstwie.

– Kawy, panie Tercjuszu?

– Nie, dziękuję.

Przy drugim ciastku Jan wyznał:

– Słodycze to mój nałóg.

– To jeden z nielicznych nieznanymi mi nałogów – zaśmiali się obaj, a bibliotekarz wskazał na sandwicza z równo przyciętym, różowym plastrem wędliny: – Ja jestem jak ten mazowiecki chłop Kolberga: dla mnie mięswo to najulubieńsze łakocie. Barbara o tym wie, więc nawet nie spytała, jakie ciasto będzie mi odpowiadało.

To stwierdzenie przybliżyło ich do tematu, który już poprzednio zajmował Morawskiego:

– Na ile pani Barbara orientuje się w sprawkach juniora? – spytał, a na widok uniesionych siwych brwi wyjaśnił: – Zauważyłem, jak się zmieszała po tym wyznaniu, że pokojówki nie powinny pojawiać się w jego apartamencie.

– Na pewno wie sporo – Tercjusz mówił wolno, między kolejnymi kęsami. – To ona jeździ do miasta, ona rozmawia z lekarzem. Po śmierci Lili tylko Barbara mogła się zbliżyć do młodego Adama.

– Co pan powie?

– Nic z tych rzeczy – pan Drojewski stanowczo uciął te supozycje. – Jako młoda dziewczyna była z kimś zaręczona i choć nie wyszła za niego za mąż, pozostała wierna jego pamięci. Ale jest bezgranicznie przywiązana do Adama seniora i to uczucie rozciąga się na jego rodzinę. Zrobiłaby wszystko, by oszczędzić mu bólu.

– Cóż, ja nie zamierzam w imię pielęgnowania czyichś wyobrażeń pozwolić, by powieszono niewinnego – oświadczył Jan, a wraz z powrotem tego tematu atmosfera od razu stała się mniej przyjemna, mniej podwieczorkowa. Wyczuł to i spróbował naprawić.

– Pana miejsce pracy? – spytał, rozglądając się po monumentalnym pomieszczeniu.

– Mój raj. Moje królestwo.

Na wysokości mniej więcej trzech metrów zbudowano galerię, na której także mieściły się półki. Balkon był cofnięty względem ścian dolnego poziomu, dzięki czemu oba piętra były odpowiednio doświetlone. Na górę prowadziły spiralne schody, zlokalizowane w jednym z narożników. Niewielkie widoczne fragmenty ścian wyłożono ciemnozieloną, wytłaczaną tapetą. Przy oknie stało biurko, tak wielkie, że mogłyby przy nim pracować nawet cztery osoby. Jan podszedł bliżej, gdyż zainteresowała go olbrzymia lupa, umocowana na przegubowym wysięgniku, co pozwalało badać tekst bez angażowania rąk. Pod soczewką leżała jakaś stara księga, chyba rejestr. Jan wolał go nie dotykać, gdyż dłonie miał nadal lepkie od lukru – oblizał, co prawda, przed chwilą palce, ale wciąż lekko się kleiły.

Spojrzał w górę.

– To mi wygląda na dawną salę balową.

– Brawo. Adam uznał kilka lat temu, że na diabła mu... przepraszam... uznał, że



niepotrzebna mu sala balowa, z którą jest tylko kłopot, bo trzeba ciągle zdejmować pajęczyny, natomiast przydałoby się większe pomieszczenie na książki i rękopisy. Dobudowano więc ten balkon i przenieśliśmy tu bibliotekę. U góry są na razie tylko półki, ale już wkrótce rozlokujemy tam część księgozbioru.

– Obawiam się, że to wspinanie się będzie dla pana męczące – Jan krytycznie przyjrzał się schodkom.

– Miły z pana człowiek – Tercjusz rzucił gościowi wdzięczne spojrzenie znad okularów. – Adam doszedł do tego samego wniosku i zaangażuje mi pomocnika. Myślałem o jakimś ubogim studencie, któremu przydałby się dodatkowy zarobek.

– Wspaniały pomysł. Wspominał pan, że porządkuje archiwum rodzinne...

– Tak, od tego zacząłem. Adam miał tu mnóstwo herbarzy, rękopisów, aktów własności, poza tym wspomnienia, nominacje, tytuły własności, albumy z wpisami gości, legitymacje odznaczeń, kroniki rodzinne, także rodów, z których pochodziły panie Ponińskie. A gdy się przez to przedarłem, zająłem się porządkowaniem księgozbioru. Wie pan, jak to jest. Każdy kolejny właściciel miał swoje upodobania i kupował to, co go interesowało – Tercjusz włożył do ust ostatni kawałek chleba, wytarł dłonie w serwetkę, podszedł do regałów i prezentował różne kategorie, poruszając się przy tym żwawym, lekkim krokiem, zaskakującym u kogoś tej tuszy. – Znajdzie pan tu książki na każdy temat. Najwięcej dotyczy historii, zwłaszcza dziejów Polski, dalej literatury, sztuki i architektury, także filologii, filozofii, teologii, prawa, ekonomii, nauk przyrodniczych.

Jan powoli szedł za swym gospodarzem. Od czasu do czasu przechylał głowę, by przeczytać tytuł, i uważnie przysłuchiwał się entuzjastycznej przemowie:

– Potem Adam wpadł na genialny pomysł, by utworzyć bibliotekę dla pracowników, musiałem więc zająć się dobozem i sprowadzeniem książek.

Panowie doszli do miejsca, gdzie zamiast regału znajdował się niewielki stolik, na którego marmurowym blacie stało kilka fotografii w srebrnych ramkach. Tercjusz nie przestawał mówić:

– I już się martwiłem, że moja praca dobiega końca, gdy młody Adam się ożenił i trafiły do nas elzewiry kolekcjonowane przez ojca Lili. To dopiero rarytas! W ten sposób odkryłem moją pasję. Nie będę panu tego teraz pokazywał, bo muszę mieć idealnie czyste ręce, a poza tym to takie arcydzieło, że trzeba mieć całkowicie wolny umysł, a pan, zdaje się, teraz jest czymś innym zajęty... – dodał, widząc, że jego młody towarzysz wpatruje się w trzymane w dłoni zdjęcie.

– To pani Lili? Mama Natalii?

Kobieta – a może raczej dziewczyna – miała regularne rysy twarzy, dość jasne włosy i śliczne usta o pełniejszej dolnej wardze.

– Tak, to ona tuż po ukończeniu szkoły. Była wtedy zupełnie młodzietka.

– Bardzo urokliwa – wyznał Morawski. – Natalia chyba nie przypomina jej z wyglądu.

– Nie, niezbyt. Tu są jeszcze inne – z tymi słowami Tercjusz wyciągnął z szuflady album i podał Janowi jedną z fotografii: – To zrobiono w dniu ślubu.

Gość zobaczył Lili i Adama. Koło poważnej dziewczyny stał niewiele od niej wyższy mężczyzna. Miał falujące ciemne włosy, świecące, jakby spocone czoło, wąsko osadzone oczy, a pod nimi worki, tak często świadczące o rozwiązłym trybie życia. Tym jednak, co w tej twarzy uderzało najbardziej, była zadufana mina i pogardliwie skrzywione wargi. Jakby uważał, że wszystko wolno. Że jemu wszystko wolno. Jan się zastanawiał, czy tak samo by go odebrał, gdyby nie wiedział tego, co wie.

– Jak się poznali?

– Po śmierci rodziców Lili mój przyjaciel został prawnym opiekunem dziewczyny. To on przedstawił jej swego syna – wyjaśnił Tercjusz i podsunął kolejną fotografię: – To z podróży poślubnej.

Morawski aż drgnął. Cóż za zmiana! Biedna dziewczyna patrzyła w obiektyw wzrokiem istoty zaszokowanej. Jan widział już kiedyś takie oczy – to było spojrzenie sarny złapanej w potrzask. Obok Lili stał jej mąż z wyraźnie zadowoloną, triumfalną miną.

Pan Drojewski przeglądał album i wyłuskał jeszcze jedno zdjęcie.

– To zrobiono na jakiejś uroczystości, kilka miesięcy temu.

Jan zobaczył wychudzoną buzię, w której czerniały jakby za duże oczy. Spod skóry przebijały kości, usta straciły barwę, natomiast pod oczyma pojawiły się ciemne kręgi. Siedziała koło męża, ale jakby chciała się od niego odsunąć. Dłoń w geście obrony przyciskała do gardła. Jego oczy nienaturalnie lśniły, a on sam, podobnie jak żona, zdawał się chorobliwie szczupły.

– I jeszcze jedno. Sprzed kilku lat. To z ich własnego ślubu. Państwo młodzi, pierwszy drużba i druhna.

Tercjusz z pudełka wyciągnął kartonik. Jan wziął zdjęcie i spojrział. Lili i Adama już znał, druhna nie była interesująca. Przeniósł wzrok na drugiego mężczyznę.

– A to Edward? – spytał. Odpowiedział mu twierdzący pomruk.

Edward stał koło Lili. Jan aż przysiadł na najwyższym stopniu schodków bibliotecznych, tak bardzo oszołomiło go dopasowanie tej pary. Jak dwie połówki jabłka. Obydwoje wysocy, szczupli, mieli gładkie włosy i twarze o miłym wyrazie, choć odległość, z jakiej wykonano zdjęcie, była zbyt duża, by dojrzeć drobniejsze szczegóły. Lili zdawała się bardziej przysunięta do szwagra niż do męża. Może nie tyle przysunięta, co zwrócona. Głowę trzymała lekko skłonioną w stronę ramienia mężczyzny. Na czym polegało to podobieństwo? Może na takim samym rozmieszczeniu elementów twarzy?

Z ogrodu powiał wiaterek i Jan poczuł ciepło i aromat róż. Choć może mu się tylko zdawało.

– Panie Janie! – aż się wstrząsnął.

– Tak?

– Pytałem, czy zjadłby pan jeszcze jedno ciastko. Co pana tak pochłoneło?

– Przypomniałem sobie, co zawsze mówiła pewna znana mi dama, matka moich przyjaciół: że małżonkowie muszą być w czymś dopasowani fizycznie. Mogą być różnego

wzrostu, różnej postury, różnej kolorystyki, ale w czymś muszą się przypominać.

– Nigdy nie słyszałem o niezbędnym podobieństwie w wyglądzie, natomiast jeśli chodzi o usposobienie, to podobno, zgodnie z francuskim powiedzeniem, *les extrmes se touchent* [6]. Wystarczy spojrzeć na hrabiego Edwarda Raczyńskiego i jego żonę Różę...

Morawski odruchowo wydał z siebie pomruk. Wreszcie zdołał odkleić wzrok od fotografii. Spytał z wahaniem:

– Czy mógłbym pożyczyć te zdjęcia?

Tercjusz ochoczo się zgodził.

Jan podszedł do stołu, sięgnął po ostatnie ciastko i jadł je, powtarzając sobie, że tamto podobieństwo na wspólnym zdjęciu i myśl, która zrodziła się w jego głowie, są tylko podskórnym wrażeniem. Niczym więcej. Absolutnie nie należy doszukiwać się motywu tam, gdzie go nie ma. Tym bardziej że przecież widziano tego człowieka od szemranych interesów, gdy wychodził z północnego alkierza. Właśnie.

## Rozdział 8.

W sypialni na piętrze czekał na Jana Mateusz. Morawski odwiesił na krzesło marynarkę, odłożył pożyczone z biblioteki fotografie i w skrócie zrelacjonował przebieg rozmowy z pokojówką. Kamerdyner lekko się skrzywił.

– Mężczyzna w jasnym płaszczu. To niewiele.

– Wiem. Poza tym martwi mnie jej tendencja do dramatyzowania.

– Spróbuję się zorientować, czy przypadkiem nie towarzyszy temu tendencja do bujania. Ale nie mam pojęcia, jak się zabrać do poszukiwania tego krzykliwego gagatka.

Siedzieli przy oknie, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przedtem Jan rozmawiał z panią Barbarą.

– Myślałem o tym. Jutro rano jadę na spotkanie z Edwardem, a po powrocie przyjrę się jeszcze raz temu, co junior zgromadził w swojej jaskini. Może uda się ustalić, który z wierzycieli zachowywał się najbardziej agresywnie.

– Albo kto mu dostarczał narkotyki.

– Właśnie. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na te puste miejsca po ampułkach. Bardzo mnie to niepokoi. Tak samo jak sprawa tej dziewczyny z Galicji.

Jan z ulgą zdjął buty i zabawnie poruszał palcami u stóp.

– No i nie można zapominać o Gustawie – dodał po chwili.

– Właśnie. Gustaw. Uderzyłem się o szafkę, gdy w tamtym pokoju wspomniał pan o tym. O co tu chodzi?

– Ja też o nim nie wiedziałem. Nikt nic o nim nie mówił, aż tu nagle, w czasie obiadu, pan Tercjusz o nim napomknął jakby nigdy nic.

– I on jest najmłodszy z braci? O ile młodszy?

– Nie wiem na pewno. Adam miał trzydzieści lat. A Gustaw uciekł jakieś dziesięć lat temu, więc musiał mieć co najmniej siedemnaście. Chyba zatem rodzili się rok po roku. Teraz ma dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat.

– Uciekł? – spytał Mateusz, nalewając sobie z dzbanka przezroczystego płynu, w którym pływały plastry cytryny i listki mięty. Gestem dłoni zaproponował napój Morawskiemu i ten skinął głową.

– Tak, po kłótni z ojcem. Ale nie wiem o co. Popytaj starszych służących. Muszą go pamiętać.

– Mógłby...?

– Mógłby. Ponoć nie znosili się ze zmarłym. Ale z drugiej strony byli sobie bliscy z Edwardem, więc chyba Gustaw nie chciałby wyrządzić Edwardowi krzywdy.

– A ta pokojówka? Powiedziała coś jeszcze?

– Tak, ale to nie ma związku ze sprawą – Jan lekko się skrzywił ze smutkiem. – Okazuje się, że to pani Barbara odebrała poród, który tak tragicznie skończył się dla pani Lili.

– Nie zazdroszczę jej – Mateusz aż syknął. – A ona jest przecież tak przywiązana do pana Ponińskiego. Traktuje go jak ojca.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że się o to nie obwinia – skomentował Jan, ale jego pełna powątpiewania mina świadczyła, iż sam w to nie wierzy.

Po chwili przypomniał sobie o przyniesionych zdjęciach. Podał je Mateuszowi w kolejności powstawania:

– Rzuć na to okiem. Młoda pani Lili po ukończeniu szkoły. Dzień ślubu. I najnowsze sprzed kilku miesięcy.

– On mi wygląda na stuprocentowego rozpustnika – tak kamerdyner skomentował ostatnią fotografię.

– A teraz spójrz na to. Ten człowiek obok panny młodej to Edward – Jan na koniec zatrzymał zdjęcie, które tak go zafrapowało.

Mateusz przez chwilę kontemplował w milczeniu całą grupę, ale była to bardzo krótka chwila.

– Gdyby przedrzeć zdjęcie na pół i zostawić panią Lili i pana Edwarda, uznałbym, że to oni są parą młodą.

Jan nie odpowiedział. Sam przed sobą przyznawał, że pomysł z morderstwem dokonany przez zagadkowego przybysza podobał mu się znacznie bardziej niż ta koncepcja, która narodziła się w jego głowie, gdy zobaczył Lili i Edwarda razem.

Wzrokiem błędził po pokoju, aż jego spojrzenie zatrzymało się na umywalni.

– Czuję, że muszę zanurzyć stopy w zimnej wodzie. Siedź! – dodał na widok podnoszącego się Mateusza.

Postawił na podłodze miednicę i nalał do niej wody z wielkiego porcelanowego dzbana. Usiadł, zdjął skarpetki i stwierdził:

– Jedno wydaje się pewne. Młodego nie zastrzelił nikt ze służby. Pokojówka potwierdziła, że cały czas byli razem. Była też u nich Natalia, choć to nie świadek.

Dokładnie w chwili, gdy Jan uniósł stopę, by ją zanurzyć w chłodnej wodzie, zapukano do drzwi i po krótkim zaproszeniu wszedł jasnowłosy służący. Jednym spojrzeniem ogarnął scenę – pana Morawskiego z gołymi stopami przy misce z wodą i kamerdynera swobodnie rozpartego w fotelu, ze szklanką lemoniady w dłoni. Biedny chłopak zbyt krótko terminował w swoim fachu i nie opanował jeszcze umiejętności zachowywania kamiennego oblicza w każdych warunkach. Twarz lekko mu się wydłużyła, ale zdołał się uklonić i wydukać:

– Pan Adam pyta, czy znalazłby pan teraz dla niego czas.

Jan z rozpaczą spojrział na stopy, na misę, na szklankę.

– Oczywiście, już idę.

– Ja poczekam. Na korytarzu – odparł lokaj i wyszedł.

Morawski z powrotem zakładał skarpetki, zaś Mateusz zaczął rozwiązywać swoje trzewiki i oświadczył:

– Czuję, że muszę zanurzyć stopy w zimnej wodzie. Szkoda byłoby zmarnować tę miłą kąpiel, którą pan przygotował.

– Czasami się zastanawiam, czy ten, kto krzyczy, że służba to klasa uciskana, jest przy zdrowych zmysłach.

Zrezygnowany wbił się z powrotem w buty, wstał i wyszedł. Już na korytarzu dogonił go jego niezdolny kamerdyner:

– Zapomniał pan marynarki.

– Kiedyś cię uduszę – obiecał Jan, ubierając się.

– Taka niestaranność w ubiorze przejdzie przy panu Tercjuszu, ale założę się, że pan Poniński doznałby wstrząsu, gdyby pokazał mu się pan w zdekompletowanym ryszunku – zatroszczył się Mateusz, z zaangażowaniem dociskając swemu pracodawcy supeł krawata.

– O ile wcześniej ty mnie nie udusisz – dodał Morawski.

W rzymskim gabinecie zastał właściciela i – ku swemu zdumieniu – panią Barbarę. Mariusz stał plecami do wchodzącego, ręce trzymał założone z tyłu i wpatrywał się w coś za oknem. Kobieta siedziała na krześle w pobliżu biurka, ale głowę miała tak nisko opuszczoną, że Jan mógłby policzyć wszystkie kręgi szyjne widoczne poniżej luźnego splotu włosów. Żadne z nich nie zareagowało na wejście Morawskiego, który w pierwszej chwili nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ruszył w głąb pokoju, celowo stukając obcasami bardziej, niż to było konieczne. Stanął przy biurku i czekał.

Nagle pan Poniński podszedł do jednej z szafek i dotknął marmurowego posążka kobiety z wagą w dłoni. W końcu się odezwał:

– Gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy powiedziałem panu, że nie istnieje... nie może istnieć żaden powód, dla którego mój młodszy syn mógłby życzyć swemu bratu śmierci – przerwał i spojrzał zachmurzony na panią Barbarę, która lekko przekrzywiła głowę, lecz jej nie uniosła. Mówił dalej bardzo poważnym głosem: – Nadal jestem przekonany, że to nie Edward dopuścił się tego czynu, ale muszę... czuję się w obowiązku poinformować pana, iż być może istniała przyczyna animozji między nimi.

Pani Barbara siedziała nieruchomo, jakby była jednym z kamiennych posągów wypełniających ten dom. Jan przesuwiał wzrok z niego na nią, skonfundowany, niezdolny zrozumieć, o co może chodzić. Mariusz dokończył:

– Okazuje się, że Edward żywił... pewien afekt do swej bratowej.

– Afekt?

– Tak. Czuły afekt.

Janowi przypomniały się zdjęcia. Więc jednak. Popatrzył pytająco na kobietę. Uniosła

twarz pokrytą jaskrawymi rumieńcami i rzuciła zdławionym głosem:

– Kochał ją. Zakochał się w niej w dniu jej ślubu.

– Powiedział to pani?

– Widziałam to. Od razu. Był zrozpaczony. Dałam mu do zrozumienia, że to zauważyłam.

– Potwierdził?

– Tak.

– Czy wie pani coś więcej?

– Wiem, że to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Do rozmowy włączył się pan Poniński poirytowanym tonem:

– Musiała taka być, bo przecież wcześniej się nie widzieli. Później zresztą też tylko raz czy dwa. Wyłącznie z okazji świąt. Nawet ojcem chrzestnym Natalii Edward został *per procura*. Tercjusz go zastąpił.

– A ona? Pani Lili? – zapytał Jan nieopatrznie.

– Co ona? – zjeżył się Mariusz.

– Czy... wiedziała o uczuciu Edwarda? – wybrnął Morawski.

– Proszę mnie nie pytać.

Jan przeniósł wzrok na panią Barbarę, która siedziała ze splecionymi ramionami. Odezwała z ociąganiem:

– Trudno mi powiedzieć. Czasami, gdy było jej ciężko – Morawski zauważył, że senior rzucił jej badawcze spojrzenie – gdy była smutna... czasami wydawało mi się, że ma jakąś tajemnicę, z której czerpie siłę...

Na czole Ponińskiego ukazały się głębokie bruzdy, więc Jan czym prędzej spytał:

– Czy ktoś z państwa wie, o co bracia pokłócili się tamtego wieczoru?

– Nie – odpowiedział Mariusz. – Zupełnie nie. Nie łączyła ich może przyjaźń – za bardzo się różnili. Ale jestem pewien, że byli do siebie przywiązani.

Mówił tak stanowczym tonem, jakby ludzkie uczucia można było rozpoznawać i klasyfikować tak samo łatwo, jak wydarzenia. Kobieta chyba nie podzielała tego przyjemnego przekonania, gdyż uparcie milczała.

– Czy zmarły wiedział cokolwiek o miłości Edwarda do pani Lili? – Morawski drażył temat. – Czy coś podejrzewał?

Zagadnięta splotła dłonie, lecz nic nie powiedziała. Mężczyźni wpatrywali się w nią z napięciem i Jan nie wytrzymał:

– Pani Barbaro?

– Wcześniej nie wiedział. Na pewno. Dopiero teraz, już po śmierci Lili, zaczął o tym wspominać. Coraz częściej.

– O tym?

– Mówił, że nie można być pewnym własnego brata. Że policzy się w Edwardem. Na początku nie rozumiałam, o co chodzi – oddychała spazmatycznie. – Ale zachowywał się coraz gwałtowniej. A raz nawet... – zabrakło jej powietrza.

– Spokojnie – Jan przykucnął przy jej krześle, by zajrzeć jej w twarz. Dotknął tych zaciśniętych dłoni, zlodowaciałych mimo upału.

– Co raz nawet? – z nienaturalnym spokojem spytał Mariusz.

– Raz nawet, gdy zobaczył Natalię w ogrodzie, powiedział, żebym zabrała mu sprzed oczu tego bachora.

Cisza. W jadalni ktoś stukotał talerzami, zabręczały sztućce. Przez uchylone okno wpadła pszczoła i krążyła po pokoju, nadaremnie poszukując źródeł nektaru.

Jan wstał i podszedł do okna. Gdyby usłyszał to wszystko tuż po przyjeździe, natychmiast by wyjechał, bo to przesądzało sprawę. W międzyczasie jednak dowiedział się o Gustawie, nieznanym mężczyźnie, opinii lekarskiej w sprawie stanu zdrowia seniora i groźbach z Galicji. Teraz nie wykluczał niczego. Także winy Edwarda.

Podszedł do owej figurki, której przedtem dotykał senior. Na podstawie widniał napis *Iustitia*. Zresztą waga w dłoni nie pozostawiała wątpliwości, że kobieta symbolizuje sprawiedliwość. Było coś imponującego, a jednocześnie przerażającego w tej surowej bezstronności, którą okazał pan Poniński. Zgłosił fakt obciążający jego syna. Nie wierzył w winę Edwarda, ale uczciwość kazała mu o wszystkim poinformować prowadzącego śledztwo.

Morawski odwrócił się w stronę pokoju. Nie był jeszcze gotów odnieść się do ostatniej rewelacji, która wywróciła do góry nogami formującą się w jego głowie koncepcję, ale postanowił wykorzysta nadarzącą się okazję, by zweryfikować to, czego dowiedział się po obiedzie:

– Tuż po pogrzebie pani Lili, a jeszcze przed przyjazdem pana Edwarda, pojawił się tu jakiś człowiek i krzykiem domagał się rozmowy z panem Adamem. Czy wiedzą państwo, kim on był?

– Nie, nigdy go nie widziałem – odparł senior.

Pani Barbara tylko pokręciła przecząco głową. Jan zabębnił palcami po blacie:

– Kto zajmował się panem Adamem w czasie jego pobytów w domu?

– Seweryn – tym razem kobieta zdołała wydobyć z siebie głos. – Ten, który pana odprowadził po przyjeździe na górę.

– Doskonale, chciałbym z nim zamienić kilka słów.

– Wszyscy jesteśmy do pańskiej dyspozycji – oświadczył pan Poniński. – Cała służba została o tym poinformowana.

Nagle Barbara uniosła głowę. Wpadające promienie oświetliły jej twarz, na której pod rumieńcami Jan zauważył jakąś dziwną wysypkę. Musiała się pojawić teraz, bo wcześniej jej skóra była bez skazy.



– I ja dlatego do pana przyszedłam, panie Adamie. W przeciwnym razie nigdy bym tego nie wyjawiała – zwróciła się błagalnie do Mariusza. – Bo to przecież tajemnica Edwarda. Ale pan polecił zrobić wszystko, by pomóc... – w tym momencie zadławiła się, a z oczu popłynęły jej łzy.

– Bardzo słusznie postąpiłaś, moja droga – pocieszył ją senior, a w jego głosie brzmiała szczerość. – Nie turbuj się tym. Edward tego nie zrobił. Zresztą sami widzicie, że gdy tylko uświadomił sobie swe niewłaściwe uczucia wobec Lili, przestał tu przyjeżdżać – odchrząknął i stanął wyprostowany, z podniesioną głową i czarnym błyszczącym okiem. – Jestem pewien, że tę zbrodnię popełnił ktoś spoza pałacu. Przypuszczam, że Adam komuś się naraził. Może by pan sprawdził – to była sugestia pod adresem Jana – wszystkie wygrane przez Adama procesy? Bo w jego pokoju niczego pan nie znalazł, prawda?

Jan, rozdrażniony zaślepieniem seniora, nie raczył odpowiedzieć. Był zły na siebie, że wbrew swej woli przyłączył się do grona osób znajdujących się pod hipnotycznym najwyraźniej wpływem Mariusza i nie potrafi wygarnąć mu prawdy prosto w oczy. Nagle jednak zreflektował się, że chyba sam pan Poniński podsunął mu metodę zakończenia tej fikcji: może powinni razem przejrzeć dokumenty zmarłego?

Na razie wyglądało na to, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia.

– Poszukam Seweryna – oznajmił Morawski i podszedł do drzwi.

– Dziękuję – odrzekł pan domu, po czym z założonymi na plecach rękoma odwrócił się w stronę okna.

Pani Barbara wstała i bez słowa ruszyła do wyjścia. Gdy we dwójkę znaleźli się poza gabinetem, Jan stwierdził:

– To rzuciło trochę inne światło na całą sprawę.

– Obawiam się, że wszyscy z uporem zamykaliśmy oczy. A historie biblijne powtarzają się wciąż na nowo.

## Rozdział 9.

Niczym nie skomentowała tego porównania, a Jan nie pytał. Szła przed nim i widział, jak ukradkiem wyciera twarz.

Już w holu przypomniała sobie o prośbie gościa.

– Wydaje mi się, że Seweryn nakrywa w jadalni do kolacji. Czy mam go przysłać do pańskiego pokoju?

Morawski za wszelką cenę chciał stworzyć sobie w tym domu azyl niedostępny wstrętnemu lokajowi.

– Nie, nie chciałbym go – prawie powiedział: „tam wpuszczać”, ale zdołał się powstrzymać – kłopotać. Może pójdę do niego do jadalni?

– Obawiam się, że o tej godzinie nie znajdzie pan tam spokoju. Może porozmawiacie w tym małym saloniku przy gabinecie pana Adama?

– Doskonale. Poczekam tam.

Skinęła głową i odeszła, zakładając po drodze czarny jedwabny fartuch, który chyba odłożyła na ławę w holu, idąc do gabinetu seniora.

Jan wrócił do saloniku. Pokój ten położony był po wschodniej stronie budynku i dlatego o tej godzinie powoli zalegała tam miękka szarość. Stał przy oknie, oparł się o parapet i podziwiał idealną symetrię frontowego dziedzińca honorowego, z podjazdem i starannie utrzymanymi gazonami. Ich obwódkę stanowił niski bukszpanowy żywopłot, natomiast środek wypełniały krzewy kwitnących na czerwono róż. W tle widoczna była jedna z dwóch ćwierćkolistych arkad i południowa oficyna, a w oddali brama i domek odźwiernego. Jan obejrzał się w stronę holu, ale nikt nie nadchodził. Nie dobiegał też stamtąd żaden dźwięk, mimo że zostawił drzwi do pokoju otwarte. Spokojnie wrócił do wyglądania przez okno, gdy niespodziewanie usłyszał metr za sobą głos Seweryna. Lokaj wynurzył się spod wielkiej palmy niczym wąż spomiędzy gałęzi drzewa poznania dobra i zła. Czarny, gładki, połyskliwy.

– Życzył pan sobie ze mną rozmawiać?

– Tak, dowiedziałem się od pana Ponińskiego, że to... ty – Jan z wielkim trudem użył tego zaimka, ale było to nie do uniknięcia – zajmowałeś się młodym panem Adamem.

Odpowiedzią był ukłon i pełen udawanej skromności uśmiezek.

– Tak jak już panu wspomniałem, zajmowałem zaszczytne stanowisko kamerdynera dziedzica.

– Może powiesz mi coś o nim?

– To był skończony dżentelmen – lokaj z żalem pokiwał głową. – Rzadko się takich spotyka.

– Doprawdy? – to była dla Jana autentyczna nowość.

– Doskonale rozumiał różnice społeczne, nigdy nie spoufalał się z młodszymi lokajami. Miał prawdziwie wielkopańskie obejście. Nie ukrywam, że stawiałem go sobie za wzór. Niedościgniony, oczywiście – zazaczył Seweryn. – I z dumą muszę przyznać, że cieszyłem się jego wielkim zaufaniem.

Ze wszystkich możliwych derekomendacji dla Seweryna, ta zdaniem Jana była najskuteczniejsza. Zastanawiał się, czy lokaj coś wie o sprawkach swojego ideału, ale jeżeli nawet, to i tak Morawski miałby kłopot, aby taką wiedzę z tego obwiesia wydobyć, bo odczuwał do niego taki wstręt, że nawet nie potrafił zmusić się do prawienia mu pochlebstw.

Przełknął ślinę i mimo wszystko spróbował czegoś się dowiedzieć:

– Słyszałem, że wcześniej tego dnia pan Adam miał gościa. Podobno ten człowiek najpierw się awanturował, ale w końcu doszło między nimi do rozmowy. Czy coś ci wiadomo o tym jegomościu?

– Nic. Zupełnie nic – przyznał Seweryn po chwili wahania, aczkolwiek trudno byłoby osądzić, czy kłamał, czy żałował, że nic nie wie.

– A może już go kiedyś widziałeś?

– Nie – padła szybka odpowiedź.

– A zdołałeś mu się przyjrzeć tego dnia? Zauważyłeś, jak wyglądał?

– Taki średniego wzrostu. Dużo niższy od pana. Blondyn, ale z prześwitami. Nie wyglądał na kogoś z towarzystwa. I wyrażał się prostacko – Seweryn prychnął z pogardą.

– A jak był ubrany?

– Jasny płaszcz i kapelusz. Od dawna nieczyszczone. Tanie i w złym guście. Prócz tego laska.

– W czasie burzy byliście we wspólnej sali przy kuchni, prawda?

– Tak, niestety mamy tylko jedno takie pomieszczenie, przez co służący o wyższej pozycji muszą przebywać razem ze zwykłymi posługaczkami.

Jan tego nie skomentował, natomiast usiłował przypomnieć sobie wszystkie etapy tamtego wieczoru, w których brał udział lokaj.

– To ty słyszałeś odgłosy kłótni od strony pokoi pana Adama?

– Tak.

– Ale nie rozpoznałeś głosów?

– Nie.

Jan zamierzał przeprowadzić tę rozmowę na stojąco, ale ten człowiek bez przerwy się do niego konfidencjonalnie zbliżał i nachylał, więc w końcu Morawski zaproponował, by usiedli, gdyż liczył, że w ten sposób łatwiej uda mu się zachować dystans.

– Ty sprzątałeś pokój pana Adama?

– Gdy przebywał w domu, utrzymywałem tam porządek. Sprzątaniem zajmowała się pokojówka. Pod moim nadzorem, rzecz jasna.

– A w czasie tego ostatniego pobytu?

– Nikomu nie pozwalałem tam wchodzić – Seweryn z ubolewaniem pokręcił głową. – Ale to pewnie dlatego, że był pogrążony w bólu po stracie żony. Pozwolił tam wejść tylko pani Barbarze. Zaledwie dwa lub trzy razy.

– Czy pan Adam miał w pokoju broń?

– Dawniej trzymał pistolet w szufladzie biurka. Ale już od kilku miesięcy na nic takiego się nie natknąłem.

– A widywałeś w jego pokoju takie ampułki? – Jan dłonią zademonstrował przedmiot o wysokości mniej więcej dziesięciu centymetrów. – Małe buteleczki?

– Nie – to „e” było bardzo długie. – Nie przypominam sobie – temu zapewnieniu towarzyszyło nieruchome spojrzenie, a Morawski po wielokroć miał okazję się przekonać, że wbrew powszechnemu mniemaniu nieodwracanie wzroku nie jest dowodem szczerości.

– Pytam, bo znalazłem wyściełane puste pudełka, lecz nigdzie nie natrafiłem na ślad tych szklanych fiolek. Zastanawiałem się, co się z nimi stało.

Jan został obdarzony tylko przepaszającym uśmiechem. Rozmówca wzbudzał w nim coraz silniejsze obrzydzenie. W marnym oświetleniu te świecące włosy, połyskliwa kamizelka i przenikliwe oczka sprawiały odrażające wrażenie. W pewnej chwili Morawski gotów był przysiąc, że dostrzegł ostro zakończony język.

– Znałeś dobrze pana Edwarda?

– Nie – lekceważenie w głosie lokaja było słyszalne. – Pracuję tu od dwunastu lat. Od czterech czy pięciu pan Edward prawie w ogóle tu nie przyjeżdżał, a przedtem spędzał tu tylko wakacje. Ale mój pan... pan Adam znaczy się... nie był zadowolony z postępowania brata. Mówił, że zhańbił rodzinę, bo prawdziwy arystokrata nie powinien się zniżać do pracy zarobkowej.

– A co ty o nim sądzisz?

– Ja też uważam, że nie ma ani dumy, ani klasy – odpowiedział totumfacki zastrzelonego Ponińskiego, po czym z własnej inicjatywy zbliżył się do tematu, który najbardziej interesował Jana: – Zastanawiałem się, kto mógłby dopuścić się takiej zbrodni. Najpierw myślałem, że to faktycznie pan Edward. Jak tu przyjeżdżał to ciągle rysował, więc był artystą, a artyści są nieznównoważeni. Pewnie zazdrościł panu Adamowi tego, że to on wszystko odziedziczył. Tak mówili policjanci. Choć z drugiej strony to też arystokrata, więc z pewnością nie mógłby zachować się nieodpowiednio.

– A teraz zmieniłeś zdanie? – spytał Morawski i trafiło go triumfalne spojrzenie bazyliuszka.

– O tak. Jestem pewien, że to nie był pan Edward.

– Któż zatem?

– Pan Tercjusz.

Jan nie odpowiedział. Siedział i zmrużonymi oczyma przyglądał się wilgotnym dłoniom, gładzącym podłokietnik fotela.

– Coś panu opowiem – lokaj ściszył głos do syczącego szeptu. – To było jakiś tydzień przed morderstwem. Tak, to musiało być jakoś tak, bo jeszcze żyła pani Lili. Siedzieli przy kolacji – pan Adam, pan Tercjusz i pani Barbara. Pan Tercjusz mówił o niegospodarności i przyrodnych braciach. I na własne uszy słyszałem, jak powiedział, że nawet pan Poniński nie zdołałby uratować swojego przyrodniego brata.

– Pan Poniński ma przyrodniego brata???

Jan aż się wewnątrznie poderwał, ale natychmiast osadziło go kolejne zdanie, lokujące poprzednie stwierdzenie w kategorii nadinterpretacji i koloryzowań.

– To znaczy nie powiedział tego wprost, ale to wynikało z rozmowy. I jeszcze coś wspomniał o Raczyńskich. Ale nie zrozumiałem dokładnie, o co chodziło, a on nic więcej nie dodał, bo nasz pan spojrzał na niego znacząco, jakby chciał go uciszyć ze względu na obecność moją i Jacentego. I dlatego uważam, że to pan Tercjusz jest tym bratem. Przecież wszyscy wiedzą, że zmarnotrawił cały swój majątek i siedzi tu jak taki żebrak. Je za trzech, opróżnia piwniczkę i nie stać go nawet na płacenie służbie.

Morawski próbował znaleźć ogniwo, którym mógłby połączyć przyrodnych braci, w tym jednego bankruta, ze sprawą Raczyńskich. Zaraz. Czy to nie Tercjusz wspominał coś o tej rodzinie?

Jan nie był jednak w stanie przypomnieć sobie, o co chodziło, gdyż wpatrywał się w giętkie, jakby pozbawione kości palce lokaja, bezustannie owijające się wokół czegoś, z braku innych obiektów chociażby wokół siebie. I chyba dlatego nie widział nawet związku między tematami poruszonymi przy kolacji a kwestią odpowiedzialności za śmierć młodego Ponińskiego.

– A jaki to ma związek z morderstwem? – spytał wreszcie.

– Przecież to jest ordynacja – Seweryn patrzył na niego jak na półgłówka. – Więc dziedziczą mężczyźni. Skoro najstarszy został zabity, a młodszy skazany, więc zaczną szukać innych męskich krewnych. I znajdą. Przyrodniego brata, czyli pana Tercjusza.

Jan siedział ze zmarszczonym czołem i najwyraźniej nie chciał obsadzić miłego pana w roli zabójcy. Lokaj postanowił wszystko mu wytłumaczyć:

– Spędził pan dzisiaj trochę czasu z panem Tercjuszem, prawda? A powiedział panu, czym się zajmuje?

– Kataloguje księgozbiór.

– Pan Tercjusz całymi dniami siedzi w bibliotece i wertuje szpargały. Pewno coś znalazł. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że nasz pan, taki rządny i pracowity, znosi podobnego pasożyta? Po prostu muszą być spokrewnieni. Choć trzeba zauważyć, że nasz pan zupełnie nie dba o swoją godność i utrzymuje kontakty z osobnikami poniżej swej rangi.

Jan nie był zainteresowany, czy senior się pospolituje. Bardziej intrygowała go sprawa powiększającej się rodziny pana Ponińskiego.

– Słyszałeś wcześniej coś o tym bracie?

– Nigdy. Zresztą pan Tercjusz chyba całkiem niedawno to odkrył i dlatego zaplanował morderstwo.

– Coś więcej mówili wtedy przy kolacji?

– Nie. Tylko jeszcze coś, że czasami sytuacja jest beznadziejna i tonącego nie da się uratować. Pan Adam szybko nas odprawił – mnie i Jacentego. Planowałem dowiedzieć się czegoś od pani Barbary, ale ona tego wieczoru szybko wyszła z jadalni, bo dostała migreny. Opuściła swój pokój dopiero następnego dnia, jak pani Lili poczuła swój czas. Dobrze, że pani Barbarze się poprawiło, bo lekarz nie zdążył dojechać, a zresztą nawet gdyby zdążył, to i tak by nie pomógł – to jakiś niewydarzony młodzik. Zastępca. A później nie miałem już okazji porozmawiać z panią Barbarą.

– Myślisz, że ona coś o tym wie?

– Raczej nie – powoli pokręcił głową. – Skoro ja dotychczas o tym nie słyszałem... Poza tym powiedziałaby mi, bo cieszę się jej zaufaniem. Już teraz ściśle współpracujemy, a stanę się jej prawą ręką, gdy tylko biedny Jacenty odejdzie ze służby.

– Takie ma plany? – Jan przypomniał sobie, że uderzył go chorobliwy wygląd marszałka.

– To oczywiste, że w takiej rezydencji jak ta mogą pracować wyłącznie sprawni i kompetentni służący. Mam nadzieję, że przy wyznaczaniu nowego majordomusa pan Poniński zechce rozważyć moją skromną kandydaturę.

Morawski tymczasem próbował opanować pędzące myśli. Znalazł szczelinę w konstrukcji stworzonej przez lokaja:

– A Gustaw? Najmłodszy syn?

Temat musiał zostać gruntownie przemyślany, gdyż Seweryn odpowiedział bez wahania:

– Nikt o nim nie słyszał od dziesięciu lat. Myśli pan, że człowiek z takiego domu, przyzwyczajony do życia na odpowiednim poziomie, dałby sobie radę sam? Gdy oznajmił, że jego noga tu nie postanie, pan Adam mu zapowiedział, żeby nie liczył na jakiegokolwiek apanaże. A nasz pan nie rzuca słów na wiatr. O, nie! Skoro panicz Gustaw się nie odzywa, to znaczy, że nie żyje.

Jan nie mógł odmówić logiki takiemu rozumowaniu. Seweryn chyba dostrzegł swym przenikliwym wzrokiem, że opór rozmówcy się kruszy, bo tłumaczył dalej, chcąc pozyskać stronnika dla swojej teorii:

– A może pan Adam wie o śmierci syna i zwierzył się panu Tercjuszowi? Albo on znalazł list? Moim zdaniem pan Tercjusz po prostu trafił na świadectwo swego pochodzenia i teraz chce objąć majątek. Wszystkich zmylił tą swoją dobrodusnością. Tylko młody pan Adam się na nim poznał. Zawsze powtarzał, że to spryciarz i leń.

Jan otrząsnął się z fatalnego stanu. Na chwilę prawie uwierzył w winę Tercjusza! Seweryn nie spostrzegł tego przebudzenia i nadal sączył jad:

– A jeśli chodzi o pana Gustawa i jego śmierć, to niewielka strata. Ja osobiście słabo go znałem, ale słyszałem od panicza Adama, że to był kawał łobuza, który zupełnie nie

liczył się z nikim i nie respektował praw starszeństwa. Bez przerwy płatał niewymyślne figle, wdawał się w awantury i na każdym kroku sprawiał kłopoty.

Jan miał go dość. Znów był sobą i z radością sobie uświadomił, że im bardziej tamten wygaduje na Tercjusza i nieznanego Gustawa, tym większą on – Jan – czuje do nich sympatię.

– Czy mogę jeszcze czymś się panu przysłużyć? – wypolerowana czaszka Seweryna niebezpiecznie zbliżyła się do rozmówcy.

– Nie, myślę, że na razie to wszystko.

– Gdybym w czymkolwiek mógł panu pomóc, proszę się nie wahać. Zwłaszcza gdyby chodziło o specjalne zlecenia, których nie chciałby pan powierzyć byle komu. Jeśli istnieje jakaś cecha, którą przedkładam ponad wszystkie inne, to jest to z pewnością dyskrecja.

Jan nie odpowiedział. Podnieśli się i wtedy Morawski zapytał:

– A wiesz cokolwiek o jakiejś dziewczynie z Galicji? Po- noć popełniła samobójstwo i jej bliscy grozili Adamowi juniorowi.

– Nie bądźmy śmieszni – słowom towarzyszył pogardliwy uśmieszek. – Kto by się upominał o jakąś wiejską dziewczkę?

Seweryn zmrużył oczy jak prawdziwy gad i chyba czekał na ciąg dalszy. A Jan, choć wcześniej planował, że zapyta go również o guwernantkę, teraz z tego zrezygnował, gdyż poważnie się obawiał, czy zdzierży jeszcze jedną podobną odpowiedź.

Wrócił do swojego pokoju, zdjął marynarkę, nalał do miednicy wody, umył ręce, a potem zęby i ponownie ręce.

Mateusz wyszedł z bocznego pomieszczenia i przyglądał się tym ablucjom ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego pan tak się miota?

– Musiałem się odkazić. Rozmawiałem z Sewerynem.

Mateusz pokiwał głową i z szuflady stolika nocnego wyciągnął srebrną piersiówkę. Odkręcił ją i podał Janowi.

– Potrzebuje pan czegoś mocniejszego.

Morawski uznał słuszność tej rady i wypił kilka łyków. Nabral głębiej powietrza, gdy trunek palił mu gardło i niczym lawa spływał w dół przełyku.

– Dowiedział się pan czegoś?

Jan spojrzał na niego z ukosa.

– Edward od pięciu lat kochał Lili.

Mateusz przez chwilę milczał, po czym wyciągnął rękę.

– Wie pan co? Ja też muszę się napić.

## Rozdział 10.

– W pierwszej chwili zrozumiałem, że dowiedział się pan o tym od tego wstrętnego Seweryna. Ale skoro pani Barbara to powiedziała...

– Nie. To nie Seweryn. On twierdzi, że to pan Tercjusz jest mordercą.

– Co???

– Podśłuchał jakieś fragmenty rozmowy przy kolacji. Ze dwa tygodnie temu. Coś o przyrodnich braciach, którzy zbankrutowali. I chyba coś o Raczyńskich. Senior wzrokiem uciszył pana Tercjusza i z tego nasz ulubieniec wykoncypował, że skoro pan Tercjusz zbankrutował, a poza tym mieszka tu za darmo i cieszy się sympatią pana domu, to musi być jego krewnym.

– Wiedziałem, że jest wredny, ale żeby jeszcze głupi? – prychnął Mateusz.

– Resztę opowiem ci później. Nie wyciągaj tej koszuli. Nie znoszę tego sztywnego kołnierzyka.

– Ależ sam Charvet zaprojektował ją dla księcia Walii!

– Nie zamierzam się w niej katować. Zostaję w tej, w której byłem po południu.

Mateusz tylko pokręcił głową i przyniósł dwa krawaty do wyboru. Morawski sięgnął po jeden ze swych ulubionych, szary w ukośne bordowe i ciemnopopielate paski. Stał przed lustrem, odsunął kir i z wprawą zawiązał węzeł windsorski. Kamerdyner czujnym okiem obserwował te manewry, później skontrolował efekt i skinął głową z aprobatą. Z wieszaka zdjął kamizelkę. Jan znowu się skrzywił:

– Przecież będziemy tylko we trójkę. Zlituj się i nie każ mi tego wkładać.

– To pierwszy wieczór. Lepiej, żeby był pan ubrany zbyt starannie niż zbyt niedbale. I tak mam wątpliwości, czy ten szary garnitur jest wystarczająco elegancki.

Morawski z niechęcią włożył najpierw kamizelkę, a potem marynarkę. Zanim jednak wyszedł, przypomniało mu się dość zagadkowe zachowanie Mateusza:

– O co chodziło z tą pomocą Jacentemu? – gdy tylko zauważył urażone spojrzenie przyjaciela, uświadomił sobie własny nietakt. – No przecież wiem, że zawsze starasz się pomóc, ale teraz jakoś bardziej ci zależało.

– To dłuższa historia. Zresztą to zaledwie podejrzenia. Muszę się jeszcze upewnić.

– Czyżby nie tylko dziedzic tego domu prowadził podwójne życie? – zażartował Morawski, ale kamerdyner się nie uśmiechnął. Jan już chciał się cofnąć i wypytać o przyczyny tego niepokoju, ale rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że dochodzi wpół do ósmej:

– Idę.



– Nie słyszałem gongu.

– W domu żałoby nie będą uderzali w gong.

W holu na parterze czekał pan Tercjusz. Na widok zbiegającego ze schodów Morawskiego wstał:

– Adam przeprasza, ale coś go zatrzymało i dopiero się przebiera. Poczekajmy na niego w jadalni.

Gdy tylko tam weszli, zaproponował:

– Może sherry?

Jan skinął głową. Bibliotekarz podszedł do ekspozycji butelek, karafek i dwóch miedzianych syfonów, nalał ciemnobursztynowego płynu do niewielkich kieliszków i wrócił z nimi do gościa:

– Powinienem, co prawda, zaprowadzić pana do salonu, żebyśmy tam poczekali na Adama, ale nie mam ochoty na te ciągłe przenosiny. Zostawimy drzwi uchylone i dzięki temu usłyszymy, jak nasz gospodarz nadchodzi. Szybciutko wstaniemy i będziemy udawać, że grzecznie tu na niego czekaliśmy.

Jan zaśmiał się, usłyszawszy tę sztubacką propozycję, a potem rozejrzał się dookoła. W pokoju, położonym w zachodnim traktcie, było ciągle jeszcze jasno, jednak na końcu stołu zapalono już w ogromnych kandelabrach świece, które rzucały przyjemny blask na srebrną zastawę i sztucce, a także podkreślały królewski błękit, typowy dla sewrskiej porcelany.

Tercjusz wskazał gościowi to samo miejsce, które Morawski zajmował przy obiedzie, sam jednak nie zasiadł u szczytu stołu, najwyraźniej pozostawiając honorowy punkt panu domu. Gdy Jan spytał o prawdziwość tego domysłu, pan Drojewski odrzekł, zabawnie ścisząc głos:

– Coś panu powiem. To się tylko nazywa zaszczyt. W rzeczywistości ten, kto tam siedzi, płaci za wszystkich.

– Młoda dama nie będzie nam towarzyszyć?

– Za późno. Młoda dama zjadła jakąś tapiokę czy inne paskudztwo, wysłuchała bajki – zapewne o księżniczce – i poszła spać.

Sączyli sherry i było tak przyjemnie, że Jan raz nawet spróbował wygodnie się usadowić, jednak krzesel o drewnianych oparciach nie stworzono z myślą o komforcie.

– Przed posiłkiem nie ma jak dobre amontillado – pochwalił swój własny wybór Tercjusz.

– A próbował pan rob roya?

– Nie, ale sama nazwa już mi się podoba.

– Szkocka whisky i wermut. Z lekką domieszką angostury.

– Wszystko mamy. Jutro pan przyrządza i mnie zaprasza.

Morawski skinął głową, a rezydent otarł usta serwetką i niespodziewanie oznajmił:

– Tak sobie myślałem o tym szubrawcu. Wie pan, o tym, co tu był tego dnia. U juniora – Jan kiwnął głową i wpatrywał się w rozmówcę pytająco. – Może ten człowiek stąd nie wyjechał, a tylko zaczął się gdzieś w okolicy? I wieczorem wrócił. Co pan na to?

– Mógł. Tak by było najwygodniej.

– Najwygodniej?

– Tak, najwygodniej dla nas wszystkich. Żeby to był ktoś z zewnątrz.

Po krótkiej chwili Jan kontynuował temat morderstwa – wcześniej wprawdzie obiecał sobie, że podczas posiłku nie będzie zdręczał otoczenia tą niespecjalnie apetyczną sprawą, jednak teraz poczuł się zwolniony z tego dobrowolnego postanowienia:

– A ta guwernantka? – A widząc okrągłe oczy Tercjusza, wyjaśnił: – Ta Angielka, która się opiekowała Natalią. Kiedy wyjechała?

– Kilka miesięcy temu.

Zgadzało się to ze słowami Tadeusza, który twierdził, że widzieli tę dziewczynę na dworcu około Wielkanocy. Mówił dalej:

– Junior ją prześladował, więc uciekła. Sam pan to potwierdził – przypomniał, widząc, że zakłopotany Tercjusz niespokojnie się kręci. – Czy mogła być w ciąży? Panie Tercjuszu?

Biedny pan Drojewski zarumienił się (w tym wieku!) i zaczął płatać:

– Ja nie wiem, czy on... czy oni...

– Czy do czegoś doszło? – usłużnie podsunął Jan, choć chciało się powiedzieć: „Czy ją w końcu dopadł”.

– Właśnie.

– Mogła być w ciąży?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że... że ona nie chciała... Dlatego uciekła. Gdyby się znalazła w... kłopotcie, na pewno by jej nie wyrzucono. Barbara już kiedyś okazała wyrozumiałość dziewczynie podkuchennej, która... nawiązała... znajomość z jednym z ogrodników. Pozostawiła ją w pracy, aczkolwiek nie w pałacu.

Nagle usłyszeli trzask odległych drzwi i kroki w holu. Zerwali się z krzeseł niczym dzieci przyłapano na łasowaniu w spiżarni.

– Przepraszam – odezwał się pan Poniński od progu. – Chcieliśmy wypróbować nową żniwiarkę i nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu. Nie zaczęliście jeszcze? Następnym razem, Tercjuszu, wydaj polecenie, by podawano beze mnie. Nie możemy dopuścić, aby nasz gość głodował.

– Nie grozi mi to. A teraz trochę sobie pogawędziliśmy.

Służący chyba trwali w oczekiwaniu na zjawienie się pana domu, bo gdy tylko zajęli swoje miejsce, otworzyły się drzwi i do jadalni weszli Walek z Jacentym. Ten ostatni przypominał skrzyżowanie czapli z gawronem. Ubrany był w spodnie do kolan, jaskółkę [Z], pończochy i za duże buty. Poruszał się również jak ptak – z wysokim unoszeniem

kolan. Morawski z trudem opanował rozbawienie.

Młody lokaj postawił na stole zakryty półmisek i zniknął, natomiast Jacenty nalał do kieliszków białego wina i również wyszedł.

– Nie wiem – odezwał się senior – czy nie uzna pan naszych posiłków za zbyt skromne. Ograniczamy się zazwyczaj do dwóch dań.

Zanim Jan zdążył uspokoić gospodarza, Tercjusz uniósł pokrywę i ich oczom ukazało się koliste dzieło sztuki – w rant uformowany z ryżu wbito niewielkie jajka, a środek korony wypełniono gęstym sosem. Pomiędzy jajkami tkwiły racze szyjki.

– Jajka czajcze z rakami – oznajmił z dumą Tercjusz. – Na powitanie naszego gościa – dodał, unosząc kieliszek.

Jan podziękował i spełnił toast. Wino było łagodne i idealnie chłodne. Tercjusz najpierw podał półmisek seniorowi, potem Janowi, a na końcu sam sobie nałożył, tak lawirując łyżką, by uniknąć zbędnego dodatku ryżu. Pan domu sięgnął po koszyczek z chlebem i uznał za stosowne wyjaśnić:

– Widzi pan, ja wszystko jem z chlebem. Tercjusz ze mnie dworuje, że nawet ziemniaki jadłbym z chlebem.

– Ja jem wszystko z mięskiem – wtrącił pan Drojewski. Kroił jajka i mieszał je z sosem rakowym. – Już nie mogę doczekać się głównego dania.

– A co zadysponowałaś?

– Rostbef po angielsku. Moja ulubiona potrawa. Choć może nie powinienem był, skoro na obiad jedliśmy steki.

Z mruknięcia pana Ponińskiego trudno było wywnioskować, czy pomysł przyjaciela spotkał się z jego aprobatą. Po chwili Tercjusz sięgnął po półmisek i pytająco spojrzął na Jana.

– Może jeszcze? – gdy Morawski gestem ręki podziękował, pan Drojewski rzucił w stronę gospodarza: – Adamie, tobie nawet nie proponuję.

Nałożył sobie pozostałe jajka i między kolejnymi kęsami wesoło komentował:

– Nie chciałbym, aby pan Jan odniósł wrażenie, że to tylko ja pokpiwam sobie z twojej miłości do chleba. Ilekroć przyznam sobie zaszczytny tytuł *gourmet*, mój obecny tu przyjaciel prycha i mówi: „Ty *gourmet*? Chyba *gourmand*?” [8].

Senior rozciągnął wargi w uśmiechu, ale widać było, że udaje beztroskę i po tym jednym zrywie nic więcej nie mówił. Po chwili wrócili służący i w czasie, gdy Walek zbierał talerze, Morawski zagadnął pana domu:

– Miałem przyjemność poznać pańską wnuczkę.

– Moją radość – i Jan po raz pierwszy zobaczył na twarzy tego człowieka coś, co można by uznać za prawdziwe ciepło.

Jacenty człapał dookoła stołu, zbierając kieliszki. Na spoconej twarzy miał jaskrawe wypieki. Tercjusz zażartował:

– Coś mi się wydaje, że ty testujesz wina!

– Ależ ja nigdy... – wysapał marszałek. I oburzony zwrócił się do wyższej instancji: – Jaśnie panie, pan chyba nie myśli...

– Oczywiście, że nie. Przecież pan Tercjusz żartuje.

Wrócił Walek i ustawił na stole podgrzewacz, a wtedy Tercjusz zerwał się z krzesła, przyniósł sztucce do tranżerowania mięsa i usiadł, trzymając nóż i widelec niczym buławy.

– Uwielbiam wołowinę – wyznał ponownie.

– To wyjaśnia – skomentował senior – dlaczego tak ci się podobało w Anglii. Studia w Oksfordzie to był tylko pretekst.

Rezydent się zaśmiał, ale nie odpowiedział, gdyż ponownie zjawił się młody lokaj, który w zabezpieczonych białymi rękawicami dłoniach dzierżył brytfannę długości pół metra. Ustawił ją na fajercie i uniósł pokrywę. Najpierw pojawiła się para, a zaraz za nią zapach. Wszyscy, nie wyłączając służących, przełknęli ślinę. Pięć jabłek Adama powędrowało w górę i w dół. Nawet Mariusz, bardziej rzymski niż sam Rzym, nie zdołał zapanować nad narządami zmysłów.

Ich oczom ukazał się imponujących rozmiarów kawałek mięsa, apetycznie pokryty brązową skórką. Tercjusz wstał, mocniej ujął sztucce i zaatakował przedmiot swych westchnień.

– Krojenie mięsa to jedyna praktyczna umiejętność, jaką posiadam.

Z dużą wprawą kroił plastry, przebijając się przez chrupiącą otoczkę i odsłaniając różowe wnętrza. Na czas pieczenia mięsa celowo zachowywano na nim warstwę tłuszczu i oddzielano ją dopiero na talerzu, dzięki czemu wołowina pozostawała cudownie soczysta. Na osobnych talerzykach podano strugany chrzan.

Jan spojrzał na pasjonata rostbefu: wokół szyi zawiązał serwetę wielką niczym śliniak i gdy się pochylał, zawiązane końce sterczały symetrycznie, upodabniając go do gigantycznego królika. Patrząc na swych towarzyszy, Morawskiemu mimo woli zabręczały w głowie słowa Seweryna: „nasz pan, taki rządny i pracowity, znosi podobnego pasożyta”.

Pan Drojewski nałożył po dwa kawałki seniorowi i Janowi, sobie więcej, aczkolwiek trudno powiedzieć ile, bo tak machał nad swoim talerzem, dokładał, odejmował, poprawiał, przekładał, że współbiesiadnicy stracili rachubę.

Mariusz sięgnął po chrzan, za który Jan podziękował.

– Ja kiedyś za tym nie przepadałem – wyjaśnił senior – ale chrzan pomaga mi na artretyzm.

– Ja poproszę – zgłosił się Tercjusz. – Mnie też chrzan pomaga. Dzięki niemu rostbef smakuje mi zdecydowanie lepiej.

Jan podał seniorowi chleb, a sam sięgnął po szparagi i brokuły, serwowane na specjalnym ryflowanym półmisku, dzięki czemu nie nasiąkały wodą.

– Chyba Felicja usłyszała, że jadł pan zupę warzywną – zauważył Tercjusz i wyjaśnił panu Ponińskiemu: – Pan Jan dał dobry przykład dziecku i dzięki niemu Natalia zjadła cały talerz zupy.

– Same kłopoty z tymi dziewczynkami – narzekał dziadek. – Nic jej nie smakuje. A to, co smakuje jednego dnia, niekoniecznie będzie jej smakowało następnego. Barbara ma jeden problem więcej. Trzeba znaleźć jakąś bonę czy guwernantkę.

– Nie przesadzaj – mitygował go przyjaciel. – Barbara uwielbia małą i nie traktuje jej jako problemu.

– Dziwię się, że jesteś przeciwny obecności bony. Część opieki nad Natalią spada na ciebie. Chyba skończy się na tym, że to Barbara będzie musiała znaleźć kogoś odpowiedniego dla małej. Ja mam teraz inne sprawy na głowie. Prace polowe w pełni. A do tego ta przebudowa w Górznie – i tu wyjaśnił Janowi: – To pobliski majątek. Kupiłem go i przygotowywałem dla Adama. Nie mógł się doczekać, kiedy go obejmie.

Zapadła całkowita cisza. Jan sięgnął po kieliszek i wypił kilka łyków burgunda. Zakłopotany Tercjusz zaproponował:

– Panie Janie, może jeszcze kawałek?

– Nie, dziękuję.

Pan Drojewski tęsknie zapatrzył się w naruszoną połać wołowiny i w końcu porzucił skrupuły. Zerwał się i oświadczył:

– Zjem i będę chory. Ale co tam! Raz się żyje!

– Dlaczego pozwalasz sobie na takie obżarstwo? – wytknął mu senior.

– Bo zawsze następnego dnia cierpię i to pozwala mi docenić dobre samopoczucie.

Jan zaśmiał się na tę pokretną logikę. Wiadomo, że sen doceni tylko człowiek, który wcześniej cierpiał na bezsenność. Tymczasem Tercjusz napełnił swój talerz, usiadł i przez chwilę jadł w milczeniu.

W ciszę przerywaną odgłosami krojenia i jedzenia nagle wdarł się głos pana domu:

– Czy powtórzył pan Tercjuszowi, co przekazała nam Barbara?

– Nie, nie wiedziałem, czy życzyłby pan sobie tego.

Tercjusz wypił trochę wina i spoglądał na przemian na obu mężczyzn z miną zachęcająco-wyczekującą.

Pan Poniński poczuł się w obowiązku złożyć oświadczenie:

– Przed kolacją przyszła do mnie Barbara – tu nastąpiła pauza. – Wyznała, że Edward kochał Lili.

Tercjusz głośno przełknął wino, widowiskowo wytrzeszczył oczy i spytał:

– Edward kochał Lili?

– Tak.

Pan Drojewski nie dowierzał, więc spojrzał na Jana, który potwierdził:

– Tak powiedziała pani Barbara.  
– Ale przecież oni prawie się nie znali! – przekonywał stary kawaler.  
– Zobaczył ją na jej ślubie i się zakochał. Od pierwszego wejrzenia – wyjaśnił senior, a Jan dodał:

– Autentyczny przypadek *coup de foudre* [9].

– Ale postąpił tak, jak należało – Mariusz wysoko uniósł brodę. – Przestał tu przyjeżdżać.

– Twój syn Edward kochał twoją synową Lili? – dopiero zadawszy pytanie, Tercjusz uświadomił sobie, że w tym świetle sprawa przedstawiała się szczególnie nieprzyjemnie.

Siedzieli bez słowa. Po chwili senior odsunął krzesło i wstał:

– Proszę mi wybaczyć, panie Janie, że się oddalę. Nie... nie czuję się najlepiej.

– Czy coś...? – Jan również się podniósł.

– Nie, nie. Dziękuję. Chciałbym zostać sam – i wyszedł.

Zamyślony Tercjusz stwierdził:

– To ja już teraz rozumiem – i zapatrzył się w talerz.

– Co takiego?

Pan Drojewski nie odpowiedział, za to przeniósł wzrok z talerza na pokrywę. Jan zrozumiał sugestię i odsłonił naczynie:

– Nie chcę jeść sam – wyznał smakosz.

– Proszę się nie martwić. Zamierzam zjeść te wszystkie szparagi.

– I kawałeczek rostbefu.

– Ale cieniutki.

Z napełnionym talerzem przed sobą Jan spytał:

– Co miał pan na myśli, mówiąc: „To ja już teraz rozumiem”?

– Pamięta pan, jak opowiadałem, że Lili wróciła z podróży poślubnej przerażona? – Morawski przytaknął. Tercjusz trochę zjadł i kontynuował: – Ta ich podróż trwała ze trzy miesiące. Potem byli tu kilka dni i wyjechali na miesiąc. I znowu wrócili, znowu wyjechali. Czułem, że coś jest nie tak, ale... ale wtedy jeszcze mętnie zdawałem sobie sprawę, kim jest Adam – odłożył sztućce. – Wreszcie dostałem list od Edwarda, który chciał się ze mną spotkać. Pojechałem do Poznania. Opowiedział mi, że Adam ciąga Lili po jakichś spelunkach, że każe jej przyjmować najgorszych szubrawców, że... – nie dokończył, tylko machnął ręką.

– Dlaczego nie poszedł pan od razu do pana Ponińskiego?

– Chciałem. Ale Edward nie pozwolił. Powiedział, że ojciec kocha Adama ponad wszystko...

– Ale przecież nie można go bez końca oszukiwać. I tak się dowie.

– Wiem, mój drogi. Wiem – Tercjusz zrobił przepraszającą minę. – Tylko że ja zawsze wolałem metodę chowania głowy w piasek. I ustąpiłem.

– I zostawiliście tę biedną dziewczynę na pastwę takiego nikczemnika?

– Nie. Edward był sprytniejszy. Spotkał się z bratem i zagroził mu, że jeżeli nie zostawi Lili w spokoju w pałacu, to on o wszystkim poinformuje ojca. O długach, hulankach, fikcyjnych studiach.

– I junior się zgodził?

– Tak. Lili była wtedy... przy nadziei, a poza tym chyba już się Adamowi znudziła.

Jakiś czas milczeli, a potem pan Drojewski dodał:

– Uważałem, że Edward się wtrącił, żeby bronić honoru rodziny, ale teraz, po tym, co powiedziała Barbara, już rozumiem, że kochał Lili.

Jan przesuwiał na talerzu szparagi. Stracił na nie ochotę. Tercjusz również nie jadł. Morawski tak ścisnął nóż, że na palcu pojawiła mu się pręga od tępej strony ostrza.

„Chryste – zadreślał się w duchu – co ten człowiek musiał przeżywać? Jego brat katował kobietę, którą on sam kochał.”

Pochłonięty własnymi myślami dopiero po chwili zauważył, że Tercjusz niespokojnie się kręcił. Na czole miał bruzdy, jakby nad czymś intensywnie się zastanawiał. Odłożył sztućce, kilkakrotnie coś do siebie szepnął, biegał wzrokiem po całej jadalni.

– Panie Tercjuszu... – zaniepokoił się Jan, a wtedy ruszył potok słów, zupełnie jakby odkorkowano butelkę szampana.

– Ja przedtem o tym nie pomyślałem... właściwie to prawie o tym zapomniałem... ale zaczął pan pytać o Gustawa... Dotychczas uważałem, że to ktoś z zewnątrz, ale zawsze słyszałem, że mordercą jest ten, kto na tej śmierci zyskuje, a wiadomo, że z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy tak powtarzają – Morawski czuł się tak, jakby ktoś go posadził na karuzeli. – I nie jestem pewien, czy to może mieć jakieś znaczenie, bo przecież mogli się już rozstać. Mogli, prawda? Ale o ile mógłbym głowę dać, że żaden z chłopców, mam na myśli Gustawa i Edwarda, oczywiście, nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił, to zupełnie nie mogę ręczyć za obcą kobietę. Zwłaszcza że to przecież była cudzoziemka – Jan patrzył na niego i na swój kieliszek. Zastanawiał się, co to było za wino i czy czegoś mu do niego dodano. – Ja niewiele wiem o namiętnościach i tego typu sprawach. Jestem, oczywiście, wielbicielem płci niewieściej, choć raczej teoretycznym, ale podobno zdarzają się prawdziwe afekty. Romeo i Julia na przykład. Kobiety bywają namiętne, prawda? I oddane małżonkom. Zdolne do wszystkiego. Szekspir już przecież mówił o kobiecym uporze i rujnowaniu świata – Jan tylko pokiwał głową. – A jeżeli Edward zapalał takim uczuciem do żony brata, to przecież także Gustaw mógłby.

– Zapalać miłością do żony brata? – Morawski uczeplił się tego ostatniego zdania.

– Nie. Zakochać się. Na zabój.

– No, mógłby. Każdy by mógł – Jan czuł, że zgubił wątek. – Ale jaki to ma związek z kobiecym uporem? I ze śmiercią?

– Bo ona... ta żona... mogłaby tak go kochać, że dla niego dopuściłaby się

morderstwa.

– Gdyby Gustaw miał żonę – uściślił Jan. Z niepokojem patrzył na spoconego Drojewskiego. – Panie Tercjuszu, co pan chce przez to powiedzieć?

– Edward wyznał mi kiedyś w tajemnicy, że Gustaw się ożenił. Z Angielką lub Amerykanką.



## Rozdział 11.

– Co tak wcześniej? Nie dali słodkiego? – z bocznego pokoju przy sypialni Jana wyłonił się basza Mateusz z fajką i w szlafroku. Brakowało mu tylko tureckiej czapeczki z chwostem.

Morawski nogą zatrzasnął drzwi, rzucił na krzesło niesioną na ramieniu marynarkę, za którą podążyła kamizelka. Przez głowę ściągnął krawat, a potem uczniowskim zwyczajem zdjął buty bez rozwiązywania, po prostu przydeptując jeden o drugi.

– Ojoj! – zacmokał kamerdyner.

Jan opadł na brzeg łóżka.

– Mamy kolejną koncepcję.

– Która to?

– Nie wiem.

– Kto tym razem zabił?

– Żona Gustawa.

– Żona??? – Jan nie mógł się nie roześmiać na widok otwartych ust Mateusza i lekkiego wytrzeszczu oczu.

– Właśnie. Uważaj, bo zaraz zasypiesz popiołem podłogę.

Kamerdyner podbiegł do popielniczki, a tymczasem Morawski wstał z łóżka, zebrał rzucone części garderoby i powiesił je na drewnianym walecie.

– Kilka godzin temu byliśmy przekonani – oznajmił – że senior ma dwóch synów, a tu proszę: jest nie tylko młodszy brat, ale jeszcze ma żonę.

– A żona ma pewnie ojca, matkę i inne przyległości.

– Nie strasz mnie. Jeśli podejrzani nadal będą przybywać w takim tempie, chyba będziemy musieli założyć rejestr.

– Skąd pan się o tym dowiedział?

– Tercjuszowi się przypomniało – kwaśno odpowiedział Jan.

– Nie sądziłem, że to typ informacji, o jakich się zapomina.

– Z nikim o tym nie rozmawiał, więc upchnął to gdzieś w niepamięci – Morawski tylko wzruszył ramionami.

Mateusz poszedł do swojego pokoju i wrócił bez fajki, za to z salaterką truskawek.

– Skąd masz? – Jan nie ukrywał radości.

– Od Felicji. Kucharki. Ostatnie w tym sezonie.

Po chwili siedzieli w fotelach, ze stopami ułożonymi na parapecie, a miską ustawioną między nimi na stole.

– Wiesz, co jest z tą żoną najgorsze? – Mateusz uniósł brwi. – Że jest Amerykanką lub Angielką. Tercjusz sobie nie przypomina.

Kamerdyner powoli jadł czerwone kulki i myślał. W końcu wymyślił:

– To znaczy, że ta kobieta na dworcu, to mogła być ona.

– Gorzej. Guwernantka Natalii to mogła być ona.

Mateusz aż przestał jeść. Jan tylko pokiwał głową.

– Dowiedziałeś się czegoś o Gustawie?

– Niewiele. Wiem, że był bardzo związany z panem Edwardem, choć się różnili. Jeden poważny, drugi narwany. Zawsze trzymali się razem, wspierali się, pomagali sobie. Podobno zdarzało się, że gdy pan Gustaw był już w niełasce, kolejne wykroczenie pan Edward brał na siebie. Ponoć z młodszego był kawał łobuza. Ale nigdy nikomu nie szkodził. Ot, zwykłe figle. Złośliwy był tylko wobec najstarszego brata. Darli koty na każdym kroku.

– Gwałtowny?

– Felicja twierdzi, że muchy by nie skrzywdził.

Jan miał swoje zdanie o zapatrzonych w młodych paniczki kucharkach.

– Dlaczego wyjechał? Coś o tym mówili?

– Oskarżono go o jakieś przestępstwo. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale chyba każdy z braci mógł to zrobić. Winę przypisano jemu, bo do tej pory tylko on stwarzał problemy. Ale przedtem to była wyłącznie łobuzerka, uczniowskie kawały, w gruncie rzeczy zupełnie nieszkodliwe.

– Wybuchł skandal?

– Nie. Wszystko wyciszono. Kucharka się zarzekała, że każdy miał dostęp do tych papierów, więc przypuszczam, że odkryto fałszerstwo podpisu ojca.

– To pasuje jak ulał do Adama – Jan się rozejrzył. – Już nie mam miejsca na szypułki. Widziałeś tu jakiś talerz?

Mateusz przysunął szklanekę po wodzie i dodał:

– Ojciec uwierzył w winę syna i urażony Gustaw wyjechał. Od tej pory nie dał znaku życia.

– A jak im się przedtem układało? – Jan potarł swą ledwie widoczną bliznę nad prawym łukiem brwiowym. Z nieznanых powodów zaczynała go swędzieć, gdy jadł truskawki.

– Najmłodszy był chyba ulubieńcem matki. Dopóki żyła, zawsze udawało jej się ich pogodzić.

– Ale jak to poskładać? Jeżeli Gustaw chciał zlikwidować najstarszego brata, to

przecież musiał zdawać sobie sprawę, że wina spadnie na Edwarda.

– Może nie wiedział, że tak się stanie.

– Nie rozumiem?

– Może pan Gustaw zjawił się tam później i zastrzelił brata, lecz nie przyszło mu do głowy, że obciąży pana Edwarda. Wiemy, że pan Edward tam poszedł, ale nie wiadomo, kiedy wyszedł. Może był tam bardzo krótko?

– Słusznie – Jan ograniczał się do lapidarnych odpowiedzi, przynajmniej dopóki w misce pozostawała choć jedna truskawka. Mateusz nie był aż takim wielbicielem owoców, więc to on zmonopolizował rozmowę:

– Może tym kimś, kogo widziała Nela, nie był ten awanturnik, tylko właśnie Gustaw? Każdy nosi jasny płaszcz o tej porze roku.

– I tu pojawia się to pytanie, które dręczy mnie od początku. Dlaczego Edward milczy? Dlaczego, Mateuszu?

– Nie wiem.

– Bo kogoś osłania. To jasne.

– Tylko kogo?

– Może zrozumieć to, gdy go poznam.

Nie zapalali lamp. Słońce skryło się za horyzontem, ale na bezchmurnym niebie jaśniał księżyc, spowijając wszystko srebrzystym blaskiem. Wpatrywali się w grę cieni rzucanych przez ogrodowe figury i strzyżone rośliny. Dookoła panowała kompletna cisza.

– A wracając do Gustawa i jego ucieczki. Co o tej rzekomej przewinie mówią służący?

– Felicja w to nie wierzy, ale gdy zasugerowałem, że może inny z braci był winny, od razu zasznurowała usta.

– Oni wszyscy tak. Ale jestem pełen podziwu, że tyle udało ci się dowiedzieć w tak krótkim czasie.

Mateusz wzruszył ramionami.

– Próbowałem trochę pomóc Jacentemu, a po jednej wzmiance o panu Gustawie od razu się zorientowałem, że Felicja go uwielbiała. Cała się rozpromieniła i westchnęła: „Mój kochany rojber [10]”.

– A jak skłoniłeś ją do zwierzeń?

– Powiedziałem jej, że teraz jego podejrzewają o zamordowanie brata i dodałem, że powinna wszystko mi o nim opowiedzieć, żebym mógł przekazać to panu, a pan go z tego wyciągnie. Ale potem wszedł ten parszywiec i już wolałem nie wracać do tego tematu.

– Wyjątkowo obleśny typ – dobrze, że właśnie w tej chwili Jan zjadł ostatnią truskawkę, bo chyba straciłby apetyt. Oblizał palce i przypomniał: – Miałeś mi powiedzieć, co cię niepokoi.

– Właśnie on mnie niepokoi. Jestem prawie pewien, że Seweryn próbuje zająć miejsce

Jacentego.

– To dość naturalne – Morawski starał się zachować rozsądek. – Jacenty się starzeje i pewnego dnia będzie musiał zrezygnować z pełnionej funkcji. Tym bardziej że jego samopoczucie chyba nie jest najlepsze.

– Ale moim zdaniem to przez Seweryna samopoczucie Jacentego nie jest najlepsze.

– Nie rozumiem.

– Ja nie wiem nic pewnego. Ale sam pan słyszał te jego uwagi: „Muszę to zrobić, bo nasz biedny Jacenty...”? Jesteśmy tu od południa, a zdążył mnie tym poczęstować już kilka razy. Opowiada o wszystkim, co zrobił, ciągle dodając: „Zająłem się tym, oczywiście, bo nasz biedny Jacenty...”. Ta jego udawana wyrozumiałość przyprawia mnie o mdłości!

Jan milczał: zdawał sobie sprawę ze swego instynktownego wstrętu i chyba się go wstydził.

Mateusz tymczasem nabierał tempa:

– Na każdym kroku podkreśla własną sprawność i energię, a potem lituje się nad nieporadnością Jacentego.

– To rzeczywiście wredne, ale obaj wiemy, że dość powszechne. Nie tylko wśród służby, ale tam, gdzie istnieje współzawodnictwo – Morawski zastanowił się i dodał: – Czyli wszędzie.

– Przecież sam pan wrócił chory po rozmowie z nim.

– Pamiętam. I przyznaję, że wtedy też wprost mi powiedział, iż czeka go awans, bo biedny Jacenty niedomaga.

– Sam pan widzi.

– Ale ty twierdzisz, że on stara się zaszkodzić Jacentemu, a ja niczego takiego nie dostrzegam.

– Felicja mi powiedziała, że Jacenty od kilku dni czuje się coraz gorzej. On to przypisuje starości i upałom. Ale ja myślę, że to ten gad.

– Tobie też on się tak kojarzy? – zainteresował się Morawski, trochę ucieszony.

– To istny wąż.

– Wąż Seweryn. Seweryn-Serpentyn.

– Serpentyn – rozważał kamerdyner. – Niezłe. Co z nim zrobimy?

– Mało mamy zagadek do rozwikłania?

– Ale on zabije Jacentego!

– Mateuszu, nie demonizuj. Jest wstrętny, ale to wszystko. Musimy po prostu wytrzymać tu kilka dni.

– Kręcił się wokół juniora – upierał się kamerdyner. – Nie wiadomo, czy to nie on zabrał te ampułki, których pan tak szuka.

– To były najprawdopodobniej preparaty do zastrzyków. Przecież nie mógłby tego podać Jacentemu bez jego wiedzy.

– Jak pan chce. Ja zamierzam się tym zająć.

Mateusz założył ramiona na piersi i siedział z nadętą miną.

– Pomogę ci – westchnął Morawski. – Przyjrzę się temu, choć i tak mam dosyć swoich zmartwień. Postaraj się dowiedzieć, czy Jacenty na coś choruje.

Kamerdyner dla zasady zdecydował się być obrażony przez kolejną minutę, po czym zwrócił swemu towarzyszowi uwagę:

– Zjadł pan wszystkie truskawki – Jan wybuchnął śmiechem, a Mateusz wciągnął nosem aromatyczne powietrze i oznajmił: – Jutro ma być jeszcze cieplej.

– A mnie czeka wyjazd do więzienia. Jedziesz czy zostajesz?

– Zostaję – stwierdził kamerdyner po krótkim wahaniu. – Pomogę Jacentemu, żeby się nie przemęczał. I będę pilnował, by Serpentyń się do niego nie zbliżał.

Morawski uznał, że Mateusz musiał poważnie zainteresować się sprawą marszałka, bo zazwyczaj niechętnie rozstawał się ze swym pracodawcą. Nagle kamerdyner poderwał się z półleżącej pozy i zawołał podekscytowanym głosem:

– Mam dla pana wspaniałą wiadomość. Na piętrze pan Mariusz...

– Uważaj, żebyś się gdzieś nie wygadał, jakie miałem skojarzenie!

– Spokojnie. No więc urządził tu pokój kąpielowy. Nie ma jeszcze bieżącej wody, bo czekają na jakiegoś rurmistrza czy innego takiego. W każdym razie pan Poniński już tam dzisiaj był. Pytałem Jacentego i powiedział, że może pan korzystać do woli.

– Żartujesz?

– Słowo. Jest tam wielka wanna i umywalnia. Nawet płytki mają takie same, jak my w Paryżu. I nie trzeba nosić wody z dołu, bo grzeje się na miejscu. Zresztą w tej temperaturze nie musi pan mieć wrzątku. Nastawiłem już jakiś czas temu, więc powinna być dobra.

Janowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zdjął spodnie, koszulę, narzucił szlafrok. Z komody zabrał ręcznik i mydło.

– Proszę skrócić w lewo. Ostatnie drzwi po prawej stronie. Zostawiłem tam dla pana lampę – dodał Mateusz.

– A ty nie chcesz się wykąpać? – zapytał Morawski od progu.

– Już byłem.

– Ale kiedy? Kiedy zdążyłeś zjeść kolację i się wykąpać?

– Serpentyń odebrał mi apetyt.

– No tak. W jadalni byli Walek i Jacenty, więc Serpentyń musiał być w kuchni. Pewnie jesteś głodny.

– Ależ skąd – Mateusz wskazał tacę stojącą na stoliku przy drzwiach do jego pokoju. –

Przyniosłem sobie jedzenie na górę. Powiedziałem Felicji, że mój pan jest bardzo wymagający i żąda, abym na niego czekał, gdy wraca z kolacji.

Jan się zaśmiał i już z korytarza rzucił:

– Zainteresuj się, gdybym długo nie wracał.

\*\*\*

Otworzył wskazane drzwi.

Na środku niewielkiego pokoju stała żeliwna wanna, pod ścianą – porcelanowa umywalnia wbudowana w marmurowy blat, a obok prawdziwy angielski *water-closet*. Podłogę rzeczywiście pokrywały płytki Alt Mettlach.

Na taborecie położył mydło, na stojaku powiesił szlafrok i ręcznik. Odkręcił mosiężne kurki i napęłnił wannę.

Mógł się spodziewać, że ktoś taki jak Mariusz nie obędzie się bez codziennych ablucji. W tym akurat się zgadzali.

Zanurzając się w letniej wodzie, doszedł do miłego wniosku, że jednak niewiele potrzeba mu do szczęścia.

## Rozdział 12.

Następnego ranka Jan z Mateuszem rozstali się w holu. Kamerdyner ruszył w stronę kuchni, Morawski wszedł do jadalni.

Zastał tam Tercjusza, który mimo panującego ciepła prezentował się w pełnym porannym szyku: jasna kamizelka, halsztuk zamotany wokół szyi i bonzurka z ciemnozielonego atłasu z aksamitnym kołnierzem. Był gładko ogolony i drobnej niestaranności można się było doszukać wyłącznie w ułożeniu szczątkowych pozostałości czupryny, gdyż wąski pasek włosów z tyłu głowy miał po dziecięcemu odgnieciony.

Śniadanie spożywał w towarzystwie Natalii, która w błękitnej sukience i fartuszk w kratkę wyglądała równie wykwintnie jak pan Drojewski.

– Witamy, witamy! – zawołał ten ostatni na widok wchodzącego gościa.

Jan ukłonił się jak należy najpierw damie, potem dżentelmenowi, a wtedy rezydent wygłosił kolejną grzecznościową formułkę:

– Dobrze pan spał?

– Wyśmienicie, dziękuję. A pan?

Tercjusz tylko kiwnął głową, bo akurat coś brał do ust, ale gdy przełknął, wskazał ręką boczny stół:

– Proszę się częstować.

Jan zobaczył na pomocniku półmiski ze srebrnymi pokrywami, lecz nim zdążył unieść choćby jedną, pan Drojewski zdecydował się dołączyć do gościa i pod pozorem udzielania wyjaśnień grasował wśród zgromadzonych przysmaków.

– W tym pierwszym od okna są jajka na bekonie. W tym drugim pieczone kielbaski. Kucharka dorzuciła tam pomidory, choć zupełnie nie wiem po co. Chyba na pańską intencję.

– Wspaniale!

– Wszystkie odsunąłem na bok, żeby nie popsuky smaku kielbasek – dodał i zajął swe miejsce.

Jan nałożył sobie dwa jajka na bekonie, podszedł do stołu i siadając, spytał:

– Dziadek do nas dołączy?

Natalia pokręciła przecząco głową, a Tercjusz uzupełnił między kolejnymi kęsami boczku:

– Dziadek zjadł rano wojenne śniadanie i ruszył zorganizować kampanię żniwną. Rozkazy trzeba wydać, choćby... – nie dokończył, aczkolwiek „choćby twój syn został zastrzelony” zawisło w powietrzu. – Adam traktuje prowadzenie gospodarstwa jako

odmianę wojny – z zaborcą i z przyrodą. Zabiera mu to sporo czasu, bo uwielbia zajmować się wszystkim osobiście. A rozkazy i dyspozycje wydaje w ostatniej chwili.

– Jak w wojsku.

– Nie uznaje prawa pracowników do wcześniejszej znajomości jego życzeń – po tym stwierdzeniu pan Drojewski uniósł do góry nos niczym ogar, który złapał trop, i spytał Morawskiego: – Można wiedzieć, cóż to za zapach unosi się wokół pana?

– Eau de Coq Guerlaina.

– Co za fantazyjna nazwa! Całkiem miło pachnie, ale nie może się równać z wodą lawendową Yardleya.

Jan jadł, ale cały czas przyglądał się dziewczynce. W miseczce miała jakąś białą gęstą substancję: łyżeczką żłobiła w niej otwory, w których utykała truskawki, a czerwonym płynem z konfitur malowała na jasnej powierzchni wzorki.

– Usiądź, Balbino – odezwał się Tercjusz. – Męczę się na sam twój widok.

Dopiero wtedy Jan zauważył, że pod ścianą stoi... dziewczyna. Zbudowana była z białych kul, coraz mniejszych, przez co do złudzenia przypominała bałwana.

Pan Drojewski zauważył, że Jan przygląda się Natalii.

– Przepraszam, może miałby pan ochotę na coś takiego? – pytanie zadał szeptem, a na jego twarzy widniał lekki wyraz obrzydzenia. – Nie proponowałem, ale może zjadłby pan owsiankę?

– Nie, nie – Morawski mówił również cicho, aczkolwiek nie wiedział dlaczego.

– Lepiej, żeby nie słyszała pana odmowy, bo też jej przyjdzie do głowy, że tego nie chce.

Drzwi się otworzyły i wszedł Mateusz z dzbankiem kawy. Jan zmarszczył czoło, pełen złych przeczuc. Co się stało? Jego kamerdyner chętnie pomagał w domach, w których przebywali, ale prawie nigdy nie występował oficjalnie.

– Kawa dla pana? – przybyły spytał Tercjusza, który skinął głową i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że głos nie należy do nikogo z pałacowej służby.

– O! Mamy nowego pracownika? O ile mnie pamięć nie myli, to wczoraj był pańskim kamerdynerem, prawda, panie Janie?

– Najwyraźniej właśnie zmienił pracodawcę.

Przedmiot rozważań uznał za stosowne objaśnić:

– Jacenty udał się na spotkanie z panem... – Jan gotów był przysiąc, że Mateusz celowo zawiesił głos, udając, że zamierza powiedzieć: „Mariuszem” – ...Ponińskim.

Natalia wpatrywała się w kamerdynera.

– Może soczek dla panienki? – zaproponował.

Energicznie pokiwała głową, a Jan zobaczył kokietyjny uśmiech, jakim obdarzyła Mateusza. Prawdziwa córka Ewy.



– Co będziemy dzisiaj robić? – spytała swego opiekuna. – Bawić się w księżniczkę?

– Nie. Już mi się znudziło.

– To pobawię się z mamą.

W jadalni zapanowała ogólna konsternacja, a dłoń Jana znieruchomiała nad koszykiem z bułkami. Tercjusz odchrząknął.

– Może porysujesz?

– A potem poszukamy Bobiego?

– Nie, szukanie Bobiego przy takiej temperaturze nie wchodzi w grę.

– Mateusz ci chętnie pomoże – odezwał się Jan. – Jest dobry w szukaniu.

Popatrzyła na Mateusza, szukając potwierdzenia, a gdy z powagą jej się uklonił, zachichotała, zsunęła się z konstrukcji poduszek i uciekła, a za nią wytoczyła się Bałwalinka. Kamerdyner zamknął drzwi.

– Dzięki, przyjacielu – Tercjusz nie krył wdzięczności dla Mateusza, a Janowi wyjaśnił: – Bobi to taki szmaciany zwierzak. Lili jej uszyła.

Bibliotekarz podniósł gazetę, która leżała przy jego łokciu, i wyciągnął spod niej kopertę.

– Mam tu coś dla pana. Adam zostawił świadectwo obdukcji juniora.

Mateusz przyniósł naczynie z podgrzewacza i przytrzymał koło Tercjusza, który nałożył sobie kilka pieczonych kiełbasek i podziękował uśmiechem.

– I co tam? Wyznam, że nie czytałem. Takie informacje przed śniadaniem mają niekorzystny wpływ na apetyt.

– Nic specjalnego tu nie ma. Opis rany: całe otoczenie otworu pokryte sadzą, pełno ciemnych punkcików, wbite w skórę niespalone ziarna prochu. Opis kanału postrzałowego: szeroki, ściany postrzępione...

– Może darujmy sobie te szczegóły.

– Poza tym w dziwne miejsce – pod brodą. Znalaziono przy nim rewolwer smith & wesson 38. Niewyjaśniona rana przy nadgarstku, szarpana, najprawdopodobniej zadana za życia, aczkolwiek lekarz nie mógł tego na sto procent stwierdzić. Lekko krwawiła. Rany zadane po śmierci zazwyczaj nie krwawią. Lekarz nie wspomina o obecności morfiny. Stężenie pośmiertne...

– Dość!

– A czas? – wtrącił się Mateusz.

Tercjusz spojrział na niego zdziwiony, a Jan odpowiedział, nawet nie podnosząc głowy:

– Nie podali.

– Lekarz nie chciał się wypowiadać – przypomniał sobie pan Drojewski. – Chyba przez tę burzę.

– Widział pan wieczorem jakąś ranę? – Morawski sięgnął po kawę, ale znad filiżanki

patrzył na rezydenta.

– Nie, ale jeżeli na nadgarstku, to i tak bym jej nie zobaczył.

Jan wstał i podszedł do półmisków.

– Zapytam Edwarda – stwierdził, nakładając sobie pomidory i kiełbasę.

– Naprawdę pan jedzie? Już teraz jest gorąco.

– Muszę – wrócił na swoje miejsce i kontynuował: – Proszę mi o nim opowiedzieć. Dotychczas słyszałem o tym człowieku same superlatywy – a widząc zdziwienie Tercjusza, wyjaśnił: – Tadeusz prosił, bym tu przyjechał właśnie ze względu na Edwarda.

– Myślę, że z całej trójki on jest... najwartościowszy. Choć nie ukrywam, że mój faworyt to Gustaw.

– A dlaczego nie Edward?

– Jest mądry, prawy, ale przydałoby mu się trochę ożywienia i...

– Szaleństwa?

– Właśnie. Tylko skąd miałby wziąć szaleństwo, skoro całą porcję przypadającą na rodzinę przejął Gustaw?

Zaśmiali się, a Mateusz przestał udawać, że jest zajęty wypełnianiem lokajskich obowiązków, i słuchał równie uważnie jak Jan.

– Edward przypomina matkę – ciągnął rezydent. – I z wyglądu, i z charakteru. To po niej ma tę smykałkę do rysowania. Ona jako pierwsza dostrzegła jego talent i to ona nauczyła go rysować. Miał osiemnaście lat, gdy zmarła, a kiedyś mi wyznał, że umierając, prosiła go, jako najbardziej odpowiedzialnego, by opiekował się ojcem.

– Jakieś młodzieńcze miłości?

– Kiedyś kochał się w córce jednego z nauczycieli gimnazjalnych. Słyszałem też okrężną drogą o jakiejś Polce mieszkającej w Berlinie. Tak, to było za czasów studenckich.

Przez chwilę panowała cisza. Jan próbował zbudować sobie obraz tej rodziny, bo czuł, że w tym właśnie tkwi tajemnica śmierci dziedzica ordynacji.

– A ojciec? – spytał wreszcie. – Wiemy, że jego ulubieńcem był Adam, ale jak odnosił się do Edwarda?

– Coś panu powiem, ale to tylko moja opinia. W głębi duszy mój przyjaciel chyba najbardziej kocha Edwarda, lecz aby ukryć, że go preferuje, stał się wobec niego przesadnie surowy i wymagający.

Jan pokiwał głową. Tak, to brzmiało sensownie. Z drugiej jednak strony to zaślepienie seniora na punkcie najstarszego syna...

– Pan Poniński wspominał, że przeznaczył syna do armii...

– Tak – skrzywił się Tercjusz. – Mówiłem panu, że tu panują zasady wojskowe. Mój przyjaciel po urodzeniu każdego syna decydował, czym jego potomek będzie się

zajmował. Najstarszy został pasowany na spadkobiercę, natomiast Edward miał służyć w armii. Przecież to najgorszy możliwy wybór dla kogoś, kto kocha budować, bo wojna oznacza niszczenie.

– A pan Gustaw? – zainteresował się Mateusz. – Jaką karierę dla niego wybrano?

– Nie uwierzycie! – smakosz wybuchnął śmiechem. – Miał zostać duchownym! Największy figlarz i wesołek miał zostać księdzem – Drojewski musiał odłożyć sztucce i wielką serwetką ocierał łzy.

– Zatem Edward przeciwstawił się planom ojca?

– Tak. Zbiegły się w nim zamiłowanie matki rysowniczką i pasja ojca budowniczego, więc zdecydował się na architekturę. Zdał maturę u Marii Magdaleny i razem ze swym przyjacielem, Rogerem Sławskim, rozpoczęli studia na politechnice w Charlottenburgu.

– To ten Sławski, który zaprojektował nowe skrzydło Bazaru?

– Widzę, że jest pan na bieżąco. Dokładnie ten sam. Po uzyskaniu dyplomu... tak, pięć lat temu, wtedy, kiedy junior się ożenił... więc po uzyskaniu dyplomu i Edward, i Roger rozpoczęli pracę u Oskara Hossfelda.

– A pan Poniński? Pogodził się z wyborem syna?

– Z czasem pewnie tak, tym bardziej że poza tą jedną niesubordynacją Edwardowi nic nie można było zarzucić.

Jan dopijał kawę. Mierziło go to bezwzględne decydowanie o życiu drugiego człowieka, pomijanie jego życzeń, deptanie marzeń. Może naprawdę senior dowiedział się o występny życiu infanta i wymierzył mu sprawiedliwość? Czy jednak pozwoliłby, aby wina spadła na młodszego? A może – jak to słusznie zauważył Mateusz – nie zdawał sobie sprawy, że widziano, jak Edward szedł do pokoju brata? W takiej sytuacji milczenie Edwarda można by wytłumaczyć pragnieniem osłonięcia ojca. Zgodnie z życzeniem matki.

– Wie pan, on mi tym szalenie zaimponował – Tercjusz podążał za własnymi przemyśleniami. – Przecież ojciec był dla niego autorytetem i sędzią, a jednak wybrał własną ścieżkę i konsekwentnie nią podążał.

– Dwaj starsi bracia nie przepadali za sobą, prawda?

– Nie bardzo, aczkolwiek ze względu na skrytość Edwarda niezgoda między nimi nigdy nie przybrała formy otwartego konfliktu, jak między Adamem i Gustawem.

– Byli sobie bliscy? Chodzi mi o Gustawa i Edwarda...

– Niewiarygodnie. Edward jako dziecko był zamknięty w sobie i z trudem nawiązywał kontakty. Poprawił się właściwie tylko dzięki nieznośnemu, ale uroczenemu Gustawowi – Tercjusz pokręcił głową. – Gdy tu zamieszkałem, Gustaw miał ze dwanaście lat i chłopcy przyjeżdżali wyłącznie na wakacje, ale i tak nie zdołabym opisać, co tu się wyrabiało.

– I zawsze dwaj młodsi przeciw starszemu?

– Tak jak pan to przedstawia, brzmi to raczej smutno – skrzywił się z dezaprobatą. – Jakby dostrzegał pan w tym niesprawiedliwość.

Jan tymczasem nie po raz pierwszy się zastanawiał, od czego się zaczęło: młodsi się sprzymierzyli, więc Adam robił im na złość, czy też on im się sprzeciwiał, w efekcie czego połączyli siły. Ciekawiło go, w jakim stopniu zaważyła na tym stronniczość *pater familias*. Zwrócił też uwagę, że w tym portrecie rodzeństwa Adam i Gustaw są postaciami pierwszoplanowymi, a Edward znajduje się jakby w tle.

– Nic pan sobie nie przypomniał o tej angielskiej żonie? – spytał rezydenta.

– Nic. Zupełnie nic.

– A wie pan może, czym zajmował się Gustaw po opuszczeniu domu? – zainteresował się Morawski, wspominając aluzje Serpentina do mało praktycznego wykształcenia młodych arystokratów i ich wysokich wymagań.

– Niedokładnie. Z początku studiował. Chyba w Monachium. Nie jestem pewien, co robił dalej, ale wiem, z czego żył – zawiesił głos i spojrzął na Jana sponad szkielek okularów. – Bez wątplenia to pana zaciekawi. Po ucieczce Gustawa Edward dzielił się z nim swymi apanażami. Adam-senior szybko się dowiedział, że Edward utrzymuje brata. Ta przekłeta duma nie pozwoliła mu otwarcie przekazywać jakichkolwiek środków synowi, którego się wyrzekł, więc podwoił kwotę wypłacaną Edwardowi.

Jan trawił tę wiadomość, gdy wszedł Serpentin. W rękę trzymał niewielki neseser. Zwrócił się do gościa:

– Pani Barbara prosiła...

Mateusz zdążył odsunąć się od stołu i stanąć na baczność w chwili, gdy do jadalni wmaszerował pan Poniński z Jacentym:

– Dzień dobry. Przepraszam, że zakłócamy panu posiłek, ale... – to było do Jana, który się podniósł i zadeklarował:

– Ja właśnie wychodzę.

Senior prawdopodobnie nawet tego nie usłyszał, gdyż oznajmił Tercjuszowi:

– Jacenty złożył wymówienie.

– Co? – pan Drojewski osłupiał, a Jan zauważył na twarzy Seweryna nieskrywaną radość.

– Po twoim wczorajszym oskarżeniu, że wypija wino z mojej piwnicy, postanowił zrezygnować z pracy.

Tercjusz aż się zerwał z krzesła.

– Przecież ja wiem, co się należy – tłumaczył biedny Jacenty załamionym głosem. – Znam moje obowiązki. Muszę odejść, skoro jestem podejrzany o takie haniebne zachowanie – odwrócił się i drżącymi dłońmi próbował otworzyć drzwi.

– Najdroższy Jacenty – rzucił się do niego bibliotekarz – ja tylko żartowałem! Przecież znam cię od wieków i wiem, że nigdy nie tknąłbyś niczego, co należy do Adama. A już alkoholu? Ty to wzięłeś na poważnie? – Drojewskiemu po twarzy płynęły łzy. – Nazwij mnie opojem i obżartuchem, wszystko zniosę, tylko nie odchodź!

Trzęsący się i niepewny Jacenty, wyraźnie nieprzygotowany na taką eksplozję uczuć,

patrzył pytająco na Mariusza. W jasnej jadalni na twarzy marszałka widać było gęstą siatkę popękanych naczynek.

– Nie wyobrażam sobie tego domu bez ciebie – powiedział senior tonem tak ciepłym, że Morawski szerzej otworzył oczy.

– Uściskajmy się i powiedz, że mi wybaczasz – wobec braku sprzeciwu Tercjusz objął Jacentego, mimo że w dłoni dzierżył widelec z wbitym na niego kielbaską. Wyglądali komicznie: czapła w objęciach puchatego gołąbka.

Po chwili Jacenty wydostał się z ramion wzruszonego rezydenta i chowając twarz, oznajmił:

– Muszę iść. Pracy mnóstwo – i wyszedł niepewnym krokiem, jak ktoś, kto chodzi po lodzie. Dopiero po jego wyjściu Mariusz zauważył Serpentyna.

– A, przyniosłeś. Dobrze. Możesz odejść.

Odprawiony lokaj odstawił neseser, wdzięcznie się skłonił i grzecznie uśmiechnął, ale gdy zamykał drzwi, jego twarz szpetnie się wykrzywiła. Morawski poczuł niepokój.

– Czy nadal zamierza pan jechać do... Edwarda? – spytał Jana pan Poniński.

– Tak. Właśnie czytałem raport medyczny. Z pańskich wczorajszych słów wynika, że zostanę do niego dopuszczony, czy tak?

– Krewni i znajomi mogą się z nim widywać. Nie wiadomo tylko, czy on zechce z panem rozmawiać – a po krótkiej pauzie dodał gorzko: – Ze mną nie chciał.

– Spróbuję. Pomyślałem, że może mógłbym mu coś zawieźć.

– Właśnie o to chciałem prosić. Pozwolono, co prawda, by z pobliskiego hotelu dostarczano mu jedzenie i gazety, ale...

– Ale na nic się nie zgodził – dokończył Tercjusz.

– Nie zgodził się? – Jan spoglądał na przemian na obu mężczyzn.

Senior tylko wzruszył ramionami i jeszcze bardziej się zachmurzył.

– Tutaj Barbara przygotowała kilka zmian bielizny, ja spakowałem książki, które przywiózł ze sobą z Berlina...

– A ja dołożyłem calvados – uzupełnił Tercjusz, potwierdzając prawdziwość stwierdzenia, że każdy daje to, co sam chciałby otrzymać. – To jego ulubiony trunek.

– Może od pana to przyjmie – ze smutkiem dokończył pan Poniński.

Wyszedł, a Jan zawołał za nim:

– Zabiorę, oczywiście!

Wpatrywał się z troską w drzwi, gdy usłyszał szept Tercjusza:

– Chciałem jeszcze dołożyć piłkę do metalu, ale Adam się nie zgodził.

Jan spojrzał na niego i zdążył zauważyć mrugnięcie skierowane do Mateusza, po którym nastąpił bardzo niekamerdynerski śmiech tego ostatniego.

– Idziemy – zdecydował Morawski.

– A może skosztuje pan szyneczki? Wędzona z jałowcem. Lepszej nie robią nawet w Ardenach.

– Nie, nie, dziękuję.

– Szkoda. Skoro wy idziecie, to ja też muszę. Dotychczas mogłem udawać, że siedzę tu, by dotrzymać panu towarzystwa, drogi Janie.

Tym razem także Morawski się zaśmiał, a rezydent rzucił na pożegnanie:

– Będę wdzięczny, Mateuszu, jeśli zastąpisz mnie w szukaniu tego szmaciaka małej panienki. Zbyt wiele ruchu zdecydowanie mi szkodzi. Nie ma jak miła gazetka w miłej bibliotece.

Z tymi słowami zapakował sobie gazetkę pod pachę i ruszył do biblioteki.

\*\*\*

– Może założy pan ten kremowy garnitur? Jest znacznie bardziej elegancki – kamerdyner starał się skusić Jana.

– Wiesz, co myślę o kremowych garniturach. Jadę w tym, w którym jestem.

Mateusz z ubolewaniem pokręcił głową, ale zbyt dobrze znał niechęć swego mocodawcy do tego, co ten nazywał „lulusiowatym wdziankiem”.

– Gdy mnie nie będzie, spróbuj dowiedzieć się jeszcze czegoś o panu Gustawie. I o tej guwernantce. Ale o nią pytaj ostrożnie, bo przypuszczam, że to nieprzyjemny temat i mogą nabierać wody w usta.

– Przede wszystkim będę pilnował Jacentego – Mateusz przypomniał ich spór z poprzedniego wieczoru. Po chwili wyznał: – Podoba mi się pan Tercjusz.

– Tak przypuszczam.

Jan skończył przekładanie dokumentów w portfelu. Zdecydował, że nie zabierze ze sobą neseseru. Torba spakowana przez panią Barbarę sporo ważyła, a nie wiedział, jak daleko będzie musiał wędrować z tym ładunkiem, zanim dotrze do Edwarda.

– Odnoszę wrażenie, że już go gdzieś widziałem – zastanawiał się kamerdyner.

– Mnie też się z kimś kojarzył.

– Tak? I co?

– Ja go zidentyfikowałem. Potrudź się. Rusz głową.

– Przypomnę to panu, gdy następnym razem będzie mnie pan pytał, czy moim zdaniem panna Konstancja się na pana gniewa.

Jan nie odpowiedział na to ostrzeżenie. Ze stolika pod oknem wziął zdjęcia Lili. Przez chwilę wpatrywał się w jedno z nich.

– Gdy będziesz schodził na dół, wejdź do biblioteki i oddaj panu Tercjuszowi te fotografie, które wczoraj pożyczyłem. Poczekaj, to jedno zatrzymam – z pliku wyciągnął to, które tak go poruszyło. – A przy okazji poszukaj tam książki angielskiego autora

z ilustracjami wykonanymi przez niejakiego pana Phiza. Może to ci podpowie, kogo przypomina pan Tercjusz.

Nie wiadomo, czy tej ostatniej rady udzielił pod wpływem groźby kamerdynera. Mrugnął wesoło i wyszedł.

## Rozdział 13.

Stangret zawiózł Jana na pobliską stację, gdzie Morawski wsiadł do pociągu i boczną linią kolejową dojechał do Gostynia. Całą drogę debatował, w jaki sposób skłonić Edwarda do rozmowy.

W miasteczku upał panował nieziemski, a duchota dokuczała tam zdecydowanie bardziej niż na wsi. Temperatura bynajmniej nie przeszkadzała starszym paniom w oddawaniu się ich ulubionej rozrywce i wiele z nich tkwiło na poduszkach w otwartych oknach i bacznie kontrolowało ulice. Tego dnia jednak nic się nie działo, gdyż znużeni skwarem mieszkańcy skryli się w murach swych domów i tylko w cieniu na parkanie siedziało kilku łobuzów, flegmatycznie przeżuujących słomę.

Jan uważał się za uodpornionego na przykre doznania, ale ze wstrętem odwrócił głowę, gdy ktoś otworzył bramę i na ulicę buchnęła fala przemieszanych zapaszków gotowanej kapusty, końskich odchodów i niemytych ciał.

Dotarł do więzienia. Niczym praworządny obywatel usiłował przebrnąć przez biurokratyczne zawilości, w końcu jednak uciekł się do jedyne uniwersalnego języka świata – brzęku mamony. Czekał na korytarzu. Po chwili wrócił strażnik.

– *Er will Sie nicht treffen* [11].

Jan był przygotowany na odmowę. Z portfela wyjął kartonik i kartkę papieru, z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro i napisał:

*Wiem, że próbował Pan chronić Lili. Muszę z Panem porozmawiać.*

Kartkę złożył, do środka wsunął zdjęcie i podał strażnikowi. Tamten już zaczął kręcić przecząco głową, gdy wyczuł, że poza kartką uparty przybysz podał coś jeszcze. Wobec takiej hojności ukłonił się i odmaszerował.

Morawski czekał na powrót negocjatora. Na korytarzu nie było nikogo, dookoła panowała cisza, tylko ktoś tam w oddali „donnerwetterował”. Strażnik zjawił się ponownie.

– *Kommen Sie.*

Stanęli przed drzwiami i nagle Janowi przyszło coś do głowy.

– *Könnten Sie etwas zu essen bringen?* [12] – spytał, wręczając mężczyźnie kolejny banknot. Prusak tylko wzruszył ramionami. Otworzył drzwi i Morawski wszedł. Usłyszał za sobą trzask skrzydła o metalową futrynę, zgrzyt klucza i zasuwanie sztaby. Odstawił przyniesiony neseser i rozejrzał się po celi.

Podłogę pokrywało przetarte linoleum, na ścianach wyryto napisy, których treści, ze względu na specyficzną ortografię, nie sposób było się domyślić. Po lewej stronie stało zwykłe drewniane wyrko, na którym leżały siennik i wyskubany koc w kolorze zgniłych liści, po prawej – stół wyłożony poprzecinaną ceratą i dwa krzesła.



Pod oknem stał wysoki, szczupły – za szczupły – mężczyzna o jasnobrązowych włosach. Odwrócił się. Ubrany był w nieświeżą koszulę, a na twarzy ciemniał mu kilkudniowy zarost. Jan spojrzał w oczy Edwarda i zamarł. Oczy o opadających kącikach.

– Skąd pan to ma? – spytał Poniński, unosząc trzymane w dłoni kartki.

– Słucham? – Jan tak osłupiał na widok twarzy uwięzionego, że na chwilę zapomniał o przekazanym przez strażnika pakiecie.

– Skąd pan to ma? – wskazał tamten na zdjęcie. – I skąd pan wie o Lili?

– O tym, że pan ją chronił, wiem od pana Tercjusza. – Edward uniósł brwi na to familiarne określenie. – A o tym, że pan ją kochał, wiem od pani Barbary.

– A on? Ojciec?

– Też wie.

Edward nie zapytał o reakcję seniora. Odwrócił się z powrotem do okna, w którym nie było krat, lecz grube pionowe pręty.

– Kim pan jest?

– Jan Morawski.

– Słyszałem o panu – odwrócił się ponownie więzień i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w przybyłego.

– Wszyscy o mnie słyszeli – Jan zaakcentował słowo „wszyscy” i nieprzyjemnie się zaśmiał.

– Nie rozumiem.

– Wszyscy o mnie słyszeli, bo moi rodzice dość... burzliwie przeżywali swe małżeństwo.

– Nic nie wiem o żadnym małżeństwie. Wspominał o panu Tadeusz Tarnowski jako o swym przyjacielu. Mówił, że ostatnio oddał mu pan wielką przysługę.

– Jest pan pierwszą znaną mi osobą – przybysz rozluźnił napięte rysy twarzy – która nie kojarzy mnie ze skandalem wokół państwa Morawskich. Skoro słyszał pan o mnie od Tadeusza, domyśla się pan zapewne, co mnie tu sprowadza.

Edward skrzywił się z niechęcią, ale wpojone zasady kindersztuby zwyciężyły.

– Może pan usiądzie? Tylko to mogę panu zaoferować.

– Słyszałem, że nie zgodził się pan przyjąć żadnych udogodnień.

– Jestem więźniem, jak inni, więc nie mam prawa cieszyć się nadzwyczajnymi przywilejami.

Jan prychnął i spojrzał rozbawiony.

– Co pana tak śmieszy? – zachnął się Edward.

– Te przedstawienia. Po co to pozowanie na męczennika? Jeśli nie popełnił pan morderstwa, to nie ma sensu się karać. A jeśli pan to zrobił, to nie ma pan prawa swoją odmową karać tych, którzy się o pana troszczą. I tak dosyć się jeszcze nacierpią. Prawda?

Młody Poniński nie umiał na to odpowiedzieć. Nastawił się na konieczność powtarzania odmowy i tylko na to był przygotowany. Morawski wyczuł tę konsternację i nie zamierzał się wycofać:

– Przywiozłem panu prezenty. Wszystkie zgodne z zasadą: „Poznaj ofiarodawcę po jego darze”. A zatem ma pan tutaj książki i blok do rysowania od ojca, świeżą bieliznę od pani Barbary, calvados, wiadomo, od Tercjusza. Wyznał mi też, że chciał dołożyć piłkę do metalu.

Edward się zaśmiał i wtedy Jan sobie uświadomił, że ten mężczyzna jest młodszy od niego. Gość rzucił na łóżko kapelusz, zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł.

Poniński spochmurniał.

– Przejdźmy do rzeczy – zaczął. – Jak sam pan stwierdził, obaj wiemy, co pana tu sprowadza.

– Tak, chcę panu pomóc.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Niech pan będzie rozsądnym człowiekiem. Odmowa zeznań jest najgorszym z możliwych rozwiązań. Dopuszcza przecież każdą ewentualność. Pozwala domniemywać, że morderstwo mógł popełnić pan albo ktoś, kogo pan osłania. Milcząc, *de facto* rzuca pan cień na wszystkich swoich bliskich.

Sądząc po jego zmarszczonym czole, Edward nie wziął tego pod uwagę.

– Wiem, że pokłócił się pan z bratem – Jan próbował wykorzystać zmieszanie Ponińskiego.

– Cóż za eufemizm! Niech pan lepiej spyta, tak jak inni, dlaczego go zabiłem – głos oskarżonego stawał się zaczepny.

– Ojciec nie wierzy w pana winę – zanim Edward zdążył odwrócić głowę, Jan zauważył połyskliwe spojrzenie. To mogły być łzy, choć może tylko odbicie światła. – Prosił mnie o pomoc w znalezieniu zabójcy.

– Tak, pokłóciłem się z Adamem – Poniński odpowiedział w końcu na pytanie. – Ale to nic nowego. I nie zamierzam o tej kłótni mówić.

Jan w duchu poprosił o cierpliwość i zaproponował łagodnie:

– A może opowie mi pan o swoim bracie?

– Lepiej nie. Nie powinienem mówić nic złego o zmarłym, a nic dobrego powiedzieć nie mogę.

– To nie jest popołudniowa herbatka z ploteczkami, drogi panie, tylko sprawa o morderstwo, więc proszę zawiesić tę zasadę na kołku – warknął Morawski.

– Nie będę rozmawiać o tamtej nocy – każde z tych słów przedzielała sekundowa przerwa.

Jan uczeplił się tego zastrzeżenia.

– W takim razie proszę mi opowiedzieć tylko o swoim bracie – zastosował stary manewr: „Ustąpiłem ja, ustąp i ty”. – Niech mi pan opowie o Adamie, jeśli nie chce pan mówić o tamtym wieczorze. Przrzekam, że niczego nie powtórzę panu Ponińskiemu.

Korciło go, by przy tej obietnicy skrzyżować palce. Widział, że w Edwardzie następowała zmiana. Łamał się w swym postanowieniu, a Morawski zdawał sobie sprawę, że po tygodniu odosobnienia perspektywa chociażby fragmentarycznego zwierzenia może być niesamowicie kusząca. Naciskał dalej, stosując argumentację wypróbowaną na Tercjuszu:

– Szanuję, że nie chce pan mówić niczego złego o nieobecny, więc ja panu powiem, co wiem. Upewni się pan, że nie zdradza żadnych tajemnic rodzinnych.

Edward wzruszył ramionami, lecz nie zaprotestował, wobec czego Jan przystąpił do rzeczy:

– Słyszałem o nim już wcześniej, ale powinno panu wystarczyć, że byłem w jego pokoju i przeglądałem jego papiery.

– Wpuścili tam pana? Przecież prokurator zakazał!

– Pański ojciec na swoim terenie uznaje wyłącznie własną jurysdykcję. A jest tak przekonany o świętości najstarszego syna, że do głowy mu nie przyszło, bym mógł tam znaleźć cokolwiek hańbiącego.

– Tak. Ojciec wierzy w Adama i jest z niego niesamowicie dumny. Na tej dumie zbudował swe życie. To jego wielka słabość.

Morawski przezornie nie dodał, że zamierza wyleczyć seniora z tej przypadłości.

– Przypuszczam, że jako jego rówieśnik wiedział pan o nim wszystko.

– Tak, tym bardziej że byliśmy razem w gimnazjum, a potem przez pewien czas mieszkaliśmy blisko siebie w Berlinie.

– Wiem o nieukończonych studiach i o tej fikcyjnej karierze. I o jego narkomanii.

– Naprawdę sporo pan wie – Edward przyglądał się swemu gościowi z uwagą.

– Także o baronie Rudolffie i jego wesołych przyjaciółkach, z którymi pański brat organizował sobie najbardziej ohydne rozrywki.

– Baron to już przeszłość. Doszło między nimi do jakiejś awantury i Adam zmienił towarzystwo. Na gorsze.

Morawski gorączkowo myślał, czy ta kłótnia mogła doprowadzić do morderstwa. Zanim cokolwiek wywnioskował, ponownie odezwał się uwięziony:

– Czasami wstydzilem się swego nazwiska – Edward oparł łokieć na stole i przetarł dłonią twarz. – Nie znał żadnych zasad, nie brzydził się niczym, nie uznawał żadnych hamulców. Gdy po studiach zamieszkałem na stałe w Berlinie, unikałem go jak ognia.

– Pan Tercjusz wspomniał, że doszło do samobójstwa w Galicji. Wie pan coś o tym?

– Tylko ze słyszenia. Pojechał z kolegami do jednego z majątków Lili. Porwali ze wsi jakąś dziewczynę. Zabawiali się z nią przez dwa dni, a gdy ją wypuścili, rzuciła się

z młyna do rzeki. Kupił sobie milczenie miejscowych władz i przede wszystkim jej rodziny. Możliwe, że zapłacił za mało.

– I nic nie doszło do pańskiego ojca?

– Zmowa milczenia. Tak to się chyba nazywa.

– Tak. Zauważyłem, że całe jego otoczenie przestrzega tego bardziej niż zasad dekalogu.

Obaj zdawali sobie sprawę, że Edward również należy do tego sprzysiężenia. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy. Jan przerwał ją dość brutalnie:

– Wiem, że istniało... coś między panem a panią Lili.

– Tak to się teraz nazywa? Coś? – zakpił Edward. – Kochałem ją!

Podszedł do okna, chwycił obiema dłońmi pręty i mocno nimi szarpnął. I zaczął mówić.

– Zobaczyłem ją na ich ślubie i było po mnie. Tylko Barbara się zorientowała. Nawet nie musiałem jej mówić. Od razu wyjechałem. Potem widywałem Lili bardzo rzadko. Wiedziałem, że Adam próbuje ją zdeprawować, że ciąga ją po spelunkach, że zamienił jej życie w piekło. Zawsze nim gardziłem, ale gdy się dowiedziałem, że próbuje ją zniszczyć, zacząłem go także nienawidzić – Poniński wrócił i ponownie usiadł przy stole. – Robiłem wszystko, żeby się z nim nie stykać, żeby o nim nie słyszeć. Zobaczyłem ich razem jakiś czas po ślubie. Wyglądała na przerażoną. Wystarczyło, że ktoś się głośniejsze odezwał, a cała drżała. Podskakiwała na odgłos otwierających się drzwi.

– To wtedy zagroził mu pan, że jeśli nie da spokoju żonie, o wszystkim powie pan ojcu?

Edward skinął głową.

– Przez dłuższy czas przestrzegał tej umowy. Taki był jego strach przed ojcem – zamilkł, lecz nagle zmarszczył nos i brzydko odsłonił zęby. – Dopiero teraz przekroczył wszelkie granice.

Jan nachylił się i spytał cicho:

– Co zrobił?

– Uderzył Lili i zaczęła przedwcześnie rodzić. Lekarz nie dojechał, a Barbara nie zdołała jej uratować.

Morawski zamknął oczy. Przez pewien czas panowała taka cisza, że słyszeli latającą za oknem muchę.

– Czy potrafi pan sobie wyobrazić – spytał Poniński zdławionym głosem – co znaczy żyć pięć lat ze świadomością, że ukochana kobieta znajduje się w mocy takiego potwora, jakim był mój brat?

– Nie chcę o tym myśleć – Jan powiedział to takim tonem, że Edward spojrzał na niego z uwagą.

Ulicą za oknem przetoczył się wóz, jakieś kobiety sprzeczały się lub tylko coś sobie

opowiadały, skrzyknęło krzesło. A oni milczeli.

– Może jednak przełamie się pan i opowie mi o tamtej nocy? – Morawski mówił z trudem, jakby zdrętwiała mu szczęka.

– Nie. I wolałbym, aby pan już sobie poszedł.

Od strony drzwi dobiegł hałas, stukot, szuranie. Wszedł strażnik z menażką w dłoni. Postawił ją na stole, skinął lekko Janowi i wyszedł, starannie ryglując drzwi. Morawski wstał i z parapetu przyniósł metalową miskę, nóż i łyżkę. Otworzył pojemnik i zobaczył sześć kawałków gotowanego kurczaka.

Łyżką przełożył pałkę na głęboki talerz i podał Edwardowi. Tamten odsunął jedzenie.

– Nie będę jadł.

– Bardzo przypomina pan ojca – odezwał się Jan, zupełnie jakby prowadził konwencjonalną pogawędkę na przyjęciu u księżnej. – Jestem w pałacu od wczoraj i jadłem tam cztery posiłki. Pański ojciec towarzyszył nam tylko przy jednym. Zjadł plaster wołowiny i wyszedł. Skóra wisi na nim tak, jakby ją zdjęto z kogoś innego.

Edward nie odpowiedział, za to kreślił nożem jakieś wymyślne figury na blacie. Jan dostrzegł obrączkę na małym palcu jego lewej dłoni.

Nigdy nie miał skrupułów, by opowiadając coś, lekko odwracać kolejność zdarzeń lub oświetlać je z dogodnej dla jego celów strony.

– Dzisiaj rano, gdy zapytałem, czy zje z nami śniadanie, odparł, że odmawia pan przyjmowania jedzenia, które dla pana zamówił. Wygląda na to, że postanowił zastosować wobec siebie podobne restrykcje – Morawski z ubolewaniem pokręcił głową. – Ale w jego wieku to nie jest bezpieczne.

Edward spojrzał na Jana oczyma Natalii.

– Mam tylko jeden nóż i jedną łyżkę.

– Kurczak najlepiej smakuje jedzony palcami.

– Nie dam rady zjeść tego wszystkiego.

Morawski sięgnął po pokrywkę menażki i nałożył sobie kawałek mięsa.

– Pomogę panu, choć liczyłem na to, że obejdę się bez obiadu. Posiłki z panem Tercjuszem to spory wysiłek dla mojego żołądka.

Zaśmiali się obaj i zabrali do jedzenia. Edward z początku się ociągał, ale z każdą chwilą jadł coraz bardziej łapczywie. Morawski lekkim tonem opowiadał o codziennym życiu w pałacu: przywoływał co ciekawsze facecje pana Drojewskiego, mówił o niepokojącym wyglądzie Jacentego, pod niebiosa wynosił panią Barbarę. Edward z aprobatą pokiwał głową:

– Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, jaka to ulga wiedzieć, że ona tam jest i czuwa nad ojcem. Pamiętam, jak bardzo matka jej ufała.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Jan:

– Słyszałem, że pracuje pan z Rogerem Sławskim.

– Tak, zna go pan?

– Nie, ale widziałem to nowe skrzydło Bazaru, a poza tym nasz wspólny przyjaciel zamierza zlecić panu Sławskiemu rozbudowę pałacu.

– W Tarnowicach? Widziałem. Prawdziwy klejnot.

Z menażki wybrał fileta, zjadł kawałek i opowiadał:

– Ja od pewnego czasu bardziej skłaniam się ku urbanistyce. Pracuję nad projektem dzielnicy willowej w Sołaczcu – wyraźnie się ożywił, a na bladej twarzy pojawiło się lekkie zaróżowienie. – Uważam, że te tereny są zdecydowanie ciekawsze niż grunty na Górczynie, gdzie miasto planuje zbudować takie osiedle. Marzy mi się kolonia z mnóstwem zieleni, a tam... To znaczy marzyła mi się. Teraz to już nie ma znaczenia...

Odsunął od siebie menażkę. Zjadł całkiem solidny posiłek, bo Jan, choć co chwilę sięgał po mięso, brał jak najcieńsze kawałki, czasami zaledwie po kilka włókienek. Obydwaj mieli wilgotne ręce. Edward przyniósł leżący na łóżku nie najczystszy ręcznik i wytarli dłonie. Poniński odruchowo sięgnął po blok i jeden z grafitów.

Na stole stała przywieziona ze Stępowa butelka. Jan zauważył na parapecie metalowy kubek. Podeszedł i powąchał jakąś mętną ciecz. Poszperał w torbie i coś wyczuł między bielizną Edwarda. Wyciągnął dwa kieliszki, stanowiące prawdopodobnie fragment zestawu myśliwskiego.

– Wiedziałem, że na pana Tercjusza można liczyć – skomentował znalezisko. Nalał odrobinę calvadosu do kieliszków i podał jeden Ponińskiemu. – Podobno pański ulubiony.

Zagadnięty skinął głową i wypił mały łyk. Jan również się napił i poruszył jeszcze jedną sprawę:

– Pan Tercjusz dużo mi opowiadał o pańskim młodszym bracie. Podobno tylko pan utrzymuje z nim kontakt.

Z początku Edward nic nie mówił. Siedział z przekrzywioną głową i czule gładził grafity.

– Raczej utrzymywałem.

– To znaczy, że nic pan o nim teraz nie wie?

– Gustaw nie żyje – uniósł głowę. – Od czterech lat.

Dla Jana, który w ciągu ostatnich minut uniewinnił Edwarda i zbudował nową koncepcję z Gustawem w roli zabójcy, to był prawdziwy cios. Gorączkowo myślał, jak połączyć wszystkie elementy w taki sposób, by uwolnić od oskarżeń siedzącego koło niego mężczyznę.

– Był żonaty, prawda?

– Tak – Poniński zanurzył usta w calvadosie. – Ożenił się w Anglii jakiś czas po wyjeździe z Polski. A poza tym... – Edward urwał, jakby się zawahał. Po chwili dokończył: – Zresztą nie będę tego dłużej ukrywał, bo i tak się pan dowie. A skoro ja spędzę resztę życia w więzieniu, to lepiej, żeby ktoś jeszcze o tym wiedział – Jan czekał na nowinę z szeroko otwartymi oczyma. – Gustaw ma syna. Małego Gucia.

– Gucia – powtórzył Morawski niczym echo.

– Teraz ma osiem lat.

Do Jana chyba ta rewelacja nie dotarła, bo jego komentarz dotyczył raczej sprawy zabójstwa, a nie sytuacji rodzinnej najmłodszego Ponińskiego.

– Gustaw nie żyje. A ja myślałem, że to może on... – wyrwało mu się.

– Znowu pan do tego wraca? Gustaw nie ma z tym nic wspólnego – Edward spojrzał zimno na swego gościa. – Niech pan już idzie – wstał, wziął ze stołu przywiezione przez Jana zdjęcie i podał mu je.

– Ale...

– Nie wiem, dlaczego w ogóle z panem rozmawiałem. Jest w panu coś takiego, że... – machnął ręką i podszedł do drzwi.

– Chciałbym zadać tylko jedno pytanie dotyczące pańskiego starszego brata.

– Nie – Edward uderzył pięścią w drzwi.

– W raporcie medycznym jest wzmianka o śladach na nadgarstkach juniora. O zasinieniach i jednej ranie. Czy coś pan zauważył tamtego dnia?

– Nie.

Odsunięto zasuwę. Jan wiedział, że zaraz otworzą się drzwi. Spojrzał na więźnia i z pełną powagą oznajmił:

– Gdyby ktoś uderzył kobietę, którą kocham, i gdyby ona przez to zmarła, to z pewnością zastrzeliłbym tego człowieka.

Strażnik otworzył drzwi i Morawski wyszedł.

## Rozdział 14.

Jan wszedł do holu i poczuł się, jakby trafił do lodowni. Przyłożył rozpaloną twarz do marmurowej kolumny i zamknął oczy. Pot spływał mu za kołnierz i łaskotał wzdłuż kręgosłupa. Przez całą drogę, najpierw kolejką, a potem powozem, marzył o chłodnej kąpieli.

Oderwał się od filaru, gdy usłyszał kroki zbliżające się od strony gabinetu seniora. W holu zjawił się wyraźnie niespokojny pan domu:

- Widział się pan z nim, prawda?
- Tak, po krótkich negocjacjach przystał na rozmowę.
- Jak on...? Jak się...?

Z korytarza dobiegł męski głos i dźwięk odstawiania czegoś metalowego na kamienną posadzkę.

Jan rzucił marynarkę i kapelusz na ławę.

– Wejdzmy tu – zaproponował i ujmując Ponińskiego pod ramię, zaprowadził go do bocznego saloniku. – Niewiele panu powiem. Wpuszczono mnie do niego, ale nie chciał rozmawiać o tamtej nocy.

Starszy mężczyzna opuścił ramiona i ciężko opadł na fotel. Jan usiadł naprzeciwko niego i mówił łagodnym tonem:

- Trochę pogawędziliśmy. Nakłoniłem go, by cokolwiek zjadł.
- Wspaniale.
- Ale zgodził się dopiero wtedy, gdy mu powiedziałem, że skoro on nie je, to pan też postanowił pościć.

Senior najpierw się nie odzywał, a potem spytał zachrypniętym głosem:

- Jak on się czuje?
- Wygląda na przygnębionego. Jest bardzo szczupły, choć nie wiem, czy schudł, bo go przecież przedtem nie widziałem.
- Zadał pan sobie trud nadaremnie – stwierdził pan Poniński po chwili.
- Nadaremnie? Nie. Teraz, gdy go poznałem, jeszcze bardziej zależy mi na tym, by dowieść jego niewinności.

Senior spojrzał na swego gościa, ale chwilowe poruszenie, które w tej rozmowie okazywał, szybko zniknęło pod skorupą, jaką zdecydował się demonstrować światu. Wstał.

- Dziękuję. Dziękuję panu – wskazał drogę powrotną do holu.



- Chciałbym pójść do góry i umyć ręce.
- Tu na dole przy moim gabinecie też jest łazienka. Tercjusz czeka na pana w jadalni.
- A pan już jadł?
- Coś tam zjadłem.

Odszedł. Jan stał i patrzył na seniora z troską. Całą drogę się zastanawiał, co powie osieroconemu podwójnie ojcu. Prawie zdecydował, że powiadomi go o małżeństwie i śmierci Gustawa, ale nadal się wahał, czy ujawnić fakt istnienia wnuka, choć nie umiałby wytłumaczyć, co go przed tym powstrzymywało.

Odświeżył się i poszedł do jadalni, w której dzięki zasuniętym roletom i otwartym na przestrzal drzwiom panował względny chłód i przyjemny półcień.

Przy stole siedział – a raczej leżakował – pan Tercjusz, umilając sobie czas oczekiwania jakże stosowną lekturą *Zabójstwa przy rue Morgue* Poego.

– Nareszcie! – ucieszył się, a widząc zgrzanego Morawskiego, zawołał: – Dobry Boże! Wygląda pan jak po powrocie z piekła!

Zadzwoił, zanim Jan zdążył zaprotestować i wyjaśnić, że nie zamierza niczego jeść. Znienacka pojawił się Serpentyn i Tercjusz polecił:

- Wrócił nasz gość. Możecie podawać.
- Ja dziękuję – odezwał się Morawski. – Nie jestem głodny.

Pan Drojewski chyba nie zwrócił na to uwagi:

– Nie czekaliśmy z obiadem. Wie pan, jak to jest z dziećmi. Posiłki o stałych porach i inne takie przykazania.

Jan opadł na krzesło, a Tercjusz wesoło paplał dalej:

– Felicja ugotowała potrawkę z cielęciny, bo powiedziała, że w razie czego można to łatwo podgrzać w kredensie na maszynie.

– Nic ciepłego, proszę – zdołał wtrącić Morawski.

– A gdy obiad był już gotowy, to przyszedł Mateusz... swoją drogą cóż to za wspaniały kamerdyner! Nie wiem, skąd go pan wytrzasnął.

Jan zauważył na stole karafkę z wodą, nalał sobie pełną szklanekę, duszkiem wypił i próbował słuchać.

– Pytałem go o to – kontynuował Tercjusz, któremu wyraźnie brakowało w ciągu dnia rozmówcy – i powiedział mi, że dostał go pan w prezencie na osiemnaste urodziny.

– To prawda.

– Tak się cudownie zajął Natalią! Radziłem Adamowi, aby zamiast szukać guwernantki, zatrudnił Mateusza – pan Drojewski cały się rozpromienił, a potem nagle uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca konsternacji. – O czym to ja mówiłem?

– Nie wiem.

– Pomyślmy wstecz. Bona, urodziny, Mateusz... ach, już wiem. Więc gdy obiad był

gotowy, to przyszedł Mateusz i powiedział, że w taką pogodę to pan tej potrawki i tak nie zje. Powiedział, że obiad musi być zimny i mokry. I słony.

– Naprawdę? – Jan się ożywił.

– Kazał Felicji utrzyć w moździerzku trochę chleba i oliwy. A potem dodać cebulę i pełno pomidorów, i coś tam jeszcze. I przetrzeć. I wkroić korniszony.

W tym momencie wszedł Mateusz, niosąc szklaną bolę wypełnioną gęstym, czerwonym płynem. Nalał przysmaku do kokilki i podał Janowi:

– Pańska hiszpańska zupka – przyjrzał się swemu pracodawcy z troską. – Dobrze się pan czuje?

Morawski wypił spory łyk:

– Wspaniale.

– Tu jest tak chłodna piwnica, że nawet nie trzeba było stawiać zupy na lodzie.

– Takie zimne jedzenie nie jest chyba zdrowe – powątpiewał Tercjusz.

– Jest bardzo zdrowe – Janowi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozjaśniło się w głowie, a do ciała zaczęła powracać zwykła energia. Łyżeczką wyjadł kostki warzyw z dna i wyciągnął naczynie w stronę Mateusza. – Poproszę jeszcze.

– A może rostbef? – pan Drojewski entuzjastycznie zareagował na widok pokrojonego w plastry mięsa, właśnie przyniesionego przez Seweryna. – Na zimno też jest pyszny.

– Nie, nie. Dziękuję – Jan delektował się złożonym smakiem zupy, w której słodycz pomidorów przenikała się z solą i octem winnym, a z aksamitną konsystencją przyjemnie kontrastowały chrupkie kawałki ogórka. Czuł, że znowu chce mu się żyć.

Uniósł wzrok i dostrzegł, że Tercjusz miłośnie spogląda na wołowinę.

– Ale może pan zje? – zaproponował.

– Właściwie... – smakosz się wahał, lecz wyłącznie *pro forma*. – Ale tylko dla towarzystwa. Na obiad niewiele zjadłem. W tym upale zupełnie nie mam apetytu.

Jan bał się pomyśleć, co w takim razie dzieje się zimą... Czym prędzej spytał:

– A czy pan Poniński coś zjadł?

Była to istotna kwestia, biorąc pod uwagę wiadomość, jaką zamierzał przekazać seniorowi.

– Tak. Zdaje się, że Barbara coś tam w niego wmusiła.

– Dobrze, że ma koło siebie kogoś takiego.

– To prawda. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie bez niej radę. Przyjechała tu jeszcze za życia Natalii, żony Adama. Adam ją przygarnął po śmierci jej ojca – Tercjusz ze współczuciem pokręcił głową i dodał przyciszonym głosem: – Najgorsze jest to, że ten biedny człowiek popełnił samobójstwo.

Mateusz aż zagwizdał, co najlepiej dowodziło, jak bardzo zdążył zaprzyjaźnić się z Tercjuszem.

Stał teraz, opierał się o krzesło stojące naprzeciw Jana i uważnie słuchał. Pan Drojewski mimo upału dołożył sobie jeszcze kawałek mięsa i kontynuował opowieść:

– Była jego ukochanym dzieckiem. Do dziś czci go niczym półboga. Jego dagerotyp, szabla z powstania i sygnet to dla niej prawie przedmioty kultu. Do tego była zaręczona i szaleńczo zakochana, ale po samobójstwie jej ojca narzeczony odszedł. Twierdził, że rodzina nie pozwala mu ożenić się z córką takiego bezbożnika, ale tak naprawdę chodziło o majątek. A raczej jego brak.

– Taka atrakcyjna kobieta z pewnością mogła jeszcze ułożyć sobie życie – zaopiniował Mateusz.

– Przyznam, że nawet tutaj miała zalotników – odparł rezydent – ale nie wiem, czy uważała ich za niegodnych siebie, czy po prostu straciła ochotę na małżeństwo, w każdym razie wszystkim odmawiała. A potem odeszła Natalia i Barbara przejęła zarząd domem.

– Raczej jako krewna niż płatna służąca – skomentował Jan.

– Chyba dlatego nie pozwala Adamowi, by jej płacił. Gdyby przyjmowała pensję, sprowadziłaby się do pozycji gospodyni, a tak jest panią domu, powinowatą w pewien sposób wyświadczającą Adamowi przysługę.

Usłyszeli zbliżające się szybkie kroki. Pani Barbara biegła przez hol w stronę kuchni. Morawski postanowił wykorzystać jej obecność i skonsultować z nią najbardziej palącą kwestię. Podeszedł do drzwi i zawołał:

– Pani Barbaro, czy znalazłaby pani dla nas chwilę? – zatrzymała się i spojrzała na niego zdziwiona. – Chciałbym naradzić się z panią i panem Tercjuszem.

– Coś złego z Edwardem? – zaniepokoiła się.

– Nie, czuje się dobrze. Zjadł, wypił. Trochę porozmawialiśmy.

– Zaraz przyjdę – powiedziała poważnym głosem. Przez uchylone drzwi Jan widział, jak zdjęła jedwabny fartuch i schowała go w sprytnie zamaskowanej szafce. Weszła do jadalni, a Morawski podał jej krzesło i zamknął drzwi. Wracając na swoje miejsce, zauważył dyskretny gest Mateusza, wskazującego mu pas skóry nad górną wargą. Jan sięgnął po serwetkę i wytarł to, co musiało być pomidorowymi wąsami. Miał tylko nadzieję, że pani Barbara ich nie dostrzegła i że praczka go nie przeklnie.

– Niestety, nie dowiedziałem się zbyt wiele o tym, co nas najbardziej interesuje – zaczął. – Edward nie chciał rozmawiać ani o kłótni, ani w ogóle o tamtej nocy.

Na wszystkich trzech twarzach dostrzegł rozczarowanie.

– Szkoda – ciągnął dalej. – Przyznał jednak, że kochał Lili, a poza tym wyjawiał jedną rzecz, którą muszę przekazać panu Ponińskiemu.

Spojrzał na panią Barbarę i przypomniało mu się, że ona chyba nie wie o małżeństwie Gustawa.

– Panie Tercjusz, czy pani Barbara wie o tym, o czym poinformował mnie pan wczoraj?

– Ha! Nie mam pojęcia – zapytany wykonał szybkie poruszenie ramion. – Raczej nie.

Wobec tego Jan oznajmił:

– Gustaw się ożenił. Wkrótce po opuszczeniu domu.

Duże oczy pani Barbary stały się wprost okrągłe. Kobieta aż przygięła kark i obniżyła brodę.

– Z Angielką – uzupełnił Tercjusz, a po zastanowieniu dodał: – Lub z Amerykanką. Czy Edward coś o niej powiedział?

– Niestety, nie.

– To na pewno ona – zdecydował pan Drojewski. – Zabiła Adama. I rzuciła podejrzenie na Edwarda. Chodzi o to, by jej mąż objął cały majątek.

– Jej mąż nie obejmie majątku – powiedział cicho Jan. Spojrzeli na niego z uwagą: – Jej mąż nie żyje.

– Chwila – Tercjusz aż zmarszczył czoło. – Jeśli mąż żony Gustawa nie żyje, to znaczy...

– Co się stało? Kiedy? – pani Barbara nie miała problemów ze skojarzeniem. – Czy Edward jest tego pewien? – czepiała się nadziei.

– Mówił o tym jako o fakcie stwierdzonym. Wspominał chyba, że to się stało cztery lata temu.

– Ten wesoły Gustaw nie żyje – rezydent mówił z intonacją somnambulika. – Niemożliwe.

– Czy pan Adam wie? – zatroszczyła się pani Barbara.

– Właśnie to chciałem z państwem skonsultować. Uważam, że powinien się dowiedzieć.

Tercjusz niczym nie okazał, że pytanie do niego dotarło. Kobieta miała opuszczoną twarz i kilkakrotnie pokiwała głową.

– Pani Barbaro? – naciskał Morawski.

– Tak. Musi wiedzieć.

Drojewski nadal milczał.

– Dzisiaj wieczorem mu powiem – oświadczył Jan. – Chyba że ktoś z państwa...?

Tym razem obydwójce pokręcili przecząco głowami.

– A Edward? – spytała pani Barbara. – Jak znosi uwięzienie?

Jan nie zdążył jej odpowiedzieć. W holu wybuchło jakieś zamieszanie, usłyszeli wołanie, płacz, szybkie kroki. Kobieta wstała i otworzyła drzwi.

– Co się stało?

– Pani Barbaro! – rozpoznali rozhisteryzowany głos Neli. – Walek się zranił! Przeciął! Tasakiem! Żyły ma otwarte i krew leje się strumieniami. On chyba umiera!

Pani domu szybko wybiegła, zatraskując za sobą drzwi. Mężczyźni zostali sami.

– Co za tragedia! – wyszeptał Tercjusz.

Morawski w pierwszej chwili pomyślał, że na pewno pani Barbara potrafi pomóc zranionemu lokajowi, ale szybko zrozumiał, że percepcja Tercjusza zatrzymała się przy Guciu.

Pocziwy pan Drojewski rozpaczał dalej:

– Śmierć dwóch synów i synowej, a trzeci siedzi w więzieniu oskarżony o morderstwo. Prawdziwa hekatomba.

– Panie Tercjusz – Jan położył mu dłoń na ramieniu i lekko potrząsnął – do roboty. Musimy tego trzeciego wyciągnąć z więzienia.

– Właśnie – zbliżył się Mateusz.

– Ale jak to zrobić? – Tercjusz bezradnie się w nich wpatrywał.

– Za dużo tu Angielek – Jan z niesmakiem wyduł usta.

– Za dużo?

– Guwernantka, pani Gustawowa i ta dziewczyna na dworcu – odliczał Morawski na palcach.

– Jaka dziewczyna na dworcu?

– Nie mówiliśmy panu? – Mateusz rzucił Janowi zdziwione spojrzenie.

– Nie!

– Na dworcu w Poznaniu – podjął opowieść kamerdyner – gdy dorożkarz usłyszał, dokąd jedziemy, powiedział, że kilka dni wcześniej jego pasażerką była młoda kobieta mówiąca po angielsku, która jechała właśnie tu.

– To mogła być guwernantka albo żona Gustawa – załapał Tercjusz.

– Właśnie.

Przez chwilę każdy z nich próbował to sobie poukładać. Gdy już im się to prawie udało, Jan z radością dołożył kolejny wątek do rozważań:

– Dzisiaj, gdy wracałem, przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl – nie wykazali entuzjazmu. – Pan Poniński ożenił się raczej późno, prawda?

– Czy ja wiem? Miał ze czterdzieści lat.

– A przedtem? Kochał się w kimś?

– No jasne – Tercjusz zareagował z entuzjazmem. – W młodości w księżnej Czartoryskiej. Natalia często mu to w żartach wypominała.

Janowi jednak nie o to chodziło:

– A w Anglii?

– Hm. Z pewnością miał jakieś romanse przez te dwa lata, ale nie wiem nic konkretnego.

– A potem? W Ameryce?

– Tu już zupełnie nic nie powiem. Nie było mnie z nim, a on się z takich spraw nie zwierza. Dlaczego pan pyta?

Morawski spojrział na towarzyszy z ukosa:

– Może wdał się w jakiś płomienny romans i doczekał potomka?

– Myśli pan – spytał z niedowierzaniem Mateusz – że ta kobieta na dworcu to mogła być córka?

– W Ameryce był na pewno w 1863 roku – obliczał Jan. – Na upartego to mogłaby być wnuczka.

– Trudno będzie odnaleźć tę dziewczynę – przytomnie zauważył Tercjusz. – A zresztą dziecko z nieprawego związku nie mogłoby dziedziczyć.

– Może jest dzieckiem legalnym – Morawski rzucał pomysłami jak z rękawa. Wpływ zupy na jego przegrzany poprzednio umysł był doprawdy czarodziejski. – Może ślub był protestancki? Senior mógł się rozwieść. Poza tym może w tej sprawie nie chodzi tylko o spadek, ale o zemstę za porzucenie?

I Mateusz, i Tercjusz mieli na twarzach wyraz oszołomienia, Janowi natomiast słowo „spadek” przypomniało o pytaniu, które już po wielokroć chciał zadać panu Drojewskiemu:

– Czy zna pan statut ordynacji?

– Tylko w zarysie.

– A może pan ustalić szczegóły? Chodzi mi przede wszystkim o to, czy kobiety mogą dziedziczyć.

– Spróbuję.

– Ale wolałbym, aby pan Poniński nie dowiedział się, że to mnie interesuje. I tak czeka go wielki ból, więc nie chcę, aby zaczął przedwcześnie się zastanawiać, czy jego spadkobiercy usiłują nawzajem się wyeliminować.

– Sam pan powiedział, że najlepiej by było, gdyby mordercą okazał się ktoś z zewnątrz – przypomniał Tercjusz. – I moim zdaniem teoria z tą kobietą jest wyśmienita.

– Ma tylko jedną wadę. Nie wyjaśnia, dlaczego pan Edward milczy.

Nagle Jan zmarszczył czoło. Chwycił bolę i zaczął nią poruszać, skupiając się na tym, by doprowadzić czerwony płyn do krawędzi naczynia.

– A może Edward milczy, bo wierzy, że to ktoś z jego bliskich jest mordercą? A w rzeczywistości juniora zabił ktoś inny?

Tercjusz popatrzył na niego ze zgorszeniem, po czym wstał i rzucił serwetkę na stół.

– Mam pana dość.

\*\*\*

– Mateuszu, musimy znaleźć winnego. Po prostu musimy – z żarliwością oświadczył Jan.

Po buncie Tercjusza poszli na górę, gdyż Morawski koniecznie pragnął się przebrać, zanim podejmą dalsze działania.

– Jaki on jest? Ten pan Edward? – chciał wiedzieć kamerdyner.

– Powściągliwy. Inteligentny. Hardy – Jan sięgnął do komody po świeżą koszulę. – I teraz wierzę, że byłby w stanie wziąć na siebie winę, aby osłonić kogoś, kogo kocha.

– Dla kogo mógłby się poświęcić?

– Dla ojca – Morawski nie miał wątpliwości. – Wiesz, on kocha Lili całym sercem, a z jego ust nie padł ani razu pod adresem Mariusza wyrzut, że kogoś tak niewinnego rzucił na pożarcie degeneratowi.

– Ale pan Edward wie przecież, że młody Adam grał przed ojcem idealnego młodzieńca. Senior nie wiedział, za kogo wychodzi jego podopieczna.

Jan skinął głową i sięgnął po ręcznik.

– Chciałbym, aby to nie był on – po tym wyznaniu ciężko westchnął. Naraz coś mu się przypomniało: – Jeszcze jedno. Nie powiedziałem im wszystkiego – zawiesił głos: – Gustaw zostawił syna.

– Co?

– Syn. Guccio. Lat osiem. Dlatego pytałem o statut ordynacji.

– Gdzie jest?

– Nie wiem. Po wyjawieniu tego Edward nie chciał dalej ze mną rozmawiać.

– To przekreśla kilka rozwiązań.

Jan skinął głową i spytał:

– A tobie jak minął dzień?

– Szukałem Bobiego. Bez skutku.

– Rozwieście listy gończe. W domu jest pełno kolumn, więc będziecie mieli do czego przyczepiać afisze.

– Byłoby trudno. Właścicielka co rusz zmienia rysopis zaginionego – kamerdyner odchrząknął i oficjalnym tonem dodał: – Poza tym w wolnych chwilach zajmowałem się moim śledztwem – akcent na „moim śledztwie” był bardzo znaczący.

– Poczekaj, muszę się wykąpać i wszystko mi opowiesz – zdecydował Jan i szybko zapewnił, widząc, że Mateusz zamierza protestować: – Dziesięć minut. Tylko się opłuczę.

I wyszedł. Kamerdyner sięgnął po garnitur swego pracodawcy, gdy ten nagle uchylił drzwi, wstawił głowę do pokoju i rzucił:

– Słuchaj. Tak sobie pomyślałem... Dotychczas zakładałem, że mordercą jest ktoś bliski Edwardowi.

– Tak, ale teraz pan stwierdził, że pan Edward mógł uznać za zabójcę kogoś, kto tego nie zrobił.

– No właśnie. A czy ktoś rozważył samobójstwo juniora?

## Rozdział 15.

– Dokąd najpierw? – spytał Jan, gdy zbiegali po schodach.

– Do kuchni.

– Wiedziałem, że od tego kierunku zaczniesz.

Zatrzymali się na spoczniku i Mateusz przeprowadził wykład logiki:

– Po pierwsze, kucharka zawsze wie najwięcej, ponieważ wszyscy do niej przechodzą i są przy niej w dobrym humorze, bo najedzeni.

– O ile dobrze gotuje – wprowadził zastrzeżenie Jan.

– A po drugie, zaczynamy tam, bo podobno jeszcze przed śmiercią pana juniora wieszczyła, że ktoś zapuka do św. Piotra.

Gdy znaleźli się w holu, od strony gabinetu dobiegł ich głos Mariusza:

– Sewerynie, chciałbym podziękować naszemu gościowi za jego starania. Przekaż Jacentemu, żeby do kolacji podał mojego najlepszego burgunda. Tak, chambertin będzie pasował do pieczonego drobiu.

– Oczywiście, jaśnie panie.

Usłyszeli trzask zamykanych drzwi. Mateusz sobie nie podarował:

– Fiu, fiu.

Ktoś się zbliżał, więc uciekli w stronę kuchni. W narożu pałacu, tuż przy przejściu do części gospodarczej, Morawski złapał kamerdynera za ramię:

– Poczekaj. Tam pewnie trwają teraz przygotowania do kolacji. Będziemy przeszkadzać.

Mateusz wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki i ocenił sytuację:

– Myślę, że jeszcze nie. Wie pan przecież, że senior ograniczył wystawność posiłków, więc nie ma mowy o dziesięciu daniach – ruszył bocznym korytarzem, dodając: – Zresztą na kolację mają być kurczęta z różną, więc jeszcze ich nie wstawili.

– Jeżeli pieką na różnie, to tam będzie jak w saunie.

– Latem pieką na różnie zewnętrznym. A poza tym kucharka nie będzie pana przyjmowała w kuchni, tylko w naszej jadalni.

Jan porzucił protesty i posłusznie podążył za kamerdynerem.

Zatrzymali się przy wejściu do kuchni. Nad drzwiami przymocowano belkę z wbitymi hakami, na których wisały przeróżne koszyki.

– Powiedziałem Felicji – szepnął spryciarz Mateusz – że wczoraj pan z nią nie rozmawiał, bo jest ona tak istotnym świadkiem, że nie może pan spotykać się z nią



w przelocie, jak z tamtymi.

Zachichotał i otworzył drzwi.

Znaleźli się w olbrzymim, jasnym pomieszczeniu, którego centrum stanowił stosownej wielkości murowany piec, dostępny z trzech stron. Podłogę pokrywały kamienne płyty, a pod ścianami stały dwa białe kredensy, których górne półki wypełnione były miedzianymi rondlami, młynkami, moździerzami i innymi kuchennymi utensyliami. Osobny regał zajmowała kolekcja form w kształcie owoców (tych używano do przygotowywania deserów), bądź wyobrażających ryby czy ptactwo (te przydatne były przy wyrobie musów). Przez uchylone drzwi do spiżarni można było dostrzec beczki, skrzynki, puszki i worki.

– Pochwalony, drogie panie – oznajmił ich przybycie Mateusz.

Przy stole kuchennym siedziały naprzeciwko siebie dwie dziewczyny w niebieskich sukniach i ciemnych fartuchach. Na stole między nimi stał durszlak pełen czerwonych porzeczek. Służące sięgały po kuleczki i piórkiem gmerały w gronkach. Były całkowicie skoncentrowane na swym zajęciu i Janowi przypomniała się precyzja, jaką kiedyś widział u łowickiej gospodyni malującej pisanki.

– Słucham? – Morawski zapatrzył się w tę zagadkową pracę i w pierwszej chwili nie zorientował się, że Mateusz coś do niego mówił.

Kamerdyner wskazywał mu przyjemnie pulchną, uśmiechniętą kobietę o młodzieńczej buzi, której idealna gładkość dość dziwnie wyglądała przy siwych lokach, wymykających się spod białego czepka, przybranego na znak żałoby czarną wstążką.

– To pani Felicja – dokonał prezentacji Mateusz.

Uśmiechnęła się tak promiennie, że Jan poczuł w okolicy serca ciepło. Ukłonił się i spytał szeptem, jakby nie chciał zburzyć skupienia pracownic:

– Co one robią?

– Drylują porzeczeki.

– Żartuje pani sobie?

– Ależ skąd. Trzeba usunąć pestki gęsim piórkiem, zanim usmażymy konfitury – miała miły, łagodny głos.

– Przecież te pestki są wielkości ziaren piasku – oszołomiony Jan przecesał włosy i oznajmił Mateuszowi: – Od dziś nie jem porzeczek. W przetworach.

Rozejrzał się dookoła. Na stole przystawionym do pieca zauważył puszki i wielkie szklane słoje:

– To też na konfitury?

– Nie, to na konserwy morelowe. Kompoty.

– Przynajmniej pestkę łatwiej znaleźć.

– Ale owoce trzeba obrać ze skóry – zgasił go Mateusz.

Jan nie pierwszy raz uświadomił sobie, jak wiele zachodu, starań i wiedzy potrzeba,

żeby powstało to, co on i jemu podobni dostają gotowe na talerze i niefrasobliwie konsumują.

Te raczej gorzkie rozmyślenia przerwała pani Felicja:

– Przejdźmy tu obok.

Wskazała drzwi do bocznego pomieszczenia i ruszyła tam pierwsza, po drodze zaglądając do wysokiej szafki. Gdy mijali zejście do piwnicy, usłyszeli dochodzące stamtąd miarowe uderzenia i jakby chlupot.

Już w progu Jan wyczuł niebiański zapach, tak wspaniały, że niczym pies myśliwski uniósł nos i mimowolnie poruszył skrzydełkami nozdrzy.

Usiedli w przyjemnej izbie, której otwarte okna wychodziły na ogród warzywny. Na środku stał wielki stół, otoczony krzesłami w różnych kolorach, a pod ścianami kredensy pomalowane na biało. Półki miały zmyślne przegródki, w które powstawiano talerze, a na haczykach wisały kubki w kwiatowe wzory. A na kredensie! ŚWIEŻE CIASTO DROŹDŹOWE! Z wiśniami i kruszonką. Jan podziękował w duchu, że nie zjadł obiadu.

– Pan Mateusz wspominał – odezwała się pani Felicja – że pan lubi słodyczne.

Morawski stwierdził, że taka sława mu nie przeszkadza. Uśmiechnął się, a kobieta wskazała stół. Na położonym tam talerzu zobaczył jakieś wykwintne bezowe miniaturki z czekoladą.

– Wołałbym tamto – ośmielił się wskazać blaszkę z ciastem.

– Ale to... dla służby. To zwykła drożdżówka.

Jan żarliwie pokiwał głową. Pani Felicja przyniosła ciasto, szczodłą ręką odkroiła kawałek, nałożyła na czerwono-niebieski fajansowy talerz i podała gościowi. Ciasto było tak ciepłe, że zachowały się na nim ślady po dotyku palców kobiety.

Ciężar prowadzenia konwersacji spadł tymczasowo na Mateusza.

– Co z Walkiem?

– Nic takiego. Przeciął się w palec. Pani Barbara opatrzyła ranę.

W tym momencie do izby weszła Nela. Dygnęła i zaczęła zdejmować z półki talerze.

– Dobrze by było przyłożyć mu na to maść od Kałużnej – kontynuowała kucharka – ale zostało ledwie co na dnie.

– Od Kałużnej?

– To nasza miejscowa mądra.

– Zielarka?

– Tak – z uznaniem przytaknęła Felicja. – Ale dobra. Bardzo religijna.

– No to poproście, żeby dała więcej maści.

Zagadnięta nic na to nie odpowiedziała. Wydawała się zakłopotana, natomiast do rozmowy wtrąciła się Nela i przyciszonym głosem oznajmiła:

– Nie można. Pani Barbara byłaby niekontenta – pokojówka przezornie się rozejrzała.

– Pokłóciły się.

– Zajmij się swoją robotą – zganiła ją przełożona, a Mateuszowi wyjaśniła: – Walkowi rana się zagoi. Martwię się tylko tym, że nie będzie mógł usługiwać przy stole.

– Przecież pomogę – obiecał kamerdyner i nagroził się bezikiem.

– Tak, wiem. Bóg zapłać. Szczerze mówiąc, martwiłam się, że przyjeżdżacie. Bo zwykle służący gościa to większy kłopot niż sam gość.

Jan zachichotał:

– Bardzo pani dziękuję – nic więcej nie dodał, bo nawet te trzy słowa połączone ze śmiechem wystarczyły, by dookoła pofrunęły wypadające mu z ust lekkie jak puch okruszki. Poślinionym palcem pozbierał z blatu drobiny, a poczciwa kucharka nałożyła mu jeszcze kawałek placka.

– Wszystko ostatnio idzie jak po grudzie. Nie tylko w pałacu, ale tu w oficynie też – pani Felicja wyglądała na szczerze zmartwioną. – Panna służąca pani Lili straciła rozum po tym strasznym rozwiązaniu i pani Barbara musiała ją odesłać. A jeszcze przedtem uciekła... to znaczy odeszła ta missa panienki i zabrali mi przez to Balbinę. Walek się ukroił. A tu pełno roboty, jak to latem.

– A do tego Jacenty... – nawiązał dyskretnie Mateusz.

– Tak – pokiwała głową kobieta – coś jest z nim nie tak.

– Wspominała pani, Felicjo, że Jacenty choruje.

– Zgadza się. Zawsze powtarzał, że i jego ojciec, i dziad padli trafieni apopleksją.

– Apopleksją?

– Wszyscy u nich w rodzinie mają zbyt gęstą krew. Lepką. Tak mówiła Kałużna.

Janowi jedzenie nie przeszkadzało w myśleniu. Przypomniawszy sobie znane mu przypadki tej choroby.

– Prawdopodobnie szkodzi mu upał – wtrącił się. – Powinien dużo pić. I unikać przegrzewania.

Mateusz z powątpiewaniem pokręcił głową, natomiast pani Felicja podeszła po raz drugi do tej szafki, co poprzednio. Gdy wracała, Morawski zaskoczył ją pytaniem:

– Podobno gdy pani Lili zmarła, powiedziała pani, że ktoś jeszcze umrze.

Kobieta wyraźnie się zarumieniła, ale dzielnie przyznała:

– Leżała przez niedzielę, to musiała kogoś za sobą pociągnąć. To taki przesąd.

– Moja babka też tak twierdziła – przypomniał sobie Mateusz. – Jej matka zmarła w piątek i babka uparła się, żeby ją pochować jeszcze w sobotę.

– No właśnie – pokiwała głową pani Felicja, a potem smutno opuściła kąciki ust. – Nasz biedny pan. Najpierw stracił wnuka, potem syna. A raczej dwóch synów...

Mężczyźni nie bardzo umieli ją pocieszyć, na szczęście w tej chwili z piwnicy wynurzył się młody chłopak.

– Postaw tam kierzynkę [13] – poleciła mu kucharka. – I starannie zamknij zejście – a gdy młodzian zniknął w kuchni, powiedziała do Jana: – W czasie tej okropnej burzy takie tu było zamieszanie, że przez przypadek drzwi zostały otwarte. A na dole przy poszukiwaniu gromnic przewróciła się trutka na szczury. I piesek panienki się zatrął.

Chłopak wrócił i zabezpieczył wejście do piwnicy.

– Masło dobrze ubite? – spytała jeszcze.

– Jeśli nie zelżeje ten hajc, trzeba będzie otworzyć lodownię – oznajmił i wyszedł.

– Dotychczas było chłodno – wyjaśniła swym gościom – więc od kilku tygodni nie przywożono świeżego lodu.

Rolę narratorki na pewien czas objęła pani Felicja, która zachwycała się dobrocią pani Natalii i pana Adama, chwaliła Edwarda, przypominała figle Gustawa:

– Pamiętam, jak kiedyś podmienił prezenty gwiazdkowe. Leżały w holu na stole. Kucharka, moja poprzedniczka, bo ja byłam wtedy tylko podkuchenną, dostała barchanowe kalessy, które nasza pani kupiła dla fornala.

Zaśmiali się na głos.

Jan podążał za opowieścią o psotniku Gustawie, a czasami podsłuchiwał toczącą się w przyległej kuchni rozmowę – a właściwie monolog – Neli. Podekscytowanym tonem opowiadała dwóm porzeczkowym elewkom, jak to udzieliła pierwszej pomocy Walkowi, zatamowała krwotok, a gdyby zaszła taka potrzeba, gotowa byłaby także założyć szwy.

Zrobiło się naprawdę miło i swojsko.

– A młody pan Adam? – spytał Jan, który dotychczas sprawiał wrażenie, jakby nie zwracał uwagi na gawędę pani Felicji.

Spuściła głowę i zasznurowała usta. Odpowiedziała dopiero po chwili:

– On był... inny. Trzymał się z dala od nas. Ale wiadomo: dziedzic, to sobie nie pozwalał na żadne spoufalanki.

Niespokojnie się poruszyła, wstała i ponownie podeszła do owej szafki. Wracając do stołu, podchwyciła zdziwione spojrzenie Jana. Cofnęła się i z uśmiechem otworzyła szerzej drzwiczki. W środku był zegar.

– Żałoba żałobą, ale na czuja kolacji nie ugotuję.

Morawski się zreflektował. Spojrzał na swojego bregueta i poczuł zdziwienie.

– Późno, nie będziemy pani przeszkadzać.

Wstał, a zaraz za nim podniósł się Mateusz. We trójkę wrócili do kuchni, gdzie kręciły się cztery dziewczyny: obierały małe cebulki, szatkowały ogórki, przebierały maliny.

– Ma pani urwanie głowy – zauważył Jan.

– Dawniej był tu kuchmistrz, dwie kucharki i kilka podkuchennych, ale pan Adam zmniejszył liczbę personelu. Szczęśliwie na czas prac polowych uruchamiana jest druga kuchnia i zatrudnia się dodatkową kucharkę dla robotników sezonowych.

Pożegnali się z panią Felicją i korytarzem ruszyli w przeciwną stronę niż ta, z której przyszedli. Minęli uchylone drzwi do pomieszczenia, w którym pod oknem stała maszyna do szycia, a wszystkie ściany zakryte były szafami. Jan szedł za Mateuszem i się rozglądał, aż wreszcie skręcili w prawo i wyszli na teren przy ogrodzie warzywnym, oddalając się od pałacowego dziedzińca. Szli alejką, którą przed piekącymi promieniami słońca osłaniała porośnięta winoroślą pergola.

– Tu jest jak w tunelu – stwierdził Jan. – Dokąd idziemy?

– Do Floriana. To stary ogrodnik. Pracuje tu od wielu lat i doskonale pamięta pana Gustawa.

– Teraz, gdy już wiemy, że Gustaw nie żyje, rozmowa o nim trochę traci sens, prawda?

– Tak – Mateusz przystanął. – Ale ja mu obiecałem, że pan przyjdzie i on będzie pana wyczekiwał.

Jan klepnął po ramieniu swego przyjaciela, który miał tę słabość, że zawsze liczył się z uczuciami innych.

– A poza tym on może coś wiedzieć o Jacentym – kontynuował kamerdyner.

– A ty znowu swoje. Słyszałeś, że ma kłopoty z krwią. To naturalne, że takie temperatury mu nie służą – Mateusz przyspieszył kroku, uciekając od tej argumentacji. Jan zaczął go gonić: – Posłuchaj, zastępujesz go, dzięki czemu ma szansę więcej odpoczywać, ale to wszystko, co możesz zrobić.

– Serpentyń źle mu życzy. Jestem tego pewien.

Doszli do wyjścia z zielonego korytarza.

Przed nimi rozpościerał się stary sad. W niczym jednak nie przypominał on tych nowomodnych plantacji, na których drzewa posadzone są w równych rzędach i stoją niczym legioniści w kohorcie. Tu panowała fantazja, malowniczość, drzewa były ze sobą przemieszane, gałęzie zwieszały się do ziemi, jakby zachęcały do wspinaczki.

Skręcili ścieżką w lewo i ruszyli wzdłuż żywopłotu mirabelkowego, podziwiając ciągnący się po prawej stronie sad. Minęli wędzarnię i wymurowane palenisko.

– Jesienią smażą tu powidła – wyjaśnił Mateusz.

Wkrótce trafili na niziutkiego, chudziutkiego ogrodnika, który uśmiechnął się na ich widok i spojrzał tak przenikliwie, że Janowi skojarzył się ze starym, bardzo mądrym krasnoludkiem.

Stał przy stole, zaimprovizowanym przez ułożenie kilku desek na dwóch trójnogach, dodatkowo wspartych kamieniami.

– Przyszliście? – ucieszył się.

– Zgodnie z obietnicą – potwierdził Jan.

Na deskach leżały zielone orzechy, które ogrodnik siekał wielkim nożem.

– Na co komu niedojrzałe orzechy? – zainteresował się Mateusz.

– Na nalewkę. Nic tak nie pomaga na trawienie. Zalać orzechy spirytusem i *fertig*.

– Pewnie dla pana Tercjusza.

– Ano dla niego – zaśmiał się Florian. – Nie można tego robić w kuchni, bo te juchy wszystko brudzą i łap potem nie idzie domyć – na potwierdzenie swych słów człowieczek pokazał im zafarbowane na brunatno dłonie.

– Długo pan tu pracuje? – spytał Jan i powąchał kostkę orzecha. Aromat był niesamowicie cierpki.

– Do mnie się mówi Florian. Ano długo. Będzie ze czterdzieści років. Dłużej ode mnie jest tu chyba tylko Jacynty. Ten to tu nastał, jeszcze zanim pan objął schedę.

– Tak, wyraźnie jest przywiązany do pana Ponińskiego.

– Ano. Dla pana Adama on gotów na wszystko. Nasz Jacynty dumny jest z rodu, jakby też był Poniński.

Jan zmrużył oczy, słysząc echo własnych przemyśleń.

– Pan Poniński powinien przekonać Jacentego – surowym tonem odezwał się Mateusz – by więcej odpoczywał.

– Ano ma Mateusz rację – Florian zsunął czapkę i podrapał się w czoło, mażąc brązową smugę. – Coś z nim nie tak. Po śmierci panicza tak zaniemógł. Chyba to nim wstrząsło. Jest dla pana Adama jak brat. Zawsze razem. Ech, pierona, wysmarowałem się tym paskudztwem.

Ogrodnik spróbował rękawem zetrzeć sok, ale bez powodzenia. W końcu zrezygnował i sięgnął po kolejny orzech, ale na stole żadnego już nie było. Podszedł do drzewa i kilkakrotnie podskoczył, próbując chwycić gałąź. Rozejrzał się:

– Gdzie ta ryczka?

– Pomogę – zaofiarował się Jan. Bez kłopotu sięgnął do gałęzi i tak ją przytrzymał, że Florian mógł zrywać zielone kule, starannie każdą przedtem zbadawszy.

– Dziękuję jaśnie panu. Przydałoby się, żeby mi pan oddał kilka cali. Matuś mi mówiła: „Jak ty, synku, chcesz pracować w sadzie? Przecie ty będziesz musiał nawet na jagody z drabiną chodzić”.

Jan wybuchnął śmiechem.

– Piękny sad.

– Ano prawda. Teraz wszystko lepiej ruszy, bo się pogoda wyrównała. Frasowałem się, bo cięgiem padało, ale już od trzech dni klara [\[14\]](#) świeci.

– Wspaniałe miejsce do zabawy dla dzieci – ocenił Mateusz.

– Ano prawda. Ale najbardziej lubiali stawy w parku!

– Młodzi panicze?

– Panie, co tam się działo! – Florian nie skrywał zachwytu. – Panicz Gustaw zawsze coś wymyślił. Były statki pirackie! A jednego lata twierdził, że jedzie szukać złota. Wszędzie było pełno tego wisusa nieznośnego. Ciekawe, gdzie on teraz? – smutno pokiwał głową.

– A panicz Edward? – zagadnął lekkim tonem Morawski.

– Wykapana pani. Dobry jak ta matka ziemia.

– Ale oskarżono go o zamordowanie brata.

Pogodna dotychczas twarz krasnoludka stężała:

– Może tamten sobie zasłużył – wrzucił orzechy do miski, miszkę wsadził do kosza. – Skończyłem. Muszę to zanieść do kuchni, póki sok nie uciekł.

Skinął im głową. Patrzyli, jak odchodził. Potem Jan wskazał ścieżkę inną niż ta, którą przybyli.

– Myślisz, że tędy dojdziemy?

– Chyba tak. Kierunek jak do pałacu.

Po drodze trafili na kamienny posąg kobiety z koszem pełnym jabłek. Mateusz pochylił się i na podstawie szukał jej imienia.

– To bogini Pomona – wyjaśnił Jan. – Patronka drzew owocowych, zwłaszcza jabłoni.

Szli dalej w milczeniu, aż doszli do oficyny, graniczącej z częścią kuchenną. Zatoczyli tym spacerem pełne koło.

Nagle odezwał się Mateusz:

– Wszyscy twierdzą, że pan Gustaw uwielbiał dowcipy. Czy pan Edward jest pewien, że brat nie żyje?

Jan popatrzył na niego w zdumieniu, a kamerdyner nie krył satysfakcji, że chociaż raz udało mu się wytrącić swego pracodawcę z równowagi.

Wrócili do pałacu, żeby przygotować się do kolacji.

Gdy byli w holu, z jadalni dobiegł ich głos Seweryna:

– Drogi Jacenty! Jaśnie pan zadysponował do kurcząt to młode reńskie.

## Rozdział 16.

Jan z troską wpatrywał się w niewielkie lustro, z którego odsunął żałobną zasłonę.

– Coś mi się czoło zaczyna robić za wysokie – mruknął.

– Chyba rzeczywiście – kamerdyner się zbliżył i z miną mędrca przyglądał się wzmiankowanej części fizjonomii Morawskiego.

– Miałeś zaprzeczyć, panie przyjemniaczu.

Mateusz nie tylko nie stropił się tym upomnieniem, ale złośliwie zachichotał. Jan wyciągnął z szuflady szafki nocnej portfel, a z niego fotografię.

– Zdjęcia odniosłem – przypomniał sobie kamerdyner. – A kopię pana Tercjusza zidentyfikowałem.

– Naprawdę?

– Tak. Pan Dickens chyba go znał i się na nim wzorował.

– Obawiam się, że pan Pickwick jest starszy od naszego pana Tercjusza.

– Kiedyś zacząłem czytać *Klub Pickwicka* - wyznał Mateusz. – To chyba było ze dwa lata temu, gdy mieszkaliśmy w Londynie.

– I co? Znudziłeś się? – spytał Jan z niedowierzaniem.

– Nie, ale musiałem przerwać, bo ta książka rujnowała mi figurę. Ciągłe tam jedzą i byłem ustawicznie głodny.

Taką opinię o książce mógł wydać wyłącznie Mateusz. Morawski założył marynarkę:

– Radzę ci, wróć do tego. I zwróć szczególną uwagę na niejakiego Sama Wellera.

Jan zapatrzył się w zdjęcie położone na marmurowym blacie. Wróciły niepokojące myśli i jego czoło samo się zmarszczyło. Mateusz przyglądał się temu badawczo.

– Czuję, że jeszcze o czymś pan nie powiedział. Nie tylko o synu pana Gustawa.

– Nie powiedziałem, bo to tylko domysł. I to z gatunku tych brzydkich.

– Tak to potraktuję.

– Mała Natalia wygląda jak zminiaturyzowana, kobieca wersja Edwarda.

Mateusz otworzył szeroko i oczy, i usta, a obie dłonie wplótł we włosy.

– Sądzi pan...?

– I jeszcze jedno. Gorsze, bo tym razem to fakt, a nie wyobraźnia. Nikt w pałacu nie przygotował się na poród, bo było za wcześnie. Edward powtórzył mi słowa pani Barbary. Podobno junior uderzył żonę i dlatego zaczęła rodzić.

– Czyli młody ma na sumieniu kolejne dwa istnienia.



– Miał.

– Zaczynam skłaniać się ku twierdzeniu pani Julii, że ten, kto tego dokonał, powinien zostać uniewinniony.

Po tych słowach kamerdyner ciężko westchnął i ruszył do drzwi.

– Idziesz na dół? – spytał Morawski.

– Tak, chcę pomóc Jacentemu. Może uda mi się przy okazji dopaść gdzieś tę oślizgłą szuję przebraną za lokaja – a gdy zobaczył, że Jan również zmierza do wyjścia, dodał: – Ma pan jeszcze pół godziny do kolacji.

– Wiem, ale nie miałem dotychczas okazji, by obejrzeć te gabloty w sali przy schodach.

Hol na piętrze był efektownym pomieszczeniem przedzielonym kolumnami. Wyjście na balkon i wszystkie okna zamknięto, gdyż nawet o tej przedwieczornej godzinie na dworze było cieplej niż we wnętrzu.

Stało tam niewiele mebli, dzięki czemu udało się wspaniale wyeksponować rozetę ułożoną na podłodze z różnych gatunków drewna. Było to tradycyjne w polskim pałacu miejsce trofealne. Zazwyczaj w takich pokojach prezentowano kolekcje broni, obrazów, rzeźb, orderów i map związanych z ważnymi dla narodu wydarzeniami, takimi jak odsiecz wiedeńska, insurekcja kościuszkowska czy walki Legionów Dąbrowskiego.

Pan Poniński, prawdopodobnie przez wzgląd na własne przeżycia, część sali poświęcił wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. W gablocie ułożono sztandar, na paskach i gwiazdach dwa ordery, kulę w złotawym etui oraz jakiś dokument. Jan pochylił się i odcyfrował: *In Congress July 4th 1776* i pod spodem: *The unanimous declaration of the thirteen united States of America*. W tle wisiały na ścianie portrety Jerzego Waszyngtona, Thomasa Jeffersona i grafiki ze scenami z wojny amerykańskiej.

Kwatery pozostałych ścian, ozdobione kremowymi listwami, wypełniono portretami rodzinnymi w pozłacanych ramach. Przedstawiały generałów, oboźnych, podkomorzych i innych funkcjonariuszy; dumnie dowodziły ciągłości historycznej rodu.

Jak w całym pałacu, także tu panowała prostota i elegancja, choć możliwe, że ta jasność i lekkość zimą dawały wrażenie chłodu i nieprzytulności.

Na stoliczku leżała wielka księga w granatowej skórzanej oprawie. Biblia. Jan sięgnął po nią, usiadł w niskim fotelu i otworzył tom w przypadkowym miejscu. Jak to często bywa z otwieraniem Pisma Świętego, cytat, który rzucił się w oczy, w zastanawiająco trafny sposób tyczył się bieżącego zagadnienia.

*Nie mszcząc się sami, najmilejsi! ale dajcie miejsce gniewowi, albowiem napisane jest: Mnie pomstę, Ja oddam, mówi Pan [15].*

Janowi przypomniało się stwierdzenie łagodnego Floriana: „Może tamten sobie zasłużył”, które dziwnie zgadzało się z jego własnymi zapatrywaniami. Zwłaszcza po spotkaniu z Edwardem, tym Edwardem, który tak wspaniale nadawałby się na przyjaciela.

Pogrążył się w rozważaniu trudnych zawłości etycznych.

Usłyszał, że ktoś biegnie. Wstał.

– To pan? – zdziwiła się zadyszana pani Barbara.

Znajdował się akurat koło portretu mężczyzny, którego rysy twarzy i wyprostowana sylwetka nie pozostawiały wątpliwości co do jego tożsamości.

– To ojciec pana Adama? – wskazał Morawski, raczej tylko po to, by cokolwiek powiedzieć. Kiwnęła głową, a on skomentował: – Bardzo imponujący.

Odniosł wrażenie, że się stropiła. Najpierw przypomniała mu się opowieść Tercjusza o niechlubnym końcu jej własnego ojca, a zaraz potem pomyślał o czarnej owcy tej rodziny – wnuku dumnego mężczyzny z portretu.

– Przegląda pan gabloty? – zmieniła temat, a zanim zdążył odpowiedzieć, zbliżyła się do amerykańskiej ekspozycji. – To jest kula, która pod Fredericksburgiem raniła pana Adama.

Jan podszedł, ale nie wyglądał na specjalnie poruszonego.

– Coś się stało? – zdenerwowała się, widząc jego apatię. – Odkrył pan coś złego? – głośno przełknęła ślinę.

– Nie, tylko że...

Usiadł na parapecie. Kobieta podeszła i oparła się bokiem o szeroki kamienny blat.

– Czym pan się martwi? – patrzyła na niego z taką troską, że postanowił się zwierzyć.

– Czym? Tym, że im więcej dowiaduję się o młodym Adamie, tym mniejszą mam ochotę na wykrycie jego mordercy. I martwię się, co zrobię, jeżeli odkryję, że to jednak Edward go zabił. I jeszcze tym, że choć powinienem, nie będę miał o to do niego pretensji – zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w rozsiane po trawniku bajecznie kolorowe plamy rabat, takie nietaktowne, prawie aroganckie w swym pięknie.

– Ale wydawało mi się, że odkrył pan jakieś inne możliwości...

– Potencjalne. Ale patrząc na to logicznie, on – Edward – miał najsilniejszy motyw.

– A ten człowiek, który był tu tamtego dnia?

– Podejrzanych mi nie brak, ale co z tego? Szukam dowodu, by uniewinnić Edwarda, lecz tym samym szukam jakiegoś innego człowieka, by go ukarać za to, że uwolnił świat od nikczemnika. Za to, że wyświadczył wszystkim przysługę.

Przez chwilę milczeli oboje. Przysiadła na parapecie po drugiej stronie wnęki okiennej. Nie wyśmiała go, nie zlekceważyła, nie podała gotowej odpowiedzi. Zachęcony tym, kontynuował po chwili swe wyznania:

– Na tym polega mój dylemat. Ktokolwiek go zabił, złamał prawo ludzkie. Ale czy również boskie? Przecież tamten zasłużył na śmierć. A przynajmniej wszystko na to wskazuje. Załóżmy, że morderca nie kierował się własnymi motywami. Że nic na tym nie zyskiwał.

– Chodzi panu o to, że tylko wymierzył sprawiedliwość?

– Właśnie. Czy istnieją zbrodnie uzasadnione? Dopuszczalne?

– Nie wiem.

– Ja też nie.

– Ale czasami myślę, że chyba tak.

– Wie pani? – uśmiechnął się blado. – Ten dylemat męczy mnie od lat. I ciągle do mnie powraca. Może przez to, że tak często stykam się z morderstwami.

– Brak mi wiedzy i wykształcenia, by panu pomóc. Próbował pan znaleźć radę u filozofów? Albo w książkach? Może w Biblii?

Zaśmiał się gorzko, wstał i przyniósł księgę.

– Chwilę temu wziąłem ją do ręki, bynajmniej nie w poszukiwaniu pocieszenia. I proszę spojrzeć, na czym otworzyłem.

Przeczytała fragment z *Listu do Rzymian*.

– Wypowiedź dość jednoznaczna.

– Tak. Ale nie czuję się przekonany. Prawdziwa ze mnie Antygona – zakpił.

Siedzieli, wpatrując się w nieskazitelnie niebo, w które wbijały się wierzchołki parkowych jodeł.

– W takich sytuacjach jak ta – podjął Jan – gdy ginie ktoś okrutny, podły, ktoś, kto przysporzył innym cierpienia, w takich sytuacjach czai się pułapka. Z każdą chwilą człowiek coraz bardziej czuje odrazę do ofiary i coraz lepiej rozumie mordercę.

– To niebezpieczne.

– Prawda? Bo podążając za własnymi sympatiami, zapominamy o tym, co dobre, a co złe. Naginamy normy moralne. Nadajemy nazwy różnym odcieniom czerni.

Widok Biblii nasunął mu inne skojarzenie.

– Już kilkakrotnie słyszałem, jak porównano ich do Kaina i Abla – postukał w księgę. – Tylko że analogia nie jest kompletna. W Piśmie starszy Kain zabił młodszego Abla, a tutaj odwrotnie. Choć to może pozorne, bo biblijny Kain był twardy, a Abel łagodny. Nasi bracia tak na zewnątrz wyglądają, ale może to Edward jest silniejszy, swym spokojem, swoją prawością, których brak osłabiał juniora?

– Tak. Na pierwszy rzut oka Adam nadawał się na Kaina, a Edward na Abla.

Spojrzał na nią z nagłym zrozumieniem.

– To dlatego na widok leżącego mężczyzny zawołała pani, że to Edward nie żyje? Bo junior zdolny był do wszystkiego?

– Był taki niedobry dla Lili...

– Widziałem zdjęcia – zagadnął, licząc na to, że zachęci ją do złamania tabu.

– Zdjęcia?

– Tak, pan Tercjusz mi pokazał. Ślubne, ale także to okropne sprzed kilku miesięcy. Pani Lili siedzi tam i patrzy, jakby straciła nadzieję na ratunek. Już to kiedyś widziałem. Gdy znalazłem w lesie sarnę złapaną w potrzask.

Dopiero wtedy zauważył ciemne cienie pod jej oczami. Mimo to spróbował jeszcze

raz:

– Edward powtórzył mi, że Adam uderzył żonę, co wywołało przedwczesny poród.

Tym razem przedobrzył i zrozumiał to, gdy tylko zobaczył, jak śmiertelnie zbladła. Naraz przypomniał sobie, że to ona przyjęła to martwe dziecko na świat.

– Przepraszam! Boże, co za brutal ze mnie!

– To służąca Lili mi o tym opowiedziała – wyłkała pani Barbara. – Nie było mnie przy tym. Nie dopuściłabym do tego – skruszony Jan ujął ją za rękę i uspokajająco gładził. – Wyrzucił pokojówkę z pokoju i tylko słyszała uderzenia i krzyki Lili.

Próbowała opanować spazmy.

– Gdy mnie wezwano, było już bardzo późno. Nie było akuszerki. Żadnej doświadczonej kobiety. Posłałam po lekarza. Tego młodego. Ale gdzieś wyjechał. To był chłopiec. Urodził się owinięty pępowiną. Cały siny. Nie oddychał.

– Proszę nic już nie mówić.

– Próbowałam go uratować. Naprawdę próbowałam. Ale on nie żył. Ochrzciłam go z wody. Nie było nikogo. Tylko służąca Lili, ale najpierw zemdląła, a potem, gdy ją ocuciłam, wpadła w histerię i krzyczała, że ciągle słyszy płacz dziecka. Ja naprawdę się starałam i robiłam, co mogłam.

– Proszę się o to nie oskarżać.

– A potem Adam na okrągło powtarzał, że nic go to nie obchodzi, bo...

– Bo?

– Bo to nie było jego dziecko. I że policzy się z tym zdrajcą Edwardem.

Zakryła usta dłonią, a Jan zmartwiał.

– Było takie malutkie – objęła się ramionami i przechyliła głowę. Ledwie rozumiał jej słowa.

– Nic pani nie mogła poradzić.

– Na jego śmierć może nie. Ale nie mogę sobie darować, że powiedziałam Edwardowi, co się stało. Nie widział pan jego twarzy.

Kilkakrotnie głęboko odetchnęła i wierzchem dłoni otarła policzki.

– Muszę iść – unikała jego wzroku.

– Ja też muszę iść. Muszę iść powiedzieć panu Adamowi, że został mu tylko jeden syn. Ten w więzieniu. Mam nadzieję, że znajdzie siłę, by to znieść.

– Nie tylko on stracił rodzinę – szepnęła, a Morawskiemu przypomniała się jej historia. – Najgorzej utracić nadzieję na przyszłość.

## Rozdział 17.

Jan wszedł do jadalni równocześnie z seniorem. W środku, zgodnie ze zwyczajem, trwał na posterunku Tercjusz.

– Ktoś tu obiecał mi nektar szkockiego bohatera? – zagadnął wchodzących, a gość dopiero w tym momencie przypomniał sobie o rob royu.

– Bardzo przepraszam, panie Tercjusz.

– Trudno – pan Drojewski rzucił mu pogodne spojrzenie sponad okularów. – Dzisiaj zadowolilem się sherry, ale jutro liczę na pana – a siadającemu gospodarzowi wyjaśnił: – Pan Jan przyrzekł mi, że przygotuje trunek zwany rob royem.

Pan Adam nie wydawał się zainteresowany i nie odpowiedział, tym bardziej że otworzono drzwi i wszedł Mateusz, niosąc półmisek z efektownie ugarniowanym pasztetem, a zaraz za nim podążał Serpentyń z dwiema gondolkami do sosu.

– Panie Janie, pasztecik? – ożywił się pan Tercjusz. – Pyszny. Z sarniny.

Morawski najpierw podał seniorowi chleb, a potem nałożył sobie plaster pasztetu oraz sos tatarski. Serpentyń nalał czerwonego bordo i służący wyszli.

Przez chwilę słyhać było tylko odgłosy sztućców przypadkowo uderzających o talerze, lecz nagle Tercjusz zaczął nerwowo paplać, jakby się wystraszył, że Jan przymierza się do obwieszczenia seniorowi tragicznej wiadomości.

– Czytałem dzisiaj wspaniałą książkę. *Zabójstwo przy rue Morgue*. I muszę przyznać, panie Janie, że coraz bardziej podoba mi się pańskie zajęcie.

– Pan się tym zajmuje na stałe? – zdziwił się gospodarz.

– Raczej nie. Po prostu takie śledztwa same wpadają mi w ręce.

– A cóż pan porabia na co dzień?

– Głównie... podróżuję – Jan nie zamierzał nikogo wprowadzać w szczegóły swego zaangażowania w politykę międzynarodową.

– To dość zagadkowe. Czy ukończył pan studia? – coś w głosie Mariusza, jakieś tony wyższości, nie spodobały się gościowi.

– Studiowałem na kilku kierunkach, ale interesowało mnie zbyt wiele różnych zagadnień, by skoncentrować się na jednym. Pozostałem więc dyletantem.

– Edukacja! – włączył się Tercjusz, nakładając sobie potężny kawał pasztetu i oblewając go sosem cumberland. – Na co komu szkoły, skoro niczego pożytecznego tam nie uczą? Moim zdaniem powinno się zlikwidować wszystkie licea klasyczne. Tłoczą chłopakom do głowy łacinę i grekę, które w życiu do niczego im się nie przydają. Popatrzcie na mnie: strawiłem ze dwadzieścia lat na studia, a gdy musiałem zacząć na siebie zarabiać, to nawet nie nadawałem się na kancelistę.

Pan Poniński nie odniósł się do tego potępienia wykształcenia klasycznego, za to dalej zajmował się Janem – obibokiem:

– Gdyby ukończył pan prawo, jak mój syn, mógłby pan zostać adwokatem, co jest wspaniałym startem do kariery politycznej.

– Właśnie doszedłem do wniosku, że skoro pan Adam prowadził kancelarię, to może mógłbym jutro lub w sobotę wybrać się do jego biura w Poznaniu? Albo do jego plenipotenta?

– A co chciałby pan wiedzieć?

– Jakiego typu sprawy prowadził. To pan sugerował, że mógł się komuś narazić.

Pan domu z ożywieniem pokiwał głową. Tercjusz natomiast, czując, że rozmowa przyjmuje niebezpieczny kierunek, spróbował zmienić temat:

– Ta książka, o której mówiłem, przypomniła mi sformułowanie *red herring*.

– Wędzony śledź? – spytał z niedowierzaniem senior.

– Tłumacząc dosłownie. Chodzi o rodzaj manewru stosowanego przez autorów powieści detektywistycznych. Oznacza wątek lub osobę, które mają na celu odwrócenie uwagi czytelnika od prawdziwego rozwiązania.

– Fałszywy trop? – podsunął pan Poniński.

– Zasłona dymna? – zaproponował Jan.

Gdy uprzątnięto naczynia po pierwszym daniu, Morawski, lekko rozdrażniony zaślepieniem seniora, a chyba jeszcze bardziej własną niezdolnością przełamania tegoż, zagadnął go ponownie:

– Jeśli nie pojedę do Poznania, planuję wybrać się jutro do państwa lekarza.

– Może pan pojechać – zezwolił Mariusz – o ile uważa pan, że to coś wniesie, ale Adam właściwie nie miał z nim kontaktu. W ostatnich latach widzieli się chyba tylko raz.

– Przy narodzinach Natalii?

– Nie. Kilka miesięcy temu Adam martwił się stanem mego zdrowia i pojechał do doktora upewnić się, czy wszystko ze mną w porządku.

Pan Poniński zwiesił głowę i pogрузzył się w nostalgicznych myślach. Jan nie wątpił, że tyczyły troskliwego synka. Już chciał się odezwać, ale akurat wniesiono pieczone kurczęta oraz sałatę i mizerię.

Tercjusz szybko nałożył sobie całego ptaka i, świadomy chyba, że Morawski z trudem powstrzymał się od komentarza, nawiązał do ostatniego zdania, ale tak, by nie debatować nad intencjami juniora.

– Młody Adam zwrócił się do naszego stałego lekarza. To wielki specjalista. Każdego lata ordynuje w Kissingen. Ma tam swoich wiernych pacjentów. Tego roku też wyjechał i zostawił zastępcę. Młodego i chyba niezbyt doświadczonego.

Jan nałożył sobie połówkę kurczęcia, odsunął przypieczoną słoninę, którą zabezpieczono delikatne mięso przed wysuszeniem, i przez chwilę milczał. Coś niejasno

kojarzył z tym młodym doktorem.

Począł, aż Jacenty naleje wina i wyjdzie, po czym spytał:

– I mógłbym się z nim spotkać?

– Teraz są tu obaj – Tercjusz sprawnie operował na talerzu. – Gdy Lili... poczuła, że nadszedł jej czas – dokończył niezręcznie – wysłaliśmy do tego stałego doktora depeszę z prośbą o przyjazd. Nie zdążył, niestety.

Chciał uniknąć tej rozmowy i sam się zaplątał. Pan Adam dokończył bohatercko, lecz dość zimno:

– Do mojego wnuka przyjechał ten młody medyk. On też zbadał moją synową. Nasz stały lekarz, doktor Klauziński, dotarł tuż po śmierci Lili. Nie udało się powstrzymać krwotoku, który u niej wystąpił.

– Chciałem go zapytać o ranę na nadgarstku pańskiego syna – Jan nie wiedział, czy powinien podziwiać, czy potępiać ten chłód. – Zauważył pan coś może?

– Nie, aczkolwiek teraz sobie przypominam, że w świadectwie lekarskim była o tym wzmianka.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu ta rozmowa? Morderstwo to niezbyt odpowiedni temat podczas posiłku, ale mamy niewiele czasu do pierwszej rozprawy.

– Proszę się mną nie krępować.

– Wspominałem już o tym nieproszonym gościu. Czy cokolwiek pan sobie o nim przypominał?

– Nie, ale zastanawiałem się, czy ten awanturnik może mieć coś wspólnego ze śmiercią mego syna – ożywił się senior. – Może Adam stanął kiedyś na przeszkodzie jakimś jego ciemnym sprawkom?

– Najwyraźniej się znali. Może łączyły ich jakieś interesy? Dlatego chciałbym pojechać i spotkać się z kimś, kto orientuje się w działalności młodego pana Adama. I w jego sprawach majątkowych.

– To doskonały pomysł. Tercjusz poda panu adres kancelarii mojego syna i napisze list polecający.

Rezydent zaczął się robić lekko wiśniowy na twarzy, a przyczyn z pewnością można by doliczyć się kilku.

– Nie znoszę lata – podjął kolejną próbę wyprowadzenia konwersacji poza niebezpieczne rewiry. – Człowiek cały się lepi, nie może spać, nie może jeść, nie ma porządnej dziczyzny, ale za to jest pełno tego zielska – ten ostatni zarzut padł pod adresem sałaty, którą uniósł łyżką w misce.

Jan patrzył na swych dwóch towarzyszy – surowego stoika i uroczego sybarytę – i pojąć nie mógł, jak udawało im się mieszkać pod jednym dachem. Ta ich przyjaźń była dziwnie zagadkowa, nawet jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wtedy, w Anglii, pieniądze Tercjusza umożliwiły Mariuszowi wyjazd na wojnę.

Pan Drojewski zostawił zielsko w spokoju i nałożył sobie porcję mięska.

Zaproponował też dokładkę gościowi, który jednakże, po odrobinę zbyt sutym podwieczorku u pani Felicji, zmuszony był odmówić.

Morawski czuł pokusę, aby poruszyć jeszcze jakiś zakazany temat. Z każdą chwilą uświadamiał sobie coraz bardziej, że jeśli cokolwiek jest w stanie zdrzeć seniorowi klapki z oczu, to tylko namacalne, niezbite dowody przestępstw syna. Jednym słowem należało go zabrać do izby Sinobrodego.

Na razie najważniejszą sprawą było poinformowanie Mariusza o śmierci Gustawa i Jan postanowił, że zrobi to, gdy tylko senior skończy kolację.

Dwóch stałych mieszkańców pałacu rozwiązywało tymczasem zagadkę morderstwa po swojemu:

– To musiał być przeciwnik polityczny lub skazany dzięki Adamowi przestępca, w każdym razie ktoś obcy – nie miał wątpliwości pan Poniński. – Nigdy mi się nie podobało, że chłopak zdecydował się zamieszkać w alkierzu. Na uboczu i z dala od wszystkich. To nie było bezpieczne.

– Teraz mi się przypomniało! – Tercjusz lekko otłuszczoną dłonią złapał przyjaciela za rękaw surduta. – Nela nam wspominała, że w czasie tej piekielnej nawałnicy widziała, jak ktoś wymykał się z alkierza w stronę bramy...

– Wiedziałem, że to nikt z rodziny – z zadowoleniem stwierdził senior, po czym poradził Janowi: – Musi pan po prostu znaleźć tego rzezimieszka.

– Z tego by wynikało – odpowiedział zagadnięty – że pan Edward chce osłaniać kogoś obcego.

– *Qui s'excuse, s'accuse* [16] – błysnął Tercjusz. – Może Edward wyznaje tę zasadę.

– Możliwe – przyznał senior. – Zawsze był honorowy.

– Tak jak Gustaw.

– Dlaczego jak Gustaw? – nastroszył się senior, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, powtórzył: – Tercjuszu?

– Nigdy nie wierzyłem, że to on sfalszował twój podpis. Wtedy w szkole.

– Nie zaprzeczył tym oskarżeniom – przypomniał po chwili pan Poniński.

– Bo go uraziłeś tymi podejrzeniami. Zawsze był charakterny. Tak jak ty. Pamiętasz, jak ci zarzucono, że oszukiwałeś podczas egzaminu w Oksfordzie? Obraziłeś się, że w ogóle uznali cię za zdolnego do takiego czynu, i się zaciąłeś.

Senior wydał tylko pomruk. Nie mógł się rozżłościć za to porównanie, bo w jego pojęciu charakterność była cnotą.

Naraz gospodarz, który dotychczas nie zwracał uwagi na trunek, uniósł do góry kieliszek, zmarszczył brwi, widząc, że to białe wino, powąchał je, spróbował, po czym zawołał do wchodzącego majordomusa:

– Jacenty! Dlaczego podałeś tego cienkusza? Mówiłem, że to się nadaje tylko do bejcowania mięsa!



– Ale ja myślałem, że ma być właśnie takie – jąkał się zdenerwowany marszałek.

– Miał być ten najlepszy chambertin!

Do stołu podbiegł Serpentyń:

– Ja zaraz przyniosę, jaśnie panie. Odpocznij sobie, mój biedny Jacenty – mówiąc to, ujął trzęsącego się Jacentego pod ramię i wyprowadził z jadalni.

Jan zauważył, że stojący pod ścianą Mateusz już się wyrywa do przodu, by wyjaśnić całą intrygę i usprawiedliwić starego sługę. Powstrzymał go krótkim ruchem dłoni.

Wrócił Serpentyń z butelką i wykonał wokół nich bezszelestny taniec zwycięstwa. Jego niepokojąco giętkie dłonie o elastycznych stawach lawirowały między kieliszkami i zdawały się pieścić butelkę.

W międzyczasie rozczulał się nad swym przełożonym:

– Nasz biedny Jacenty nie ma ostatnio najlepszych dni – cmoknął ze współczuciem. – Wszyscy bardzo się zdenerwowaliśmy, gdy podczas burzy poszukiwał dodatkowych gromnic i przewrócił pojemnik z trutką.

– Z jaką trutką? – zmarszczył czoło senior, który lubił być dobrze poinformowany.

– Na szczury. Piesek panią Natalii się zatrął – gad przerwał i w udawanym przerażeniu zakrył dłonią usta. – Ojej, pan nie wiedział?

– Może lekarz powinien przed powrotem do Kissingen zbadać Jacentego – stwierdził pan Poniński. – Choć nie wiem, czy zdoła mu pomóc. Starzeje się biedny Jacenty. Jak my wszyscy.

Tercjusz stanął w obronie marszałka:

– Nie przesadzajmy. Wszystko przez tę pogodę. Zrobi się chłodniej i będzie taki jak dawniej.

To się nie spodobało Serpentyńowi:

– Czy wyjaśnił pan jaśnie panu – zwrócił się do rezydenta – kim jest ten... jegomość, który tak tu się wtedy awanturował? Przecież niedawno pan się z nim spotykał...

Na szczęście ogarnięty złością lokaj nie wymierzył dokładnie czasu wypuszczenia tej zmijki i pan Adam, pochłonięty smutnymi myślami o przemijaniu, niedokładnie usłyszał te słowa. Spojrzał lekko nieprzytomnie na Tercjusza, a Jan zareagował spontanicznie:

– Pan Edward przekazał mi bardzo przykrą wiadomość – to skutecznie przyciągnęło uwagę pana Ponińskiego. – Pański syn, Gustaw, nie żyje.

Kierowała nim wyłącznie chęć, by zrobić na złość Serpentyńowi; zupełnie nie chodziło mu o to, aby wyratować Tercjusza, bo czuł wściekłość, że bibliotekarz zataił swe kontakty z podejrzanym indywiduum.

Mariusz przez chwilę wpatrywał się w Morawskiego martwym wzrokiem:

– Kiedy?

– Zmarł cztery lata temu.

Pan Poniński pokiwał głową, wypił trochę wina i zagryzł je kawałkiem chleba.

Jan był skonsternowany tą reakcją. Nie nastąpiło to, czego się obawiał. Nie zobaczyli wybuchu rozpaczy. Nie zobaczyli w ogóle nic. Nawet zdumienia. Możliwości były dwie. Albo senior o wszystkim wiedział, albo z trzecim synem nie wiązał żadnej nadziei na przyszłość. A zatem opierał ją na kimś innym. Na kim?

– Wiem też – młody gość pozwolił sobie na jeszcze jeden eksperyment – że tuż po opuszczeniu domu pan Gustaw się ożenił.

– Naprawdę? – spytał Mariusz tonem, jakby chodziło o syna jego dawnego rządcy, którego ledwie pamiętał.

Morawski nie wspomniał o istnieniu małego Gucia, choć nie wiedział dlaczego. Przypomniała mu się natomiast sugestia, że być może Gustaw jednak żyje. To by tłumaczyło obojętność seniora.

Tymczasem Mateusz bezszelestnie wyszedł, niezbyt delikatnie popychając przed sobą Serpentina.

Mężczyźni siedzieli w milczeniu. Pan Adam gładził obrus na brzegu stołu, Tercjusz zbierał nożem pozostałości sosu, a Jan obracał kieliszek. Nagle gospodarz odsunął krzesło tak ostro, że choć nogi mebla podbite były filcem, w jadalni rozległ się przeraźliwy zgrzyt, od którego zebranych przeszły ciarki po plecach.

– Opuszczę panów. Dobranoc – zrobił to tak szybko, że Jan nawet nie zdążył unieść głowy, by zobaczyć jego twarz.

W jadalni zostało ich już tylko dwóch.

– Panie Tercjuszu, jest mi pan winien wyjaśnienie.

– Wiem, drogi Janie. Wiem.

– A zatem?

– Potrzebowałem pieniędzy.

– Czyli to jest lichwiarz.

– Tak. Oczywiście, że tak.

– Brałem jeszcze pod uwagę dostawcę narkotyków i szantażystę.

– Nie, to najpodlejszy lichwiarz. Ja zresztą nie jestem pewien, czy do juniora przyjechał ten sam nicpoń, z którym ja załatwiałem interes.

– Czy mogę spytać...

– Wolałbym nie. Ale to nie było nic nielegalnego.

– Szczerze mówiąc – zaśmiał się Jan – akurat ten aspekt nie jest dla mnie najważniejszy.

– To nie było nic nikczemnego.

– W takim razie nie pytam więcej.

Wszedł Mateusz, niosąc kryształową salaterkę pełną malin skropionych rubinowym

płynem. Postawił ją na stole, przyniósł z pomocnika miseczki i paterę z czekoladowymi bezami.

– Poradziłem temu gadowi – mruknął kamerdyner – żeby lepiej tu nie wchodził.

– Może spróbuje pan? – spytał Jan Tercjusza, nakładając sobie deser.

– Z owoców lubię tylko winogrona. Pewnie dlatego, że tak dobrze mi się kojarzą.

Tercjusz wskazał służącemu krzesło:

– Siadaj, Mateuszu.

Kamerdyner ominął miejsce seniora i usiadł koło Jana, który z wyrzutem zaatakował rezydenta:

– Nie ułatwiał mi pan zadania. Próbowałem uświadomić mu pewne sprawy, ale ciągle zmieniał pan temat.

– Wiem. Niech mi pan wybaczy. Najchętniej odsunąłbym każdą niemiłą sprawę na jutro.

– A jutro?

– Na kolejne jutro.

– To się nazywa dojutryzm.

– Dojutryzm. Piękne! – uśmiechnął się pan Drojewski.

Morawski tymczasem głośno myślał:

– Czy Natalia ma prawo dziedziczyć? A jeśli tak, to kto dziedziczy, jeśli zginie także ona? – dopiero gdy w tej cichej jadalni usłyszał swoje słowa, uświadomił sobie, co rozważa. – Proszę nie odpowiadać. Pytania nie było!

Jadł maliny z likierem framboise, przysmak, który zazwyczaj tak lubił, ale ta ostatnia koncepcja, która wymknęła mu się całkowicie mimowolnie, pozbawiła go apetytu.

– Znalazł pan statut ordynacji? – spytał Tercjusza.

– Nie, jeszcze nie szukałem. Zajmę się tym od rana.

– To wiele wyjaśni. Nie ma najmłodszego syna – Janowi udało się nie wspomnieć, że ten syn pozostawił syna – średni w więzieniu, najstarszy nie żyje. Jest tylko córka najstarszego. Zawsze wracamy do pytania podstawowego. Kto przejmie majątek?

– Wszystko zależy od tego, czy kobiety mogą dziedziczyć, czy posiadłość przechodzi na męskich potomków z bocznej linii.

– Jeśli panią Natalia jest spadkobierczynią – uświadomił sobie nagle Mateusz – to może być w niebezpieczeństwie!

– Właśnie – mocnym głosem i twardym spojrzeniem przypieczętował to Jan. – I dlatego jeśli kobiety mogą dziedziczyć, nie wolno zapominać o tej Angielce – żonie Gustawa, bonie, kobiecie na dworcu. Lub potomkini seniora, której istnienie jest czysto hipotetyczne.

– Ale przecież ona i tak by nie dziedziczyła – zaprotestował Tercjusz.

– Nie znamy warunków. A z braku legalnych spadkobierców może zostać adoptowana, prawda?

– Mam dość na dzisiaj.

Wstali. Pan Drojewski podszedł do barku i zaproponował:

– Może coś pan wypije, panie Janie? – gdy Morawski odmówił, smakosz nalał sobie do kieliszka soczyście zielonego płynu. – A ja nie pogardzę benedyktynką. Ale to w celach medycznych. Dla konkocji [17].

– Poskładam tu i zajrzę do Jacentego – oznajmił Mateusz.

Gdy Jan z Tercjuszem byli w holu, zobaczyli zbiegającą z góry Barbarę. Na jej widok rezydent sięgnął w głąb przyciasnej kamizelki, z czeluści wyłuskał zegarek, sprawdził godzinę i w zdumieniu zawołał:

– A ty, biedaczko, jeszcze na nogach?

– Nie mogę spać – posłała im znużony uśmiech i ruszyła w stronę oficyny: – Dokończę szyć sukienkę Natalii. Dobranoc.

– Dobranoc.

Mężczyźni stali przy drzwiach do salonu.

– Lili grywała mi wieczorami – niespodziewanie odezwał się pan Drojewski. – Umie pan grać?

– Trochę.

– Może mi pan coś zagra? – a widząc wahanie Jana, dodał: – Cokolwiek. Cichutko.

Morawski skinął głową, a Tercjusz z dłonią na gałce spytał jeszcze:

– Pan gra z pamięci? Bo nie musielibyśmy zapalać lamp...

Weszli do salonu. Na szczęście fortepian stał niedaleko wejścia i Jan nie musiał kluczyć po nieznanym sobie sali. Usiadł na taborecie przy błyszczącym politurą instrumencie. Całe wnętrze zalane było księżycowym światłem. Chyba ten nieziemski krajobraz go zainspirował. Położył dłonie na klawiaturze i popłynęły rzewne takty *Sonaty Księżycowej*.

Gdy skończył, dookoła zaległa cisza, którą po chwili zakłóciło lekkie posapywanie uśpionego Tercjusza. Jan się uśmiechnął. Nie zdawał sobie sprawy, że obdarzony jest talentem Orfeusza. Ostrożnie podszedł do jednego z okien.

Taras, balustrada i tafla trawnika jaśniały zimnym blaskiem. To była jedna z tych letnich nocy, które całe są właściwie tylko zmierzchem.

## Rozdział 18.

Gdy Jan wstał przed szóstą, Mateusza już nie było w pokoju. Zapowiadał się kolejny upalny dzień i Morawski postanowił spędzić trochę czasu na zewnątrz, zanim temperatura tak się podniesie, że i ludzie, i zwierzęta będą pod dachem szukać schronienia.

Wypił szklankę kwaśnawego soku i przeniósł się na balkon, zabierając ze sobą notatnik i tę nową książkę, która narobiła już tyle zamieszania: *Die Traumdeutung* wiedeńskiego lekarza Freuda.

Wkrótce przyszedł kamerdyner z kawą i gorącymi bułkami, ale poza powitaniem nie zdążyli zamienić ze sobą nawet słowa, bo Mateusz wypatrzył Jacentego wychodzącego z oficyny na dwór i porzucił swego pracodawcę, by – niczym kwoka kurczęta – zapędzić niesubordinowanego marszałka do chłodnego budynku.

Kamerdyner ponownie zjawił się na balkonie po dwóch godzinach. Jan siedział zapatrzony w przestrzeń.

– Nie rozumiem, Mateuszu – wyznał. – On nie był zdziwiony – a widząc błędny wzrok przyjaciela, wyjaśnił: – Senior. Mówię o seniorze i jego reakcji na śmierć syna.

– Może wiedział?

– Tak, myślałem o tym. Skoro po ucieczce Gustawa szybko ustalił, że Edward wspiera młodszego brata, być może wiedział też, że tamten się ożenił, a potem, że zmarł.

– Nie dosyć, że zniknął i nie wstąpił do seminarium, to jeszcze ożenił się z jakąś cudzoziemką.

– Zapewne nie arystokratką.

– Moim zdaniem Mariusz to tyran bez serca. I to on jest winny.

– I jak ty to sobie wyobrażasz? Zabił Adama i zrzucił winę na Edwarda? A do tego wiedział, że Gustaw nie żyje? Przecież tym samym pozbawił się sukcesora.

– Dowiedział się prawdy o Adamie. Nie chciał, żeby syn degenerat przejął ordynację, więc wykorzystał tę władzę, o której mi pan mówił. Wymierzył sprawiedliwość, ale nie wiedział, że Edward był tam przedtem i nie przyszło mu do głowy, że syn zostanie oskarżony. Dlatego z uporem powtarza: „Wiem, że on jest niewinny”. Wie, bo to on zabił.

Było to możliwe, aczkolwiek Jan brał pod uwagę także inne ewentualności:

– A ja myślę, że on jest taki nieporuszony, bo uważa okazywanie emocji za objaw słabości.

– To tylko potwierdza to, co powiedziałem. Jest bez serca.

– Mariusz, prawdziwy Mariusz – szepnął Jan do siebie.

– Gdy mnie pan wysłał do biblioteki w poszukiwaniu pana Pickwicka, trochę

poczytałem w encyklopedii. Podobno pod koniec życia ten pański Mariusz zabijał swoich przeciwników.

Morawski nie zaprzeczył. Spojrzał na zegarek – było bardzo późno, więc zaczął zbierać swoje notatki. Naraz uniósł głowę:

– Jest coś, co może zniszczyć twoją koncepcję – Mateusz uniósł wzrok znad naczyń, które układał na tacy. – Wczoraj przed kolacją rozmawiałem z panią Barbarą. Wspomniała, że Adam po śmierci żony chodził i powtarzał, że to nie było jego dziecko i że policzy się z bratem.

Kamerdyner wyprostował się i w zakłopotaniu podrapał w głowę.

– Nie chciałem tego mówić wcześniej, bo wiem, że nie lubi pan takich historyjek rodem z magla, ale trochę mnie dziwiło, że po tylu latach życia osobno pani Lili nagle spodziewała się dziecka.

Jan początkowo nie odpowiedział, dopiero po chwili spojrzał ze smutkiem na Mateusza i przyznał:

– To mogło być to, o czym myślisz. Albo coś innego. Ona nie musiała tego chcieć. Przypomnij sobie, że poród wywołało pobicie. A zatem przemoc.

Mateusz nic nie odrzekł. Odnieśli książki i naczynia do sypialni i Jan dla przyzwoitości założył na koszulę jasną jedwabną kamizelkę. Dopiero na schodach przerwał ciężkie milczenie:

– Co z Jacentym?

– Roztrzęsiony. Tak jak wczoraj. Prosiłem, aby dzisiaj odpoczął, ale nic z tego. Uparł się, że będzie pracował – Mateusz od razu się zagotował: – Zatłukę tego Serpentyna. On go próbuje wygryźć. Mówię panu, że choroba Jacentego to nie jest przypadek. Ten gad coś knuje.

– Przede wszystkim musisz uspokoić Jacentego. Jakakolwiek jest przyczyna tych niedomagań, zdenerwowanie tylko pogarsza sytuację.

– Pan to lekceważy, ale przecież sam pan widział, co za szubrawiec z tego Serpentyna. I zobaczy pan, że maczał paluchy w sprawkach juniora.

– Jestem o tym przekonany. Zwłaszcza że skoro Serpentyn zidentyfikował tego awanturnika, to przecież sam skądś go zna.

Zatrzymali się przed drzwiami do jadalni, lecz nagle Morawski od nich odstąpił.

– Korci mnie, żeby zobaczyć, czy senior zmiękł. Nie wiesz, gdzie jest?

– Wczesnie rano wyruszył na objazd pól.

– Może już wrócił. Chodźmy.

Opuścili pałac głównym wyjściem i podjazdem ruszyli w kierunku skrajnego budynku południowej pierzei dziedzińca.

– Ciekawe, po której stronie jest wieś. W ogóle jej stąd nie widać – rozglądał się Mateusz, któremu na tej otwartej powierzchni musiało się robić trochę ciepło. Za nic nie

zgadzał się zrezygnować z ciemnego garnituru.

– To typowe dla Księstwa – wyjaśnił Jan. – Włóścianie pobudowali domy na gruntach, które przejęli po parcelacji. Przez to wsie chłopskie oddzieliły się zupełnie od dworów. Przy folwarkach mieszkają tylko rodziny robotników i służących. A tutaj dodatkowo pałac osłonięty jest zielenią od podwórza gospodarczego.

– Dzięki Bogu. Niektóre dwory wyglądają, jakby je zbudowano na klepisku.

Dotarli do rządcówki. Rzut oka na mosiężny wiatrowskaz, wieńczący dach budynku, upewnił Jana, że wiatr wieje od wschodu – niezawodna wróżba stabilnej, wyrównanej pogody.

Gdy przeszli przez korytarz dzielący domek na pół i znaleźli się na podwórzu, podszedł do nich jakiś młody człowiek.

– Szukamy pana Ponińskiego – zaczął Jan i w tej samej chwili dostrzegł ordynata we wrotach budynku po drugiej stronie dziedzińca.

– Właśnie wrócił – odezwał się zagadnięty.

– Jan Morawski – gość wyciągnął do mężczyzny dłoń.

– Kajetan Gosławski. Jestem tu praktykantem.

Od szerokiej bramy, w której stał senior, oddzielało ich niewielkie bajorko, lokowane zwykle na podwórzu i wykorzystywane do pojenia zwierząt i dla bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Za panem Ponińskim Jan dostrzegł powóz i spytał:

– Wozownia?

– Tak, ze źrebięciarnią.

Prostokątne podwórze otoczone było ze wszystkich stron zabudowaniami i murem z bramami. Czy to były stodoły, obory czy chlewy? Morawski zmarszczył brwi i wyznał rozbijającą:

– Spodziewałem się większego folwarku.

Mężczyzna się zaśmiał:

– To tylko jeden z dziedzińców. Jest ich kilka i łączą się ze sobą. Staramy się unikać zagęszczenia zabudowy. Wie pan, pożary.

– To już na sąsiednim podwórzu? – Jan wskazał trzykondygnacyjny spichlerz z tradycyjną wieżą-gołębnikiem.

Senior zmierzał w ich stronę zdecydowanym, mocnym krokiem, lecz z pochyloną głową. Przechodząc koło jednego z fernali, zagadnął go:

– Co tam, Tomaszu, u matki?

– Lepiej, lepiej. Pani Fela jedzenie posyła, jak pan dziedzic kazali. A i doktor był.

Chłopak wyraźnie zamierzał przypaść do rąk panu Ponińskiemu, który schował dłonie do kieszeni:

– Nie dziękuj, tylko bierz się do roboty.

Tamten wspiął się na furę, zaciął konia i pojechał. Jan uśmiechnął się, widząc to ojcowskie traktowanie pracowników.

Gdy senior podszedł i się przywitał, pan Gosławski uklonił się, ruszył za odjeżdżającym wozem i w biegu na niego wskoczył.

– Dba pan, by nam nie zabrakło rolników – skomentował Morawski.

– A dbam. To dla nich prawdziwa szkoła. Pracują w polu jak zwykli robotnicy. Muszą się zapoznać z każdym typem działania, by później wiedzieli, czego mogą wymagać, a które zamiary są niewykonalne. A zimą uczą się planowania, sporządzania bilansów, buchalterii.

– Piękny program.

– Nie mój. Oświata i praca – tak powtarzał Marcinkowski [18].

Przez boczną bramę przeszli na kolejne podwórze. Zobaczyli stojące na szynach niskie wagoniki kolejki polnej.

– Dlaczego są takie niziutkie? – wyrwał się Mateusz.

– Muszą być niższe od wozów, żeby załadunek szedł szybciej.

– I dokąd te tory prowadzą? Dużo ma pan tych kolejek? – kamerdyner zapomniał o swej roli, a senior nie miał nic przeciw tym pytaniom, wypowiedzanym pełnym fascynacji głosem.

– Tory są położone na terenie całego majątku i dochodzą do przeładowni kolei. Transport buraków do cukrowni jest dzięki temu tani, a uprawa opłacalna.

– Sporo pan inwestuje – zauważył Jan.

– W rolnictwie nie można stać na jednej nodze. To, co się nie uda w czasie upałów, przyniesie plon, gdy lato będzie chłodne.

Wrócili na to pierwsze podwórze, położone najbliżej pałacu. Tam senior, nawiązując chyba do uwagi o inwestycjach, oznajmił:

– Muszę w najbliższych dniach wybrać się do Ujazdu. Jan Żółtowski planuje założenie tam małej elektrowni.

To pomogło Mateuszowi otrząsnąć się z zachwyty dla nowoczesności gospodarstwa.

– Czy pan nie widzi – szepnął do Jana, gdy pan Adam oddalił się od nich na kilka kroków – że on nie przejął się śmiercią pana Gustawa? I nawet nie zapytał o tę nieznaną synową.

W oczach Jana pan Poniński stanowił coraz większą zagadkę – postępowy w zagadnieniach gospodarczych, konserwatywny w stosunkach rodzinnych.

Nagle od strony rządcówki dobiegł ich głos:

– Dziadziusiu. Tu jestem!

W stronę seniora biegła Natalia. Jan poczuł skurcz serca, spodziewając się, że osieroconą dziewczynkę czeka lodowate przyjęcie. I wtedy, ku swojej konsternacji,



zobaczył kolejne oblicze Mariusza.

Pan Adam złapał wnuczkę, wziął na ręce i czule przytulił.

– Przyszłaś powiedzieć mi „Dzień dobry”? – zasugerował i dostał całusa.

– Dzień dobry – zawołała. Za dziewczynką ukazała się pani Barbara z przewieszonym na przedramieniu koszykiem pełnym ziół. Pod jej oczami ciemniały półkola, ślad nocy spędzonej na pracy w szwalni.

– Chodźmy do kucyka – zdecydowała mała.

Dziadek odstawił ją na ziemię, nachylił się i poważnie oznajmił:

– Jest razem ze źrebiętami na okólniku.

– Pojechał na spacer bez mnie?

– Nie mógł czekać, bo potem będzie dla niego za ciepło. Musisz wcześniej wstawać. Gdzie byłyście?

– U Frolka – pokazała strączki zielonego groszku w kieszeni fartuszka.

– Jadłaś śniadanie? – trzpiotka pokręciła przecząco głową i się zaśmiała. – A może zjadłabyś coś białego?

– LODY! – odpowiedź padła natychmiast.

– Dobrze. Będą lody – łagodnie pogłaskał ją po opalonej buzi. – Felicja zwracała już uwagę, że przy takiej temperaturze potrzeba jej lodu. Poprosimy Floriana, aby otworzył lodownię.

Z kolejnym zdaniem Mariusz zwrócił się do pani Barbary:

– Poleciałem mu, by zabrał z piwnicy kuchennej trutkę na szczury – kobieta spojrzała na niego zdumiona. Upomniał ją: – Podoba mi się twoja lojalność wobec Jacentego, ale powinnaś była mi powiedzieć o tym wypadku. To się mogło źle skończyć – zakłopotana przechyliła głowę, a senior zmienił temat: – Idziesz do wirydarza?

– Tak, ale najpierw odprowadzę małą na śniadanie.

– Może pójść z nami – zaproponował Jan.

Dziewczynka nie wyraziła sprzeciwu, więc pani Barbara ich opuściła i poszła w stronę jednej z bram w ogrodzeniu, za którą widoczne były oślepiające w letnim słońcu szyby szklarni.

Panienka skończyła właśnie wysysanie soku ze strączka i gdy przechodzili przez korytarz w rządówce, upuściła pustą łupinę. Dziadek natychmiast się zatrzymał:

– Natalio, proszę nie bałaganić.

Oczy jej zwilgotniały i Mateusz ruszył, żeby zabrać strączek. Zatrzymała go uniesiona dłoń Mariusza. Patrzył na wnuczkę. Dziewczynka z ociąganiem podeszła i podniosła „zgubę”.

– Nie wolno przysparzać innym pracy, maleńka – napomniał czułym głosem. – Tym bardziej że dzięki nim wszyscy mamy co jeść. Dobrze?

Pokiwała głową i przez łzy uśmiechnęła się do dziadka. Jana ponownie uderzyło jej podobieństwo do Edwarda.

– Idź z panami – dodał senior.

– Słusznie – przytaknął Jan. – Zrobiło się bardzo późno. Pan Tercjusz na pewno czeka na nas ze śniadaniem.

Weszli do oficyny i mała pobiegła korytarzem w stronę domu. Gdy przechodzili koło kuchni, dobiegł ich głos – Neli, oczywiście.

– I właśnie dzisiaj rano Seweryn mi powiedział, że wszystko się zmieniło i wkrótce się pobierzemy. I dostanę pierścionek!

Mężczyźni, niezauważeni przez służące, poszli dalej.

– Mówiłem panu! – z triumfem wyszeptał Mateusz.

– Mówiłeś. Mówiłeś. A jaki to twoim zdaniem ma związek z Jacentym?

– Serpentyn liczy na awans i zakłada, że będzie mógł się ożenić.

Morawski prawie się uśmiechnął, żeby wykpić tę spiskową teorię.

Stali w południowym narożu pałacu, łączącym się z częścią gospodarczą. Jan widział na przestrzał cały dom. Północnym krańcem budynek stykał się z alkierzem, w którym mieściły się pokoje juniora. Te objęte nadzorem policji. A w tamtej sieni stał Seweryn i zamykał jedno z drzwi. Z tej odległości trudno byłoby stwierdzić które, gdyż w przybudówce zlokalizowane były także inne, nieużywane obecnie pomieszczenia, a ponadto wyjście w stronę kaplicy z kryptą. Mateusz odwrócił się, podążając za wzrokiem Jana. Lokaj jednak też ich zobaczył, gdzieś skręcił i zniknął im z oczu.

– On tam był – zakomunikował dość niepotrzebnie kamerdyner. – Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem.

– Może był współnikiem juniora i teraz poszedł usunąć obciążające go dowody? A może to on go zabił?

Jan nie odpowiedział.

Gdy weszli do jadalni, mała siedziała już na poduszkowym tronie i z nieufnością coś przesuwiała w głębokim talerzu z błękitnego jaspisowego serwisu. Zbliżyli się i zobaczyli kremowy gęsty płyn, w którym pływały białe kule śniegowe.

– Ja chyba tego nie lubię – oznajmiła na wszelki wypadek.

– Lubisz, lubisz – zapewnił ją Tercjusz. – To się nazywa zupa „nic”. Patrz, wujcio Jaś też dostanie zupkę mleczną.

Wujcio Jaś poczuł lekkie mdłości, ale postanowił się poświęcić. Podchwycił rozbawione spojrzenie Mateusza, który doskonale znał wstręt swego pracodawcy do mleka. Przy nakryciu Morawskiego stała wielka – o wiele za wielka – czara, pełna podobnej kremowej substancji.

– Ja też to mam – zachęcał pan Drojewski.

Jan usiadł, uniósł kielich, przechylił i bohatercko wypił pół szklanicy. Wszyscy obecni wstrzymali oddech.

To było gęste i słodkie. I tak paliło, że z oczu wymknęły mu się łzy.

– Dobrze? – spytała dama.

– Och, tak – wycharczał, gdy tylko odzyskał mowę. – Pyszne.

Mateusz patrzył na niego dziwnie. Wyraźnie węszył jakiś podstęp.

– Panie Tercjuszu – odezwał się Morawski – jak się nazywa nasza zupka?

– *Uld man's milk* [19].

– Mleko starszego pana! – Jan oblizał lepkie wargi. – A mogę spytać o proporcje?

– Cztery jajka, dwie szklanki śmietany i szklanka whisky. Plus cukier.

Wujcio Jaś przymknął oczy.

Pan Drojewski najwyraźniej śniadał już od jakiegoś czasu, gdyż humor mu dopisywał:

– Nasza wczorajsza pogawędka o *red herring* i dosłownym tłumaczeniu przypomniała mi o wyśmienitych rybkach. Może pan skosztuje?

– Nie, raczej dziękuję.

– Mam tu wędzone śledzie na ciepło. Prawdziwe angielskie *kippers*.

– Zjadłem rano świeże bułki, a teraz ten specjał mnie dobił. Napiję się tylko kawy. Gorzkiej.

Rozbawiony Mateusz pospieszył spełnić tę zachciankę.

– Ja też już chyba więcej nie zjem – ostrożnie zapowiedział Tercjusz. – Nie mogłem się pana doczekać, więc pozwoliłem sobie zacząć.

– Przepraszam, że dotarliśmy tak późno, ale byliśmy u pana Ponińskiego na podwórzu.

Natalia, zachęcona przykładem Jana, postanowiła jednak spróbować nowego dania. Najpierw ostrożnie zjadła jedną śnieżkę, a po niej kolejne, maczając każdą z nich w kremowym koglu-moglu.

– Był pan na folwarku? – zdziwił się pan Drojewski. – Nie sądziłem, że interesują pana takie sprawy, jak płodozmian i pługi parowe.

– Chciałem się zorientować, jak pan Adam zniósł wczorajsze wieści.

– I?

– Wydaje się, że daje sobie radę. Nad podziw dobrze.

Otwierał usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale nagle uchylone skrzydło okna wepchnięto do środka tak energicznym ruchem, że aż zabrzęczały szyby. Firanki zafalowały, zostały bezwzględnie zwinięte i wyciągnięte na zewnątrz. W oknie pojawiły się dwie wysokie postacie, których twarze, z powodu padającego od tyłu światła, były niewidoczne. Tercjusz jednak nie miał kłopotów z identyfikacją.

– Najadł się pan? – spytał Jana. – To dobrze. Nadlatuje szarańcza. Wymiotą wszystko,

co zostało.

## Rozdział 19.

– Izio! Teoś! – zawołała radośnie Natalia.

Dwaj przybysze zwinnie wspięli się na piaskowcowy parapet, weszli do środka i ze śmiechem rzucili: „Dzień dobry”. Odstawili przyniesione dubeltówki do kąta, po czym wrócili do okna i wciągnęli kogoś jeszcze.

Szarańcza, która początkowo zdawała się dwuosobowa, w rzeczywistości składała się z trzech osobników. Pierwszą dwójkę stanowili mniej więcej siedemnastoletni młodzieńcy. Jeden miał jasnobrązowe włosy, przejrzyste oczy i twarz pokrytą młodzieńczą zморą – pryszczami. Ponadto chyba ze zbytnim zapałem oddawał się próbom golenia, co musiało być dość kłopotliwe przy tak nierównej cerze i dawało opłakane efekty w postaci mnóstwa czerwonych punkcików, które nie poprawiały jego wyglądu. Drugi, opalony i ciemnowłosy, szeroko się uśmiechał i nie miał w swej fizjonomii niczego szczególnie uderzającego. Tercetu dopełniał szczupłutki chłopaczek, z postury wyglądający na sześć czy siedem lat, ale myślące spojrzenie świadczyło o tym, że może być starszy. Był drobnym szatynkiem o ledwie zarysowanych brwiach, poważnych oczach i wrażliwych, wiecznie poruszających się pełnych wargach. Zdaniem Jana do złudzenia przypominał małego hrabiego Pawła Stroganowa z obrazu Greuze’a. Chłopiec wyraźnie nie odstępował tego młodziana z wypryskami.

Pierwszy odezwał się ten, który pozornie niczym się nie wyróżniał:

– Nie ma pana Ponińskiego? – w połowie zdania nastąpił zgrzyt i z męskiego tembru głos przeszedł w przykry pisk. Jan poczuł współczucie. Biedny chłopak musiał przeżywać w towarzystwie katusze.

– Wchodźcie! – zawołał pan Tercjusz. – Droga wolna. Panie Janie, przedstawię panu moich przyjaciół – spojrzał na szeroko uśmiechniętych chłopców i zauważył: – Nie wyglądacie na zdziwionych...

– Wiedzieliśmy, że w pałacu jest gość. Dlatego przyszliśmy – wyznał ten skrzeczący.

– Mamy sprawę – uzupełnił ten drugi.

W tym momencie weszła pani Barbara. Powitały ją entuzjastyczne oklaski, które mogły dotyczyć jej albo niesionego przez nią koszyka pełnego bułek.

– Liczyliśmy na panią – przyznał ten ciemny, łapiąc bułkę w przelocie. Musiała być jeszcze ciepła, bo zaczął ją zabawnie przerzucać z jednej dłoni do drugiej.

– Co zjecie?

– Te kiełbaski smażone z cebulą – odpowiedź padła bez wahania.

– Wykluczone. Piątek.

– No to jajecznicę.

Jan patrzył na nią. Naprawdę powinna wyjść za męża. Już teraz była doskonałą panią domu, a miała wszelkie zadatki na dobrą żonę i matkę. Wiedziała, kiedy się uprzeć, wiedziała, kiedy ustąpić.

Mateusz odsunął na bok żardinierę z kompozycją białych róż i układał na stole dodatkowe nakrycia, a tymczasem chłopcy przekomarzali się z panią Barbarą:

– Pani przenikliwość i wiedza o miejscu naszego pobytu są zastanawiające – zauważył szatyn.

– Mój kot przyszedł i mnie o tym poinformował – odcięła się ze śmiechem.

Ten z łamiącym się głosem demonstracyjnie zajrzał jej za plecy, a Natalia aż się wychyliła, by sprawdzić, co tam może być.

– A gdzie miotła? – zapytał chłopak i wszyscy się roześmiali. – A poważnie?

– A poważnie to widziałam ponad murem wirydarza, jak galopujecie przez trawnik.

Podeszła do pomocnika i na stół przestawiła drugą maselniczkę, konfitury, pozostałe śledzie i koszyczek z chlebem. Przy przenoszeniu tego ostatniego z serwetki wypadła kromka. Kobieta podniosła ją, ucałowała i Jan dosłyszał: „Wybacz mi, Boże”. Wyszła, a gdy była w drzwiach, Morawski zauważył, że nadgryzła ten chleb. Mateusz podążył za nią.

– To nasi wakacyjni sąsiedzi – dokonywał prezentacji Tercjusz. – Choć tak naprawdę dwóch wakacyjnych, a jeden prawdziwy. Pan Jerzy, zwany Iziem – wskazał wysokiego bez trądziku – syn sąsiadów, i jego przyjaciel, pan Teodor, zwany Teosiem – to był ten z wulkanicznym obliczem.

Jan wstał, przedstawił się i uściśnął im dłonie jak dorosłym dżentelmenom.

– Bardzo mi miło.

– Obaj panowie są uczniami wyższej sekundy [20] w gimnazjum realnym im. Bergera – uzupełnił pan Drojewski.

Teoś wskazał szczuplaczka, który uparcie trwał tuż przy jego boku:

– A to mój podopieczny i przyjaciel – malec aż pokraśniał. – Gucio.

Jan poczuł, że on także pokraśniał. Opanował się na tyle, by przywitać się z chłopcem jeszcze poważniej. Trzeba przyznać, że choć nieśmiały, malec umiał zachować się przy prezentacji nie gorzej od starszych kolegów.

Zasiedli, śledziami wzgardzili, natomiast bułki zdawały się w czarodziejski sposób znikać. Jedna za drugą, jedna za drugą. Faktycznie były gorące, bo masło, szczerze na nich rozsmarowywane, roztapiało się, jeszcze zanim wygłodniali chłopcy zdążyli odgryźć pierwszy kęs.

– A gdzie Tobie? – spytał Izio Natalię, koło której na jej wyraźne życzenie usiadł.

– Poszedł do nieba, a Bobi go szuka. I teraz nie mam ani jednego pieska – temu stwierdzeniu towarzyszył wymowny gest, demonstrujący puste dłonie.

Chłopak oderwał kawałek bułki, posmarował masłem i podał dziewczynce, a ona –

o dziwo! – przyjęła i zaczęła zajadać. Jan pomyślał, że może to jest właściwa metoda postępowania z małą kapryśnicą. Przy domownikach grymasiła, bo pozwalali jej wybierać, a Izio po prostu podał jej jedzenie i nie brał pod uwagę możliwości sprzeciwu. Ciekawe.

– Nie wiedziałem – zagadnął – że do gimnazjum realnego przyjmują Polaków.

– Przyjmować przyjmują, lecz jesteśmy w mniejszości – odpowiedział Izio.

– Ale się nie dajemy – zapewnił Teos. – Fundator gimnazjum, Gotthilf Berger, zastrzegł w akcie darowizny, że do szkoły mają być przyjmowani wszyscy uczniowie, bez względu na narodowość czy wyznanie.

– Za moich czasów to nie było gimnazjum, tylko szkoła realna – przypomniał sobie Jan. – Czy program różni się od tego w gimnazjum klasycznym?

Chłopcy odpowiadali na zmianę:

– Mamy mniej łaciny.

– Więcej francuskiego.

– W ostatnich trzech klasach także angielski.

– I dużo, dużo więcej geografii i przyrody.

– I matematyki.

– A pan, panie Tercjuszu – podsumował Jan – ubolewał nad tym, że nasza młodzież uczy się wyłącznie niepotrzebnych języków martwych.

Zagadnięty tylko chrząknął i zdawał się zakłopotany. Dziwna była ta jego małomówność w temacie edukacji, który przedtem zdawał się tak go obchodzić. Wszedł Mateusz z olbrzymią wazą. Postawił ją na stole i uniósł pokrywę. Starsi chłopcy bez wahania nałożyli sobie królewskie porcje potrawy, a sądząc po aromacie boczku, który rozniósł się po jadalni, pani Felicja nie przestrzegała rygorystycznie zasad bezmięsnych piątków. Młodszy chłopiec podziękował za jajecznicę i pogryzał bułkę z konfiturą, troskliwie przygotowaną przez Teosia.

Jan sączył kawę i wpatrywał się w siedzące naprzeciwko niego młodsze dzieci. Nic nie mógł na to poradzić, ale bezwiednie porównywał rysy Natalii i Gucia, mimo że między nimi siedział Jerzy-Izio.

Natalia coś poszeptała na ucho Iziowi, na co chłopak skinął głową, a wtedy ona zsunęła się z poduszek i wybiegła w podskokach.

– Izio ma tę samą pasję, co Natalia – skomentował Tercjusz, a gdy Jan spojrzał na niego pytająco, wyjaśnił: – Rysowanie!

– Chciałbym studiować architekturę – w połowie ostatniego słowa chłopakowi zgrzytnął głos. – Jak Edward.

– Znasz go? – zainteresował się Morawski.

– No jasne. Byliśmy raz z Teosiem u niego w pracowni w Berlinie. Wszystko nam pokazał – nachylił się nad stołem i ściszył głos: – Nauczył nas grać w pokera. Na ziarnka

grochu. Ale niech pan nas nie zdradzi.

– Pozwalał nam mówić do siebie po imieniu – dodał Teoś.

– A co jest twoją pasją? – spytał go Jan. – Też architektura?

Chłopak tylko pokręcił przecząco głową, natomiast odpowiedzi udzielił za niego przyjaciel:

– To najzdolniejszy chemik i fizyk w całej szkole.

– Przestań!

– Może nie?

– A co cię najbardziej interesuje? – wypytywał Morawski.

– Radiologia – chłopcu rozbłysły oczy. – Słyszał pan o profesorze Röntgenie? I cudownym świetle, które przenika nieprzejrzyste przedmioty? Można nawet zobaczyć kości bez przecinania skóry!

– Promienie X, prawda? – Teoś entuzjastycznie potakiwał, aczkolwiek bezsłownie, z uwagi na pochłanianą jajecznicę. – Oczywiście znasz odkrycia pani Curie?

– Jasne – przełknął. – Polon i rad. Gdzie mi tam do niej!

– Wszystko przed tobą – niespodziewanie włączył się Tercjusz, który mimo wyraźnej sympatii do chłopców trzymał się dotąd na uboczu. – Zaczynała jako skromna, uboga guwernantka w czasach, gdy na uniwersytety nie przyjmowano kobiet – a potem zwrócił się do Morawskiego: – To wspaniała szkoła. Mają pierwszą w Poznaniu salę gimnastyczną, kilkadziesiąt sal i trzy laboratoria. Gdyby tylko usunęli tę utrapioną lingwę germańską...

– To w naszej pracowni – wtórował Teoś – pan Tomasz Drobnik, ten chirurg, wie pan, przeprowadzał pierwsze doświadczenia radiologiczne. Już cztery lata temu!

Tymczasem wróciła Natalia z blokiem i ołówkami. Izio odsunął talerz, coś szkicował i kontynuował temat:

– Ja zawsze chciałem iść do tej szkoły. Nie uśmiechało mi się bez przerwy kuć łacinę i grekę. Rodzice uważali, że łatwiej mi będzie dostać się na architekturę, jeżeli skończę szkołę Marii Magdaleny, ale pan Tercjusz im przypomniał, że Zygmunt Gorgolewski kończył nasze gimnazjum.

– To ten architekt?

– Tak – odparł rezydent, wyraźnie zadowolony z pochwały pod swoim adresem. – Ten od Teatru Wielkiego we Lwowie. I wielu prywatnych budowli na terenie Księstwa.

Drobny chłopiec siedział milczący z boku i tylko wodził po obecnych pełnym zainteresowania wzrokiem.

– A ty, Guciu? – zagadnął go Jan. – Też chodzisz do tej samej szkoły?

Pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie – odpowiedział za niego Teoś. – Mieszkamy razem na stacji i Gucio



przygotowuje się do egzaminów do seksty.

– Zda bez kłopotu – zapewnił Izio, nadal rysujący pod baczным okiem Natalii. – Pomożemy mu.

– Poza geografią.

– Problemy? – spytał Morawski.

– Problemy? – prychnął Teoś, po czym sypnął komplementami z taką dumą, jakby mówił o własnym dziecku: – Pan nie zdaje sobie sprawy, ile ten szkrab wie. A jakie mapy rysuje! Z geografii to on nam udziela korepetycji!

– A słyszałeś o Pawle Strzeleckim? – rzucił się do egzaminowania Tercjusz.

Po raz pierwszy od powitania usłyszeli głos chłopca:

– O tym, który odkrył Mount Kościuszko? – zadowolony bibliotekarz pokiwał głową, a Gucio dodał: – Byłem tam z rodzicami.

– Twój tata podróżował? – dręczony podejrzeniami Jan starał się ostrożnie go wysondować. Jeszcze bardziej posmutniały malec przytaknął, a Morawski spytał: – A teraz mieszkacie w Polsce?

– Tata nie żyje – oczy mu się zaświeciły i opuścił głowę.

Po tym wyznaniu nawet dłoń szkicującego Izia się zatrzymała. Morawski wymienił znaczące spojrzenia ze stojącym przy drzwiach Mateuszem. Ciepłym głosem odezwał się Teoś:

– Ale chciał, abyś chodził w Polsce do szkoły. I masz przecież mamę, choć teraz nie możecie być razem. A tutaj ja jestem twoją rodziną. A ty moją – poczochnął Gucia, a potem dziarskim głosem wyjaśnił Janowi: – Moi rodzice nie żyją i mogę się uczyć tylko dzięki temu, że otrzymuję prywatne stypendium za oceny z nauk przyrodniczych.

Gdzieś zniknęła beztroska, którą chłopcy wnieśli swą obecnością. Nastąpiła cisza. Powietrze zgęstniało od myśli i emocji. Jan czuł pod przeponą pulsującą krew. Często było mu przykro, że rodzice nie mieli dla niego czasu, ale przynajmniej zapewniali mu środki do realizacji marzeń. No i miał dziadków. I przyjaciół. A ten chłopak nie miał ani rodziny, ani pieniędzy. A jednak nie poddawał się, parł do przodu i zamierzał zdobyć świat. I mimo tego, a może dzięki temu, chciał jeszcze opiekować się tym nieopierzonym pisklęciem. Jan poczuł wstyd. Chciałby umieć znaleźć jakieś słowa podziwu czy pociechy.

Impas, z którego nie potrafili się wydobyć spięci dorośli, przełamała mała kobietka. Przyglądała się smutnemu chłopcu.

– Może kakałko? – zaproponowała grzecznie.

Wzruszył ramionami, ale była w tym raczej zgoda, wobec czego zakłopotany Jan z ulgą się poderwał, przyniósł z pomocnika wysoki kubek i z dzbanka nalał czekoladowego płynu. Potem zagadnął:

– A wiesz, że Paweł Strzelecki pochodził z Głuszyny? To majątek pod Poznaniem.

– Naprawdę?

– Tak. I ja go znałem – Tercjusz z taką dumą wypiął pierś, że prawie udało mu się na chwilę schować brzuch. – Gdy zaprzestał swych wypraw, zamieszkał w Londynie i tam się z nim wielokrotnie spotykałem.

W tym momencie do jadalni zajrzała pani Barbara. Wzrokiem omiotła całą scenę, weszła, podała jakieś naczynie Mateuszowi i zapewne wyszłaby, gdyby Izio nie zakrzyphiał:

– Muszę państwa ostrzec. Pani Eufemia się tu wybiera – chłopak wykonał teatralnego zeza.

– Powinniśmy się bać? – spytał Morawski, któremu to imię nic nie mówiło.

– Cóż, moja mama, bardzo zacna osoba, nie pozwala źle mówić o damach, ale pani Eufemia to nie dama, tylko skaranie boskie.

– Izio! – pani Barbara patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których jednak pełno było śmiechu. Pogroziła mu palcem.

– Przecież pani wie, że mówię prawdę. Napadnie na was, bo organizuje kolejną świętą akcję.

– Przyjedzie mimo panującej w domu żałoby? – Jan ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w panią Barbarę, ale odpowiedzi udzielił mu niepoprawny Izio:

– Tym bardziej przyjedzie. Żeby się naocznie zorientować w sytuacji.

Gość szukał potwierdzenia u pani domu, która wyduła usta w poszukiwaniu dyplomatycznego sformułowania:

– Powiedzmy, że pani Eufemia posiada szósty zmysł, który informuje ją, kiedy jej odwiedziny będą najbardziej dla gospodarzy niedogodne.

Zadowolona z własnej odpowiedzi kiwnęła głową, zaszeleściła jedwabnym fartuchem i odfrunęła.

– Niech pan ucieka, póki czas – radził z grobową miną Izio. – Nawet pan Poniński nie jest w stanie jej okiełznać.

Jan poczuł, że zaczyna z niecierpliwością wyglądać przyjazdu mitycznej bestii.

– Twoja mama mówiła – przypomniał Teoś – że pan Poniński znosi ją tylko ze względu na jej męża. Często się spotykają.

– Jest podobny do żony? – dopytywał się Morawski.

– Och, nie, jest bardzo spokojny. I nigdy – naprawdę nigdy – się nie odzywa.

– Nie jest mu dane dojść do głosu – nie miał wątpliwości Tercjusz.

– A czym on się zajmuje? – Jana zainteresował kolejny zagadkowy osobnik, obdarzony przywilejem przyjaźni Mariusza.

– Jest mężem swojej żony – zachichotał pan Drojewski, a Mateusz nie zdołał powstrzymać parsknięcia śmiechem.

Izio podał Natalii kartkę z rysunkiem przedstawiającym zarysy pałacu. Dziewczynka

wyglądała na zachwyconą i przyniosła szkic Janowi, który nie szczędził słów podziwu. Był naprawdę pod wrażeniem, zwłaszcza że dzieło wykonano z pamięci, a do tego w trakcie jedzenia. Pewna kreska, wycucie proporcji, dbałość o detale. Kolejny zdolny młody człowiek.

– A cóż to, panowie? – zawołał Tercjusz na widok dubeltówek. – Wybieracie się na polowanie?

– Na razie ćwiczymy. Strzelamy do gołębi – Teoś wycierał bułką resztki jajecznicy.

– Ale ukrywamy się przed mamą, bo ona uważa, że gdyby mężczyźni nie umieli strzelać, to nie byłoby wojen.

– Przecież nigdy nie będziecie musieli tej umiejętności wykorzystywać – argumentował pan Drojewski. – Epokę wojen mamy już za sobą i taki Gucio, który ma osiem lat, jako dorosły człowiek broń będzie widywał na polowaniu i na wojskowej paradzie.

– Guciovi właśnie idzie najlepiej – wyznał uczciwie Izio.

– Mama mnie nauczyła – wtrącił się malec. – Strzelała nawet celniej niż tata.

Morawski już miał na końcu języka pytanie o ową mamę, ale głos zabrał przyszły architekt:

– My właśnie przyszliśmy w sprawie tego strzelania. Podobno jedzie pan z Paryża? – a gdy Jan spojrzał na niego zaskoczony, Izio wyjaśnił: – Pani Eufemia była u nas wczoraj na wizytacji i powiedziała to mamie. To prawda?

– Prawda.

– I był pan na olimpiadzie? – spytał znad kubka z kakao lekko ośmielony Gucio.

– Tak – przyznał Morawski z niechęcią.

– Nie podobało się panu? – nie dowierzał Teoś.

– Szczerze mówiąc, z przyjemnością się stamtąd wydostałem – zdumieni chłopcy aż zmarszczyli czoła. – Panuje tam harmider i bałagan, których nie sposób opisać, tym bardziej że równolegle z igrzyskami odbywa się Wystawa Światowa. A poza tym zupełnie nie rozumiem, kto wymyślił niektóre z dyscyplin – mrugnął. – Strzelanie do gołębi na przykład.

– Ale my strzelamy – niespokojnie i z piskiem przypomniał Izio.

– Wy się uczycie, a nie startujecie w olimpiadzie. Jaki jest związek strzelania do żywych gołębi ze starożytną ideą igrzysk?

– Zabijanie w ogóle nie ma z nią nic wspólnego – wtrącił się filolog klasyczny.

Jan znacząco uniósł brwi i dopił zimną już kawę.

– Mam nadzieję, że nie zrezygnują z pomysłu organizacji kolejnej olimpiady – martwił się Izio.

– Chyba nie. Zwłaszcza że i te paryskie igrzyska mają swój niewątpliwy sukces – chłopcy popatrzeni na niego. – Udział kobiet – Jan mrugnął figlarnie.

Odpowiedział mu pogardliwy pomruk, ale sądząc po szkarłatnym rumieńcu Izia, chłopak nie był już tak całkowicie obojętny na urok płci pięknej.

Aby pokryć zakłopotanie, zerwał się z krzesła, dając tym sygnał do odmarszu. Do pomocnika podszedł Mateusz i odwracając się w stronę chłopców, powiedział:

– Pani Barbara prosiła, by to panom zapakować na drogę – z patery wziął sześć bułek mlecznych z rodzynkami i schował je do papierowej torebki. – O ile panowie mają ochotę... – dodał.

– My zawsze mamy ochotę – zapewnił go Teoś.

Mateusz uśmiechnął się i dołożył jeszcze trzy.

Izio spytał Jana:

– A ma pan jakąkolwiek gazetę, gdzie są opisane zawody?

– Tylko angielską.

– Nie szkodzi. Nasz angielski nie jest jeszcze bardzo dobry, ale Gucio wychował się przecież w Anglii, to nam przeczyta.

## Rozdział 20.

Gdy Jan przyniósł chłopcom interesującą ich gazetę, podziękowali i zniknęli tą samą drogą, którą się zjawili, pozostawiając drzwi zniedołężniałym starcom, którzy przekroczyli już krytyczny dwudziesty rok życia.

W holu Morawski natknął się na panią Barbarę i Natalię. Dziewczynka pobiegła w głąb jadalni, a Jan spytał panią domu:

– Czy jest już zbyt późno, bym przed obiadem wybrał się do doktora?

– Raczej tak. Zresztą o tej godzinie chyba go pan nie zastanie.

– Pojadę po południu – zdecydował, lecz naraz sobie przypomniał: – Ale przecież mają przyjechać ta osławiona pani Eufemia i jej zagadkowy małżonek, a jestem bardzo ciekaw tej damy. Choć pewnie upał ich odstraszy.

– Eufemię? – przechyliła zabawnie głowę. – Odstraszy? Im więcej przeszkód napotka, z tym większą determinacją będzie się tu pchała.

– No tak, skoro nie przeszkadza jej, że dom jest pogrążony w żałobie...

– Wtargnie tu bez wahania. Nie zniesie własnej niewiedzy. A już najgorzej by było, gdyby ktoś tu dotarł przed nią. Zazdrość by ją zabiła.

Tymczasem wróciła Natalia ze szkicem wykonanym przez Izia.

– Idziemy na chwilę na górę, a potem Natalia będzie rysowała na tarasie – wyjaśniła pani Barbara, lecz naraz coś jej przyszło do głowy: – A może mógłby pan pójść z nią do jej pokoju? Ona tylko weźmie kredki i blok, a ja mogłabym już teraz wrócić do szwalni...

– Oczywiście – zgodził się Jan natychmiast. – Mam ją potem przyprowadzić na taras?

Skinęła głową.

– Pójdiesz z wujkiem, dobrze? – spytała dziewczynkę i dla zachęty dodała: – Przy okazji pokażesz mu swój domek.

Natalia entuzjastycznie pokiwała głową i złapała Jana za rękę. Poszli razem na piętro, a tam skierowali się w stronę przeciwną do tej, gdzie znajdowały się pokoje gościnne. Morawski otworzył wskazane drzwi i nagły przeciąg przywiał do nich zapach świeżo wykrochmalonej bielizny.

Pokój dzienny Natalii był chyba dawną salą szkolną chłopców. Dół ścian pokrywała jasna boazeria, a powyżej niej przyklejono tapetę w białe i niebieskie pionowe paski. Drewniana podłoga pomalowana była na ten sam kolor, co boazeria, i ozdobiona szablonem. Teraz był to zwykły pokój zabaw: stał tam fotel bujany, niskie foteliki, duży stół i czarna tablica. Na regałach Jan dostrzegł klocki, układanki, kilka lalek i sporo książek.

W tym momencie dołączył do nich Mateusz.

– Pani Barbara wspomniała, że tu pana zastanę.

Morawski uśmiechnął się zadowolony – zawsze mu zależało na obecności przyjaciela przy takim „zwiedzaniu”. Wysoko cenił jego wyczułone oko.

– To ten domek – Natalia poprowadziła Jana w stronę okna. – Dostałam go od wujcia Eda.

Drewniany domek, przypominający kamienicę, był tej samej wysokości, co ona. Majstrowała coś przy zasuwkach na bocznej ścianie.

– Musisz otworzyć – podniosła oczy na Jana.

Przyklęknął i odsunął miniaturowe rygielki. Po otwarciu przymocowanej na zawiasach fasady ich oczom ukazało się wnętrze. Były tam trzy piętra: na dolnym urządzono kuchnię z piecem, kredensem i lalkami kucharki i pokojówki, na drugim poziomie był salon z kanapą, fotelami i serwantką na porcelanę, na najwyższym piętrze – sypialnia. Nie zapomniano nawet o nocniku pod łóżkiem. Jan wziął do ręki miniaturowy piec z kuchni i zauważył znak legendarnej fabryki Märklin. Podał Mateuszowi, który aż zagwizdał, gdy się okazało, że zasuwki na lilipucich drzwiczkach można było unieść.

– Wujek sam go dla mnie zbudował – oświadczyła właścicielka z dumą.

– Jest piękny – zgodził się Jan.

– Ależ musiał być kłopotliwy w transporcie! – Mateusz z zasady zwracał uwagę na kwestie praktyczne.

– Mamusia zapłaciła takiemu panu z wielkimi wąsami, żeby przyjechał z nami z Belrina. A potem zostawiłyśmy domek na stacji. I dopiero tatuś Izia go przywiózł.

Jan z Mateuszem wymienili spojrzenia. Morawski się zawahał. Czuł się podle na myśl, że ma wypytywać małą i wykorzystywać jej prostoduszność.

– Byłyście w Berlinie?

– Tak. U wujka – zabrała jedną z laleczek, podeszła do stołu i zaczęła ją przebierać. – Już jest dzień, a ty ciągle w koszuli nocnej, moja droga – zasmakowała surowo, niczym wychowawczyni na pensji.

– A kiedy tam byłyście? – rzucił lekko Jan, podchodząc do stołu.

– Nie wiem. Dawno.

Zapanowała konsternacja. „Dawno” w pojęciu dziecka mogło znaczyć wszystko.

– Zanim przyszedł Gwiazdorek? – podsunął Mateusz.

– Chyba tak – wzruszyła ramionami, a Morawski próbował sobie przypomnieć, w jaki sposób, będąc dzieckiem, odmierzał upływający czas.

– Ale pewnie wróciłyście na imieniny pani Barbary? – błysnęła inteligencją.

– Tak – rozpromieniła się. – Mamusia kupiła jej mufkę z kozuszką.

A zatem były tam w listopadzie. Dziewczynka tymczasem wróciła do znacznie bardziej interesującego tematu.

– Razem z mamusią urządziłyśmy domek. Kupiłyśmy mebelki, mama uszyła zasłony i pościel. I pomalowała ściany.

– Mama ładnie rysowała? – spytał Jan.

Pokiwała głową bardzo energicznie i mężczyzna pomyślał, że gdyby na takie ruchy pozwolił sobie dorosły człowiek, bez wątplenia skończyłoby się to urazem kręgosłupowych.

– I uszyła mi Bobiego i bawimy się razem w bajki. W uwięzioną księżniczkę.

– Gdzie uwięzioną? – zapytał odruchowo Jan, wpatrując się w kamieniczkę.

– W wieży przecież. Księżniczki są zawsze uwięzione w wieży – popatrzyła na Morawskiego z politowaniem.

Mateusz zajrzał przez uchylone drzwi do drugiego pokoiku. Mała gospodyni tam weszła:

– Tutaj spał mój tata, jak był chłopcem. Wujcio Ed spał po drugiej stronie. Z jeszcze jednym wujkiem.

Znaleźli się w małej sypialence o ścianach w kolorze rozgniecionych malin, wyposażonej w białe mebelki. W narożniku stała niewielka wanienka, a w niszy łóżko niani – Bałwalinki. Nad łóżeczkiem Natalii wisiał piękny pastelowy portret uśmiechniętej Lili. Janowi przypomniało się kilka prac Axentowicza, prezentujących paryską piękność Henriette Fouquier. Te same zadumane oczy wpatrzone w przestrzeń, jasna twarz, zamazane tło. Podszedł bliżej. Tak, nie pomylił się. W prawym górnym rogu dostrzegł charakterystyczny podpis mistrza.

– W pokoju mamy jest pełno obrazków – oznajmiła Natalia. Morawski czuł, że nie powinni tam iść, ale nie potrafił oprzeć się pokusie, tym bardziej że mała już wyciągnęła do niego łapkę. – Chodźmy. Może mamusia tam jest.

Mężczyźni tylko wymienili spojrzenia, a zakłopotany Mateusz podrapał się w głowę.

Panienska korytarzem zaprowadziła ich do pobliskiego pokoju.

Weszli do buduaru, choć odpowiedniejszą nazwą byłoby chyba studio. Na ścianach wisiało kilka portretów Natalii w różnym wieku i dziewczynka poprowadziła ich do jednego, wiszącego nad kominkiem.

– To ja, Tobi i Bobi.

Był to szkic ołówkiem, od którego biało-grafitowej tonacji ostro odcinały się trzy czerwone akcenty – wstążka we włosach dziewczynki i obroże obu piesków – żywego i szmacianego.

Jan nie zwrócił uwagi, że Natalia już od jakiegoś czasu niespokojnie się kręciła. Mateusz odgadł przyczynę:

– Chyba panienska chciałaby pójść gdzieś z panią Barbarą?

Szybko przytaknęła i razem wyszli.

Jan tymczasem oglądał pokój. Po jednej stronie stały częściowo otwarte regały,

zapełnione książkami, przede wszystkim albumami dotyczącymi malarstwa. Od dołu szafy były zakryte.

Pod ogromnym oknem stało podwójne biurko, ale blat był prawie pusty, a wszystkie przybory starannie poukładane.

Wrócił Mateusz i skomentował ten porządek:

- Wygląda, jakby od dawna nie pracowała.
- Była w ciąży i pewnie męczyło ją siedzenie przy biurku.

Z boku stało kilka zdjęć: na jednym zobaczyli Lili z seniorem Ponińskim, drugie przedstawiało dziewczynkę z dwójką dorosłych na plaży – prawdopodobnie była to Lili z rodzicami. Nie dostrzegli zdjęć juniora. Jan zapatrzył się w rodzinną fotografię i wycofując się, potrącił stojący przy drzwiach neseser. Walizeczka się przewróciła i wypadły z niej szkice. Przyklęknął i spojrzał. To były portrety Edwarda. Zebrał kartki, usiadł na sofie i zaczął je przeglądać.

– Co to? – zainteresował się Mateusz.

– Edward.

Służący podszedł i brał od Jana kolejne kartki.

– Musiała go znać – stwierdził kamerdyner przy trzeciej.

– To prawda. Nie byłaby w stanie tak wiernie oddać wyrazu jego twarzy, jego spojrzenia, gdyby widziała go tylko na ślubie.

– I potem w Berlinie.

– Senior mówił, że spotkali się zaledwie kilka razy, ale to wystarczy, by zbudować na tym miłość – naraz Jan przerwał oglądanie i zdecydowanym ruchem zebrał portrety. Były tak osobiste, tak pełne miłości, że poczuł się zawstydzony. – Nie mamy prawa tego oglądać.

Sięgnął po walizeczkę i położył ją na kolanach, by schować rysunki. Na dnie znalazł saszetkę na chusteczki, a wewnątrz niej mydło, proszek do zębów w płaskim słoiczku, szczoteczkę do zębów, a pod spodem trochę bielizny i niewielką kwotę pieniędzy.

– A może chciała uciec? – zasugerował Mateusz.

– I mąż zastał ją przy pakowaniu? – uzupełnił Jan. – Myślisz, że zostawiłaby Natalię?

Kamerdyner wzruszył ramionami i odszedł.

Po chwili Morawski wstał, by podejść do biblioteczki, i zauważył, że Mateusz siedzi przy biurku i przegląda jakieś kartki, wyciągnięte z szarej teczki. Obok niego leżała druga – granatowa, lakierowana. Jan usiadł po przeciwnej stronie biurka i otworzył tę drugą teczkę.

Aż westchnął. Wewnątrz były szkice zwierzątek. Właśnie zwierzątek, nie zwierząt. Myszki, pieski, wiewiórki, jagniątko – wymarzone ilustracje do bajek.

– Musisz to zobaczyć, Mateuszu – wstał. – To przypomina rysunki tej dziewczyny, którą widzieliśmy w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Szkicowała zwierzęta,



wzorując się na eksponatach – zapatrzony Morawski przeszedł na stronę przyjaciela. – Miała też taką historyjkę, chyba o zajączku. Jak ona się nazywała? Tak ci się podobały jej rysunki.

– Potter, proszę pana. Beatrix Potter.

Na dźwięk jego głosu Jan oderwał się od piesków i kotków i uniósł wzrok.

– Co się stało? – spytał na widok oszołomionej twarzy kamerdynera.

Mateusz przerzucał szkice.

– Niektóre jej prace są po prostu przerażające.

Morawski sięgnął po niesamowicie realistyczne rysunki wilka szczerzącego kły, jastrzębia atakującego zająca, psów zagryzających koziołka.

– Lili całe swoje życie przelewała na papier – mruknął. – Szczęście, miłość, strach, odrazę.

Mateusz złożył kartki i wyznał:

– Mam dość.

– Jeśli tak tobą wstrząsnęły, to należy ją uznać za prawdziwą artystkę.

Spojrzał na drzwi łączące buduar z sypialnią.

– Nie mamy tam nic do roboty – uczciwość kazała Janowi to przyznać. – Ale jeśli motywem zabójstwa była Lili, może powinniśmy jak najwięcej się o niej dowiedzieć?

Było to mocno naciągane, ale Morawski otworzył drzwi.

Lazur ścian przykro kontrastował z iście kostnicowymi prześcieradłami, pokrywającymi wszystkie meble i stojący pod ścianą dziwny przedmiot, w którym domyślili się kołyski. Podobnie nieprzyjemne wrażenie sprawiały bure deski podłogowe i dopiero po chwili Jan uświadomił sobie, że Lili zmarła na skutek krwotoku i prawdopodobnie zniszczony dywan usunięto. Wciągnął głębiej powietrze i skrzywił się z niesmakiem. W pokoju zalegał drażniący, jakby sztucznie świeży zapach.

Dłoń Morawskiego natrafiła na pokaźną sztabę umocowaną na drzwiach po stronie sypialni. Ruszył w stronę wyjścia na korytarz, a jego kroki rozbrzmiewały echem na gołej podłodze. Na tych drugich drzwiach również zainstalowano podobne zabezpieczenie.

Podszedł na palcach do toaletki i zdjął z niej pokrowiec. Na blacie stało kilka flakonów, esencje fiołkowe, wody kwiatowe, puder ryżowy Veloutine, szczotki, szylkretowe grzebienie, szpilki do włosów, zwierciadełko. Uderzał brak tradycyjnego srebrnego garnituru toaletowego. Uniósł wieko szkatułki. W środku znalazł wyłącznie drobiazgi: trzy broszki i łańcuszek z krzyżykiem. Nie było żadnych klejnotów, nawet typowego panieńskiego pierścionka.

– Dziwnie mało wartościowe przedmioty, jak na bogatą pannę, która wyszła za spadkobiercę fortuny – rzucił w stronę Mateusza, który stał w drzwiach i chyba nie zamierzał przyłączyć się do swego pracodawcy.

– Może senior schował dla Natalii?

– Nie sędzę. Czuję w tym rękę juniora. Lili kupowała sobie spokój.

Morawski rozejrzał się, narzucił prześcieradło na mebel i wyszedł, by nie zakłócać spokoju śpiących tam duchów.

W buduarze uwagę Jana przyciągnęła ta fotografia z Mariuszem. Podszedł i pstryknął w szkło:

– Jak on mógł zmusić ją do tego małżeństwa? – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie w sensie literalnym, oczywiście. Ale był jej opiekunem. Ufała mu – a widząc, że Mateusz już otwiera usta, szybko zastrzegł: – Nie odpowiadaj. Wiem, że twoim zdaniem to on jest winien morderstwa juniora.

Zanim ta prośba dotarła do kamerdynera, zdołał on powiedzieć:

– Pan Poniński zorientował się, jakiego potwora... – zamilkł.

Na blacie leżały baśniowe ilustracje. Morawski przerzucił je i westchnął:

– Zmarnowane dwa życia. Mogli być tacy szczęśliwi. Ona i Edward.

Służący nie odpowiedział, gdyż w tym momencie dostrzegł przez okno wychodzącego bocznym wyjściem Serpentyna. Lokaj zmierzał w głąb parku. Mateusz bez słowa się zerwał i wypadł na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Jan wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego dwa kartoniki. Usiadł na kanapce i najpierw zapatrzył się w zdjęcie Lili i Edwarda, a potem na fotografii swojej i Konstancji szukał tej dziwacznej harmonii, która tak go zafascynowała.

## Rozdział 21.

Po pewnym czasie Jan zaczął odczuwać głód. Nic w tym dziwnego, bo najpierw o świcie najadł się gorących bułek, potem łyknął zupki Tercjusza i prawdziwego śniadania właściwie nie było. Wyszedł z pokoju Lili i w głębi korytarza zobaczył Mateusza idącego w stronę pokoi gościnnych. Zawołał go i kamerdyner przystanął:

- Przyszedłem sprawdzić, gdzie pan przepadł.
  - Byłem cały czas u pani Lili. Wejźmy tu – wskazał drzwi ich pokoju.
  - Co się stało? – spytał kamerdyner.
  - Co powiesz o chłopcach?
  - Niesamowita historia.
  - Prawda? Wszystko nam się zgadza. Imię, wiek, nieżyjący ojciec, Anglia.
  - A najbardziej nam się zgadza to, że chłopiec strzela – zwrócił uwagę Mateusz.
  - Daj spokój. Widzisz go jako mordercę? – służący wzruszył ramionami, jakby dopiero teraz dostrzegł absurd swej teorii. – Pomyślmy raczej o matce.
  - Która świetnie strzela – kamerdyner ucieszył się, że ważną umiejętność udało się komuś jednak przypisać. – Ale nie wiemy, gdzie ona jest.
  - I nie zapominajmy o Teosiu. Jest dziwnie przywiązany do Gucia. Wybadam pana Tercjusza... – Jan przerwał i zmarszczył czoło. Podeszedł do stołu i zabębnił w blat. – Choć to chyba on mnie najbardziej martwi.
  - Nie rozumiem – teraz to Mateusz się skrzywił.
  - Nie zwróciłeś uwagi, jak się dziwnie zachowywał? Jaki był spięty? Jak odsuwał rozmowę od Gucia, gdy chłopiec zaczął mówić o zmarłym ojcu? – Morawski zmrużył oczy, by to sobie lepiej przypomnieć. – Tak. Dopiero teraz sobie uświadomiłem, że jego jedyne mi nie przedstawił.
  - Był serdeczny, gdy rozmowa kręciła się wokół dwójki starszych – ocenił kamerdyner po chwili.
  - Właśnie – Jan spojrział na niego z aprobatą. – To by znaczyło, że to Gucio go niepokoił. Skoro pan Drojewski wiedział o małżeństwie Gustawa, mógł wiedzieć o dziecku, tym bardziej że chłopiec urodził się niedługo po ślubie. Już raz Tercjusz pokazał, że nie jest do końca szczery. W tej sprawie z lichwiarzem.
  - Mówił pan, że Gucio ma osiem lat. To by pasowało. Pan Gustaw uciekł dziewięć czy dziesięć lat temu.
- Trzask drzwi na dole przypomniał Mateuszowi, po co przyszedł:
- Szukałem pana, bo obiad jest gotowy.

Jan po drodze na dół wyszedł na balkon na pierwszym piętrze. Żar prawie wepchnął go z powrotem do chłodnego wnętrza.

Wchodząc do jadalni, oznajmił:

– Cień obłoku nie wałęsa się po niebie. Jest tak gorąco, że nawet wiatr nie ma siły wiać.

– Jeśli chce się pan przewietrzyć, proszę iść do wieży. Tam wieje zawsze – zasugerował ze śmiechem Tercjusz.

Gość usiadł i mrugnął do swojej partnerki z *vis-à-vis*. Uśmiechnęła się z zawstydzeniem i schowała za szklanką soku.

– A pan Poniński? – spytał Morawski. – Mam nadzieję, że nie wyjechał w ten upał?

– Jest na podwórzu. Testują jakieś młockarnie, sieczkarnie, żniwiarki, siewniki czy inne elewatory.

Wszedł Mateusz, a za nim Nela. Wnieśli naczynia, po czym pokojówka wyszła.

– Poradziłem Sewerynowi, aby się tu nie pojawiał – oznajmił kamerdyner, nalewając panom białego wina.

Zdumiony Tercjusz wlepił wzrok w Jana, a ten wyjaśnił:

– Chodzi o to wczorajsze zwrócenie uwagi seniora Ponińskiego na pańską znajomość z tym podejrzanym jegomościem.

– Myśli pan, że on to celowo...?

– Jestem pewien, aczkolwiek temat nie jest do końca rozpoznany. Jedzmy.

Na stole stały dwa półmiski i waza. Pani Felicja przygotowała im trzydaniowy obiad, złożony z przystawki, ryby na ciepło i leguminy. I tak się wspaniale złożyło, że utrafiła idealnie w gusty biesiadników i każde z nich zjadło jedno kompletne danie.

Pan Tercjusz z braku mięsa zadowolił się karpem smażonym w panierce.

Natalia otrzymała pierogi leniwe, które zaliczano do potraw, zwanych w Wielkopolsce melszpajzami. Kamerdyner nałożył dziewczynce białych klusek, szczerze posypał je cukrem i polał roztopionym masełkiem, po czym dla zachęty nabił jednego pierożka na widelec i zjadł, cokolwiek przesadnie demonstrując swój zachwyty.

Jan karpia nie lubił, po porannym koglu-moglu na nic słodkiego nie miał ochoty, więc nałożył sobie kilka plastrów czegoś, co w pierwszej chwili wziął za wędzonego łososa. Polał to żółtawym ziarnistym sosem i skosztował. To nie było wędzone. Chyba surowe. Sądząc po kolorze – zdecydowanie łosoś. Kwaśnawo-słonawe. Z przymieszką słodczy.

– Co to jest? – spytał zachwycony.

– Pogrzebany łosoś.

– Słucham?

– *Gravlax*. Pogrzebany łosoś. To norweskie danie. Adam gdzieś to spróbował, chyba u jakichś znajomych, i tak mu zasmakowało, że wydobyl przepis od kucharza i Florian ma

dzięki temu dodatkowe zajęcie.

– Dlaczego Florian? Nie pani Felicja?

– Na tym polega dowcip. Pani Felicja posypuje wielki kawał łososia solą, cukrem i czymś tam jeszcze, zawija to, a Florian zakopuje całość na kilka tygodni w ziemi.

Brzmiało to dość makabrycznie – choć nie bardziej kontrowersyjnie niż przepisy na inne dania, jakie zdarzyło się Janowi jeść – natomiast ryba przygotowana w ten sposób smakowała wyśmienicie. Ponownie sięgnął do półmiska.

Po chwili zagadnął pana Drojewskiego:

– Zobaczyłem wreszcie słynną parę piesków Natalii. Tobiego i Bobiego. Zorientowałem się, że Bobi należy do rasy welur-terier. A Tobie?

Tercjusz się roześmiał.

– Będziemy musieli tę nazwę wpisać do rodowodu Bobiego, kiedy się znajdzie. Tobi to był szkocki terierek. Nowa rasa, nazywana potalloch terier [21]. Bardzo żywe, ciekawskie, z długim włosiem. Taki biały sierściuch.

Natalia nie włączyła się do rozmowy, gdyż walczyła z uparcie uciekającymi pierogami. Problem rozwiązała bardzo zmyślnie: łąpała kluski ręką, nabijała na widelec i zjadała.

– Ma pan bardzo miłych młodych przyjaciół – Jan rzucił to tonem zagajenia rozmowy. Dalej jadł, ale kątem oka obserwował zachowanie Tercjusza. Mężczyzna na chwilę zatrzymał widelec w drodze do ust, odchrząknął i krótko przytaknął.

Morawski nie zamierzał ustąpić.

– Godne uwagi wydało mi się przede wszystkim przywiązanie Teosia do Gucia – tym razem spojrzał na pana Drojewskiego z doskonale niewinnym uśmiechem.

– Tak... hm... oczywiście... ma pan rację... nie jestem pewien... – plątał się biedak.

– To ciekawe, że chłopiec, wychowany w Anglii, a potem podróżujący z rodzicami, został wysłany do szkoły do Polski – głośno rozważał Jan, a jego kamerdyner zdawał się wyczekiwać słów Tercjusza całym sobą niczym nietoperz.

– Nie wiem, doprawdy.

– A może słyszał pan coś o jego matce? To Polka?

Tu pan Tercjusz demonstracyjnie się rozkaszał, Mateusz rzucił się na pomoc, a Jan pomyślał, że podczas wszystkich dyplomatycznych posiedzeń powinna być podawana oścista ryba, aby uczestnicy konferencji w dogodnym momencie mieli szansę uniknąć konieczności zajmowania zdecydowanego stanowiska.

Pan Drojewski doszedł do siebie, otarł oczy, wypił trochę wina i z niepokojem wpatrywał się w upartego towarzysza, który zaatakował ponownie:

– A wracając do tego Gucia, zastanowiło mnie, że taki chuderlawy chłopiec, a...

Nie zdołał dokończyć. Tercjusz naraz się rozpromienił, klepnął dłonią w stół i zawołał:

– Ale! Byłbym zapomniał. Mam dobre nowiny. Znalazłem kronikę rodzinną z kopią statutu.

Zgodnie z oczekiwaniem Jan złapał przynętę i porzucił poprzedni temat:

– I co? – szybkim spojrzeniem ogarnął dziewczynkę, która łyżeczką wyjadała pozostały słodki sos cukrowo-maślany.

– Strasznie skomplikowany. Wydaje się, że po synach Adama w kolejce jest ona, ale wprowadzono tyle warunków, że nie chcę się już teraz wypowiadać. Postaram się przedrzeć przez ten labirynt, aczkolwiek obawiam się, że ci wszyscy anteriorzy i descendenci przywiodą mnie do szaleństwa.

Morawski skinął głową. Pojawiła się szansa, że wyjaśnią wielką niewiadomą, od której sporo mogło zależeć.

– Oczywiście najprościej byłoby zapytać Adama – Tercjusz rzucił dość lekko tę propozycję i oczekiwał reakcji.

– W ostateczności tak postąpię. Ale pan Poniński uczeplił się myśli, że winny jest ktoś spoza rodziny, więc zareaguje świętym oburzeniem na samo pytanie o kolejność dziedziczenia. Nic mi nie powie, a tylko się do mnie zrazi.

Natalia wypięła resztę soku.

– Skończyłam – zsunęła się z tronu.

– Odprowadzę panienkę na górę- zadeklarował rycersko kamerdyner.

Natalia, która chyba nie bardzo odróżniała jego pozycję od pozycji Jana, wzięła zachwyconego Mateusza za rękę i wyprowadziła z jadalni.

– Nie wiem, czy jechać do doktora, czy czekać na panią Eufemię – zwierzył się Morawski.

– Cóż, ja ją znam – Tercjusz rzucił mu znaczące spojrzenie sponad okrągłych okularów – więc na pana miejscu zmykałbym gdzie pieprz rośnie. Nawet w taki upał. Może pan się zaszyć w parku. Tam jest chłodno. Albo jeszcze lepiej w kaplicy. Będzie pan miał na czym usiąść.

– Te gorące rekomendacje tylko pobudzają moją ciekawość. Może coś mi pan o niej opowie?

– Są naszymi sąsiadami. Ona i jej mąż.

– Naprawdę jest taka straszna?

– Drapieźnie ciekawa, wszędzie się rozpycha, no i ma rację. Zawsze.

Morawski sięgnął po butelkę, dolał im jeszcze odrobinę wina i zasugerował:

– Wyobrażam sobie, że ona wszystkim zarządza...

– Ona też wyobraża sobie, że wszystkim zarządza. Ale gdy prowadziła gospodarstwo, groziła im subhasta [22]. Adam uratował ich od ruiny i znalazł kompetentnego rządcę. Pozwala jej robić hałas, ale rządcą słucha tylko Adama i przed nim się rozlicza. A ona wszystkim powtarza, że bez niej „dawno by zginęli”.

– A mąż? Czy on w ogóle ma imię?

– Tak, Eustachy. Nie wtrąca się do gospodarki. Co dziwniejsze, to wykształcony człowiek. Studiował rolnictwo w Halle, teraz jednak jest całkowicie pod pantoflem żony. Zakrzyczała go. Zresztą jego wiedza rolnicza jest z rodzaju teoretycznych. Zbudował sobie laboratorium, siedzi tam i coś dłubie.

Morawski się zadumał. Pan Poniński pomógł sąsiadom odbudować majątek i poświęcał im swój cenny czas. Czy była to tylko troska patrioty o to, by ziemia pozostała w polskich rękach, czy też w osobie pana Eustachego pojawił się kolejny kandydat na przyrodniego brata?

– Rozumiem, że dzieci nie mają... – wypytywał dalej.

– Nie. Pani Eufemia zaspokaja swe instynkty macierzyńskie, wychowując młodszą siostrę.

– Wychowując? To ile ta siostra ma lat?

– Około czterdziestu pięciu.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Zrobiło się tak miło, że Jan zupełnie nie potrafiłby wyjaśnić, skąd nagle przyszło mu do głowy to zdanie:

– Widziałem domek dla lalek – spojrzał Drojewskiemu prosto w oczy. – Nic pan nie wspominał o tym, że Natalia była z panią Lili u Edwarda.

W pierwszej chwili pan Tercjusz zareagował zdumieniem, które Janowi wydało się nieudawane, a potem wydukał:

– Nie myślałem, że to może mieć znaczenie – wpatrywał się w Morawskiego szeroko otwartymi oczyma. – Przecież ja nie wiedziałem, że Edward i Lili... że oni...

– Że się kochają.

– Wiemy od Barbary, że on ją kochał, ale nie jesteśmy pewni, czy ona coś do niego czuła.

Jan nie chciał mu tłumaczyć, że wykonane przez Lili portrety Edwarda nie pozostawiają w tej kwestii cienia wątpliwości.

Pan Tercjusz wydawał się wytrącony z równowagi. Pokręcił się, wytarł usta, po czym uderzył dłońmi w stół i oświadczył:

– Pora na mnie. Pójdę i spróbuję rozpracować ten statut.

Podnieśli się i razem wyszli. Pan Drojewski ruszył do biblioteki, a Jan został w holu, wahając się, czy podążyć za nim, czy pójść do góry i przygotować się do wyjazdu do doktora Klauzińskiego.

Od strony kuchni nadszedł Mateusz. Gestem wskazał Morawskiemu jadalnię. Weszli tam i kamerdyner zamknął drzwi, a potem zaczął bardzo głośno składać naczynia, uderzać sztućcami, trzaskać butelkami, a wszystko po to, by zagłuszyć słowa kierowane do swego pracodawcy.

– Miał pan rację, że pan Tercjusz coś ukrywa. Cały się zmieszał, gdy poruszył pan

temat Gucia.

– Zgadzam się – Jan opuścił wzrok. Było mu przykro i czuł niepokój.

– Ale jest coś ważniejszego. Właśnie się dowiedziałem, że Jacenty od lat pije tonik od Kałużnej. Na tę jego lepką krew.

– Od Kałużnej – powtórzył Morawski i zmarszczył brwi. Gdzieś to słyszał. – Czy to nie ta zielarka, o której nam mówiła pani Felicja?

– Ta sama. Ten tonik jest jedyną rzeczą, którą Serpentyń mógłby zatruć. Tylko to Jacenty wypija sam jeden.

– Chyba nie podejrzewasz go o trucie marszałka? – Jan wpatrywał się w kamerdynera z rozbawionym niedowierzaniem.

– Właśnie tak. I dziś po południu wybieram się do tej Kałużnej – dla potwierdzenia swej determinacji Mateusz wrzucił łyżki do wazy i zagrzeczotał nimi.

– Gdybyś był moim lokajem, tobym cię zwolnił za takie karygodne obchodzenie się z moją własnością – zapewnił go Jan i opuścił jadalnię.

Wszedł do biblioteki w sposób, który jego niania bezskutecznie próbowała wyplenić: jedną ręką pukał, a równocześnie drugą naciskał klamkę. Dlatego zdążył dostrzec, że Tercjusz coś notuje w niewielkim czarnym notesie, który na dźwięk otwieranych drzwi szybko schował. Mina winowajcy przypomniała Janowi powtórzoną przez Serpentyń rozmowę o przyrodnim bracie i sugestie lokaja. Czyżby faktycznie rezydent podczas porządkowania rodzinnego archiwum odkrył coś przełomowego?

Pan Drojewski się zerwał.

– Wspaniale, że pan przyszedł. Pomyślałem sobie, że w czasie, gdy ja będę studiował statut, pan mógłby obejrzeć nasze skarby.

Gość pozwolił się doprowadzić do przeszklonej szafy. Archiwariusz wręczył mu bawełniane rękawiczki i wyjaśnił:

– Orientuje się pan zapewne, że elzewiry to doskonałej jakości książki, wydawane przez holenderską rodzinę Elzevierius w XVI i XVII wieku.

– Specjalizowali się chyba w greckiej i rzymskiej klasyce?

– Tak. I w edycjach Nowego Testamentu. Prawdziwym rarytasem, największą ozdobą naszej kolekcji, jest komplet trzydziestu pięciu woluminów z serii *Petites Républiques*, choć ponoć ojciec Lili najbardziej się ucieszył, gdy udało mu się zdobyć greckie wydanie Nowego Testamentu z 1633 roku.

Jan położył jeden z tomów na wysokim pulpicie, umożliwiającym przeglądanie książek na stojąco.

– Proszę się nie spieszyć i spokojnie to sobie obejrzeć. Ja zabieram się za ten statut – Tercjusz zatarł ręce i odszedł w stronę biurka.

Morawski w rękawiczkach przejrzał księgę, podziwiając słynną doskonałość druku, wykwint czcionek i jakość papieru. W tym czasie pan Drojewski coś wertował, szeleścił kartkami, dopasowywał wysięgnik lupy.



Jan szybko stracił zainteresowanie elzewirem. Na półce w pobliżu pulpitu stało ponad dwadzieścia woluminów *Britanniki* z lat pięćdziesiątych. Wołałby coś nowszego. Na regale obok znalazł osiem tomów *Universal Cyclopaedia* Johnsona. Sprawdził rok wydania. 1895. Wyciągnął tom pierwszy A-Calculus i otworzył najpierw na stronie poświęconej Awinionowi, a potem Alhambrze.

Po chwili dotarł do niego dźwięk trudny do pomylenia. Spojrzał na towarzysza. Tercjusz zapadł w stan błogiej drzemki. Głowę odchylił do tyłu, a na twarzy umieścił cieniutką chustkę. Oddech unosił tkaninę i Jan pomyślał, że pan Pickwick wygląda zupełnie jak wieloryb z fontanną na grzbiecie.

Śpiący miał rozłożoną na kolanach jakąś płachtę, którą przytrzymywał dłońmi, natomiast na biurku leżała wielka księga. Jan podszedł najciszej jak potrafił i lekko wysunął tom spod krawędzi tego wielkiego arkusza, który wyglądał na skomplikowane drzewo genealogiczne. Odwrócił księgę i zaczął ją wertować. Był pewien, że jeśli wieloryb się zbudzi, on zdąży przywrócić woluminowi poprzednie ułożenie. To była księga rodzinna: na początku Biblia, potem wpisy dotyczące narodzin, małżeństw, zgonów, a na końcu statut ordynacji. Jan przebiegł wzrokiem kronikę i zagłębił się w lekturze zagmatwanego statutu.

Jednym uchem wsłuchiwał się w oddech Tercjusza, drugim w odgłosy od strony drzwi, a jednocześnie próbował cokolwiek zrozumieć z tekstu. Pełno „jeżeli”. Pełno „gdyby”. Chyba coś usłyszał. Prawo dziedziczenia. Niepodzielna, niezbywalna. Tak, ktoś coś zawołał. Najstarszy syn. Bocznej linii. Jakieś zamieszanie w holu. Hałas, trzaskanie, tubalne wołanie. Sapka Tercjusza zmieniła rytm i ustała. Jan odsunął od siebie cenną księgę.

– Co się stało? Pan Jan? – archiwariusz ściągnął chustkę z twarzy.

– Właśnie przyszedłem pana obudzić – poinformował go Morawski, nie mrugnawszy okiem. – Chyba ktoś przyjechał.

## Rozdział 22.

Pruła niczym HMS Polifem, legendarny krążownik torpedowo-taranowy. Najpierw biust – w roli dziobnicy taranowej – potem długo, długo nic, w końcu reszta jednostki. Jan stał w głębi holu, tuż przy drzwiach do biblioteki, i oniemiały przypatrywał się temu szturmowi.

– Hop, hop! Jest tu kto?

Istota wydobyła z siebie tubalny głos i Morawski złapał się na tym, że chowa głowę w ramionach, jakby się spodziewał, iż z sufitu odpadnie tynk. Poczuł żal, że jednak nie pojechał do doktora. Lekko się wycofał i skrył za kolumną.

Dostrzegł monstrialną postać, obleczoną w jasną suknię, lecz w oczy rzuciło mu się przede wszystkim olbrzymie nakrycie głowy. Zgodnie z zaleceniami mody, wielki kapelusz miał podkreślać zwiewność sylwetki, a potrzeba było naprawdę wielkiego kapelusza, aby wydobyć zwiewność tej sylwetki.

Z bocznego korytarza wyszła pani Barbara, a w wejściu pojawił się jeszcze ktoś. Jan nie czekał, aż ta postać wyłoni się z półmroku. Zauważył uchylone drzwi do salonu, czmychnął tam, stamtąd wydostał się na taras i dalej na trawnik. Obszedł budynek dookoła, dotarł do jadalni i wszedł przez wysokie okno, dokładnie tą drogą, którą rano wskazali chłopcy. Nie wiedział, co chciał osiągnąć tą rejteradą, ale cokolwiek to było, nie powiodło się. Gdy Jan znalazł się w bocznym korytarzu, dostrzegł go nadchodzący od strony gabinetu senior. Wyglądał na szczerze ucieszonego widokiem Morawskiego.

– Panie Janie! Doskonale, że pana widzę. Mamy gości i chciałbym, aby ich pan poznał.

Weszli do salonu. Jan rozejrzał się ciekawie dookoła, gdyż dotychczas widział ten pokój tylko przy promieniach księżyca, a później w biegu. Teraz salon tonął w łagodnym świetle, przefiltrowanym przez muślinowe firany. Pomieszczenie urządzone w tonacji ciemnoniebieskiej ze złotymi wykończeniami, co dało elegancki, lecz nie pompatyczny efekt. Od jasnych ścian odcinały się czerwonawobrazowe meble, a na podłodze pyszniła się skomplikowana mozaika z czarnego dębu.

Pan Poniński podprowadził Jana do grupki, która obsiadła centralny punkt salonu, złożony ze stołu, dwóch kanapek i kilku foteli.

– Pani Eufemio, pani pozwoli, oto nasz gość, pan Jan Morawski. Pani Eufemia Bocheńska.

Postać, ściśle opakowana w liliową suknię o rękawach do łokci, podała Janowi pulchną dłoń o nieproporcjonalnie malutkich palcach, zmierzyła go przez lorgnon i coś mruknęła.

Senior kontynuował prezentację.

– Pan Eustachy Bocheński.

Jan spojrział i pomyślał, że pan Eustachy wygląda jak postać wycięta z szarawej fotografii i przyklejona na szaleńczo barwnym obrazie Delacroix. Mężczyzna był wzrostu seniora, miał tłuścawe, zbyt długie włosy, które ściśle przylegały do czaszki, i oczy skrywające się za okularami o szklach grubych niczym denka karczmiaka. Zdawał się nie mieć w sobie ani kropli krwi. Jan zapatrzył się na panią Bocheńską, rozważając, czy może ona być wampirzycą.

Krewka jejmość bez żadnych wstępów przeszła do rzeczy.

– Zjawiam się tutaj nie we własnych sprawach. Jak pan wie – to było do seniora – egoizm jest mi obcy i swój czas całkowicie poświęcam prowadzeniu majątku i działalności społecznej.

Pan Poniński usiadł, Jan również. Ten ostatni czekał z niecierpliwością, by się przekonać, jak też Mariusz da sobie radę z tym żywiołem.

– Możliwe, że ten pan – lorgnon wskazywał na Jana – nie orientuje się, ale jestem zaangażowana w wiele chwalebnych inicjatyw, nie tylko lokalnych.

– Doprawdy?

– Nadzoruję szkołę dla skromnych dziewcząt w miasteczku. Uczą się tam gotowania, maglowania i dobrych manier.

– I prania koronek, siostró – zaćwierkał ktoś z boku.

Eufemia tak przyciągnęła uwagę Jana, że dopiero teraz zauważył kogoś przycupniętego na krzeselku z tyłu. Istota miała wielkie, okrągłe, niebieskie oczy lalki, rzucające zdziwione, przychylnie i dość bezmyślne spojrzenia. Do marionetki upodabniała ją też porcelanowa cera, różowe rumieńczyki, wąziutkie ramiona, a przede wszystkim cieniutki, lichey koczek na czubku głowy. Wyglądała, jakby nosiła pikielhaubę, co w tym regionie zdawało się dość ryzykownym pomysłem.

– Przepraszam – zreflektował się Mariusz – nie dopełniłem prezentacji. Panna Tekla Szumińska. Siostra pani Eufemii.

Panna uśmiechnęła się zawstydzona, prezentując zęby, których miała chyba zbyt wiele.

Eufemia tymczasem z niezadowoloną miną przeczekała ten wersal, a gdy ustało zbędne zamieszanie, kontynuowała od tego miejsca, w którym jej przerwano:

– ...i dobrych manier. Obecnie zaangażowałam się w pomoc misjom nawracającym bezbożnych pogan. W Trypolisie.

– W Trynidadzie, siostró.

– Nie przerywaj, Teklo. Tyle lat cię proszę – zganiona siostra wyszeptała przeprosiny. – Bezbożnych pogan w Trypolisie. Tu gdzieś mam broszurkę – sięgnęła do przyniesionego worka z gobelinowej tkaniny. Dłuższą chwilę w nim gmerała, lecz w końcu zrezygnowała z poszukiwań. – Mam nadzieję, panie Adamie, że uzna pan ten szczytny cel i wesprze nas hojnym datkiem.

– Droga pani, wielokrotnie już pani powtarzałem, że nie wierzę w taką filantropię, a już tym bardziej uprawianą nie na swoim terenie.

– Liczyłam, że ostatnie wydarzenia wzruszyły pańskie serce.

Na to *dictum* Mariusz nie odpowiedział, a tylko zmarszczył srodze czoło. Jan nie mógł doczekać się ciągu dalszego. Czy taka impertynentka podda się panującej w tym domu znowie?

– Swoją postawą daje pan niewłaściwy przykład społeczeństwu – oświadczyła z przyganą.

– Najlepiej niech każdy postępuje w zgodzie z własnym sumieniem – wtrącił Tercjusz, którego Jan również do tej pory nie zauważył. W towarzystwie pani Eufemii wszyscy w jakiś czarodziejski sposób znikali.

Aktywistka zmierzyła go twardym spojrzeniem, lecz nadal zwracała się do pana domu:

– Pan zupełnie nie bierze pod uwagę tego, jak nasza parafia wypada na tle innych. Gdy na ostatnim zebraniu podsumowano ofiarowane kwoty, prawie spałam się ze wstydu, bo nie zajęliśmy pierwszego miejsca. I powiedziałam sobie, że nigdy więcej nie dopuszczę do takiej sytuacji – zacisnęła pięść dla podkreślenia swej determinacji. – Ponadto muszę panu zwrócić uwagę, że pański brak poparcia negatywnie wpływa na naszego proboszcza.

– Ależ nasz ksiądz dobrodziej pomaga ubogim jak może i zawsze... – wyrwała się Tekla.

– Te-klo! – nietaktowna siostra pod wpływem miążdżącego spojrzenia zakryła dłonią usta i w przestachu zatrzepotała długimi rzęsami. Po chwili nabrzmiałej potępieniem ciszy pani Eufemia kontynuowała: – Nasz proboszcz nie dba o moralność – przecież zimą ochrzcił nieślubne dziecko. Ale co gorsze, zupełnie brak mu horyzontów, nie angażuje się w wielkie sprawy, w światowe projekty. Przy nim czułam, że moja nieśmiertelna dusza więdnie. Traci skrzydła. Dlatego zmuszona byłam poszukać innego przewodnika duchowego, kogoś, kto rozumie misję naszego Kościoła i bierze czynny udział w szerzeniu wiary.

– Jak czynny? – chciał wiedzieć Jan. Nie był pewien, ale chyba Mariuszowi drgnął kącik ust.

Oczywiście Morawski został natychmiast zlorgnonowany.

– To święty człowiek – kontynuowała orację pani Bocheńska. – Organizuje zbiórki datków, wygłasza kazania, odczyty. Jest duszą każdego chwalebego przedsięwzięcia. Udało mu się skupić wokół siebie wiele kobiet gotowych do poświęceń.

– W takim razie powinien być zadowolony – pan Poniński najwyraźniej nie był skłonny do uniesień.

– Powinien pan się do nas przyłączyć. Nie wolno panu zamykać oczu na to, że ludzkość żyje w grzechu. Trzeba zanieść im światło wiary.

Pan Adam nie zareagował na ten apel – siedział z nogą założoną na nogę i nie patrzył na dzielną orędowniczkę oświecenia. W czasie tej miłej pogawędki mała Tekla wyglądała na rozdieraną dwoma uczuciami: strachem przed seniorem, w którego towarzystwie prawie kamieniała, i podziwem dla swej siostry, która nie wahała się

atakować tego przerażającego mężczyzny.

Pani Eufemia nie zamierzała ustąpić. Wydęła usta z dezaprobatą i przypuściła szturm z innej strony:

– Zresztą pański brak zaangażowania rozciąga się także na nasze sprawy narodowe – ten argument zadziałał, bo przynajmniej senior na nią spojrział. – Nie udziela się pan w żadnych komitetach, nie organizuje obchodów, nie pisze do gazet, nigdy nie chciał pan zasiadać w parlamencie. Proszę spojrzeć na naszego sąsiada, pana Jeżewskiego. Każdy musi podziwiać jego gorący patriotyczny zapał!

– Chodzi pani o tego bankruta?

– To tylko przejściowe kłopoty – machnęła ręką. – A poza tym to przez to, że jeździł po Europie i nie szczędził własnych pieniędzy, by przekonać wielkich tego świata do naszej sprawy. Oto prawdziwy patriota! A pan siedzi tu sobie, nie walczy o niepodległość i postępuje tak, jakby ci wulgarni Prusacy wcale panu nie przeszkadzali.

– Nie wszyscy oni są wulgarni – uściślił pan Adam.

– No, chyba nie powie mi pan, że uważa Niemców za równych sobie? Przecież unika ich pan tak samo jak każdy prawdziwy Polak.

– Mój stosunek do Niemców nie jest oparty na poczuciu wyższości czy uprzedzeniach. Ja nie twierdzę, że jesteśmy od nich lepsi. Po prostu uważam, że oni nie mają prawa tu być – wstał poirytowany i podszedł do okna. Potem odwrócił się i dodał: – To po pierwsze. A po drugie, walkę o dobro kraju rozumiem zupełnie inaczej niż pani. Dla mnie to przede wszystkim codzienna praca. Aby zdobyć niezależność, trzeba się najpierw wzmocnić. Zajmijmy się w pierwszej kolejności...

– Jedno nie przeszkadza drugiemu! – przerwała mu. – Ja się angażuję w walkę o niepodległość, prowadzę cały majątek, sama, bo na męża nie mam co liczyć, a jeszcze wystarcza mi sił i czasu na czynienie miłosierdzia i krzewienie wiary.

Aż się zasapała po wygłoszeniu tej apologii samej siebie i chyba liczyła na aplauz. Nie doczekawszy się go, poruszyła kolejną sprawę:

– Przy okazji, skoro już jesteśmy przy temacie miłosierdzia. Postanowiłam zaopatrzyć dziewczęta ze szkółki w nowe mundurki, więc liczę na pańską szczodrość. Jeżeli nie chce pan wesprzeć ani misji, ani działalności narodowowyzwoleńczej, to może zgodzi się pan chociaż pomóc swym rodaczkom.

– Niestety, muszę odmówić. Nie tak pojmuję pomoc rodakom. Wierzę w zasadę wędki i ryby. Nie będę nikomu dawał złowionej ryby, wolę dać mu wędkę, aby nauczył się sam łowić.

– Ale przecież przy każdym folwarku utrzymuje pan ochronkę. I izbę chorych. I przytułek. I płaci pan na kolonie dzieci. I na Towarzystwo Oświaty Ludowej. I rozpieszcza pan swych robotników, budując im nowe domy, choć stare nie są złe – gdyby pani Eufemia uświadomiła sobie, jaki hymn wyśpiewała Mariuszowi, chyba pękłaby ze złości.

A on usiadł i odpowiedział ze spokojem:

– Utrzymuję przytułki i izby chorych, i ochronki. Pomagam tym, którzy nie mają już siły, by na siebie zarobić. Dzieci uczyć łowić, a potem dam im wędkę. Ale ryby muszą sobie same złapać. I mundurki nie są im do tego niezbędne.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale on już zmienił temat.

– Panie Eustachy, jak się sprawdza ten nowy praktykant, którego panu przysłałem? Młody pan Koralewski?

Pan Bocheński nie zdążył otworzyć ust, gdyż jego urocza połowica nadeła policzki i wystrzeliła:

– O tym też chciałam z panem porozmawiać. Obawiam się, że ten człowiek wprowadził pana w błąd.

– W jakiej sprawie? – senior odwrócił się do niej.

– W sprawie swego pochodzenia. Zapytałam go o to i przyznał, że jego ojciec jest zwykłym włościaninem. Wprost wierzyć mi się nie chciało, że mógł pan kogoś takiego przyjąć na praktyki.

Jan z trudem powstrzymał prychnięcie. Znalazła się księżniczka krwi!

Zaprotestował Tercjusz:

– Ale to naprawdę wspaniały młody człowiek. Wielokrotnie go spotykałem. Studiuje w Akademii Leśnej w Tharant.

– Jakaś tam akademia o niczym nie świadczy. To nie jest człowiek na poziomie.

Senior nie zamierzał wdawać się w dalsze dyskusje. Wstał i oznajmił krótko:

– Ale ci pani „ludzie na poziomie” nie chcą się hańbić pracą, choć nie wstydzą się ani żebrać, ani kłamać.

Ruszył do drzwi, a przechodząc, poklepał milczącego Eustachego po ramieniu. Przywołał Jana ręką, a gdy stali w progu, szepnął mu:

– Jeśli to się stanie nie do wytrzymania, to proszę się nie krępować i również odejść. Nie chcę pana narażać na takie przeżycia. Ja idę. Nie mogę jej znieść. Gdyby nie to, kim jest jej mąż...

I wyszedł, a Morawski wolnym krokiem wrócił do stołu, zastanawiając się, co takiego może łączyć seniora z Eustachym, że zgadza się znosić impertynencje lubej Eufemii.

– Pan Poniński poszedł? – wychyliła się z kanapki i zlustrowała drzwi. – Doskonale. A teraz, panie Tercjusz, mów pan szybko, na czym stanęła sprawa. Kogo złapali?

Zaskoczony Drojewski kilkakrotnie otworzył usta jak rybka wyjęta z wody. Dama „na poziomie” nie czekała na odpowiedź, lecz zaatakowała Jana:

– Pana tu ściągnęli, żeby pan znalazł mordercę – lorgnon przyszpilił Morawskiego do fotela. – Słyszałam o panu. Wiem o panu wszystko.

Chciał jej powiedzieć, że w takim razie wie nawet więcej niż on, ale nie dała mu szansy.

– Trzeba wziąć na spytki służbę – wstała i zaczęła maszerować wzdłuż okien, przez co w serwantce brzęczała kobaltowo-złota porcelana. – Na pewno kogoś widzieli.

– Pytaliśmy i... – zaczął Tercjusz, ale nie dała mu dokończyć, więc nie dowiedziała się o mężczyźnie w jasnym płaszczu.

– I nic? Na pewno kłamią. Ja im nigdy nie wierzę. Mam przenikliwe oko do takich spraw – przystanęła i wlepiła w Jana triumfujące spojrzenie malutkich, niespokojnych oczek, rzeczywiście idealnych do zaglądanego w nie swoje sprawy. – Raz-dwa zmusiłabym ich, by wyznali mi prawdę.

– Pytaliśmy. I policja, i pan Jan- powtórzył rezydent.

Morawski z rozbawieniem pomyślał, że nawet bezczelność pani Eufemii ma swoje granice, bo nie odważyła się poruszyć tematu morderstwa przy seniorze.

A ona klapnęła na kanapkę, wycelowała w młodszego mężczyznę palec i zdecydowała:

– Trzeba ich wystraszyć. Pan Poniński traktuje ich zbyt łagodnie. Zupełnie nie umie wzbudzić posłuchu – Jan czuł, co teraz nastąpi. – Mogę panu pomóc.

– Nie chciałbym pani kłopotać...

– Jestem przyzwyczajona do tego, że wszyscy zwracają się do mnie po pomoc. A co mówi Edward? – zaatakowała gwałtownie pana Drojewskiego.

– Nadal nic.

– Zupełnie jak mój Eustachy – z przyganą popatrzyła na swego ślubnego. – Język by mu można obciąć i nikt nie zauważyłby różnicy – poirytowana szybko oddychała. – A może coś zginęło?

– Nie, wszystko jest.

W tym momencie włączyła się panna Tekla i szeptem wyznała swe podejrzenie:

– Jestem pewna, że biedny pan Adam popełnił samobójstwo z rozpaczy po śmierci żony i swojego dzieciątka. Czytałam w ostatnim odcinku...

– Tekło! Zakazałam ci przecież czytać ten tygodnik – biedna Tekla prawie się rozpląkała. Kąciki ust jej opadły i zadrgały. – Będę zmuszona wstrzymać wypłacanie ci twoich pieniędzy na szpilki, skoro nie potrafisz rozsądnie rozporządzać nawet kwotą kilku marek.

Dorodna matrona przez chwilę debatowała, pomagając sobie tupaniem nogą:

– A może... Tekło, proszę zatkać uszy! – dziewczę ściśle przyłożyło dłonie do uszu i zacisnęło kurczowo oczy dla osiągnięcia lepszej szczelności – ...może miał kochankę i zazdrosny mąż tej kobiety przyjechał się zemścić? – wyszeptała, szeroko otwierając usta, żeby panowie lepiej zrozumieli.

– Raczej nie – zdołał wybąkać Tercjusz, ale miał minę kogoś, kto odbył zbyt wiele przejażdżek na karuzeli. Jan również uznał, że potrzebuje wytchnienia.

– Przepraszam bardzo, muszę coś sprawdzić w swoim pokoju.

Wstał, a ona za nim wołała:

– Mam jeszcze inne pomysły! Wiele innych pomysłów!

Wydostał się stamtąd, poszedł na górę, w łazience przemył twarz i ręce. Potem zamknął się w sypialni, pokrzepił zawartością piersiówki i po kilku głębokich oddechach uznał, że chyba może wrócić na dół.

Gdy zszedł do holu, skamieniał. W jadalni stał Serpentyń i szeptał z Eufemią. Wyglądali na zaprzyjaźnionych. Cóż mogła znaczyć ta konfidencja?

Wpatrywał się w nich, bezszelestnie idąc tyłem do biblioteki. Tam podszedł do biurka. Księgi nie było. Mógł ją schować Tercjusz. Mógł ją zabrać ktoś inny. Ktoś z gości lub domowników. Lub służby.

Wyjrzał przez okno. Nikogo nie zauważył. Rozgrzeszył się w duchu i przez kolejne minuty próbował znaleźć wielką czerwoną księgę, jednak szukanie książki w bibliotece przypomina szukanie drzewa w lesie, a ponadto z obawy przed czymś niespodziewanym przyjściem, zmuszony był ograniczyć się w swej rewizji do ogólnie dostępnych miejsc.

Usiadł znużony przy biurku i w odruchu rozpaczy oparł czoło o gładki blat. Ta przeklęta księga znowu mu się wymknęła.

\*\*\*

Gdy chciał opuścić bibliotekę, okazało się, że w holu krokiem grenadiera spaceruje pani Bocheńska.

Nie wiedział, jak ona to robiła, ale była wszędzie. Przedtem pałac wydawał się ogromny, a teraz zmalał do rozmiarów ciasnego mieszkania z pokojami w amfiladzie, gdzie ciągle się na kogoś wpada. Najpierw Straszna Eufemia była w holu, potem spotkał ją w salonie, widział w jadalni, teraz tkwiła znowu w holu i nie wiadomo, gdzie jeszcze była w międzyczasie.

Jan się wycofał i powrócił do uczniowskiego zwyczaju wychodzenia oknem – na szczęście parter był niski. Spojrzał w stronę parku i na tle drzew dostrzegł oddalających się chłopców. Prawdopodobnie postanowili złożyć towarzyską wizytę pani Felicji i sprawdzić, czy żadnym przysmakom nie grozi zepsucie. Skręcił i ruszył przez trawnik w stronę oficyny gospodarczej, zdecydowany znaleźć kogoś, kto umożliwi mu wyjazd do doktora.

Nagle dogonił go Eustachy, przyprawiając prawie o atak serca. Spanikowany Bocheński złapał Jana za rękaw i zaczął ciągnąć jak do pożaru. Minęli narożnik budynku.

– Musi go pan ratować – wydyszał mąż Eufemii. – Szybko!

Zdumiony dźwiękiem jego głosu, Morawski pozwolił zaciągnąć się do drzwi łączących taras z salonem. Eustachy chciał go wepchnąć do środka, ale Jan dostrzegł siedzących wewnątrz na sofie Tercjusza i Teklę i stawiał opór.

– Musi go pan ratować! – upierał się Bocheński.

– Ale przecież...

– Musi pan! Jeśli pan tego nie przerwie... jeśli pan tam nie wejdzie, to ona tam



wpadnie, narobi rabanu i zmusi tego biedaka do małżeństwa! Musi go pan ratować!

– Ale kto tam wpadnie?

– ONA!

Jan musiał mieć głupią minę, bo odbarwiony mężczyzna, poruszając się tak ostrożnie, jakby bał się zbudzić licha – bo chyba rzeczywiście bał się je zbudzić – ruszył w stronę *porte-fenêtre* bocznego saloniku, ciągnąc za sobą Morawskiego. Ustawili się za wielką donicą i Eustachy wskazał palcem swą połowicę, która – zamiast być w holu, jak przedtem – ustawiła krzesło tuż przy drzwiach do salonu i z okiem przytkniętym do dziurki od klucza, uważnie obserwowała sąsiedni pokój, wyraźnie wyczekując odpowiedniej chwili, kiedy będzie mogła zainterweniować, stanąć w obronie panińskiej czci swej siostry i zażądać, aby Tercjusz zmył tę hańbę natychmiastowym ożenkiem.

Pan Bocheński z energią topielca chwycił Jana za rękę i wrócił na stanowisko przy salonie. Morawski zaczął:

– Ale nie mogę...

– A gdzie męska solidarność? – wybuchnął Eustachy. – Zostawi pan przyjaciela w biedzie?

– Ale dlaczego postanowiła...?

– Bo się dowiedziała, że teraz Tercjusz jest spadkobiercą pana Adama.

I wepchnął Jana do środka. Morawski znalazł się w salonie, kompletnie ogłupiały, jak przystało na kogoś, kto po pierwsze wchodzi z rozświetlonego ogrodu do zacienionego pomieszczenia, a po drugie ma świadomość, że zakłóca *tête-à-tête* – choćby wymuszone – bliźnich. Zdołał wydać z siebie jakieś parsknięcie, żalospną namiastkę śmiechu, i zebrał przytomność na tyle, by wydukać:

– Och, przepraszam, chyba ktoś tu jest, prawda? – udawał, że ich nie rozpoznaje, dając Tercjuszowi czas na zmianę miejsca. – Po wejściu z dworu trudno doprawdy się zorientować...

Przecierał oczy, ale widział, że Tercjusz ucieka z sofy na pobliski fotel. W tym momencie z trzaskiem drzwi i szelestem sukni wpadła Eufemia, która chyba obliczyła, że nadszedł właściwy moment na „zbawczą” interwencję. Jan znajdował się poza jej polem widzenia, więc nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

– Ach, mój Boże! Cóż to? Ty, Teklo? Z panem Tercjuszem? To może znaczyć tylko jedno! Rozumiem, że mogę wam pogratulować.

– Ale ja... Ale my... – plątał się wiekowy kochanek.

– Muszę powiedzieć, że zachowaliście się bardzo niegrzecznie, tak się tu zamykając – pogroziła im miniaturowym paluszkim – ale narzeczonym można wiele...

Jan już ochłonął. Zauważył szok Tercjusza i podobny wyraz twarzy panny Tekli, która najwyraźniej nie została wciągnięta do spisku siostry, a teraz szeroko otworzyła oczy, szeroko otworzyła buzię i wydukała:

– Ojej...

Morawski odezwał się swobodnym tonem:

– Właśnie się zastanawialiśmy, gdzie też pani zniknęła.

Pani Eufemia aż się wzdrygnęła na dźwięk obcego głosu. Głosu kogoś, kto nie miał prawa tam być. Na obliczu miała najpierw oszołomienie, a potem wściekłość. Jan w pierwszym momencie się wystraszył, że kobieta nie zdoła się opanować. I pomyślał, jak przerażająca musiała być dla Eustachego idea małżeństwa, skoro zdołał wykrzesać z siebie tyle energii i storpedować zamysły swej magnifiki.

– Myślałam, że poszedł pan do siebie – wycedziła.

– Ale wróciłem – uśmiechnął się tak szeroko, jak tylko potrafił.

Na szczęście w tym momencie otwarto drzwi od strony holu i weszła pani Barbara. Wyglądała bardzo odświętnie, bo z okazji przyjazdu gości do czarnej sukni założyła kremowy koronkowy kołnierzyk i także mankiety.

– Przygotowaliśmy podwieczorek w osłoniętej części tarasu, więc mam nadzieję, że upał nie będzie państwu doskwierał.

Eufemia coś chrumknęła, ale prawdopodobnie należała do tych osób, na które perspektywa posiłku działa kojąco. Dała Janowi spokój. Przynajmniej chwilowo.

\*\*\*

Na tarasie ustawiono stół nakryty białym haftowanym obrusem. Pani Eufemia usiadła, aż jęknął wiklinowy fotel, a widząc, gdzie zamierza spocząć jej siostra, zawołała:

– Nie siadaj, Teklo, na narożniku, przecież musisz wyjść za mąż – i gruchnęła śmiechem.

Posłuszna siostra przesiadła się i w tej samej chwili pani Barbara przyprowadziła Natalię. Malutka wyglądała ślicznie w jasnożółtej sukience w białe kropki.

– A któż to? – huknęła Eufemia i Jan poczuł, jak dziewczynka schowała się za jego nogę. Sięgnął dłonią i pogładził wtuloną w jego flanelowe spodnie buzię.

Początkowo planował odejść, ale teraz zmienił decyzję.

– Natalka! – zaćwierkała Tekla, a na dźwięk miłego głosu dziewczynka się wyłoniła i cień uśmiechu wypłynął na jej twarz.

– No, chyba nie zamierzacie sadzać jej z nami do podwieczorku? – Eufemia zaatakowała panią Barbarę, która przygotowywała boczny stolik do ustawienia kawy.

Ponieważ pani domu nie odpowiedziała, subtelny gość odwołał się do Jana:

– Dzieci powinny być wychowywane z dala od towarzystwa dorosłych. Nie sądzi pan?

– Nie. Bardzo lubię obecność dzieci.

Jak się spodziewał, przyłożyła lorgnon do twarzy i surowym spojrzeniem zmierzyła zuchwalca, który ośmielił się mieć odmienną opinię. Nie zdecydował się paść trupem pod tym ołowianym wzrokiem, więc dalej czepiała się dziewczynki:

– A dlaczego jest bez pończoch jak jakaś wieśniaczka?

– Bo jest gorąco – krótko wyjaśniła pani Barbara.

– Poblązasz jej, droga Barbaro. Dzieci trzeba trzymać krótko – obwieściła doświadczona wychowawczyni.

Jan posadził Natalię na małym wiklinowym foteliku między sobą a Teklą. Chwilowo pani Eufemia przestała zajmować się dzieckiem, ponieważ pochłonęło ją lustrowanie zawartości stołu. Pomędzy kryształowymi talerzykami i kieliszkami stały salaterki z malinami, śmietaną gęstą jak twaróg oraz plastrami melona. Była też patera z rurkami wypełnionymi różowym kremem i druga z malutkimi babeczkami, pełnymi morelowych kostek. A nad tym wszystkim królował olbrzymi bezowy tort w kształcie piramidy, stworzony z wielu krążków połączonych bitą śmietaną z wiśniami. Eufemia weszła w rolę pani domu i zajęła się tortem.

Bez pytania nałożyła średniej wielkości porcję Janowi, a malutką Tekli.

– Ty, Eustachy, nie powinieneś tego jeść.

Na jej własnym talerzyku wylądował za to podwójny kawałek – prawdopodobnie uznała, że przysługuje jej męzowska porcja. Jan wskazał Natalii babeczkę. Pokiwała głową, więc nałożył jej jedną, którą sama wybrała. Rozległo się szuranie. Przyszedł Jacenty, niosąc dzbanek z kawą.

Czujna Eufemia zmrużyła oczy. Marszałek nalewał aromatycznego płynu do filiżanek, a Jan z niepokojem obserwował trzęsące się dłonie starego służącego. Pani Bocheńska nie omieszkała tego skomentować:

– A co ten Jacenty – przerwa na kęs tortu – taki niemrawy? – nikt nie odpowiedział. – Jak tu byłam – kęs tortu – w zeszłym tygodniu – kęs tortu – to wyglądał znacznie lepiej.

– Nie wiedziałam, że była pani u nas w zeszłym tygodniu – błyskawicznie zareagowała pani Barbara, przenosząc na stół cukiernicę i mlecznik. Zjawił się Mateusz z karafką i czekał z boku na jej dyspozycje.

– Zajrzałam po aresztowaniu młodego Edwarda – Eufemia nawet nie stropiła się tym wyznaniem. – Chciałam się upewnić, czy pan Poniński nie potrzebuje duchowego wsparcia, bo nasz wielebny... święty człowiek!... wyraził gotowość przybycia tu celem udzielenia pociechy. Powiedziano mi, że pan Adam nikogo nie przyjmuje, a ty, Barbaro, jesteś zajęta. Porozmawiałam więc z Nelą, waszą pokojówką, i wróciłam do domu.

Jan nałożył sobie do salaterki malin i starannie zakrył je śmietaną.

Mateusz nalał pani Eufemii madery. Chciał poczęstować również Teklę, ale jej siostra stanowczo zaprotestowała:

– Absolutnie proszę jej nic takiego nie dawać. Po winie zaczyna głupkowato chichotać – Mateusz podszedł do Eustachego. – Jemu też nie. On nie trawi alkoholu. A to kto? Nowy lokaj? A ja byłam pewna, że to Seweryn zajmie miejsce Jacentego.

Majordomus zbladł, a Jan przez moment się obawiał, że Mateusz przyłoży Eufemii karafką. Wzburzonego kamerdynera odsunęła pani Barbara, po czym nie pytając nikogo o zdanie, nałożyła panu Eustachemu tortu. Nikt zresztą nie wyraziłby sprzeciwu, gdyż pani Eufemia zajęta była drugim – podwójnym – kawałkiem piramidy. Na półce

utworzonej przez jej imponujący biust w zastraszającym tempie gromadziły się i podskakiwały bezowe okruszki, wzbudzając zrozumiałą fascynację Natalii.

Mateusz nalał Janowi czerwonego wina i wymienili przy tym spojrzenia. Morawski ruchem brwi wskazał na mieniącego się Jacentego. Kamerdyner minimalnie skinął głową i niezauważalnym dla postronnych obserwatorów gestem ujął marszałka pod ramię i go wyprowadził.

Przez chwilę panowała błogosławiona cisza. Nagle pani Eufemia zapatrzyła się w Teklę i Tercjusza, którzy siedzieli naprzeciwko niej.

– Niech pan sam powie – zagadnęła Jana – czy oni nie wyglądają razem wspaniale?

Pani Barbara aż się odwróciła. Morawski posłusznie spojrzał we wskazanym kierunku. Jego zdaniem nie mogła istnieć bardziej niedopasowana para niż rumiany, krągłutki Tercjusz i przejrzysta, tyczkowata Tekla.

– Tak – pani Bocheńska sama sobie odpowiedziała. – To wcale niezły pomysł – wpatrywała się w nich, mrużąc oczy i oblizując łyżeczkę. – Naprawdę by pasowali. Że też o tym nigdy wcześniej nie pomyślałam.

Zdaniem Jana to rzeczywiście było dziwne.

– I tyle ich łączy – rozpędzała się. – Wie pan, ja wierzę w przeznaczenie. I dlatego uważam, że bardzo istotny jest dobór małżonków pod kątem imion. Bo czy istnieje lepsze stadło niż ja i Eustachy? A imiona nam się zgadzają – Eufemia i Eustachy. Tu „Eu” i tu „Eu”. Ty masz na imię Tekla. Czyli „Te”. Zastanówmy się, jakie imię by do ciebie pasowało? – zarechotała, uradowana własnym kalamburem.

Chyba ten samozachwyt zaostriął jej apetyt, gdyż zabrała mężowi jego talerz z tortem, a oddała mu swój talerz bez tortu. Jadła z takim zapałem, że Jan w pewnym momencie chciał zasugerować, by jej przyniesiono łyżkę do zupy.

– Pamiętaj, Eustachy, o swoim żołądku – napominała. – W razie czego mam przy sobie twoją sodę. Beze mnie by zginął – wyjaśniła Morawskiemu. – Wszystko jest na mojej głowie, bo on nawet nie pamięta, co mu szkodzi. To samo w gospodarstwie. A nikt nigdy nie myśli o tym, jak ta ciągła krzątania wpływa na moje zdrowie.

– Może powinna pani poradzić się lekarza? – zasugerowała z przekąsem pani Barbara.

– Akurat doktor Klauziński przyjechał na kilka dni, lecz po niedzieli wraca do Kissingen – przyłączył się pan Drojewski.

– Młody jest znacznie lepszy – zawyrokowała Eufemia. – Stary Klauziński jest bezczelny. Mówię mu od lat, że cierpię na newralgię, a on twierdzi, że nic mi nie jest. Dopiero ten młody poznał się na moim przypadku i zalecił wyjazd do wód.

– I jedzie pani? – Tercjuszowi nie udało się ukryć radości.

– Dopiero po żniwach. Rządca nie da sobie beze mnie rady.

– I dokąd postanowiła pani się udać? – zagadnął Jan, widząc, że przy bocznym stoliku pani Barbara dolewa koniaku do filiżanki z kawą Eustachego, na co temu ostatniemu rozbłysły oczy.

– Jeszcze nie wiem – cierpiąca Eufemia sięgnęła po dwie rurki z kremem. – Niektórzy polecają polskie uzdrowiska. Cieplice, Szczawnicę, Nałęczów, Krynice. Ale ja wolałabym Karlsbad lub Ems. Tak czy owak jadę, bo jestem zupełnie znękana.

Patrząc na nią, Jan nie potrafił pozbyć się myśli, że ta „znękana” istota pasożytowała na swoich bliskich, wysysając z nich soki. Siostrę pozbawiła substancji, męża – koloru.

– Ale planowałaś, droga siostrze, wybrać się do Rzymu – przypomniała jej Tekla.

– Do Rzymu? – zmarszczyła czoło pani Barbara.

– Tak, muszę przekonać papieża, że powinien zająć bardziej zdecydowane stanowisko w kwestii polskiej – oznajmiła upudrowanymi cukrem usteczkami.

– Kto to jest papież? – chciała wiedzieć Natalia.

– Ojciec Święty. Głowa Kościoła – pouczyła pani Bocheńska.

Czterolatka nic z tego nie zrozumiała, więc Tercjusz pospieszył z wyjaśnieniem:

– To taki najważniejszy ksiądz.

– A nasz ksiądz też może być papieżem?

– Oczywiście – potwierdził pan Drojewski.

– Co za bzdura! – wyśmiała go patriotyczna Eufemia. – Polak nigdy nie będzie papieżem. Nie powinien pan psuć jej głowy takimi bredniami – nałożyła sobie babeczkę. – I dlaczego ona zabiera głos? Dzieci nie powinno się ani widzieć, ani słyszeć. Trzeba ją wysłać do szkoły.

– Przecież ona jest taka maleńka – zaproponowała Tekla i pogłaskała małą po główce.

– Im wcześniej, tym lepiej. Powinna iść do tej samej szkoły, którą my ukończyłyśmy. Tam odebrałaby staranną edukację godną młodej damy. Kaligrafia, rondo, bastarda [23] i sztuka posługiwania się wachlarzem. Taniec z szalem. I nauka katechizmu. Tak, katechizm przede wszystkim.

– Planujemy zatrudnić guwernantkę – włączyła się pani Barbara.

– Po ucieczce tej ostatniej jeszcze nie macie dosyć? Oddać do szkoły i koniec problemów z tymi wszystkimi pannicami, które się zatrudniają jako guwernantki.

Pani Barbara nie kontynuowała tej dyskusji. Wzięła dzbanek i odeszła.

– A ona zrobiła się taka sama jak pan Poniński – szepnęła Janowi Eufemia. – Wszystkim na wszystko pozwala. Słyszał pan, że odesłała tę rozhisteryzowaną służącą na odpoczynek? Jak się nie chce takiej pracować, to ją zwolnić i przyjąć inną – sapała przez chwilę.

Jan kończył jeść maliny i wpatrywał się w przedramię Eufemii, ozdobione cieniutką bransoletką. Błyskotka tonęła w miłym ciałku przypominającym ciasto drożdżowe – miało tę samą barwę, tę samą pulchność i o ile można było się zorientować, tę samą tendencję do raptownego powiększania objętości pod wpływem temperatury. Najprawdopodobniej przy dalszym przyroście obwodu rączki, bransoletka zupełnie zniknie wśród fałdek lub po prostu trzaśnie.

Tymczasem pani Bocheńska zauważyła, że Natalia zostawiła spód ciastka.

– Powinnaś zjeść wszystko, co ci nałożono. Gdy ja byłam dzieckiem, nie ośmielałyśmy się wybrzydzać przy jedzeniu – Natalia uważnie się w nią wpatrywała, jakby nie mogła uwierzyć, że pani Eufemia była kiedyś dzieckiem. – A w ogóle dlaczego ona je słodczy? Za moich czasów dzieci do dziesiątego roku życia dostawały zawsze to samo: na śniadanie kaszkę, na obiad rosół, gotowaną marchew i kurze mięso, na kolację kleik.

Wróciła pani Barbara i natychmiast została zaatakowana:

– Czy pan Poniński do nas dołączy?

– Nie, wyjechał na wieczorny objazd pól.

– Niedobrze. Chciałam jeszcze z nim porozmawiać, żeby zrobił coś z tymi szwendającymi się łobuzami. Strzelają do czego popadnie. A ja zawsze powtarzam: trzymać się z dala od broni. Nieboszczyk Adam miał pistolet pod ręką i co z tego przyszło?

Jan kątem oka spojrzął na Natalię, coraz bardziej rozdrażniony na tę kobietę o wrażliwości toczącej się lawiny.

– Ale co pan Adam może na to poradzić? – spytała pani Barbara.

– Powinien im zabronić. Byłam już u pani Chomackiej w tej sprawie, ale jest nieodpowiedzialna i twierdzi, że nic złego się nie stanie. Rozumiem, że mogłaby ręczyć za swojego syna. Ale przecież ta pozostała dwójka to jakieś przybłędy. Ona nic o nich nie wie. Dziwię się w ogóle, że pozwala synowi na utrzymywanie z nimi kontaktu. I zaprasza ich na wakacje.

– Strzelanie do gołębi nikomu... – próbował przekonywać Tercjusz.

– Od tego się zaczyna. A poza tym nie strzelają tylko do gołębi. Do tarczy również. A ogrodnik mi mówił, że widział, jak ustawiali coś na przewróconym pniu i strzelali. A potem znalazł w tym miejscu potłuczone szkło.

Jan chciał spytać, czy wiadomo, jakie to było szkło, ale przy jego ramieniu odezwała się Natalia:

– Czy mogę już iść?

– Możesz – lekko odstawił fotelik od stołu i dziewczynka się zsunęła, ale zahaczyła przy tym o szklankę i wylała na siebie resztę soku.

– I to są właśnie efekty dopuszczania dziecka do wspólnych posiłków! – zerwała się pani Eufemia i machała rękoma. – Mówiłam, że dziecko nie powinno z nami siadać do stołu. No i proszę. Doczekaliśmy się – oglądała swą kreację, choć nie było możliwości, by cokolwiek na nią prysnęło. – Całe szczęście, że nie siedziała koło mnie. Zrujnowałaby mi suknię. Tekło, przyjrzyj się, czy nic na ciebie nie skapnęło. Przynieście sól! Kwaśne mleko! Słodkie mleko!

Buzia Natalii wygięła się w podkówkę i mała zaczęła płakać, bardziej przerażona tym dzikim wrzaskiem niż samym wypadkiem. Jan miał dość: złapał swój kieliszek i wylał na siebie wino.

– Ale niezdara ze mnie! – zawołał. Dziewczynka zapomniała szlochać. Patrzyła na niego i wyraźnie czekała, aż on też zapłacze. – Zobacz, jak narozrabiałem. Chodź, Mateusz jest mistrzem olimpijskim w konkurencji wywabiania czerwonych plam.

Wstał.

– Przepraszamy państwa.

Wziął na ręce dziewczynkę, której nadal z oczu płynęły łzy, i przez salon doszli do holu. Tam dogoniła ich pani Barbara.

– I czemu płaczesz? – z udawaną szorstkością pytała Natalię. A potem skarciła Jana: – Nie powinien był pan wylewać tego na siebie... trzeba było tym chlupnąć na nią. Z przyjemnością bym ją wyszorowała. Ryżową szczotką. Nie płacz. Chodź, przebiorę cię – wzięła Natalię z ramion mężczyzny. – Proszę powiedzieć Mateuszowi, żeby przyniósł pańskie spodnie. Mamy świetny specyfik na plamy z wina.

## Rozdział 23.

Resztę popołudnia Jan spędził w pokoju juniora, bezskutecznie poszukując dowodów – czy choćby przesłanek – świadczących o winie któregoś z jego licznych nieprzyjaciół.

Pamiętał o swej trunkowej obietnicy i zjawił się w jadalni kilka minut przed porą kolacji. Okazało się jednak, że pan Tercjusz miał inne plany. W srebrnym wiaderku na lodzie spoczywała butelka szampana Moët & Chandon.

Na widok wchodzącego pan Drojewski strzelił korkiem, nalał hałaśliwego płynu do płytkich kieliszków i podał jeden Janowi, wyjaśniając:

– Musimy wypić. Uratował mi pan życie.

– Prawdziwe podziękowania należą się panu Eustachemu. To on mnie sprowadził i wepchnął do salonu.

– A zatem: za męską solidarność.

Jan się zaśmiał:

– Za męską solidarność. To podobno zjawisko atawistyczne – bąbelki mile połaskotały go w podniebienie.

– Nareszcie lód – pan Tercjusz zabawnie wciągnął policzki pod wpływem mocno schłodzonego trunku.

– Przecież przy pałacu jest lodownia, więc chyba lód jest zawsze dostępny.

– Nie tu, przyjacielu. Tu nie ma potrzeby. Mamy tak zimne piwnice, że lodownia otwierana jest tylko latem lub przy wyjątkowych okazjach.

Dolał im jeszcze trochę. Jan wypił dwa łyki i zaryzykował:

– Panie Tercjuszu, gdy potrzebowałem chwili odpoczynku od pani Eufemii – zobaczyłem porozumiewawczy uśmiech – schroniłem się w bibliotece – uśmiech pana Drojewskiego zgasł, a raczej stał się kurczowy. – Chciałem, nie ukrywam, rzucić okiem na księgę rodzinną.

– Została na biurku – archiwariusz nie patrzył na gościa, gdyż najwyraźniej zafascynowało go coś w etykiecie.

– Nie było jej tam.

Usłyszeli zbliżające się kroki i zakłopotany Tercjusz chwycił kubek z szampanem, rozglądając się w panice, jakby chciał gdzieś go ukryć.

– Co się stało? – nie zrozumiał Morawski.

– Adam nie uznaje czegoś tak... frywolnego jak szampan – mimo wszystko jednak Tercjusz odstawił zbytkowny napój na stół i machnął ręką. – Ale co tam!



Gdy tylko usiedli, Jan zwrócił uwagę na wygląd seniora. Pan Poniński był zgrzany, zaczerwieniony i wydawał się jeszcze szczuplejszy. Przypominał wysuszone w słońcu winogrono.

- Czy zaszło coś niedobrego? – zatroszczył się gość.
- Nie, tylko trochę zbyt wiele czasu spędziłem na tym upale.
- Powinieneś uważać – włączył się Tercjusz. – Nie jesteś już...
- Taki młody. Wiem.

Otwarły się drzwi i wszedł Mateusz. Postawił na stole półmisek z *vol-au-vent* z kurkami, po czym nalał biesiadnikom szampana, choć trunek wzbudził jego wyraźne zdumienie.

Tercjusz poczuł się w obowiązku wyjaśnić seniorowi:

- Wiem, że nie jesteś wielbicielem szampana, ale musimy coś uczcić.
- A cóż to za okazja?
- Świątujemy. Dzięki interwencji pana Jana wymknąłem się ze śmiertelnej zasadzki – zdumiony gospodarz przeniósł wzrok na Morawskiego, a uratowany kawaler dokończył: – Chciano mi zarzucić pętlę na szyję.

- Zaciekawiasz mnie. Jaką pętlę?
- Świętą pętlę małżeństwa. Na mój starokawalerski kark.
- Kto? – Mariusz się roześmiał.
- Eufemia.
- Przecież ona ma męża.
- Chciała mnie ożenić ze swoją siostrą.
- Z Teklą? A co jej po tylu latach przyszło do głowy?
- *That is the question.*

– To rzeczywiście mamy co świętować – pan Poniński w odwiecznym geście uniósł kieliszek, wypił trochę i pokręcił głową: – Niech się dobry Bóg zmiłuje nad człowiekiem, który zostanie szwagrem Eufemii.

Przez chwilę każdy z nich zajęty był jedzeniem ciasteczek wypełnionych grzybami w śmietanowym sosie. W końcu Jan pokusił się o małą prowokację:

- Odnoszę wrażenie, że ceni pan pana Eustachego.

Wymijająca odpowiedź Mariusza padła po lekkim zawahaniu:

– To rozsądny człowiek, który podjął w życiu tylko jedną błędną decyzję, niestety, tę najważniejszą.

Nie kontynuował tego tematu, lecz Morawski spróbował jeszcze raz:

- Żona zupełnie go zdominowała.

– Nie tylko jego. Całe otoczenie. Siostrę również. No, ale tu pani Eufemia nie natrafiła na opór. Moja żona powtarzała, że Tekla to pocziwa istota, której wszystkie zalety są cnotami serca i na umysł niewiele zostało.

Jan się zaśmiał, a Tercjusz dolał wszystkim szampana.

W czasie dwóch poprzednich wspólnie zjedzonych posiłków, gospodarz starał się okazać swemu gościowi choćby chwilowe zainteresowanie, dlatego Morawski złapał się na tym, że także teraz czeka na jakieś grzecznościowe pytanie. I nie zawiódł się. W pewnej chwili pan Poniński złożył sztućce na talerzu i podniósł wzrok na młodego człowieka.

– Czy mogę pana o coś spytać?

– Oczywiście.

– Jak doszło do tego, że zajął się pan rozwiązywaniem takich spraw?

Gość wzruszył ramionami.

– Zawsze lubiłem zagadki, układanki, szyfry. Rozplątywanie. Kiedyś nawet chciałem być archeologiem. To trochę podobne: rekonstrukcja przeszłości na podstawie drobnych kawałków – pokiwał głową w zamyśleniu. – A pierwsze śledztwo wiązało się z pewnym skandalem.

– W takim razie nie pytam o szczegóły.

– A dlaczego podjął pan to śledztwo? – dociekał Tercjusz.

– Bo musiałem – Jan spojrzał wprost na pytającego. – Sam byłem jednym z trzech podejrzanych.

– I to są tylko morderstwa?

– Nie, zaledwie kilka. Znacznie więcej drobniejszych przestępstw. Szantaże, kradzieże dokumentów.

– I zawsze się panu powiodło? – nie ustępował pan Drojewski.

– Nie. Nie zawsze.

Weszła Nela i sprzątnęła ze stołu pozostałości przystawki, a tuż za nią zjawił się Mateusz, niosący na podłużnym półmisku całą rybę upieczoną w boczku. Po kształcie głowy Morawski rozpoznał szczupaka. Kamerdyner nalał wina i wyszedł.

Tercjusz się zerwał, pokroił potrawę, seniorowi i Janowi nałożył rybę – na ich prośbę – bez boczku, którego sobie nie pożałował. Operowanie sztućcami nie przeszkadzało mu operować językiem:

– Piękna sztuka. Stary Kacper się sprawił. To nasz stróż. Pływa w nocy po stawach i z łódki bije olbrzymie szczupaki.

Jan sięgnął po zieloną fasolkę szparagową i malutkie pieczone pomidorki. Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym pan Drojewski oświadczył:

– Jak skończę Poego, to się zabieram za Conana Doyle’a. Czytałem dwa jego opowiadania i mam jeszcze kilka, ale już po lekturze tych dwóch doszedłem do wniosku,

że każdy policjant powinien je obowiązkowo przeczytać.

Jan wybuchnął takim śmiechem, że dostał czkawki. Tercjusz podał mu sporą szklaneczkę jakiegoś soku, chyba wiśniowego, ale to nie pomogło, więc po chwili ratował gościa drugą porcją. Morawski przyjął ją z wahaniem, gdyż pamiętał, że źle znosi wszelkie słodkie mieszanki, aczkolwiek w tym napoju prawie nie wyczuwał alkoholu. W końcu przykra dolegliwość minęła.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w niego zdumieni.

– Bardzo panów przepraszam – tłumaczył. – Coś mi się przypomniało. Czytałem, że pięć lat temu w Egipcie historie o Holmesie zostały na zlecenie rządu kedywa przetłumaczone na arabski i wprowadzone jako podręcznik policji. Gdy Conan Doyle tam pojechał, młody policjant, zgodnie z metodą Holmesa, obejrzał pisarza i stwierdził, że wykazuje on tendencje kryminogenne.

Panowie się zaśmiali, choć Tercjusz wydawał się rozczarowany, że odebrano mu autorstwo tej idei. Zjawił się Mateusz i dolał im wina.

– Pański kamerdyner nie próżnuje – zauważył senior i zwrócił się do służącego: – Mateusz, prawda?

– Tak, jaśnie panie.

– Obcy służący nie angażują się zazwyczaj w prace domowe.

– Jacenty nie czuje się najlepiej i chciałem, aby odpoczął.

Pan Poniński z aprobatą skinął głową.

– Już od wczoraj wiemy, że coś z nim nie tak. Zmienił się. Osłabł – a do Jana powiedział: – Jest w pałacu, odkąd pamiętam.

– Jutro wybieram się do Kałużnej, która zna jego dolegliwości – kamerdynerowi nie przeszkadzały rozmowy z arystokracją.

– Dobrze – przytaknął pan domu, któremu nie przeszkadzały rozmowy ze służbą. – Znam ją. To mądra kobieta. A jeśli ona nie pomoże, wezwiemy lekarza.

Mateusz skinął głową zadowolony; nie wyglądał przy tym na kogoś, kto uważa seniora za mordercę.

– Biedny Jacenty – westchnął Tercjusz po wyjściu służącego, ale smutek nie przeszkodził mu w dobraniu kolejnej repety z półmiska. – Pracował tu jeszcze za czasów wuja, prawda?

– Wuja? – zdziwił się Jan.

– Chodzi o mojego ojca – odpowiedział pan Adam. – Tercjusz zaczął go tak nazywać w czasach naszych studiów w Oksfordzie. Przyjechał tu ze mną na wakacje i przypadli sobie z moim ojcem do gustu.

Mimo że senior otrzymał niewielki kawałek ryby, kończył go z mozołem, nieznanym Tercjuszowi, który pałaszował wzgardzony przez pozostałą dwójkę boczek.

Sam Morawski nie był głodny, za to chciało mu się pić. Upił trochę wina i odłożył

sztuńce.

Przyjrzał się Mariuszowi. Pan domu źle wyglądał. I chyba źle się czuł. Otarł dłonią czoło, choć jego ciało zdawało się bezpłynne. Nagle wstał.

– Bardzo przepraszam. Jestem trochę zmęczony.

Jan spróbował się podnieść i ze zdziwieniem stwierdził, że też musi być zmęczony, bo zakręciło mu się w głowie. Szeroko otworzył oczy i zamrugał.

– Może potrzebuje pan...? – spytał seniora.

– Nie, proszę sobie nie przeszkadzać. Dobranoc.

Odpowiedzieli mu, a gdy zostali sami, Tercjusz zasugerował:

– Może jeszcze trochę rybki?

– Nie, dziękuję. Ten upał chyba też daje mi się we znaki, bo mam straszne pragnienie.

Zastępca gospodarza sięgnął do stojącej z boku wielkiej boli, której Morawski przedtem nie zauważył, gdyż zakrywał ją wielki bukiet białych hortensji. Naczynie pełne było czerwonego płynu, a na dnie spoczywały jakieś owoce, chyba wiśnie. Jan poznał, że to właśnie tym specyfikiem Tercjusz go ratował podczas ataku czkawki.

Także teraz rezydent nalał tego napoju do kryształowej szklaneczki z uchwytem.

– Może lepsza byłaby woda – zaprotestował Morawski. – Wydaje mi się, że to od tego tak chce mi się pić.

– Od tego? Niemożliwe. To mój trunek popisowy. Z wdzięczności dla pana przygotowałem poncz *à la* Tercjusz.

– Co w nim jest?

– Tajemnica. Do ryby nie pasuje, ale skoro już pan nie będzie jadł...

– Przy takim upale nie powinienem...

– Bzdura. Zresztą musimy wypić, bo nic dobrego nigdy nie wyjdzie ze znajomości na sucho.

Jan miał wreszcie okazję w pełni posmakować nektaru. Pyszne. Jakby wiśniowe. Słodko-kwaśne, lekko alkoholowe. I najważniejsze – lodowate. Wypił.

Wszedł Mateusz i zabrał rybę, lecz widząc swego pracodawcę duszkiem pijącego podejrzany płyn, aż zacmokał. Chciał coś powiedzieć, ale rozbawiony Tercjusz przyłożył palec do ust i gestem wyprosił kamerdynera z jadalni.

– Dobre? – spytał pan Drojewski.

– Wspaniałe – gość łyżeczką zjadł wiśnie z dna. – Te wiśnie są naprawdę mocne.

Tercjusz dołał sobie i Janowi również.

– Nazywam je „torpedowymi wisienkami”.

Morawski wybuchnął szalonym śmiechem, a gdy go opanował, wyznał:

– Gdy zobaczyłem dzisiaj naszą wspaniałą Eufemię, to w pierwszej chwili przyszło mi

do głowy, że przypomina torpedowiec.

Tercjusz przesiadł się na miejsce Mariusza, przysunął misę i uzupełnił puste szklaneczki. A Jan zwierzał się dalej, z rozkoszą sącząc pyszny płyn, który tak łatwo się piło:

– Ale to było na początku. Gdy szła przez hol – zmrużył oczy. – A potem, gdy usiłowała nawrócić pana Adama na prawdziwe chrześcijaństwo i zdobyć go dla sprawy narodowej, to przypominała kogoś innego.

– Kogo?

– Wdowę z Windsoru.

– Wdowę z Windsoru? Chyba Wiedźmę z Endoru.

Z trudem doszli do siebie po tej salwie śmiechu. Aż im zaschło w gardłach, na którą to przypadłość najlepszym lekarstwem okazał się poncz.

– Ile ona może mieć lat? – zastanawiał się Jan.

– Moim zdaniem zbliża się do pięćdziesiątki.

– Ale z której strony?

Efekty ich rozbawienia słyhać było chyba w całym pałacu.

– A pan, panie Tercjuszu, zrezygnował z szansy zostania jej szwagrem.

– Drogi panie Janie, nigdy nie paliłem się do porzucenia celibatu, ale gdybym kiedykolwiek żywił jakiegokolwiek matrymonialne projekty, godzina w towarzystwie Eufemii wyleczyłaby mnie z tych zamiarów na wieki.

Młody człowiek nie bardzo pamiętał, co było dalej. Wydawało mu się, że wypił z panem Tercjuszem – na sugestię tego ostatniego – bruderszaft, ale za to nie mógłby ręczyć.

Jak przez mgłę kojarzył, że w pewnym momencie do jadalni weszła pani Barbara i o coś spytała. Słyszał głos Tercjusza mówiącego o szklaneczkach, a potem chyba padło pytanie zadane kobiecym głosem:

– Ile było tych szklaneczek?

– Pierwsza, druga, kilka trzecich...

Trzasnęły drzwi, a wzruszony Tercjusz ocierał łzy:

– Kochana Barbara. Poświęciła nam całe życie. Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby jej tu nie było.

Dalszego ciągu Jan nie pamiętał.

\*\*\*

Całą noc śnił o fikaniu koziołków w wodzie. Do tyłu.

## Rozdział 24.

– Wody – wychrypiał następnego ranka, gdy zdołał unieść się do pozycji prawie siedzącej. Mateusz podał mu szklankę. – Nie tyle. Więcej – kamerdyner przyniósł ze stołu karafkę. – Więcej. Całą wannę.

– O tej godzinie nie będzie ciepłej.

Dobrze, że Jan miał zamknięte oczy, bo wyraz uciechy na twarzy Mateusza z pewnością by mu się nie spodobał.

– Nie potrzebuję ciepłej. Nalej zimnej – polecił.

Siedział dalej na brzegu łóżka, koncentrując się na tym, by nie spaść na podłogę. Gdy otworzył oczy i zobaczył koło siebie kamerdynera, spytał:

– Dlaczego nie idziesz?

– Przecież już byłem. Nie zauważył pan.

Morawski spojrział na niego z niedowierzaniem, ale powlókł się do łazienki, ani na chwilę nie tracąc kontaktu ze ścianą. Faktycznie – wanna była pełna. Sprawdził temperaturę wody i doszedł do wniosku, że ten złośliwy Mateusz chyba dodał do niej lodu. Usiadł.

Po pewnym czasie – minucie, kwadransie, godzinie – w galaretowatym umyśle pojawiła się przytomna myśl, a właściwie trzy.

Po pierwsze. Miał zagadkę do rozwikłania.

Po drugie. Należało przemyśleć i posegregować fakty.

Po trzecie. Zamiast się tym zająć, poszedł na kolację i zalał w głowie resztkę rozumu i pamięci.

Zdjął szlafrok i wszedł do wanny. Prawie umarł.

Do sypialni wrócił trochę – ale tylko trochę – odświeżony. Usiadł na krześle, zamknął oczy i pozwolił się ogolić.

– Co on mi dał? – próbował spojrzeć na Mateusza, ale okrutne promienie słońca wbijały mu się w oczy niczym szpilki.

– Przecież wie pan, że nie powinien w ogóle zbliżać się do takich słodzonych mikstur. A ten poncz to nawet mnie zwałiłby z nóg.

– Co to było?

– Poza czerwonym winem: maraschino, rum, wiśnie ze spirytusu. Trzy litry.

– Chryste! – Jan bezskutecznie próbował zapiąć koszulę i w końcu zdał się na łaskę kamerdynera. Po tym wysiłku postanowił chwilę odpocząć.

– Nie powinien być pan... – wymądrzał się Mateusz, ale podłapał mordercze spojrzenie. – Tak, wiem. Jak będzie pan chciał słuchać takich wykładów, to się pan ożeni.

Morawski zamierzał skinąć głową, ale ktoś wbił mu kołek w kark. Wstał.

– To swoją drogą zabawne – bezlitosny kamerdyner starannie wiązał Janowi krawat. – Nigdy bym nie pomyślał, że pan Tercjusz ma jeszcze mocniejszą głowę niż pan.

– Grał nie fair. Żaden normalny człowiek nie dałby sobie rady z jego ponczem.

– Prawdziwy mocarz zdołałby... – Mateusz przezornie nie dokończył i skoncentrował się na sprzątaniu przyborów do golenia.

Jan już na schodach pozbył się krawata i upchnął go w kieszeni. Przed drzwiami jadalni wpadł na pomysł, by ustalić godzinę. Po kilku próbach ocenił, że nie jest jeszcze tak bardzo późno.

Wszedł. Byli tam. Ona i on.

Ona wyglądała świeżo i ślicznie, co nie dziwiło, on również wyglądał świeżo, do czego, zdaniem Jana, nie miał prawa.

W jadalni nie było nikogo ze służby. Morawski podszedł do bufetu i nadludzkim wysiłkiem dźwignął dzbanek z kawą. Postawił go na stole i ciężko usiadł.

– Jak zdrowie, drogi Janie?

Morawski się ucieszył. Coś jednak pamiętał. Faktycznie wypili braterstwo.

– Doskonale, dziękuję – skłamał. Udało mu się nalać kawy do filiżanki. Bał się, że rozleje, więc na wszelki wypadek napełnił naczynie do połowy. Siedział z zamkniętymi oczyma.

– Dlaczego wujcio śpi przy stole? – spytała Natalia.

– Wujcia boli głowa – wyjaśnił Tercjusz. – To po wczorajszym wieczorze ponczowym.

– Mieliście pączki? – zdziwiła się. – Ja nie dostałam.

– Poprosimy Felicję, żeby dla ciebie też usmażyła, dobrze?

Zmaltretowany gość łyknął kawy. Mała przestała zwracać na niego uwagę. Nie osiągnęła jeszcze wieku odpowiedniego do prawienia mężczyznom kazań.

– A pan Poniński? – Jan nie wiedział, co miał na myśli, zadając to pytanie.

– Dziadek Mariusz skoro świt wyjechał w pole – odpowiedział pan Pickwick.

– Dlaczego mówisz na dziadzia Mariusz? – zainteresowała się dziewczynka.

– Żeby się rymowało z Tercjusz.

Do Jana właśnie dotarło, co powiedział król opojów. Otworzył oko.

– Skąd wiesz o Mariuszu?

– Sam mi to wyznałeś – zachichotał Tercjusz, rzeński niczym górski strumyczek po roztopach. – Bardzo jesteś blady, przyjacielu. Może coś byś zjadł?

– Jakoś nie jestem głodny, dziękuję.

– Na pewno? Felicja przygotowała moje ulubione śniadanie. Pyszne *devilled kidneys*. Baranie cynaderki po diabelsku.

Tu nastąpiła demonstracja zawartości talerza. Jan poczuł, jak na ten widok w jego żołądku coś niebezpiecznie zafalowało. Ale dobiła go Natalia.

Nie chcąc oglądać zwierzęcych wnętrzności, Morawski przeniósł wzrok na dziewczynkę, która właśnie wyciągała z miseczki coś różowego i bardzo śluzowatego. Kisiel. Z łyżeczki zwisał wielki sople, który uniosła i włożyła do buzi.

Jan poczuł ścisk w gardle i żółć w ustach. W desperacji poderwał się i uciekł.

W sypialni poczuł się trochę lepiej. Usiadł w fotelu i z błogością zamknął oczy.

Ten wspaniały spokój zakłócono mu niemile i nader gwałtownie. Ktoś wpadł do pokoju, trzasnął drzwiami, podbiegł do Jana i szarpnął go za ramię:

– Wszędzie pana szukam! – zaatakowany otworzył oczy. Mateusz. – Jacenty...

– Co Jacenty? – Morawski nie był pewien, czy coś mu w międzyczasie nie umknęło.

– Miał atak! W nocy!

– Jaki atak?

– Taki sam, jak ten pana znajomy w zeszłym roku – Jan nie sprawiał wrażenia, że cokolwiek kojarzy. – Ten, co się obudził rano i nie mówił. Sparaliżowany. Do połowy.

– Do połowy?

– Z jednej strony.

Morawski zmrużył oczy, a Mateusz chodził wzdłuż ściany i coraz bardziej histeryzował.

– Serpentyn zatruł Jacentego! Tonikiem! A pan nie chciał mi wierzyć!

– Ale co ma wspólnego paraliż z otruciem? – kamerdyner ciskał kolejne fragmenty swej niezbornej relacji prosto w grzęzawisko panujące w czaszce Jana. – Nic nie rozumiem.

– Gdy tylko zobaczyłem tego Serpentyna, od razu wiedziałem, że to morderca, ale pan mnie uspokajał i przekonywał, że się uprzedziłem, a teraz biedny...

– Poczekaj. Od początku. Opowiedz mi od początku. Skąd to wiesz? – Jan wskazał fotel koło siebie. Gotów był oddać wszystko, byle tylko Mateusz choć na chwilę znieruchomiał. I przycichł.

Kamerdyner usiadł i kilka razy głęboko odetchnął.

– Jacenty nie przychodził do kuchni – powiedział to i czekał. Jan poruszył powiekami, więc Mateusz wymieniał fakt po fakcie. – Poszedłem do jego pokoju. Leżał w łóżku. Potrząsnąłem nim. Obudził się. Nie mógł się podnieść. Posadziłem go – Mateusz zaszczekał zębami. – Wygląda jak... Pół twarzy... Po prawej stronie... – głos mu się załamał.



- Kącik ust opadnięty, jakby mu ktoś przyczepił ciężarek?
  - I ślina...
  - Wycieka? – podsunął Jan, a zapytany kiwnął głową. – Rusza ręką po tej stronie?
  - Tak, ale okropnie niezgrabnie – Mateusz trochę się opanował. – I bełkoce.
  - Wstał?
  - Tak, uparł się.
  - Mówiłeś coś o jakimś leku.
  - Ma specjalny tonik od tej zielarki.
  - Idź do niego i weź to lekarstwo. I dowiedz się, jak trafić do tej kobiety. Ale nie mów nikomu, po co się do niej wybierasz. I najlepiej, żeby pani Barbara nie wiedziała, że tam idziemy. Chyba się pokłóciły.
  - I co dalej?
  - Zaraz zejde.
  - Pójdzie pan ze mną? – napięcie kamerdynera natychmiast zelżało.
  - Tak.
  - Na pewno? Da pan radę?
  - Tak, może ta wiedźma mnie opluje i poczuję się lepiej.
  - Oplucie by pomogło, gdyby ktoś na pana rzucił czar, a nie na...
  - Skoro przestałeś panikować i potrafisz mi ubliżyć, to znaczy, że ci się poprawiło.
- Mateusz wstał i już od drzwi wyznał rozbrajająco:
- Spanikowałem, bo pojawił się problem, a pan był w rozsypce. A ja się przyzwyczaiłem, że mogę na panu polegać.

## Rozdział 25.

Ruszyli przez cienisty park – przodem kroczył Mateusz, a za nim podążał Jan, ciągnąc nogę za nogą niczym niechętny osiołek.

– Poszedłem po wskazówki do Floriana – oznajmił dziarsko kamerdyner. – Kazał iść tą alejką do końca parku. Za bramą trafimy na wiejską drogę, a tuż przy niej stoi chatka. Na skraju zagajnika.

– A ta kobieta? Co o niej wiesz?

– Każdy mówi coś innego. Zielarka, babka do zamawiania, mądra doktorka.

Szli zgodnie z instrukcją, aż zobaczyli zapadnięty budynek, przyduszony monstrualnym dachem. Jan poczuł chęć, by zajrzeć pod spód w poszukiwaniu kurzej nóżki, choć okiennice nie wyglądały na zrobione z piernika. Drewniane ogrodzenie otaczało niewielki ogródek, w którego frontowej części rosły wiejskie kwiaty, tak wysokie, że wśród nich mógłby skryć się dorosły mężczyzna.

Weszli przez skrzypiącą furtkę i wyłożoną polnymi kamieniami ścieżką dotarli do przepołowionych poziomo drzwi, których tylko dolna część była zamknięta. Mateusz popchnął skrzydło i wkroczyli najpierw do niewielkiej sieni, pełnej wiader i przeróżnych mis, a dalej do głównej izby. Wewnątrz było tak oszałamiająco czysto, że obaj mężczyźni zaniepokoiili się, czy nie wnoszą pyłu.

– Niech będzie pochwalony – odezwał się kamerdyner, a Jan pomyślał, że to dziwne powitanie jak na domek wieźmy.

– Na wieki wieków.

W pierwszej chwili jej nie zauważyli. Była malutka i wysuszona, jej spalona skóra sprawiała wrażenie napiętej jak u Indianki. Miała na sobie długą ciemnozieloną spódnicę, na niej krótszą czerwoną, poza tym płócienną bluzkę, fartuch, a na głowie chustkę. Bosymi stopami stała na podłodze z ubitej gliny.

Znajdowali się we wnętrzu zwykłej wiejskiej chaty. Stał tam piec, stół, kilka stołków, ława pod oknem i druga przy kominie, skrzynia, a koło niej kołowrotek. Wielkie łóżko pomalowane było jaskrawymi farbami i obłożone pościelą sięgającą prawie pod samą powałę. Na ścianach wisiały święte obrazy.

– Przychodzimy z pałacu, matko – oznajmił Mateusz.

– Wy przyjezdni?

– Tak. Z prośbą o pomoc.

– Dla niego? – wskazała na Jana i zanim zdążyli zaprzeczyć, zbliżyła się, wspięła na palce, żeby dosięgnąć jego ramion, uwiesiła się na nim i ściągnęła go w dół, tak że usiadł na piekielnie twardym zydlu. Aż mu zęby zagrały od tego zderzenia. Przyjrzała mu się ze zmarszczonym czołem: – Marnie wygląda – zacmokała. – Przepity?

– Przepity. Pił z panem Tercjuszem.

Pokiwała głową z lekceważeniem:

– Taki wielki chłop, a nie dał rady panu Tercjuszowi!

Jan, mimo oparów spowijających mu umysł, poczuł się dotknięty tym niesprawiedliwym osądem.

Podeszła do komina. Podążył za nią wzrokiem. Piec był biały, narożnikowy, oblepiony półkami, drzwiczkami, wnękami, uskokami, okapami, zakamarkami i schowkami. Na belce stały dzbanki, garnki i połyskliwe gliniane miski. Suszone grzyby i marchew zwieszały się spod sufitu niczym korale, a po drugiej stronie komina wbito rzędem haki, do których przytroczono bukiety ziół.

Kałużna sięgnęła po glinianą butelkę, zębami ją odkorkowała i naląła z niej czegoś do drewnianego kubka. Podała Janowi.

– Co to jest? – podejrzliwie zakręcił naczyniem.

– Pij i nie gadaj.

Więc Jan wypił. Było to tak okrutnie kwaśne, że zatrzymał płyn w ustach. Już miał go wypluć, gdy czarownica jedną ręką przytrzymała mu dolną szczękę, a drugą zacisnęła nos. Przełknął. Oburzenie odjęło mu mowę.

– Muszę koniecznie przećwiczyć ten manewr – kamerdyner nie krył podziwu.

– Mój ojciec był owczarz – wyjaśniła. Spojrzała na Jana bardzo uważnie. Jej przejrzyste zielone oczy znajdowały się dokładnie na poziomie twarzy siedzącego mężczyzny. Palcami o stwardniałych opuszkach rozszerzyła mu powieki. – Zara mu będzie lepiej.

– My nie w tej sprawie – wyjaśnił Mateusz.

– Nie? – spojrzała na niego. – Tyś na służbie.

Skinął głową.

– Chodzi o Jacentego, matko – zmarszczyła czoło. – Czuł się coraz gorzej. Odkąd przyjechaliśmy. Byłem przekonany, że to ten łotr. Tylko że nikt mi nie wierzył. I jak nie przychodził, to poczułem... – plątał się kamerdyner.

– Dzisiaj rano obudził się ze sparaliżowaną połową ciała – w izbie rozległ się czysty głos Jana. – Może się poruszać, ale nie odzyskał władzy w prawej stronie twarzy – uśmiechnął się. Czuł się tak, jakby mu ktoś przepłukał mózg.

– To się stało nagle?

– Jesteśmy w pałacu od środy i z każdym dniem było z nim gorzej, ale winiliśmy za to upał. Pocił się, dyszał. Miał coraz silniejsze rumieńce.

– Pił moją nalewkę?

– Twierdzi, że tak – odpowiedział kamerdyner.

– Mateusz – Jan spojrzał kobiecie prosto w oczy – podejrzewa, że ktoś chce

zaszkodzić Jacentemu i mógł zatruć tę miksturę albo ją podmienić.

– Trza było przynieść.

Służący wyciągnął butelkę z kieszeni i podał kobiecie:

– Poznacie, czy to wasze?

– Flaszka ta sama – odkorkowała, poruszyła i powąchała. – Przeca to jakie rozrzedzone paskudztwo.

Zanim zdolali ją powstrzymać, łyknęła.

– To może być trucizna – zdenerwował się Mateusz.

– Ale gdzie tam. To moje. Tyle że ktoś dolał wody.

– Więc nie jest zatrute?

– Zatrute nie, ale nie ma mocy.

Kamerdyner wyglądał na rozczarowanego, natomiast Morawski uściślił:

– Czyli ten płyn nie zaszkodziłby Jacentemu, ale brak lekarstwa mógł być dla niego groźny?

– Ma krew gęstą jak miód – kiwnęła głową. – Bez lekarstwa przestanie płynąć.

– Miałeś rację – Jan spojrzał poważnie na Mateusza. – To ta żmija.

– Seweryn? – błyskawicznie zareagowała kobieta.

– Jesteście doskonale poinformowani, matko.

– Gada wokół, że będzie marszałkiem, bo Jacenty się kończy – gwałtownie zwróciła się do Jana i wlepiła w niego jastrzębi wzrok. – A wy po co przyjechali?

– Mamy znaleźć mordercę młodego Adama.

Skrzywiła się.

– Wszyscy winni dziękować temu, co to zrobił i już.

Jan nie potrafił się oburzyć. To był przecież jego własny pogląd. Najwyraźniej Kałużna nie miała takich wątpliwości jak on.

– Dobry Bóg źle to zorganizował – dodała. – Pod takimi piekielnikami ziemia winna zara się rozstępować.

Z półki nad kominem zdjęła polewaną misę i z hukiem postawiła na stole.

– Zależy mi na tym, aby uniewinnić Edwarda – wyjaśnił Morawski.

– A, no to insza rzecz. Panicza Edwarda trza uratować.

Podąła Mateuszowi flaszkę Jacentego:

– Nalej chochlą wody ze stągwi. Wypłucz i wylej za chałupą. Aby nie na zwonyszki [24]! – a Janowi poleciła: – Zdejm tę kistę.

Oślupiał, ale we wskazanym kierunku była tylko jedna rzecz – skrzyneczka – więc ją

podał. Gdy kamerdyner wrócił, kontynuowała:

– Nie wiem, skąd w tej rodzinie wziął się taki padalec jak ten młody Adam. Czasem mi się widzi, że go musieli dzieciakiem podmienić.

– Gdy pytam o niego w pałacu, wszyscy milkną – poskarżył się Jan, siadając na swoim zydłu. – Wiedzą o jego podłościach, ale nie chcą mówić.

– To przez to, że jasny pan tak wierzy w syna. Boją się sprawić mu przykrość.

– Młody narobił sobie wrogów tu w okolicy?

– Sprytny był. Pod bokiem ojca się nie łądaczył. Tylko tera wiosną przypiął się do tej zamorskiej panny, co to uczyła panienkę – z pomalowanej na zielono skrzyni Kałużna wyciągnęła trzy ciemnobrązowe butelki. – Ale nawet jako chłopak to był okrutnik, jakich mało. Łapał zwierzątka i dręczył bez końca. Zajączki, wiewiórki. Od dzieciaków we wsi kupował małe kocurki i nurzał w tym bajorze w parku – machnęła ręką. – I dali mu taką żonę.

– Nie znałem jej.

– Czasami mnie odwiedzała. Przychodziła z tą swoją pokojówką. Karolka jej było.

– Tą, która zwariowała?

– Ano słyszałam, że tak gadają, ale wiary mi się w to nie chce dać. Z nich dwóch ona była ta równiejsza. To pani Lili była jak nie z tego świata. Najlepiej jej było, jak ten diabeł siedział w mieście. Mówiłam jej nieraz, co by go otruć, ale nie chciała.

Dla potwierdzenia wyzywająco skinęła głową. Do mózdzierza wsypała jakieś suszki i zapalczywie je rozcierała.

– Wreszcie ją zabił – oznajmiła.

– Zabił ją?

– Zabił jej ducha. Nie chciała żyć.

– Często ją widywaliście, matko?

– Ostatnio nie przychodziła – odpowiedziała niechętnie. – Tak jakoś od zimy.

Zasznurowała usta i Jan nagle się zainteresował.

– Czy przyszła tu... czy zwróciła się... – przerwał zakłopotany.

– Żeby jej pomogła pozbyć się dzieciaka? – przytaknął. Nie odpowiedziała. Podała mózdzierz Mateuszowi. – Rozcieraj. Ino mocno.

– Dlaczego nie wezwano was do pani Lili? – spytał kamerdyner.

– Dyc nie wiem. Ponoć jak chłopiec urodził się martwy, rzekłam: „Trza było mnie wezwać” – a widząc oszołomioną minę Jana, dodała: – Mówią, że tak powiedziałam Barbarze. I już do pani Lili mnie nie wezwali. Zresztą Barbara nie taka, co by dopuściła kogoś do pani. Przedtem nie była taka harda. Wszystkiego się ode mnie nauczyła. Ode mnie i pani Natalii.

Z półki zdjęła młynek, włożyła do niego rdzawe pałeczki i dała Janowi do mielenia.

– Wtedy co rusz wołali mnie do pałacu. Kordiał Jacentego jest przecie z tamtych czasów. Pani Natalia mnie do niego sprowadziła. Służba ma leki ode mnie, a pan Tercjusz – nalewkę orzechową. Tera Barbara beze mnie zbiera zioła. Wiem, bo ją spotkałam, jak zbierała bylicę w czas pełni, tak jak się należy. Też tam poszłam i gdy wracałam, widziałam, jak szła.

– Jest bardzo oddana panu Adamowi – Jan z zapalem kręcił korbką.

– To jej trza przyznać. Choć ma za co dziękować. Przygarnął ją, jak nie miała gdzie głowy złożyć, a gdy pani Natalia odeszła, Barbara zajęła jej miejsce – Kałużna sprawdziła stan zawartości mózdzierza i kazała Mateuszowi rozcierać dalej. – Wszystkiego dopilnuje, ino zazdrosna okrutnie o swój wpływ na jasnego pana.

– Nic dziwnego. Poświęciła mu całe życie.

– Prawda. I dla panienki dobra jak matka.

Kałużna położyła na stole płócienny woreczek z jakimiś suchymi drobinami. Morawski przerwał mielenie i powąchał. Pachniało siankiem.

– Co to?

– Nostrzyk. To rozwodni krew Jacentego.

Jan ponownie zaczął mielić. Uświadomił sobie, jak komicznie muszą wyglądać. W chatce siedzi dwóch postawnych mężczyzn w miejskich ubraniach, którzy sumiennie coś międlą i trą, gdy tymczasem między nimi kręci się jak fryga mała staruszka i wydaje wyrok na wszystkich razem i każdego z osobna. Pomyślał, że siedzą tam z Mateuszem jak dwoje dzieci w chatce u Baby Jagi. Jak Jaś i Małgoś. Zachichotał.

– Mówiłaś, matko, że chodzisz nocami i zbierasz zioła – zagadnął, a gdy przytaknęła, zapytał: – A tamtej nocy, gdy zginął młody, nic nie widziałaś?

– Przeca grzmiało i błyskało – wzięła się pod boki. – Czy ty, synku, myślisz, że ja z nieczystymi siłami się bratam?

Mateusz uśmiechnął się pod nosem na tego „synka”. Przyniosła inną małą skrzyneczkę i ustawiła na stole. Jan zajrzał. Wewnątrz były płócienne woreczki różnej grubości.

– Te zioła są najcenniejsze. Poświęcone na Matki Boskiej Zielnej – oznajmiła Kałużna i z jednej saszetki wysypała do słoja proszek. Potem dodała tego sianka.

Jan patrzył na nią. Ile mogła mieć lat. Pięćdziesiąt? Sto? Dwieście?

– Matko, czy ojciec pana Adama był wierny żonie?

– Był. I miłośnice też miał.

– To był wierny i miał kochanki? – zdziwił się Mateusz. Zabrała mu mózdzierz. Przesypała zawartość do słoja, razem z proszkiem zmielonym przez Jana.

– Najpierw miał krótko jedną żonę, potem drugą. A między nimi kochanki.

– A dzieci? Ale od tych kochanek?

– A tego nie wiem – przerwała swe zajęcie i się zastanowiła. – Matka by wiedziała, ale

dziesięć roków mija, jak zgasła – potrząsała słojem. – Coś mi się widzi, że z jedną był najdłużej. Ale ona miała męża.

– A pan Adam? Późno się ożenił, prawda?

– Szukał, aż znalazł najlepszą. Przedtem jego ojciec się martwił, że mu synową z tej Hameryki przywiezie, ale koniec końców ożenił się z panią Natalią.

Jan przyglądał się, jak Kałużna przesypuje zioła do czystej saszetki.

– Kto to zrobił, matko?

– Każdy mógł.

Do butelki Jacentego odmierzyła w równych ilościach płyny ze swoich trzech flaszek, zakorkowała i wymieszała.

– Ty to trzymaj – podała Mateuszowi. – Nikomu nie dawaj. Rano, w południe i wieczór niech pije. Łyżkę. I tak trzy dni. A potem rano i wieczór. Też trzy dni. A potem tylko wieczór. Pilnuj jak oka w głowie.

Sznurkiem zawiązała woreczek.

– A łyżkę tego parzyć. I pić. Cały dzień po trochu. Aż się wszystko wypotrzebuje. A pocukrujcie mu, bo kora wierzby okrutnie jest gorzka.

– Dziękuję, matko.

– Niech ci Bóg wynagrodzi, żeś się o dobrego Jacentego zatroszczył – Mateusz nic nie powiedział, a tylko schylił głowę, jak przy błogosławieństwie. – A Felicji powiedzcie, żeby mu cebuli dawała. Cebula rozpuszcza krew.

Wyszli na próg. Spojrzała na Jana:

– A tobie powtórzę, że każdy mógł. Nic mnie nie zdziwi. Od początku świata brat zabijał brata.

## Rozdział 26.

Mateusz żwawym krokiem szedł przez park, z taką pieczołowitością niosąc butelkę, jakby to był eliksir nieśmiertelności. Morawski włókł się za nim, wyraźnie zafrasowany. Wreszcie kamerdyner zainteresował się nastrojem swego pracodawcy.

– Myślałem, że będzie pan zadowolony. Uleczyła pana i uleczy Jacentego. To okropnie mądra kobieta.

– Tym się właśnie martwię. Skoro ktoś taki bierze pod uwagę, że to Edward zabił... – Jan pokręcił głową. – Ona wie wszystko, Mateuszu. Wszystko widziała. Wszystko rozumie. Wszystkiego doświadczyła.

Z Mateusza jakby lekko uszło powietrze. Zwolnił kroku i po chwili spytał:

– A te słowa Kałużnej? Być może naprawdę pani Lili poprosiła ją o... usunięcie problemu?

– Tego się nie dowiemy. Jeśli ojcem był Edward, mogła się zwrócić do mądrej o pomoc, bo mąż nie uwierzyłby w swe ojcostwo, skoro nie dzielili sypialni. A jeśli ojcem był Adam, to znaczy, że doszło do gwałtu i Lili chciała usunąć ciężę, by nie rodzić jego dziecka. To chyba nie ma znaczenia i najlepiej w ogóle o tym nie myśleć.

W holu spotkali Mariusza z Tercjuszem.

– Obiecałeś jej – mówił pan Poniński. – Specjalnie prosiła, żebyś przyjechał.

– Czy te morele nie mogą być dostarczone w poniedziałek?

– Potrzebuje ich na jutro, bo spodziewa się gości.

– Przecież wiesz, że po tym wczorajszym nie mogę tam jechać – wiał się stary kawaler.  
– Ona mnie napadnie i ze strachu zgodzę się na wszystko.

– Odpowiadałoby mi, żebyś pojechał, bo mam list do Eustachego.

– Ja chętnie pojedę – włączył się Jan, węsząc szansę na odkrycie charakteru stosunków łączących Mariusza z Bocheńskim.

Pan Adam nie zgodził się od razu.

– Waham się, bo i tak zamierzałem prosić pana o przysługę. Przyjadą dzisiaj policjanci. Nie wiem, jak długo tu będą, ale wolałbym, aby w czasie ich pobytu w domu nie było Natalii.

– Co byś powiedział, Janie – odezwał się pan Drojewski – gdybyśmy zorganizowali sobie piknik w parku?

– Bardzo chętnie.

– Wspaniale!



– A czy ja też mógłbym mieć prośbę? – spytał Morawski, a gdy senior z zapalem przytaknął, wyjaśnił: – Jacenty w nocy nie czuł się najlepiej. Byliśmy...

– Coś poważnego?

– Prawdopodobnie lekki atak apopleksji – Mariusz wymienił niespokojne spojrzenia z Tercjuszem. – Byliśmy u tej zielarki i Mateusz ma specjalne lekarstwo.

Senior mocnym głosem polecił stojącemu z boku kamerdynerowi:

– Niech Mateusz mu powie, że zakazuję mu pracować. Na razie przez tydzień.

– Dziękuję. O to chciałem pana prosić – skłonił się gość. – Pójdę po kapelusz i marynarkę i jestem gotowy.

Mateusz chciał jak najszybciej udać się do Jacentego, więc w sypialni Jan powiedział mu tylko:

– Będziesz miał dostęp do sypialni służących. Rozglądaj się za tymi ampułkami po narkotyku. I postaraj się dowiedzieć więcej o Serpentyńce.

Gdy po chwili Morawski wrócił do holu, czekał na niego sam Tercjusz.

– Janie, ozłocę cię.

– Nie chcę złota. Chcę statutu ordynacji.

– Pędzę – rezydent poderwał się z ławeczki niczym piłka. – Gdy wrócisz, wszystko będzie jasne.

Było jeszcze goręcej niż poprzedniego dnia. Niebo przybrało ten głęboki odcień, jaki Jan widywał dotąd tylko nad pustynią. Na szczęście upał nie okazał się bardzo dokuczliwy, gdyż drogi majątku obsadzone były drzewami, a pola otoczone lasami, które pełniły funkcję parawanów zabezpieczających uprawy przed wiatrem.

Szybko dojechali do typowego polskiego dworu. Budynek był rozłożysty, parterowy, pomalowany na biało, a spadzisty dach pokrywała dachówka. Zatrzymali się przed czterokolumnowym portykiem. Jan wysiadł, a stangret odjechał, by przy kuchennym wejściu wyładować przywiezione owoce.

Morawski podszedł do otwartych na oścież drzwi i zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Wszedł do sieni, zajmującej oba trakty na osi budynku. Zawołał ponownie. Nic. Skręcił w lewo i przez białe drzwi wkroczył do niskiego salonu.

Zobaczył siedzącą na berzerce Teklę i naraz wszystko zaczęło się dziać jedno po drugim. Kobieta uniosła wzrok, a na jej twarzy pojawiła się panika. Jan stał dość daleko, salon był mroczny, a poza tym dzieliło ich mnóstwo przedmiotów, ale mimo to dostrzegł, że spłoszona biedaczka odrzuciła na sąsiedni fotel to coś, co trzymała w dłoni. Ruszył do przodu. Wtedy od strony sieni rozległ się ten głos z sennego koszmaru:

– Hanka! Czemu statory ciągle na kredensie? Bierz się za te klunkry! Co za dziewucha! Stachu! Kto tej glajdy tu naniósł! Do roboty, bo was na zbity pysk powywalam! [25]

Głos się przybliżał. Jan próbował oddalić się od nadciągającej burzy, wchodząc w głąb salonu. Wtedy zobaczył, co chowała Tekla. Na fotelu, częściowo zakryta poduszką, leżała

książka. Ciężkie kroki były tuż, tuż. Rzucił na zakazany tom swój kapelusz i odwrócił się do wchodzącej. Odwrócił się i oniemiał.

To była ona i nie ona. Miała na sobie flejtuchowaty fartuch, okrywający jakąś nie pierwszej świeżości halczynę, i chustkę na głowie. Właśnie, co z tą głową było nie tak? Jakaś taka... nedorobiona. Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zdziwione. Krzyknęła: „Ach!”, skromnie ściągnęła poły okrywającego ją gałgana i czmychnęła. Jan podniósł kapelusz i podał Tekli książkę. Dostrzegł jeszcze tytuł: *Anioł śmierci*.

Wstała i upchnęła nielegalny towar pod siedziskiem swego fotela. Wyglądała na przerażoną, a niebieska suknia wisiała na niej smutnie. Wskazała mu fotel.

Cofnął się i potrącił gerydon, na którym stała waza z suszonymi kwiatami. Złapał ją w ostatniej chwili, zahaczając przy tym o rzeźbę pasterki stojącą na konsolce. Zastygł. Bał się ruszyć. Znajdował się w gąszczu drobnych przedmiotów: na szafkach, stoliczkach, etażerkach stały wazoniki, porcelanowe naparstki, miniatury, flakoniki, kamyki, bursztyнки, szklane pieski, kotki i papużki, poduszeczki na szpilki, zwierciadełka, wachlarze, haftowane i koralikowane umbrelki i abażurki, ekraniki i futeraliki, poduszeczki do igieł, schowanka na szpilki, wycieraczki do piór i podstawki na bilety, a do tego każdą powierzchnię pokrywały makatki, serwetki, koronki, kłęby chwostów – i wszystko to urządziło zamach na niego i jego ledwo odzyskaną koordynację ruchową.

Przyciągnął kurczowo łokcie do boków i usiadł na brzeżku fotela, skromnie ściskając kolana niczym pensjonarka.

– Pan pewnie pomyśli – zaterkotała Tekla – że ja jestem okropna. Bo widzi pan, ja tak lubię romantyczne historie, a Eufemia uważa, że powinnam poświęcać czas na rozwijającą lekturę, ale ja z tych mądrych dzieł nic nie rozumiem. Co innego ktoś tak wybitny jak moja siostra. Ona w mig przenika te książki i czasopisma. Eufemia jest naprawdę wyjątkowa, nie uważa pan?

– O tak – gorliwie przytaknął Jan. – Zdecydowanie wyjątkowa.

– Moim zdaniem posiada wszelkie cnoty. I jest taka mądra. Zupełnie nie pojmuję, jak ktoś tak niemądry jak ja może być siostrą tak wybitnej osoby – popatrzyła na gościa, ale on nie umiał jej odpowiedzieć. – I jest taka odważna. Niczego się nie boi. Ja nigdy nie ośmieliłabym się tak przemawiać do tego groźnego pana Ponińskiego jak ona. Na pewno zwrócił pan na to wczoraj uwagę, prawda?

– Rzeczywiście, nie nazwałbym pani siostry tchórzem.

– Eufemia zaraz przyjdzie. Jestem pewna. I przyjadą państwo Chomaccy. Eufemia wezwała ich w tej ważnej sprawie. Ona chyba ma rację, że coś należałoby z tym zrobić. Oczywiście, ona wie najlepiej. A potem zajmijmy się tymi morelami od pana Ponińskiego. I niedługo dojrzeją te pyszne renklody. Co roku konserwujemy je w cukrze. Po kijowsku. Jak czytałam *Ogniem i mieczem* i była mowa o Kijowie, to dziwiłam się, że nie jedzono tam tych owoców. Może nie mieli czasu między tymi wszystkimi bitwami. Pytałam o to Eufemię i powiedziała, że mężczyźni nie lubią słodczy. Ja najbardziej nie lubię zimy. Trzeba chodzić w kaloszach i jest pełno śniegu, i dymią kominki, i nie ma świeżych jajek. A tak trudno spiera się sadzę, prawda? Pani Kociejewska stosuje maślanę, choć tylko do koronek. Widziałam ostatnio piękną na kołnierzyku pani

Karoliny. Może zwrócił pan uwagę? Była w niej, kiedy się zachwycała tą pieczenią. Ja nie słyszałam dokładnie. Wtedy bolał mnie ząb, bo właśnie skończył się pieprz. Myśli pan, że państwo Chomaccy zgodzą się z moją siostrą?

Jan nie miał zielonego pojęcia, o czym ona mówi, ale żadne z nich nie zmierzało do wyjaśnienia tej kwestii: ona dlatego, że żyła w przekonaniu, iż wszyscy mają taką jak ona zawartość umysłu, on dlatego, że się obawiał, by na skutek jej wyjaśnień zawartość jego umysłu faktycznie nie stała się podobna do jej.

I plotła coś dalej i dalej, jakby Morawski wiedział wszystko o jej sprawach, znał każdego jej znajomego i w lot orientował się w jej wypowiedziach.

Zjawiała się pani domu. W gościowym stroju i gościowych manierach.

– Witam serdecznie. Nie spodziewałam się łaskawego pana, gdyż to pan Tercjusz obiecał nam wczoraj solennie, że się tu zjawi.

– Niestety, nieoczekiwane zajęcia zatrzymały go w pałacu. Bardzo żałował.

Stała w pozie diwy operowej, złożyła dłonie i słodko się tłumaczyła ze swego wielkiego *entrée*:

– Rozumie pan, że oczekując jego przyjazdu, mogłam sobie pozwolić na bardziej... nieformalny strój.

Jan poczuł, jak unosi mu się lewa brew. „Nieformalny”?

Wskazała gościowi miejsce i usiedli:

– W końcu będziemy spowinowaceni – uśmiechnęła się rozkosznie i na tyle szeroko, że z boku błysnął złoty ząb.

Tekla siedziała beztrosko, najwyraźniej niczego nie pojmując, a Morawski postanowił ją naśladować:

– Pan Drojewski nie wspominał mi o żadnych tego typu projektach.

– Wie pan przecież, jaki to delikatny i subtelny człowiek. Marzyłam od lat, żeby go połączyć z Teklą... – tamta się usztywniła, wyprostowała i zatrzepotała rzęsami.

– Ależ, ależ...

– Tylko proszę bez hysterii! – ton nie był już lukrowany, a raczej stalowy. – O, ktoś chyba przyjechał. Idź i zobacz kto.

Posłuszna panienska podreptała do drzwi, a Jan podsunął:

– A zatem od lat marzyła pani...

– Aby ich połączyć. Jestem jednak opiekunką mojej siostry, więc muszę troszczyć się o jej sprawy, a wszyscy wiedzą, że pan Tercjusz jest goły jak święty turecki. Jednak w obecnej, zmienionej sytuacji...

– W zmienionej sytuacji...?

– Myślę, że jest pan przyjacielem domu, więc możemy mówić otwarcie – uśmiechnęła się przesłodko i położyła mu upierścienioną dłoń na przedramieniu. – Mały ptaszek

zaćwierkał mi do uszka, że pan Tercjusz może stać się bardzo majątnym człowiekiem – zagruchała.

– Czy ten ptaszek ma na imię Nela, czy Seweryn? – po tym pytaniu pani domu miała bardzo głupią minę. Niestety, konieczność udzielenia odpowiedzi została jej oszczędzona, gdyż do salonu weszła Tekla, prowadząc jakąś parę.

Dokonano prezentacji i Jan poznał tajemniczych państwa Chomackich. Wyglądali na rozsądnych i przyjemnych ludzi, ona około czterdziestki, on jakieś dziesięć lat starszy.

– Bardzo byliśmy pana ciekawi – wyznała pani Chomacka, szatynka o wielkich, marzycielskich oczach. A widząc konfuzję skomplementowanego, wyjaśniła: – Jerzyk tyle o panu mówił.

– Jerzyk? – Morawski robił przegląd poznanych w okolicy Jerzyków bądź jerzyków tudzież jeżyków. – Izio?

Miła pani się rozpromieniła:

– Natalia go tak nazwała.

– Doskonale się składa, że poruszyliście państwo ten temat – oznajmiła im gospodyni, a Jan dostrzegł cień strachu na twarzy pani Chomackiej. – Zaraz się tym zajmiemy. O, jest Eustachy. Powiedz naszym gościom „Dzień dobry”. Gdyby nie ja – z ubolewaniem pokręciła głową – to nie wiedziałby, jak się zachować.

Nastąpiły powitania z milczącym panem domu, ubranym w kolorze bawarki, dokładnie takim samym, jak reszta jego osoby.

Pani Eufemia wskazała przejście przez sieni:

– Usiądziemy tam.

Wyszli na taras z tyłu domu i usiedli wokół stołu. Na blacie stała patera z czereśniami, salaterki, talerzyki i łyżeczki. Eufemia bez pytania ponakładała owoce na talerzyki i zachęciła:

– Proszę się nie krępować, jesteśmy tu sami swoi.

Jan zjadł tylko kilka czereśni. Były, co prawda, wyśmienite – słodkie, soczyste, jeszcze ciepłe od słońca – ale wolał nie eksperymentować ze swym zmaltretowanym żołądkiem, więc poprosił o kawę. Pani domu wyglądała na niezadowoloną tym wyłamywaniem się, ale cóż – „gość w dom, Bóg w dom” – poszła więc polecić biednej Hance, by przygotowała zamówiony napój.

Morawski pił kawę i przyglądał się gospodyni. Nareszcie skojarzył, dlaczego jej głowa w pierwszej chwili wydała mu się za mała. Już wiedział, co nie grało. Włosy! Poprzedniego dnia w pałacu spod kapelusza wymykały się soczyście czarne anglezy; gdy weszła w chustce, mógłby przysiąc, że pod nakryciem głowy miała niewiele, by nie rzecz – nic. Teraz spod czegoś przypominającego turban widoczne były jasnobrązowe loczki. A zatem nosiła dopinki. Z trudem opanował wybuch radości.

– Chłopcy wyrywają sobie pańską gazetę – zwrócił się pan Chomacki do Jana.

– Z tego, co zrozumiałem, Teoś jest sierotą, prawda? – przytaknęli. – I spędza

u państwa wakacje?

– Tak, od wielu lat. Przyjaźni się z naszym synem.

– A Gucio?

– Gucio jest u nas pierwszy raz – odpowiedziała pani Chomacka. – Chłopcy poznali go na stacji chyba rok temu. Gdy przyjechali na Wielkanoc do domu, Teoś czymś się gryzł, a my nie wiedzieliśmy, o co chodzi. W końcu się okazało, że matki Gucia nie stać na utrzymanie go na stacji i opłacanie szkoły przygotowawczej. Teoś napisał więc do swego mecenasa... jak on go nazywa?... Tak śmiesznie. Doktor jakiś tam. W każdym razie poczciwy człowiek przyznał Guciovi stypendium, pod warunkiem że chłopiec pójdzie do gimnazjum realnego.

Pan Chomacki pokręcił głową:

– Przecież gdyby chłopak mi powiedział...

– Wiesz, jak on się wzdraga przed przyjmowaniem jakiegokolwiek pomocy od ciebie. Uważa, że dosyć robimy, zapraszając go na wakacje i święta.

Jan pił drugą kawę, a pozostali cały czas pochłaniali czeresienkę za czeresienką.

– Mamy niewiele czasu, bo... – zaczęła pani Chomacka.

– Właśnie – ruszyła pani Eufemia, przyjmując ten sam bojowy ton, który prezentowała poprzedniego dnia. – Po to was wezwałam. Musicie ukrócić to strzelanie. Musicie. Jeżeli pan nie jest w stanie przemówić chłopcom do rozsądku – to było do pana Chomackiego – ja to zrobię.

– Droga pani, chłopcy umieją strzelać. Sam ich szkoliłem. Nie tylko z dubeltówki, ale także z pistoletu do tarczy.

– Dzieciom nie można ufać.

– Jerzyk i Teoś są odpowiedzialni, a Gucio bez nadzoru nie bierze broni do ręki.

– Ktoś może przechodzić i przelęknie się hukem.

Tekla przyłożyła dłoń do wklęsłej piersi:

– Ja tak strasznie boję się strzałów. I burzy. Tamta ostatnia burza była taka okropna. Wtedy, kiedy zastrzelono pana Adama. I do tego zostawiliście mnie zupełnie samą.

– O czym ty mówisz? – nastroszyła się groźnie Eufemia.

Tekla nie ośmieliła się z nią dyskutować, ale zaapelowała do Eustachego:

– Nie pamiętasz, drogi szwagrze? Wyszedłeś przed wieczorem...

– Ależ byłem w domu – zdołał z siebie wydobyć.

– Nie, nie. Jestem zupełnie pewna. Bałam się burzy i poszłam do ciebie, a ciebie nie było. A Eufemia już przedtem wyjechała i wróciła dopiero rano. Gdy przestało padać. Pamiętasz, siostrze?

Pani Eufemia wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować: zrobiła się czerwona, wydeła policzki i wojowniczo oparła dłonie o podłokietniki. Tekla, zdenerwowana

własnym nietaktem, rozłupała jeden owoc, spojrzała i się zdziwiła:

– O, tu jest robak.

Pochylili się jak na komendę. Rzeczywiście, był. Ślicznie różowy, kolorystycznie idealnie dopasowany do miąższu czereśni, wił się apetycznie tuż przy pestce. Wyglądał bardzo smacznie. Rzucili się do pozostałych owoców i otworzyli je wszystkie. Sto procent czereśni miało lokatora. Spojrzeli na stos pestek po zjedzonych owocach i poczuli, jak zaczyna im się przewracać w żołądkach.

Państwo Chomaccy podnieśli się z dziwnymi minami i szybko pożegnali.

Bynajmniej niespieszona robakowym incydentem Eufemia oświadczyła Morawskiemu:

– Z panem też mam do porozmawiania. Ale nie tu. Przejdźmy do salonu. Tekło, ty zostań. To, co mam do powiedzenia, nie nadaje się dla panięskich uszu.

Weszli do zatłoczonego salonu. Jan stanął przy konsolce, gdyż tylko tam znalazł dla siebie miejsce. Niestety urządzono w tym zakątku ekspozycję fotografii z Eufemią w roli głównej i musiał wysłuchać opisów jej zdjęć z Eustachym, z działaczami misyjnymi, politycznymi i społecznymi, a także pamiątek z wizytacji ochronek, szkół gospodarstwa domowego i freblówek. Przy okazji zademonstrowała mu galerię portretów rodzinnych, na których wszyscy mieli te same rysy, ale Jan nie wiedział, czy była to kwestia podobieństwa rodzinnego, czy nikłych umiejętności malarza.

W końcu usiedli i pani Eufemia przeszła do rzeczy:

– Wczoraj nie chciałam być nietaktowna i nie poruszyłam tego tematu przy panu Ponińskim, ale pomyślałam, że skoro zajmuje się pan tą sprawą, to powinnam podzielić się z panem moimi obserwacjami.

– Bardzo pani uprzejma, ale...

– Oczywiście, wiadomo, jaki z młodego był gagatek. Od lat cały Poznań o tym huczał. Wie pan, o co chodzi? – Jan niepewnie skinął głową. – Choć ja osobiście nie dziwiłam się, że spędza czas poza domem. Przecież ta Lili była bez ikry, bez energii, bez inicjatywy. A do tego strachliwa, że szkoda mówić. Wystarczyło głośniej się odezwać, a trzęsa się jak galareta. Brakowało jej woli życia i dlatego nie zniosła trudów porodu.

– Doprawdy? – Morawski się wściekł. – Pani z pewnością poradziła sobie świetnie?

Ściągnęła usta, odchrząknęła, lecz po chwili mówiła dalej:

– Zresztą dobrze, że pan Adam sprowadził taką synową, bo Barbara łatwo nie oddałaby zarządu domem. Z Lili się zgodziły, bo młoda pani nie była niczym poważnym zainteresowana. Dla niej liczyły się tylko te jej urojenia, wie pan, o co chodzi? – nie wiedział. – A jeśli mowa o Edwardzie, to jest taki spokojny jak mój Eustachy. Na pewno nie zabił brata. Powiem panu, kto to zrobił – nachyliła się i rozejrzała. – Ta guwernantka. Junior latał za nią jak za kobietą lekkich obyczajów. A ona była cudzoziemką i do tego nie katoliczką. Zawsze powtarzam: nie wpuszczać guwernantek do domu. Są niebezpieczne. Sprowadzają mężczyzn na złą drogę – pani Eufemia po raz kolejny udowodniła, że nikt nie oceni kobiety równie surowo jak druga kobieta. – To ona. Sam się pan przekona.

– Ale wyjechała kilka miesięcy temu.

– Mogła wrócić. A jeśli to nie ona, to na pewno ten Żyd, który pożyczał młodemu pieniądze.

– Skąd pani wie, że Żyd?

– Skoro pożyczał pieniądze, to musi być Żyd. A wszyscy wiedzą, że Adam zadłużał się na lewo i prawo i zastawiał, co się da. W Lesznie u jednego jubilera widziałam kolczyki, które nosiła najpierw nieboszczka Natalia, a potem Lili.

Jan mało dyskretnie zerknął na zegar stojący na gzymsie kominka. Chronometr był tak ozdobny, że z trudem udawało się na nim znaleźć wskazówki, a co dopiero ustalić, którą godzinę pokazują, Morawski jednak udał, że dokonał tego cudu.

– Och, jak późno! Muszę się już...

– No i powinien pan przyjrzeć się tym chłopakom. Zwłaszcza tym dwóm sierotom. Młodego Chomackiego może pan wykluczyć. Rodzice, co prawda, nieobowiązkowi, lecz to poczciwi ludzie. Ale ta dwójka przybłądów... – pokręciła głową złowieszczo.

Jan wstał. Pani Eufemia sypała mordercami jak z rękawa i gość zaczął się zastanawiać, czy na równi z siostrą nie rozczytuje się ukradkiem w arcydziełach literatury brukowej.

– I mógłby pan sprawdzić – wpadła na kolejny pomysł – co tamtej nocy robiła Barbara. Jest dumna z Ponińskich bardziej niż sam pan Adam. Mogła chcieć zemścić się w jego imieniu za tę hańbę.

– Pani Barbara cały czas była razem ze służbą. Ale o ile pamiętam, nie udało nam się ustalić, gdzie pani wtedy była...

– Jak to gdzie? Ależ w domu – gość znacząco spojrzał na taras i Teklę. – Ach, o to panu chodzi. Tekla nie wie, co mówi. Byłam w domu – wstała nerwowo i spojrzała na bibelot udający zegarek. – Och, jak późno!

– A pani mąż?

– Mój mąż też. Też był w domu. Zresztą – ruszyła w stronę tarasu – proszę na niego spojrzeć. Czy on wygląda na kogoś, kto się włóczy po nocy?

Morawski poszedł za nią. Postanowił wyjechać, bo czuł, że od pani Eufemii i tak nic nie wyciągnie.

Na krzeselku siedziała Tekla, która z dłońmi splecionymi na podołku i przyklejonym do twarzy uśmiechem jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominała woskową laleczkę. Eustachy zajmował ten sam fotel, co przedtem. Ale coś się zmieniło. Tam, gdzie przedtem piętrzył się stos przekrojonych czereśni, w których komisyjnie stwierdzono obecność robaków, leżały same pestki.

– Pan Eustachy chyba je zjadł – szepnął Jan w oszołomieniu.

Pani Eufemia przez chwilę wpatrywała się w małżonka, po czym stwierdziła rzeczowo:

– Zawsze był mięsożerny.

Morawski uznał, że naprawdę musi już jechać.

Pożegnał się i pani domu z wyraźną ulgą odprowadziła go do wyjścia. Gdy powóz odjechał sprzed dworu, Jan przypomniał sobie, że nie oddał Bocheńskiemu wiadomości od seniora. Droga była wąska, polecił więc stangretowi, by poczekał, a sam się cofnął.

Wyszedł z za drzew ograniczających aleję i znalazł się na skraju okrągłego podjazdu przed domem. Do słupka przy ganku przywiązany był koń, a Eufemia, rozglądając się uważnie na boki, wprowadzała do sieni mężczyznę w jasnym płaszczu.

Morawski ruszył w stronę dworu z zamiarem odkrycia tożsamości gościa.

Niestety, tuż przy gazonie natknął się na Eustachego.

– Zapomniałem przekazać panu listu od pana Ponińskiego! – zawołał Jan.

Liczył, że może gospodarz uczyni jakąkolwiek wzmiankę, która rzuci światło na jego stosunki z Mariuszem. Eustachy jednak, jak to Eustachy, w ogóle nie zareagował. Schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki, podał Janowi dłoń i uprzejmie wskazał mu kierunek odwrotu.



## Rozdział 27.

Jan szybko przebierał się w wygodniejsze ubranie, bardziej odpowiednie na piknik. Jednocześnie wypytywał Mateusza:

– Co z Jacentym?

– Nie zgadza się odpoczywać, więc umówiłem się z Florianem, że posadzi go w cieniu i każe mu wiązać w pęczki lawendę ściętą do suszenia.

– A szukałeś ampułek? – kamerdyner pokręcił przecząco głową. Jan westchnął. – Może je wyrzucono?

– Wyrzucono? W Wielkopolsce? Coś tak cennego jak buteleczki? Niemożliwe. Na pewno do czegoś je wykorzystano. Po prostu musimy je znaleźć.

– Myślisz?

– Jestem pewien. Przecież oni tu niczego nie marnują. Przez cały rok zbierają potłuczone naczynia gliniane i po roztopach zasypują nimi dziury w drogach.

Morawski zlekceważył podaną mu przez Mateusza marynarkę i zasugerował:

– Może zmienisz ten mundur na coś lżejszego? – usłyszawszy tak niestosowną propozycję, kamerdyner zacmokał, więc Jan machnął ręką. – Jak sobie chcesz.

Zeszli do holu. Tercjusz również wystąpił w stroju formalnym, natomiast Natalia – na szczęście nie. Tańczyła w różowej sukience i fartuszkę w kratkę, powiewając rozpuszczonymi włosami. Towarzyszyła im pani Barbara.

– Nie włożyłam jej pończoch. Gdyby pojawiła się pani Eufemia, niech pan gdzieś schowa małą.

– Będziemy uciekać razem – Jan uniósł minimalnie nogawki, demonstrując swoje ulubione miękkie indiańskie buty, wykonane przez pana Aldena w Nowej Anglii. – Ja też mam gołe stopy.

Zaśmiała się, ale spojrzał na nią z uwagą. Była wyraźnie spięta. Nerwowo pocierała wnętrze dłoni, ale nie dziwił się temu, świadom, że nikt nie lubi, gdy policja zaborcy wchodzi na jego teren.

– Słyszałam, że był pan u Kałużnej – zagadnęła.

– Trochę się obawiałem, że pani tego nie zaaprobuje.

– Ale dlaczego? – uśmiechnęła się lekko. – Nie mam do niej o nic żalu, choć czasami nie mówi o nas najlepiej. Nie wzywamy jej tak często jak kiedyś, więc stała się zazdrosna o swe dawne wpływy.

Na ławie stały dwa kosze.

– Koce, zestaw do gry w kroieta i naczynia są na miejscu – wyjaśniła pani Barbara.

– Idziemy do altanki? – chciała wiedzieć Natalia.

– Tak – odpowiedział Tercjusz, a Janowi wyjaśnił: – To jej ulubione miejsce. Organizujemy tam wszystkie pikniki.

– Będziemy się bawić w szukano? – dopytywała się dziewczynka.

– Będziecie. Ty i wujcio Jaś. Zawsze mnie zmuszasz, bym cię szukał, ale dzisiaj ja będę sobie leżał na kocyku i ktoś inny będzie cię szukał.

– Tak, tak, tak – każde słowo potwierdziła podskokiem.

– Idziemy, drodzy państwo – Tercjusz wstał i uniesieniem pięści dał sygnał do odmarszu. – Nie mogę doczekać się chwili, gdy rozpoczniemy ucztę.

Mateusz podniósł jeden kosz, Jan drugi.

Wyszli przez taras. Pierwszy odcinek pokonali alejką pomiędzy kwaterami różnokolorowych kompozycji róż, obwiedzionych przystryżoną bordiurą z bukszpanu, a potem przez trawnik doszli do parku. Po prawej stronie minęli centralną aleję lipową i dotarli do okrągłego budyneczku z cegieł i kamieni polnych, który tkwił do połowy zanurzony w niewielkim kopcu.

– Oto ta lodownia – wskazał Tercjusz – która tak cię interesowała. Wystarczy zimą wyrąbać lód ze stawu i złożyć go w tej ziemiance. Niska temperatura utrzyma się do następnej zimy. Można tu przechowywać mięso lub brać lód potrzebny w pałacu.

– Dziadzius obiecał na dzisiaj lody – przypomniała Natalia.

Morawski wszędzie widział przygotowania do niedzieli. Młodzi ludzie gracowali i walcowali ścieżki, kosili trawę, podlewali kwiaty na gazonach, przycinali krzewy sobie tylko znanymi sposobami.

– Zawsze przeraża mnie ogrom pracy, którą trzeba włożyć w próby okiełznania natury – Jan patrzył na to oszołomiony.

Z każdą chwilą upał się wzmagał – nawet ptaki zamilkły i tylko gdzieniegdzie słychać było bzyczenie pszczół.

Przy stawie natrafili na seniora. Jego koń stał spokojnie nieopodal, a pan Poniński debatował z jakimś pracownikiem, chyba rybakiem. Przerwał rozmowę i do nich podszedł.

– Właśnie wracam do pałacu, bo zaraz mają przyjechać – wiedzieli, kim są ci „oni”.

– Piękny staw – wyznał Jan. Od razu nabrał ochoty na pływanie, obawiał się jednak, że jest to zbiornik hodowlany. Kolejne słowa seniora zniszczyły nadzieje na kąpiel.

– Znowu mamy kłopoty z zakwitem wody. Czytałem ostatnio *Das Süßwasserplankton* i autor twierdzi, że niektóre ryby żywią się planktonem. Koniecznie musimy je tu sprowadzić i wpuścić. Ale to dopiero w przyszłym roku. Teraz woda jest już za ciepła na zarybianie.

Mężczyzna stojący na drugim brzegu stawu coś zawołał, a wtedy senior skinął im głową, dosiadł konia i odjechał.

Szli wolno dalej. W parku wykorzystano naturalne ukształtowanie terenu, poddając dzieło natury wyłącznie minimalnej korekcie. Aleje wiły się między drzewami, a park stopniowo przechodził w las. Zrobiło się chłodniej, ciemniej, a dzięki pojawiającym się słonecznym prześwietleniom – bardziej bajkowo i tajemniczo.

Piknikowiczom humor dopisywał: Mateusz z wyczuciem gwizdał *Marsz Radeckiego*, a idący na czele kolumny Tercjusz nucił tę samą melodię, wydając z siebie odgłosy przypominające dźwięk puzonu.

Doszli do polany, na skraju której stała wspiana glorieta, cała oblepiona liliowymi kiściami glicynii. Wewnątrz znajdowała się umocowana wzdłuż ścian ławeczka, ale woleli rozłożyć się na kocach na murawie.

Tercjusz zrzucił z siebie swój codzienny, mocno sfatygowany tużurek i przystąpił do rewizji przyniesionych kosztów. Znalazł w nich typowe piknikowe dania: kawałki piezzonego kurczaka, bułeczki, paszteciki, szampana i soczek dla małej abstynentki, a na deser poziomki, maliny i śmietanę.

Atmosfera stała się na tyle swobodna, że udało im się namówić Mateusza, by zdjął tę swoją ciemną marynarkę razem z pozą kamerdynera doskonałego i zniżył się do ich poziomu.

Kolejna godzina była samą doskonałością. Jedli, gawędzili, śmiali się, milczeli, a Tercjusz poza tym pił szampana, którego mieszał z jakimś wzmacniaczem, przyniesionym w piersiówce. Natalia biegała, czasami coś jadła. Szybko znudziła się bezczynnością i zbierała w pobliżu stokrotki, z których plotła wianek. Wróciła, nadaremnie próbując wyszarpać jakieś czepliwe kulki, które wplątały się w jej rozpuszczone włosy. Oswobodził ją Mateusz, a wtedy przypomniała im obietnicę zabawy w chowanego.

Kamerdyner krytycznie spojrzał na długie sploty dziewczynki.

- Trzeba coś z tym zrobić.
- Ja się na tym nie znam – oznajmił Tercjusz, opróżniając kolejny kieliszek.
- Pan Jan ma najwięcej do czynienia z kobiecymi koafiurami – niewinnym tonem zauważył Mateusz.

Morawski rzucił mu wściekłe spojrzenie i już chciał przywołać go do porządku, ale dziewczynka ustawiła się przed nim:

– To mnie uczesz.

Rozdzielił pasma i próbował zapleść warkocz. Miała tak cieniutkie włosy, że przekładając sploty, odruchowo zaciskał szczęki. Skończył i był naprawdę dumny ze swego dzieła. Zawiązał koniec warkocza i odwrócił elegantkę przodem, a wtedy wszyscy trzej panowie od razu zauważyli, że przedziałek nie znajduje się równo nad nosem.

- Nie zaplatam od początku – oświadczył Jan stanowczo.
- To może przesun jej nos – poradził Tercjusz niczym prawdziwy Salomon.

Morawski zignorował te przytyki i sięgnął po kolejnego pasztecika. Maślane ciasto rozdzielało się na tysiące warstw i kryło w swym wnętrzu mięsno-grzybowe nadzienie.

Położył się na kocu i przymknął oczy. Powinien zająć się sprawą morderstwa. Ale było tak cudownie. Tak bez troski. Chciał wyzyskać tę chwilę do końca.

– A szukano? – odezwał się mały uparciuch.

Westchnął i się podniósł. Obietnica to obietnica. Tercjusz zachichotał. Przez cały czas rzącał się przyniesionym trunkiem i w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przypominał pana Pickwicka na pikniku – oblicze rozjaśniał mu błogi uśmiech, oczy lśniły, a do tego coś sobie nucił pod nosem. Brakowało tylko taczki.

Niespodziewanie oświadczył:

– Dzisiaj ja się chowam z tobą, malutka, a wujek będzie nas szukał. To mi przypomni dawne czasy. Tylko że wtedy to się nazywało „bawić się w skrytki”.

Wstał z pomocą Mateusza, złapał równowagę i chwycił dziewczynkę za rękę. Rzucił Janowi na pożegnanie:

– Licz do trzydziestu i szukaj.

Mateusz patrzył na oddalającą się parę i spytał niepewnie:

– Myśli pan, że to bezpieczne?

– Tak, przecież to pałacowy park. Co mogą narozrabiać?

Usiadł. Przez chwilę słycać było milknące głosy. Zjadł jeszcze jedno słone ciastko, oblizał palce i wstał.

– Idę.

Gdy był już między drzewami, usłyszał krzyk. Zaczął biec w stronę, skąd dochodził głos. Zobaczył Natalię. Stała przed kępą paproci, którą z trzech stron otaczały jakieś cierniste krzewy. Pierzaste liście kotłowały się, jakby poruszano nimi od spodu. Stamtąd dobiegało rozpaczliwe wołanie:

– Pomocy! Pomocy!

Morawski odsunął dziewczynkę i rozgarnął rośliny. Wtedy dotarł do nich Mateusz. Zobaczyli tylko górną połowę ciała Tercjusza. Nogi tkwiły gdzieś pod ziemią. Namacawszy stopami grunt, dwaj mężczyźni ujeli „schowanego” pod pachy i wyciągnęli na powierzchnię. Uratowany śmiał się radośnie, a Mateusz go otrząpywał.

– Co mnie podkusiło, żeby w moim szacownym wieku dać się wciągnąć w taką zabawę? – chichotał rozbawiony bibliotekarz.

– Pozwoli pan – wtórował mu kamerdyner – tutaj ma pan jeszcze kilka liści.

Śmiali się, czyścili, żartowali, a Natalia dzielnie im sekundowała.

Jan w tym czasie zebrał paprocie w pęk i na nich przykleknął. Zobaczył otwór w ziemi. Nachylił się i sięgnął głębiej dłońmi. Wyczuł kamienie formujące krąg. Stara studnia. O wąskim otworze. Bez śladu strzępów zmurszałej pokrywy, która mogłaby się załamać pod Tercjuszem. Dziwne, że Mariusz, taki staranny i zapobiegliwy, dopuścił do tego, by na terenie parku znajdował się niezabezpieczony szyb.

– Czy możesz mi powiedzieć, Tercjusz, co cię podkusiło...?

Nie skończył. Wtedy to zobaczył. Nad jego głową, pomiędzy ciernistymi krzewami, wisiało coś białego. Wstał. Wyciągnął dłoń. Aksamitna materia, miękkie wypełnienie. Szarpnął. Przyciągnął przedmiot razem z gałęzią. Piesek. Szmaciany piesek. Ostrożnie przekroczył szyb i z uwagą przyjrzał się węzłowi. Zabawka była przywiązana czerwoną bawełnianą wstążką. Bobi. Piesek z rysunku Lili.

Jan odczepił zabawkę od gałęzi i wy dostał się spomiędzy chaszczy.

Nie zwrócił uwagi na podziękowania Tercjusza, nie zwrócił uwagi na skaczącą wokół niego Natalię, zachwyconą odzyskaniem ulubieńca, nie zwrócił uwagi na Mateusza, chustką ścierającego mu krew z policzka poharatanego przez kolce.

Stał i patrzył, i myślał.

Zabawka była przymocowana, a zatem została tam umieszczona celowo i ludzką ręką. Gdyby nie nagły przypływ energii i szampańskiego – dosłownie – humoru Tercjusza, Natalia chowałaby się sama. Zobaczyłaby pieska, podeszła do niego od jednej jedynej dostępnej strony, sięgnęła po zabawkę...

Czuł, jak mu przyspiesza puls. Musiał to ponownie zbadać, ale przede wszystkim należało zabrać stąd dziecko. I sprowadzić seniora.

Spojrzał na nich. Nic jeszcze nie rozumieli. Tylko Mateusz na widok spopieliałej twarzy Jana zaczął z namysłem przyglądać się studni i gęstwinie.

## Rozdział 28.

Gdy Morawski się odezwał, w jego głosie nie było słycać tej paniki, którą nadal czuł.

– Chodźmy stąd – wziął dziewczynkę na ręce. – Wujek Tercjusz wspaniale się schował, prawda?

Już chciał polecić Mateuszowi, by pobiegł po Mariusza, gdy na ścieżce ukazał się jakiś chłopak.

– Coś się stało? Krzyki słycałem.

– To ogrodniczek- wyjaśnił Drojewski, który przez opary alkoholu zaczął wyczuwać, że coś nie gra.

– Sprowadź pana Ponińskiego! – rzucił chłopakowi Morawski.

– Ale jaśnie pan ruszył właśnie do żrebięciarni, bo przyjechał...

– Idź. Już! – warknął Jan. – I powiedz mu, żeby przyprowadził kogoś odpowiedzialnego za park. Strażnika leśnego, gajowego. Nie wiem kogo. Idź!

Chłopak spojrział na twarz rozdrażnionego mężczyzny i pobiegł.

Dotarli do gloriety. Jan postawił dziewczynkę na ławce.

– Malutka, chciałbym, abyś razem z Mateuszem wróciła do domu.

– Ale ja nie chcę.

– Nie możesz tu teraz zostać. Ja muszę coś załatwić z wujkiem i dziadkiem.

– Ale jeszcze... – podkówka pojawiła się jak na zawołanie, a wraz z nią łyzy.

– Mateuszu – nie dał się rozczulić Jan – zabierz Natalię do pałacu. Na pewno marzysz o poznaniu kucyka. Natalia cię do niego zaprowadzi.

Kamerdyner błyskawicznie pojął intencje Morawskiego.

– Pokaże mi panienka swojego kucyka?

Otarła piąstkami oczy i niechętnie skinęła głową.

– A pobawisz się ze mną w księżniczkę? Na wieży? – negocjowała.

– Tak, tak. I mogę nawet ponieść panienkę na barana.

Jan uniósł zachwyconą dziewczynkę i usadowił Mateuszowi na karku. Jedną rączką machała do Tercjusza, a drugą obejmowała pieska. Dlatego nie zwróciła uwagi na słowa Jana, skierowane do służącego:

– Pilnuj jej. Jak oka w głowie.

\*\*\*

Jan wrócił na miejsce wypadku. Tercjusz go gonił i nawoływał, ale Morawski tylko mu krzyknął: „Chodźmy!”. Dotarł pierwszy do studni i uklęknął.

– Ja nic nie rozumiem – wydyszał Drojewski. – O co tu chodzi? Po co to całe zamieszanie?

Morawski jeszcze raz sprawdzał cembrowinę. Żadnych drzazg. Górna warstwa wykonana z cegieł, niższe chyba z kamieni. W ceglach ślady po gwoździach. Usłyszał trzask rozdieranego materiału. To jego koszula zaczęła się o te przekłete ciernie. Wstał.

– Co to za jama?

– Stara studnia – odpowiedział Tercjusz bez wahania.

– Szukamy pokrywy lub pojedynczych desek. Ja idę w tę stronę.

Nie udzielił dalszych wyjaśnień i poszedł, tylko po chwili się obejrzał. Rezydent zrozumiał sugestię i ruszył powoli w przeciwnym kierunku. Po upływie pół minuty rozległo się wołanie.

– Janie!

Pobiegł. Dwadzieścia metrów od studni leżała pod krzakami drewniana okrągła pokrywa.

Usłyszeli tętent zbliżających się koni. Przyjechał pan Poniński ze starszym mężczyzną w zielonym uniformie.

Zsiedli. Mariusz przedstawił swego towarzysza jako borowego i spytał:

– Co się stało?

Jan opowiedział o zabawie i o szybie, w który wpadł Tercjusz sięgający po zabawkę Natalii.

Mariusz zbladł i lodowatym tonem zwrócił się do przerażonego leśnika:

– Dlaczego studnia była otwarta?

– Ale jaśnie panie...

– Czy zdaje pan sobie sprawę, do czego mogło dojść? To najgłębsza studnia w całym majątku.

– Ja nic nie rozumiem – borowy pokręcił głową. – Od dziesięciu lat studnia była zamknięta. Osobiście przymocowałem pokrywę.

– Trzeba było sprawdzić, czy nie zmurszała – oczy seniora niczym sople wbijały się w podwładnego.

– Na tym polega problem – włączył się Morawski. – Pokrywa jest w dobrym stanie, tylko ktoś ją zdjął i schował w zaroślach.

– Ale po co ktoś miałby odkrywać tę studnię? Woda już dawno wyschła i szyb był zamknięty od czasu, gdy młodzi panicze wyjechali na studia – tłumaczył leśnik, nerwowo skubiąc czarny otok na utrzymanym w dłoni kapeluszu.

Jan nie zamierzał zdradzać swych podejrzeń pracownikom majątku.

– Czy mogę z panem porozmawiać? – ujął Mariusza za łokieć. Odeszli na bok, a Tercjusz do nich dołączył. – To jest znacznie poważniejsza sprawa. Nad tymi paprociami, które skrywają otwór, ktoś przyczepił ukochaną zabawkę pańskiej wnuczki. Jako przynętę – dodał i obserwował, czy do mężczyzny dotarło znaczenie tych słów.

Tamten osłupiał: zbieleły mu usta, zacisnął pięści.

Młody człowiek mówił dalej cichym głosem:

– Zazwyczaj Natalia chowa się sama. Gdyby tak się stało, weszłaby w te paprocie, by sięgnąć po pieska – Morawski widział, że tamten to rozumie. – Ale poszedł z nią Tercjusz, który się zaklinował. Natalia wpadłaby cała.

– Gdzie ona jest? – Mariusz zaszczekał zębami.

– Odesłałem ją do domu z Mateuszem.

– Jak mógł pan spuścić ją z oka i oddać pod opiekę służącego?

Jan spojrzał na niego zimno:

– Przynajmniej jestem pewien, że to nie on zastawił pułapkę na pańską wnuczkę. Nie wiem, czy to samo może pan powiedzieć o swoich domownikach.

Pan Poniński nic nie odrzekł na ten zarzut. Wsunął dłonie w siwe włosy.

– Wróćmy tam – zasugerował Morawski. – Chciałbym porozmawiać z pańskim leśnikiem.

Na ich widok borowy wskazał drewniane koło.

– Ktoś zdjął pokrywę. Drewno jest miękkie, więc gwoździe łatwo wyszły.

– Kto wiedział o studni? – Jan wpatrywał się w rozumną twarz mężczyzny.

– Młodzi panicze na pewno. I starzy służący. Florian, Jacenty...

– Nikt się tu ostatnio nie kręcił?

– Nie – odpowiedział leśnik, lecz nagle się zawahał. – Choć tak. Kilka dni temu widziałem tych chłopców. – Zwrócił się do pana Ponińskiego: – Wie pan, tę trójkę od państwa Chomackich. Wczoraj też chyba tu byli – nagle zaczął się tłumaczyć: – Ale w poprzednich latach zawsze pan pozwalał...

– Tak, oczywiście. W tym roku też pytali i pozwoliłem – przytaknął senior. Słowa wymawiał niewyraźnie, jakby mu zdrętwiała szczęka.

Jan patrzył w stronę gloriety.

– Szliśmy tu trochę okrężną drogą. Jak szybko można tu dotrzeć z pałacu?

– W ciągu kilku minut, idąc szybkim marszem – odpowiedział mu zdziwiony Mariusz.

– A czy park jest szczelnie ogrodzony? Chodzi mi o to, czy niepostrzeżenie mógłby się tu dostać ktoś obcy?

– Szczerze mówiąc, to możliwe – przytaknął borowy. – Teren jest bardzo rozległy.

Morawski pokiwał głową i odszedł kilka kroków, dając tym do zrozumienia, że nie ma



więcej pytań.

Mariusz i Tercjusz poszli za nim.

– Wynika z tego – powiedział – że dokładnie każdy mógł tu dotrzeć, a sporo osób może wiedzieć o tej studni: osoby związane z pańskimi synami, goście, służba domowa...

– Służący nie chodzą po parku – zjeżył się senior.

– Nie byłbym taki pewien – zwrócił mu uwagę Jan. – Wczoraj sam widziałem, jak lokaj Seweryn opuszczał w ciągu dnia pałac i szedł do parku.

Mariusz tego nie skomentował. Morawski tłumaczył dalej:

– A zatem w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Spróbujmy z innej strony. Czy kojarzą panowie, kiedy zniknęła zabawka?

Popatrzyli na siebie skonsternowani.

– Natalia szukała jej od kilku dni – wolno stwierdził Tercjusz.

– Tak. Gdy przyjechałem w środę, pieska już nie było. Muszę przepytąć jeszcze raz wszystkich, którzy mieli do czynienia z Natalią – popatrzył poważnie na pana Ponińskiego. – Wracam do pałacu.

– Zajrzę tylko do żrebięciarni i dołączę do panów – odpowiedział senior.

Podszedł borowy:

– Zostanę tu. Czy mógłby pan przekazać Franczakowi, żeby tu przyszedł z gwoździami?

– Tak. Ale w poniedziałek zwieźcie tu kamienie i zasypcie szyb.

Mężczyźni lekko skinęli sobie głowami i się rozstali.

Jan z Tercjuszem zmierzali w stronę gloriety.

Morawski cały czas debatował, kto mógłby chcieć usunąć Natalię. Tylko ten, kto skorzysta na jej śmierci. Rodzina Gustawa? Przyrodni brat seniora? Jego nieznanne potomstwo? Jedno jest pewne. Pułapki na Natalię nie zastawił Edward. Bo Edward jest w więzieniu. No chyba że... chyba że ta postać, którą widziała w nocy pokojówka...

– Tercjusz, znalazłeś księgę?

– Szukałem wszędzie. Nigdzie jej nie ma.

– W takim razie muszę zapytać pana Ponińskiego o kolejność dziedziczenia.

Kto mógłby chcieć usunąć Natalię? *Cui bono?* [26]

## Rozdział 29.

Żar lał się z nieba.

Zniecierpliwiony Jan musiał zwalniać, aby sapiący, spocony i zaczerwieniony pan Drojewski zdołał dotrzymać mu kroku. Ostatni odcinek, ten na odsłoniętej przestrzeni, Morawski pokonał sam. Tercjusz przysiadł na ławeczce w cieniu i oznajmił:

– Idź dalej sam, przyjacielu. Ja tu poczekam do wieczora.

Młody człowiek upewnił się, że pocziwcowi nic nie dolega, i pobiegł do pałacu. W holu spotkał Nełę:

– Czy wiesz, gdzie jest Mateusz?

– Zabrał panienkę na spacer. Ona jedzie na kucyku, którego pan Mateusz prowadzi. Przed chwilą widziałam ich z okna małego saloniku.

Kiwnął głową i ruszył schodami do góry. Pokojówka zawołała za nim:

– Pan Adam jest w gabinecie. Prosił, aby pan do niego przyszedł.

Jan przystanął. Nie spodziewał się, że Mariusz tak szybko dotrze do domu. Pewnie nawet nie pojechał na folwark. Młody człowiek ruszył do gabinetu.

Senior wyglądał przez okno. Gdy gość do niego dołączył, pan Poniński spytał, wskazując Mateusza:

– Można mu zaufać?

– Całkowicie. Nie pozwoli jej skrzywdzić i sam też nie narazi jej na niebezpieczeństwo. Tym bardziej że tam w lesie zorientował się, co małej grozi.

– Wróciłem kilka minut temu i opowiedziałem Barbarze, co zaszło. Okazało się, że chciałyby nam coś wyznać. Widziałem, że pan wraca, więc poczekaliśmy z tym na pana.

Odwrócił się w głąb pokoju i dopiero wtedy Jan zauważył, że w fotelu między biurkiem a kominkiem siedzi pani Barbara. Podeszli w jej stronę. Dłonie trzymała kurczowo splecione, a twarz opuszczoną. Jan usiadł, senior stał wyprostowany. Kobieta odezwała się zdławionym głosem:

– Pan Adam powiedział mi, co się stało. I pytał, czy nie pamiętam, kiedy zniknął piesek.

– Tak? I pamięta pani?

– Dokładnie nie. Ale jednego jestem pewna. Nie było go już w czasie tamtej burzy.

– Skąd ta pewność?

– Tamtej nocy po kolacji przybiegła na dół Balbina. Bała się zostać na górze. Poszłam po Natalię i już wtedy nie mogłam znaleźć zabawki. Ale ja... ja czegoś panu nie

powiedziałam – te ostatnie słowa skierowane były do pana Adama.

– Cóż takiego? – spytał, siadając w sąsiednim fotelu.

– Pamięta pan Tobiego?

– Bobiego.

– Nie, Tobiego. Tego żywego pieska.

– Oczywiście, że tak. Zatrął się. Trutką na szczury.

Pokręciła głową. Po zarumienionej twarzy płynęły jej łzy, mówiła przez nos:

– To ja tak powiedziałam. Myślałam, że to bez znaczenia... Nie chciałam jeszcze dodawać... Dopiero teraz... Wtedy to wyglądało... – kilka razy spazmatycznie nabrała powietrza, jakby się dusiła.

Obaj mężczyźni nachylili się i zmrużyli oczy, by wyostrzyć słuch. Po chwili się uspokoiła i mówiła rwanymi zdaniami:

– To było wieczorem. Niosłam Natalii kolację. Ryż na mleku. Z sosem z powideł. Jej ulubionym. Służący byli zajęci, wkradło się trochę zamieszania, bo rano był pogrzeb, a potem przyjechał Edward. Spotkałam go na schodach. Edwarda. Też szedł do góry. Mówił, że idzie się przebrać do kolacji. Zaproponował, że zanieś Natalii jedzenie. Zgodziłam się, bo naprawdę było tyle pracy...

Zakryła usta i starała się opanować dławiący ją szloch.

– I co? – spytał pan Adam.

– Powiedziałam mu, że jeżeli jej nie będzie, to może zostawić miseczkę, bo Natalia pewnie lada chwila przyjdzie z Balbiną. Musiałam jednak i tak tam pójść, bo nie wzięłam z kuchni soczku. To było chyba kwadrans później. Weszłam do pokoju szkolnego. Na podłodze leżała przewrócona miska, a obok niej Tobi. Martwy, ale jeszcze ciepły.

Senior się podniósł, stanął tyłem do nich i jedną ręką ciężko oparł się o biurko.

– Przecież mówili państwo – przypomniał Jan – że pies zatrął się trutką na szczury, którą Jacenty przez przypadek przewrócił, gdy szukał w czasie burzy gromnic.

Załamana ręce, a głowę przechyliła na ramię.

– Ja nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Najpierw chodziło mi tylko o to, by zabrać Tobiego, zanim przyjdzie Natalia. Ale gdy go uniosłam, mała weszła z Balbiną i zobaczyła pieska.

– I co jej pani powiedziała?

– Że był niegrzeczny, ukradł jej kolację i spotkała go za to kara. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale nic innego nie zdążyłam wymyślić.

Morawski spojrział w okno. Wydawało mu się, że ktoś już wspominał o karze dla piesków.

– A Balbina? – zainteresował się.

– Pokiwała głową i pomogła mi zawinąć Tobiego w prześcieradło. Zniosłam go na

dół i położyłam w bocznej sieni. Potem była kolacja, burza i ogólna panika – rozszlochała się. – A rano się okazało, że Adam nie żyje. Przecież nie mogłam nikomu zawracać głowy psem.

Po chwili mówiła dalej. W zdenerwowaniu połykała słowa.

– Rano jedna z dziewcząt odkryła ten przewrócony pojemnik. Zaniósłam Tobiego do Floriana. Żeby go pochował w parku. On już wiedział o trutce i sam wywnioskował, co spowodowało śmierć psa. A ja nie zaprzeczyłam.

Pan Poniński odwrócił się w ich stronę. Jego czoło pokryło się pięciolinia zmarszczek, a z oczu wyzierało zrozumienie koszmarnych faktów. Próbowano mu zabić wnuczkę, a jego syn, już i tak oskarżony o inne morderstwo, miał dostęp do zatrutej potrawy. I jeszcze ta pułapka w parku...

Jan widział tę sekwencję wniosków i przypomniał sobie własną myśl, czy mężczyzną wymykającym się w czasie burzy nie był młodszy Poniński.

Senior przemógł ogarniającą go zgrozę i dokończył opowieść grobowym głosem:

– A potem znalazłem Edwarda i przyjechała policja. A ty nie wyjaśniłaś pomyłki.

– Nie mogłabym – zapewniła. – Bo przecież to jeszcze gorsze. Zabić brata w czasie kłótni – to okropne. Ale próbować otruć dziecko?

Wypowiedziała na głos to, co wszyscy sobie uświadomili, a zarazem dotknęła samego centrum tej największej bolączki. Morderstwo dokonane w gniewie nie bulwersuje tak bardzo, jak wykalkulowany na zimno zamach – nawet nieskuteczny – na dziecko.

Pan Poniński z powrotem koło niej usiadł. Ujął jej dłoń w obie ręce i pocałował.

– Dziękuję ci. Prawdziwy z ciebie skarb. Prawdziwy skarb.

Potrzymał jej dłoń, kiwając nad nią smutno głową. Twarz miał zakrzepłą, kamienną.

Jan jeszcze nie wszystko rozumiał.

– Pani Barbaro, mówiła pani, że tamtej nocy Natalia nie miała już zabawki – przytaknęła, więc pytał dalej: – A ta Balbina? Z pani słów wynika, że piastunka jest jedyną osobą, która wie, że Tobi zatrul się kolacją Natalii. Nie zdziwiły jej późniejsze rozmowy służących o trutce w piwnicy?

– Balbina... – zawahała się, po czym wybrnęła: – ...nie kojarzy szybko.

Senior znowu podszedł do okna.

– Ale kiedy? – szeptał. – Kiedy Edward mógłby wynieść...?

Nie dokończył. Morawski zauważył, że oczy pani Barbary się rozszerzyły i kobieta zakryła dłonią usta.

– Ten człowiek, którego Nela widziała! – wydukała z przerażeniem. – Ktoś tamtej nocy wychodził z alkierza i biegł po trawniku.

– Tak – Jan wolno skinął głową – opowiadała nam o tym. Dlatego szukałem winnego na zewnątrz. Właśnie przez tę osobę, którą widziała Nela. Stanowiło to pośredni dowód niewinności Edwarda, bo po co miałby wychodzić do parku, skoro z alkierza jest przejście

do pałacu?

– Teraz już pan wie po co – odezwał się senior głosem całkowicie pozbawionym intonacji.

Janowi dreszcz przebiegł po plecach. Zabrzmiało to jak odczytanie wyroku.

– Pani Barbaro – nie ustępował Morawski – jeszcze jedno ważne pytanie. Czy pan Edward wiedział, że Natalia nie zjadła zatrutego jedzenia?

Zamknęła oczy. Zastanawiała się.

– Tak. Tak. Tamtego wieczoru weszłam raz do jadalni. Pan Adam wspomniał coś o kremie czekoladowym, który był na deser. Odpowiedziałam, że Natalii też bardzo smakował.

A zatem Edward wiedział, że pierwsza próba się nie powiodła. Postanowił usunąć bratanicę w inny sposób. Jan gorączkowo szukał jakiejś szczeliny, czegoś, co postawiłoby choćby najmniejszy znak zapytania przy winie młodego Ponińskiego.

– Ale przecież on tu nie bywał – wymyślił. – Skąd miałby wiedzieć, że Natalia uwielbia bawić się przy gloriecie? Skąd wiedział, gdzie zastawić na nią pułapkę i co wykorzystać jako wabik?

Senior gwałtownie się odwrócił i Jan mógłby przysiąc, że na tej martwej twarzy dostrzegł nikły cień nadziei.

– Ja mu to powiedziałam – wyznała kobieta, pocierając dłonie. – Gdy przyjechał, spytał o Natalię, więc wytłumaczyłam, że chowa się w parku z nianią. I jeszcze dodałam, że najbardziej lubi okolice starej studni.

Pan Poniński ponownie zapatrzył się na wnuczkę jadącą na kucyku. Do konika podszedł stangret. Mateusz zdjął dziewczynkę z siodła i razem wracali w stronę pałacu.

– Pytałem pana – przerwał ciszę senior – czy pańskiemu kamerdynerowi można zaufać. Teraz już nie musimy strzec Natalii, bo ten, który jej zagrażał, jest w więzieniu.

Mariusz usiadł w fotelu na tle ruin.

– Gdybym wtedy powiedziała o otruciu pieska – rozległ się tłumiony szloch – może nie doszłoby do tego dzisiejszego... wypadku.

Zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył się odezwać, pani Barbara się poderwała:

– Muszę... muszę... odprowadzić Natalię do pokoju dziecinnego – oświadczyła, po czym zwróciła się do seniora: – Chyba że nadal trzeba ją chronić?

– Nie. Już nie.

Wyszła, a Jan razem z nią. Jej stan budził litość. Ujął ją za rękę.

– Proszę iść do siebie i się uspokoić – powiedział. W bocznym korytarzu ukazali się Natalia i Mateusz. – Odprowadzimy ją na górę – zapewnił.

Kobieta tylko coś wyszeptała, przycisnęła skłębioną chusteczkę do ust i uciekła.

Jan razem z Natalią i kamerdynerem poszli na piętro. W górnym holu dziewczynka ich

zostawiła i pobiegła w stronę swojego pokoju. Wtedy Morawski powtórzył wyznanie Barbary. Biedny Mateusz aż przysiadł na stojącym na korytarzu krześle.

– A ze mnie jest prawdziwy idiota – stwierdził Jan. – Ona to przecież mówiła. Tylko że ja nie słuchałem.

Mateusz patrzył na niego, nie rozumiejąc. Jego pracodawca wskazał dłonią otwarte w oddali drzwi:

– Chodź. Musimy ją przekazać niani – a gdy szli, wyjaśniał: – Ignorujemy słowa dzieci, nie słuchamy, co mówią. Pierwszego dnia Natalia spytała, czy jej piesek pójdzie do nieba, bo był niegrzeczny i ukradł kaszkę. A zaraz potem dodała, że przecież umarł, więc już został ukarany. Nie zwróciłem na to uwagi. A powinienem był, bo wszyscy powtarzali o tej trutce w czasie burzy. Nie zainteresowałem się tą niezgodnością.

Jan przystanął i zmarszczył czoło.

– Coś jeszcze? – zaniepokoił się kamerdyner.

– Nie dosyć, że nie słucham dzieci, to dorosłych również nie. Nela też coś o tym wspominała. Powiedziała, że służący w czasie burzy byli razem, tylko ona z panią Barbarą poszły po Natalię, która płakała, bo nawet nie miała swojego Tobiego. Nie zwróciłem na to uwagi. Co prawda, nie mówiła, co się stało z psem, tylko to, że Natalia płakała, bo nie miała pieska.

Doszli do pokoju szkolnego. Przez uchylone drzwi do sypialni zobaczyli, że Balbina myje Natalii ręce. Mała coś szczebiotała, a po chwili obie stamtąd wyszły i ruszyły na dół.

– Zajrzę do Jacentego – oznajmił Mateusz.

– Chciałbym przed kolacją jeszcze z tobą porozmawiać. Właśnie o Jacentym, o pani Eufemii i paru innych sprawach.

– A dokąd teraz?

– Ja idę... do pokoju Edwarda – a widząc zdziwione spojrzenie Mateusza, dodał: – Wiem. Wiem, że wszystko przemawia przeciw niemu, ale... Nie mogę uwierzyć, że mógłby na zimno zaplanować morderstwo dziecka.

## Rozdział 30.

Jan został sam w pokoju dziennym Natalii i otworzył drzwi umieszczone naprzeciw jej sypialenki.

Znalazł się z sporym, jasnym pomieszczeniu, kiedyś zajmowanym przez Edwarda i Gustawa. Przeszedł kilka kroków i natychmiast zbudził śpiące echo, które rozpoczęło harce w tym pozbawionym dywanów i zasłon wnętrzu. Na żółtych ścianach wisiały chłopięce szkice pałacu, dziecinne portrety mamy, zdjęcia trójki chłopców, zawsze w układzie dwa plus jeden.

Umeblowanie stanowiły dwa drewniane łóżka, kilka regałów z książkami i stojące przy oknie olbrzymie dwuosobowe biurko.

W szufladzie po jednej stronie znalazł powysychane farby, dziesiątki kredek, ołówków, natomiast po drugiej – pudełka z haczykami na ryby, zdjęcie młodego Adama z domalowanymi wąsami i rogami, scyzoryki, gwoździe, sznurki, czerwoną farbę, obcęgi, próbówki, kłajster. Pod biurkiem wsunięte było pudło. Jan przyklęknął, wyciągnął je i otworzył. Na wierzchu leżało zwinięte płótno żaglowe, a pod nim sznurkowa drabinka, nici, listy z mapami tajnych schowków (najwyraźniej z epoki poszukiwaczy skarbów), sterty piór, mały toporek (czas fascynacji Indianami), finki, proce, a poza tym sito (bez wątpienia do poszukiwania złota).

W stojących pod ścianą drewnianych skrzyniach znalazł staroświeckie, rozklejone rakiety do tenisa Slazengera, kij i piłeczki do gry w palanta, młotek i bramki do krokieta, siatkę na motyle. W następnej – pudła drewnianych klocków różnych kształtów. Pamiętał, że nazywano je kastetami.

Wstał i podszedł do półek. Zobaczył te same książki, które pamiętał sprzed lat: elementarze dla dzieci Anczyca, zaczytany *Robinson Kruzo*, cała kolekcja Verne'a: *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, *Dzieci kapitana Granta*, *Podróż do środka ziemi*, *Podróż do Bieguna Północnego*, *Tajemnicza wyspa* i kilka innych. Gustaw chyba z tych lektur czerpał swe pomysły. Sąsiedni regał mieścił roczniki „Przyjaciela Dzieci” i atlasy.

Jan sięgnął po atlas amerykańskiego wydawnictwa Mitchell z 1872 roku, usiadł na pozbawionym pościeli łóżku i przerzucał pachnące kurzem karty.

Tak zastała go pani Barbara. Weszła, zainteresowana bez wątpienia otwartymi drzwiami.

– Pan tutaj?

Podniósł wzrok. Wstał, odłożył atlas i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Mały wnuk miałby tu gotowy pokój.

Teraz nie była już błada, lecz przezroczyta.

– Liczyliśmy na to – wyszeptała.

– Przepraszam.

– Nie będzie już wnuków.

Jan zdołał ograniczyć się do słów:

– Został jeszcze jeden syn.

Nic na to nie odrzekła. Podeszła do biurka i powiodła dłonią po blacie.

– Może Natalia urządzi tu sobie pracownię. Musi coś być w tym pokoju – rozglądała się po ścianach – bo najpierw Edward odkrył tu swój talent, potem ta angielska guwernantka spędzała tu mnóstwo czasu, a ostatnio Lili przychodziła tu z Natalią i uczyła ją rysować.

– Zauważyłem, że w pokoju pani Lili wszystko jest tak posprzątane, jakby nie pracowała od miesiący.

– W studiu poskładała wszystko sama. Sypialnię ja... wyczyściłam – Jan tego nie skomentował. Po chwili dokończyła: – To było niezbędne po tym, co się stało.

– Pan Poniński wspominał, że dostała krwotoku.

Stała twarzą do okna, oparła się lekko o biurko i przyciągnęła do piersi książkę. Morawski podszedł tak, by móc obserwować jej twarz.

Po chwili zaczęła wyrzucać z siebie kolejne słowa; może nie mówiła tak gorączkowo jak w czasie rozmowy w gabinecie seniora, ale w jej głosie brzmiała jakaś chwytająca za serce rozpacz:

– Nie wiem, czy miała jakieś szanse. Była z maltretowana po urodzeniu dziecka. Półprzytomna. Ten lekarz, który przyjechał do rozwiązania, stwierdził tylko lekkie krwawienie. Niegroźne. Zalecił zimne okłady, ale nie widział niczego niepokojącego. Najpierw była trochę pobudzona, ale potem wydawało się, że jej się poprawiło.

Nie poganiał jej, nie pytał. Opuściła ręce, położyła książkę na biurku i stała ze zwieszonymi ramionami. Po chwili mówiła dalej:

– Twierdziła, że jej zimno. Przykryłam ją i całą noc siedziałam obok łóżka. Ale nie podchodziłam, aby jej nie obudzić. Może gdybym jej dotknęła... – pokręciła głową. – Nie, jednak myślę, że nie. Z niej po prostu wypłynęło życie.

– Kiedy zmarła?

– Nad ranem zaniepokoił mnie jej bezruch. I cisza. Podeszłam, była zimna. Wyglądała, jakby nie została w niej ani jedna kropla krwi. Podniosłam te wszystkie koce i kołdrę... – zasłoniła oczy. Dalej ciągnęła głosem pozbawionym emocji: – Posłaniec pojechał po lekarza. Po drodze spotkał naszego stałego doktora, który dotarł z Kissingen na wezwanie. Na to poprzednie wezwanie. Do dziecka.

Wzięła książkę i ruszyli oboje w stronę wyjścia. Jan milczał.

– To dziecko było nadzieją pana Adama – wyszeptała w progu. – Tyle lat czekał na spadkobiercę. Oczywiście kocha Natalię, ale...



– Tak. Wiem. Ale wnuk to wnuk.

– Gdy dowiedzieliśmy się, że Lili jest w błogosławnym stanie, to była taka niespodziewana radość.

– A ona? Cieszyła się?

Pani Barbara się zakłopotowała. W pokoju szkolnym odłożyła bajkę i zaczęła pocierać dłonie.

– Trudno powiedzieć. Lili była taka... oddalona. Żyła w innym świecie. Ale od kilku miesięcy to się jeszcze pogłębiło – zmrużyła oczy. – I wie pan? Ta zmiana zaszła nagle, jakby doznała wstrząsu. A potem z każdą chwilą było coraz gorzej.

– Nie kojarzy pani może, kiedy to się stało?

– Już na Gwiazdkę była inna. Martwa.

Jan patrzył na domek подарowany Natalii przez Edwarda i myślał, co spowodowało depresję Lili.

Ostatni raz spojrzął w stronę sypialni młodszych braci.

– Zawsze tak było? Edward i Gustaw razem, Adam osobno?

– Odkąd ja tu mieszkam, niestety, tak.

– Byli wrogami, prawda?

– Tak. Z urodzenia i wychowania. Faworyzowanie Adama tylko pogłębiało przepaść między nim a braćmi – zatrzymała się i zarumieniła, jakby dopuściła się zdrady swego idola i dobroczyńcy. – Oczywiście, pan Adam chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że swoim postępowaniem wzmacnia wzajemną... niechęć chłopców – Jan był pewien, że chciała powiedzieć „nienawiść”. Ciągle go dziwiło, że ten Mariusz, taki chłodny i obiektywny, w tym jednym punkcie wykazywał zaślepienie.

– Młodzi się buntowali? – spytał.

– Edward chyba nie zwracał na to uwagi, ale Gustaw był bardziej zapalczywy i dokuczał starszemu bratu na każdym kroku. Choć może dzięki temu dawał upust swoim uczuciom, podczas gdy Edward... – zamilkła i pokręciła głową. – Nierówne traktowanie zazwyczaj wzbudza zazdrość.

Zazdrość – przyczyna pierwszej zbrodni popełnionej przez człowieka. Ktoś chyba nazwał historię Kaina i Abela przypowieścią o zazdrości.

## Rozdział 31.

Jan zajrzał jeszcze do pokoju gościnnego, w którym znajdowały się rzeczy Edwarda. Odkrył tam tylko kilka ubrań i książek.

W swojej sypialni nie zastał Mateusza. Uznał, że zdąży jeszcze się wykąpać. Było tak gorąco, że chłodna woda w wannie zupełnie mu nie przeszkadzała. Kończył się ubierać, gdy do pokoju wpadł zaaferowany kamerdyner.

– Jacenty się uparł, że będzie podawał do kolacji – oznajmił od progu. – Mimo zakazu.

– Lepiej z nim? – Jan sięgnął po krawat.

– Chyba tak. Jakby wracało mu władanie prawą ręką, ale... Zresztą sam pan zobaczy.

– A wąż?

Na samą wzmiankę o Serpentynie Mateusz zazgrzytał zębami. Wyrwał Morawskiemu krawat z ręki i cokolwiek zbyt agresywnie splatał węzeł.

– Użala się nad „tym biednym Jacentym” i pociesza go, że na pewno pan Poniński znajdzie mu miejsce w jednym z przytułków.

– Chodźmy – Jan z obawy przed uduszeniem odsunął się od kamerdynera, założył marynarkę i ruszył do drzwi.

– Mieliśmy porozmawiać – przypomniał Mateusz.

– Po kolacji. Teraz jest już za późno.

Rozdzielili się w holu. Jan wszedł do jadalni. Przy stole siedział osamotniony Tercjusz, wyraźnie pod dobrą datą. Na widok Morawskiego oznajmił:

– Nasz pan domu, Mariusz... hi, hi, hi... doprawdy, bardzo mi się ten pseudonim podoba... Mariusz coś się spóźnia, ale już w środę przykazał, byśmy w takich przypadkach na niego nie czekali.

Jan usiadł i prawie natychmiast otworzyły się drzwi. Wszedł Serpentyń i postawił na stole półmisek z artystycznie ułożonymi plastrami jasnego mięsa. Usłużnie podał serwetkę Janowi, który z trudem opanował dreszcz obrzydzenia. Zbliżył się Mateusz z butelką. Nalał Tercjuszowi wina, a Morawski gestem pokazał, że prosi o minimalną ilość.

Służący wyszli, a Tercjusz sprawnie nałożył przystawkę gościowi i sobie, po czym z zapalem zabrał się do jedzenia. Zamyślony Jan tylko dłubał w talerzu.

– Ależ upał – westchnął pan Drojewski. – Z ledwością wróciłem.

– Przepraszam. Powinienem był poprosić, by ktoś do ciebie poszedł z czymś odświeżającym do picia.

– Nic się nie stało, mój drogi. Miałeś inne sprawy na głowie – Tercjusz zajadał z apetytem. – Coś ten nasz gospodarz nas lekceważy. Miejmy nadzieję, że nie wystawał

zbyt długo na tym skwarze.

Dołożył sobie kilka kawałków i dopiero wtedy spojrzął na towarzysza.

– Nic nie jesz, Janie – Morawskiemu nie chciało się tłumaczyć, więc zjadł kęs. Rezydent się zatroskał. – Martwisz się tą sprawą ze studnią? Po prostu musisz znaleźć winnego. To na pewno ktoś z zewnątrz. A póki to się nie wyjaśni, będziemy pilnować Natalię.

Jan zmrużył oczy. Przed chwilą razila go niefrasobliwość i dobry humor Drojewskiego, ale teraz pojął, że senior najwyraźniej nie zdążył poinformować przyjaciela, kto został oskarżony o próbę zabicia dziewczynki.

– Pożyczę ci tego Conana Doyle’a – paplał Tercjusz, dokładając sobie indyka. – Tam jest mnóstwo o odciskach stóp, popiele z cygar, złamanych gałęziach i innych takich. Może to ci podsunie jakiś pomysł.

Jan miał dość tej gadaniny.

– Czy znalazłeś statut?

– Rozumiem – pokiwał głową rezydent i nawet postarał się przybrać przejętą minę. – Chcesz wiedzieć, kto odziedziczy majątek w razie... Mówiłem ci, że księga wczoraj zniknęła. Była w bibliotece przed przyjazdem koszarnej Eufemii, a potem jej nie znalazłem.

– A pamiętasz coś?

– Tak – oświadczył z dumą. – Kobiety nie są wyłączone z dziedziczenia. To zresztą potwierdził dzisiejszy... incydent.

– A jaką ustalono kolejność? Po panu Ponińskim dziedziczył Adam. A dalej Natalia czy Edward?

– Oj! Tego nie pamiętam – przyznał zmartwiony archiwariusz.

– A czy ja mógłbym rozejrzeć się po bibliotece?

– Hm – zawahał się – myślę, że tak.

Wrócił Serpentyń i spojrzął pytająco na puste miejsce seniora.

– Jeszcze nie dotarł – oznajmił pan Drojewski. – Ale możecie podawać drugie danie.

Lokaj nie wyglądał na zachwyconego tym, że ignoruje się prawowitego pana domu, ale nie ośmielił się zaprotestować. Tercjusz przyglądał się Janowi sponad okularów.

– Ciekawe, co z tym Adamem – powiedział, żeby zagłuszyć ciszę.

Po chwili weszli Mateusz z Serpentyńem. Postawili przyniesione naczynia na stole, a lokaj wymienił kieliszki i sięgnął po pokrywę półmiska. Mateusz jednak go uprzedził, rzucając przy okazji groźne spojrzenie.

Tercjusz niczego nie zauważył, gdyż z lubością wdychał zapach dziczyzny.

– Steki z dzika. Pycha!

Przez pewien czas pan Drojewski zajmował się tylko krojeniem mięsa, zanurzaniem

go w sosie i jedzeniem. Morawski w tym czasie bębnił palcami.

– Nie denerwuj się, Janie – Tercjusz martwił się brakiem apetytu gościa. – Pomodłę się do św. Antoniego i jeśli tylko nasza księga nie przepadła na wieki, to się znajdzie – pocieszony tym, zaatakował kolejny kawałek mięsa i poprosił: – Powiedz mi lepiej, co robiłeś po powrocie.

– Byłem w pokoju Edwarda.

– Naprawdę? Spodziewałem się, że wrócisz do parku i będziesz szukał tam śladów.

Morawski zastanawiał się, czy powiedzieć rezydentowi, że sprawa została – przynajmniej według pewnych osób – zamknięta. Po chwili uznał, że zostawi ten przywilej seniorowi.

– Spotkałem tam panią Barbarę. Opowiedziała mi o śmierci pani Lili. Podobno umarła, bo nie chciała żyć.

Machanie widelcem straciło trochę werwy.

– Tak. Lili – Drojewski popatrzył ze smutkiem na Jana i się zamyślił. – Miała na imię Olimpia. Choć bardziej odpowiednie byłoby Ofelia.

– Była niezrównoważona?

– Nie nazwałbym tego tak. Ona... zawsze żyła jakby obok nas. Miała swój drugi świat. Lepszy. Zabierała tam tylko Natalię.

– Stąd te zabawy w bajki? – domyślił się Jan. Tercjusz przytaknął, a Morawski pytał dalej: – Pan Poniński sprawował nad nią opiekę, prawda? Byli spokrewnieni?

– Nie. Jej ojciec przyjaźnił się z Adamem i uczynił go opiekunem córki.

– Dlaczego akurat jego?

– Widzisz, nasz gospodarz jest znany ze swej bezstronności i uczciwości. Pół powiatu zleca mu arbitraż w sprawach majątkowych i rodzinnych. Ojciec Lili uważał, że jej olbrzymi majątek powinien znaleźć się pod taką pieczęcią.

– A jak doszło do małżeństwa z juniorem?

Tercjusz przełknął kęs i na chwilę odłożył sztućce.

– Gdy Lili ukończyła pensję w Brugii, Adam pojechał po nią i przedstawił jej swego najstarszego syna. Junior był raczej przystojny i jeśli chciał, umiał być czarujący. Lili знаła swego opiekuna z domu rodzinnego, wiedziała o przyjaźni łączącej go z jej rodzicami, była wdzięczna za troskę i zainteresowanie. Junior zaczął się o nią starać.

– Z własnej woli?

– Może mu się podobała. Nie wiem, ale na pewno istotna była jej fortuna. Poza tym z zasady i przyzwyczajenia zachowywał się wobec ojca niczym wzorowy syn. Wiedział, że Adam życzy sobie tego związku, więc zaczął asystować Lili, szybko się oświadczył, a po dwóch miesiącach nastąpił ślub. Dalszy ciąg znasz.

Wrócił do jedzenia, a rozdrażniony Jan w myślach przeklinał paternalizm: junior miał się ożenić z Lili i zostać politykiem, Edward wojskowym, Gustaw księdzem, a wszystko

to na mocy wyroku Adama Sędziego Najwyższego Ponińskiego!

Przedmiot tych życzliwych rozważań właśnie się zjawił.

– Już myśleliśmy, że o nas zapomniałeś – przywitał seniora Tercjusz.

– Przepraszam. Szczerze mówiąc, nie zamierzałem wcale przychodzić – zauważył nietknięte jedzenie na talerzu Jana. – Widzę, że pan też nie ma apetytu.

– Czyżbym o czymś nie wiedział? – zaniepokoił się pan Drojewski, ale ani na chwilę nie zmniejszył prędkości przeżuwania.

Mariusz uniósł brwi i spojrzał na gościa, który odpowiedział:

– Nic nie mówiłem.

Pan Poniński w kilku słowach zrelacjonował Tercjuszowi opowieść Barbary o otrutym piešku. Rezydent przez chwilę milczał.

– I ty w to wierzysz? – ruszył na seniora.

– A ty nie?

– Oczywiście, że nie.

Pan Adam najpierw wpatrywał się w przyjaciela, ale potem pokręcił przecząco głową:

– Poczciwy z ciebie człowiek, Tercjuszu, ale fakty są jednoznaczne.

– Wiesz, co możesz sobie zrobić z takimi faktami?

Zerwał się z krzesła i dla wzmocnienia oburzenia rzucił wykrochmaloną serwetką w stół, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami. Jan poczuł, że mógłby go uściskać za tę deklarację.

Siedzieli w milczeniu nad talerzami. Otwarły się drzwi. Jan był pewien, że to wrócił Tercjusz. Rozległo się szuranie, brzęk szkła. Ktoś podszedł do Mariusza.

Tuż nad kieliszkiem seniora pojawiła się drżąca butelka. Nastąpiła seria drobnych stuknięć. Jan uniósł wzrok i poczuł lód w sercu.

Pół twarzy Jacentego się obsunęło. Kącik ust zwisał jak rozmyta farba, spływająca po jednej stronie oblanej wodą akwareli. Z narożnika warg wymykała się ślina.

– Przepraszam, jaśnie panie – wybełkotał jak człowiek, którego bolą zęby. – Zapomniałem nalać wina.

– Nic nie szkodzi, mój drogi – Mariusz patrzył na majordomusa wstrząśnięty. – Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej.

Jacenty się uśmiechnął, ale ten grymas tylko podkreślił błazeńską asymetrię twarzy.

Wpadł Serpentyń i ujął marszałka pod ramię:

– Mój ty biedny Jacenty, daj, ja się tym zajmę, a ty...

Nie dokończył. Mateusz stanął za Jacentym, niepostrzeżenie wyjął mu butelkę z ręki i swobodnie nalał wina najpierw seniorowi, potem Janowi. Pan Poniński, którego wzrok skierowany był na blat stołu, chyba nawet nie zorientował się, że nastąpiła zmiana

serwującego. Służący wyszli, aczkolwiek Morawski nie był pewien, z czyjej inicjatywy. Odniósł wrażenie, że Serpentyń został z pokoju wypchnięty.

Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę, że przeciąganie kolacji pozbawione jest sensu. Po kilku minutach wpatrywania się w pusty talerz senior wstał. Razem z nim podniósł się Jan. Nie było tłumaczeń, przeprosin. Tylko krótkie „Dobranoc”. Rozeszli się.

Morawski wziął z sypialni srebrną cygarnicę, zapalki i wyszedł na balkon na pierwszym piętrze. Z holu przyniósł sobie fotel, usiadł i oparł nogi na balustradzie. Palił, wpatrywał się w księżyc i myślał.

Po półgodzinie dołączył do niego Mateusz z fajką.

– Wszystko się wyjaśniło, prawda? – zagadnął kamerdyner.

– Nie. Pomijam moje głębokie przekonanie, że Edward nie byłby zdolny do takiej podłości. Coś tu nie gra. Po co miałyby zabijać brata, zastawiać pułapkę na bratanicę, a potem dać się aresztować?

– Wszystko wskazuje na niego.

– To nie ma sensu.

– Nie może pan ignorować dowodów.

W końcu Jan zaszczylił go spojrzeniem.

– Upierałeś się, że Serpentyń chce zniszczyć Jacentego. Nie było dowodu poza głosem twojego instynktu. Pozwól także mnie na własne kaprysy. Nie mam ochoty uwierzyć w winę Edwarda.

– Oni będą oczekiwać, że wyjedziemy – zauważył Mateusz.

– Wprost mi tego nie powiedzą, a aluzje będę ignorował. Muszę się zobaczyć z Edwardem. Jutro jest niedziela, więc nie mogę do niego jechać. Pojadę w poniedziałek, a jutrzejszy dzień wykorzystam na znalezienie czegoś, co nie pasuje.

– Jeśli o mnie chodzi, możemy zostać. Przynajmniej dopilnuję leczenia Jacentego. A pan wywali stąd Serpentyńa.

Morawski uśmiechnął się na tę przesadną wiarę w jego możliwości.

– Przeceniasz moje siły. Zdajesz sobie sprawę z tego, że nic na niego nie mamy? Wiemy, że to szubrawiec, ale to za mało, by go stąd usunąć.

– Przecież sam pan słyszał, że oszukał w sprawie tego wina.

– I myślisz, że pan Poniński go za to zwolni? Tamten przyrzeknie, że się pomylił. Wywinie się z tego, poczeka, aż wyjedziemy, i będzie mścił się na Jacentym.

Mateusz wyglądał na zmartwionego. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ciszę przerwał kamerdyner:

– Może poprosimy o pomoc panią Barbarę? Ona musi lubić Jacentego, bo nigdy nic nie mówi panu Adamowi o konieczności zatrudnienia kogoś nowego.

– Pani Barbara jest dumna z rodziny, więc czuje prestiż, jaki wiąże się z obecnością

tak dostojnego służącego, nawet jeżeli nie jest on w stanie wzorowo wywiązywać się ze swych obowiązków. A poza tym jest tak przyzwyczajona do swego jedynowładztwa na terenie domu, że chyba nie zależy jej na bardzo rzutkim majordomusie, z którym musiałaby się dzielić prawami.

– Sądziłem, że pan ją lubi.

– Ależ lubię. Bardzo. I podziwiam. Ale nie zapominam, że jest człowiekiem. Poświęciła seniorowi całe życie i nic dziwnego, że chce zachować swą uprzywilejowaną pozycję.

– To co zrobimy z tym gadem? – niczym uparte dziecko Mateusz wracał do męczącego go tematu.

– Trzeba znaleźć na niego coś mocniejszego niż zarzut o podkładanie nogi staremu Jacentemu – Jan przez chwilę się zastanawiał. – Pamiętasz, co mówiła Nela? Że obiecał jej pierścionek? Potem widzieliśmy go w alkierzu. Może to po to tam wchodził? W pokoju pani Lili dziwiłem się, że nie ma nawet panińskich błyskotek. Zazwyczaj takie drobiazgi nie są wartościowe, więc powinny się uchować przed pazernym mężem. Może junior zabrał je przed śmiercią, aby je sprzedać? Nie zdążył, a Serpentyń się tym zaopiekował?

Ucieszony Mateusz aż przestał pykać fajkę.

– To by było idealne.

– Pani Eufemia wspominała, że widziała u jubilera kolczyki, które najpierw nosiła pani Natalia, a potem pani Lili. Pytanie tylko, czy wywiózł je junior czy lokaj – Jan dostrzegł zdziwioną minę Mateusza i się zreflektował: – Ach, ty nic nie wiesz. Nie zdążyłem ci opowiedzieć o tym rannym wyjeździe.

Morawski wstał, oparł się łokciem o balustradę, wyprostował nogi skrzyżowane w kostkach i dalej palił cygaro, strzepując popiół do wielkiej donicy.

– Dowiedział się pan czegoś ważnego?

Jan zrelacjonował swą wizytę w siedzibie państwa Bocheńskich, nie pomijając komicznych szczegółów gałganiarskiego wyglądu pani domu i posiłku złożonego z nadziewanych czereśni.

Kamerdyner z trudem zdołał wydukać:

– Powinni je zebrać i przerobić na pyszny pasztecik.

Gdy Mateusz zaśmiewał się do łez, Morawski rozmyślał, jak odległe wydawały mu się tamte beztrudne chwile, gdy jedynym zadaniem było znalezienie zabójcy zdegenerowanego arystokraty.

Potem opowiedział o *faux pas* Tekli. Mateusz aż zagwizdał.

– Gdzie oni mogli być?

– Wszędzie.

– Gdyby nie mieli niczego na sumieniu, nie ukrywaliby swej nieobecności w domu.

– Na pewno mają coś na sumieniu, ale to prawdopodobnie w ogóle nie wiąże się

z naszą sprawą. Wiesz, jak to jest. Każdy wydaje się winny, bo każdy ukrywa jakąś tajemnicę, kłamiąc, uchylając się od odpowiedzi, oszukując. I tylko mącą nam tymi krętactwami w głowach.

– Ciekawe, co ukrywa pani Eufemia? – zastanawiał się Mateusz.

– Pewnie coś, co jej zdaniem nie pasuje do wizerunku społeczniczki i katoliczki, który tak agresywnie narzuca otoczeniu.

– A pan Eustachy?

– Przyznam, że to on mnie bardziej niepokoi. Nic nie mówi, jest taki bezbarwny, wtopiony w tło. Nie wiem, czym się zajmuje i przede wszystkim co go łączy z Mariuszem.

– Myśli pan, że to on jest tym bratem?

– Może nim być. Ale jeżeli nim jest, to jego żona nic o tym nie wie, bo nie próbowałaby na siłę złowić Tercjusza dla swej siostry.

– A udało się ustalić, skąd wie o przyrodnim bracie?

Jan usiadł z powrotem w fotelu.

– Widziałem ją z Serpentyńcem, a ona sama wspomniała, że po śmierci Adama była tu i rozmawiała z Nelą. Gdy ją o to spytałem, zmieszała się i zmieniła temat.

– Krąg podejrzanych raczej się nie zmniejsza.

– Zwłaszcza jeśli dodamy tajemniczą Angielkę. Guwernantkę, panią Gustawową czy wnuczkę Mariusza. Lub dowolne połączenie dwóch pań naraz.

– No i ci chłopcy, włóczący się po okolicy i bawiący w olimpiadę strzelecką.

– A jeden z nich ma zaskakująco dużo cech wspólnych z przypuszczalnym dziedzicem magnackiej fortuny.

Po chwili milczenia Mateusz pokusił się o podsumowanie:

– Wynika z tego, że tylko panna Tekla nie mogła zabić juniora.

– Dlaczego nie Tekla? Bo nie jest bardzo mądra? Właśnie na takie osoby nikt nie zwraca uwagi. A skoro była sama w domu, to nikt nie może potwierdzić jej alibi.

Kamerdyner zmarszczył czoło, próbując wyobrazić sobie pannę Teklę w roli morderczyni. Szybko porzucił te wysiłki i spytał:

– *À propos* sukcesji, znamy już statut?

– Słyszałeś przecież, że zginął. Tercjusz mówił przy kolacji.

– Chyba mnie wtedy nie było w jadalni.

Jan wzruszył ramionami i wyjaśnił znużonym głosem:

– Księga, zawierająca Biblię, kronikę rodu i statut, zaginęła. Tak twierdzi Tercjusz. A on zdążył przedtem tylko ustalić, że Natalia ma prawo dziedziczyć. Ale nie wie, w jakiej kolejności. Tak twierdzi. Przyniosłem sobie *Złotą Księgę Szlachty Polskiej* i poczytam, jakie są typowe rozwiązania. Choć to niczego nie wyjaśni.



– A pan Poniński nie wie? – zasugerował logicznie Mateusz.

– Przedtem nie chciał o tym rozmawiać, bo uważał, że zabójcą jest ktoś spoza rodziny, a teraz wydał już wyrok na Edwarda, więc z pewnością odrzuci moje pytanie. W ostateczności jednak zwrócę się do niego.

Jan przysiadł na balustradzie. Z głębi parku dobiegło wołanie puszczyka.

– Byli bardzo związani ze sobą – powiedział ni stąd, ni zowąd. Dopiero po chwili wyjaśnił: – Edward i Gustaw. Oglądałem ich pokój. Z tego Gustawa to musiał być niezły rozrabiaka. Gdybyś zobaczył ten zestaw! Prawdziwe wyposażenie łobuza!

– Słyszałem, że z wielkim zamiłowaniem zatruwał najstarszemu bratu życie. Gdy byli u krewnych w gościnie, przyczepił rękaw Adama do obrusu i ten, wstając, zrzucił zastawę – Jan się roześmiał. – A gdy junior poszedł do kościoła w ślicznym jasnym garniturku, Gustaw pobrudził ławkę brata zieloną farbą. Nawet nie wspominam o takich drobiazgach, jak podrzucenie ropuchy do łóżka czy chowanie zeszytów. Dlatego cały czas się zastanawiam, czy on na pewno nie żyje.

– Tak twierdzi Edward.

– Skoro taki był z niego figlarz, pomyślałem... – Mateusz nie skończył.

Morawski już uprzednio przeanalizował tę wersję.

– Są dwie możliwości. Edward mógł mnie okłamać, choć nie rozumiem dlaczego. To miałyby sens, gdyby podejrzewano Gustawa, a nie jego, i Edward swoim kłamstwem próbowałby ocalić brata. Druga ewentualność jest taka, że Edward wierzy w to, co mówi. Ale po co Gustaw miałby go oszukiwać? Przecież tylko skomplikowałby sobie życie, bo to Edward przekazywał mu pieniądze – zgasił cygaro i popatrzył poważnie na Mateusza. – Gdy przyglądam się temu z boku, to nie potrafię pozbyć się wrażenia, że jest ktoś, kto wobec tych ostatnich wydarzeń zakrzyknie: „Ach, jak to się korzystnie dla mnie ułożyło!”. Tylko nie wiem, kto to taki.

– Czyli szukamy, ale nie wiemy kogo.

– Brata. Gdzieś tu jest jakiś brat.

## Rozdział 32.

Gdy Jan przed szóstą rano zjawił się w stajni, praca na podwórzu gospodarczym już wrzała. Osiedłano mu jednego z wierzchowców seniora, praktykant udzielił podstawowych informacji o okolicy i Morawski odjechał.

Pogoda dostosowała się do jego uczuć. Niebo straciło swą przejrzystość i intensywnie błękitną barwę, a powietrze stało się gęste i ciężkie jak przed burzą. Jan czuł, że cały się lepi. W drodze powrotnej pojechał w stronę gloriety i jeszcze raz obejrzał miejsce niedoszłej zbrodni. Studnia była pieczołowicie zabezpieczona, a o ile można było wnioskować z ilości śladów w tamtej części posiadłości, przy zamykaniu szybu musiała pracować co najmniej centuria.

Dwugodzinna forsowna przejażdżka nie wyleczyła go z wewnętrznego niepokoju.

Wszedł do sypialni i od razu rzucił się ku niemu Mateusz, który minioną noc spędził na rozkładanym łóżku w pokoju Jacentego.

– Czy pan w ogóle położył się spać?

– Tak, na trzy godziny. Przedtem szukałem statutu w bibliotece – widząc uniesione brwi kamerdynera, dodał: – Miałem pozwolenie Tercjusza.

– Rozumiem, że poszukiwania okazały się bezowocne?

– Całkowicie – znużony Jan opadł ciężko na fotel.

– Szczerze mówiąc, nigdy do mnie nie przemawiała cała ta idea tworzenia ordynacji – skrzywił się służący. – Nie podoba mi się faworyzowanie dziecka, którego jedyną przewagą jest to, że urodziło się pierwsze. Dziedziczyć powinien ten, kto na to zasłużył.

– Słusznie. Ale jak rozpoznać, kto na to zasłużył?

Mateusz nie znał odpowiedzi, więc tylko wzruszył ramionami. Pomagał Janowi pozbyć się wysokich butów i mamrotał:

– To już lepiej, aby wszyscy dziedziczyli po równo. To się chyba nazywa przeprowadzanie działów.

– Chodzi o to, by majątek nie uległ rozdrobnieniu i aby pozostał w rodzinie.

– To może załatwić testament.

– Wiesz, jak niechętnie ludzie spisują testament. A gdy istnieje statut, wszystko jest uregulowane niejako odgórnie – Morawski zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. – Każdy statut musi być zatwierdzony przez władze. Kolejność dziedziczenia jest w nim dokładnie określona i zazwyczaj nie uwzględnia kobiet. Jeśli w ogóle brane są pod uwagę jako sukcesorki, to jedynie w przypadku wygaśnięcia linii męskich.

– Młyn na wodę dla emancypantek – mruknął Mateusz.

– To dość przejrzysta zasada. Tylko że przejrzałem kilka roczników *Złotej Księgi Żychlińskiego* i znalazłem wyjątki. U Niegolewskich ustanowiono minorat – ordynację dziedziczy najmłodszy syn. Wiemy, że to nie dotyczy Ponińskich. Skoro dziedzicem był Adam, to znaczy, że obowiązuje majorat.

– Pozostaje kwestia, które z dzieci: Natalia czy mały Guccio. Możemy wykluczyć przyrodnie rodzeństwo.

– Niekoniecznie. W rodzinie Twardowskich pierwszeństwo sukcesji mają potomkowie płci męskiej, a w przypadku ich braku – kobiety. Ale co ciekawe, dopuszczono tam do dziedziczenia dzieci nieślubne, jeżeli ojciec zawarze później ślub z ich matką.

Kamerdyner siedział w fotelu i obserwował spacer Morawskiego, jakby oglądał mecz tenisa i podążał wzrokiem za piłeczką.

– Nie doliczymy się ich tutaj – zdecydował pesymistycznie Mateusz.

– Jeżeli statut zezwala na takie rozwiązanie, to spadkobiercą może zostać na przykład ów brat wymieniony przy tej kolacji jeszcze przed śmiercią pani Lili. A kto mógłby nim być? Tercjusz? Eustachy? Nawet ten twój Jacenty?

– Ale dlaczego oni?

– Bo są w odpowiednim wieku, a przede wszystkim dlatego, że przyjaźń każdego z nich z Mariuszem jest zastanawiająca, prawda? Do tego dochodzą jeszcze inne - podejrzanе okoliczności. Weźmy choćby Jacentego i to jego nieuzasadnione wymówienie. Stary służący chce po tylu latach odejść i to z tak błahego powodu?

Zakłopotany Mateusz podrapał się po głowie. Jan od razu go wyczuł:

– O co chodzi?

– Bo widzi pan, to może wyglądać na dowód obciążający, ale ja nigdy nie uwierzę, że on...

– Mateuszu, proszę cię. Co się stało?

– Znalazłem ampułki – Jan natychmiast przystanął i wlepił wzrok w kamerdynera, który wyznał: – W pokoju Jacentego. Ale ktoś je tam na pewno podrzucił.

– Gdzie były?

– Na dnie szafy. Wyciągałem stamtąd w nocy dodatkową poduszkę i je znalazłem. Pięć.

Morawski stanął przy oknie i przez chwilę wpatrywał się w parkową zieleni. W końcu stwierdził:

– Nie dojdziemy teraz, czy schował je tam Jacenty, czy ktoś inny. Dostęp mieli wszyscy, bo przecież komuś udało się tam wejść i rozcieńczyć lekarstwo.

– Jacenty nigdy nie skrzywdziłby nikogo z tej rodziny. Życie by za nich oddał, tak jest z nimi związany.

– Przypomnij sobie, że jeszcze niedawno oskarżałeś seniora o zamordowanie syna, który splamił honor rodu.

Podszedł do umywalni, z dzbana nalał chłodnej wody, obmył twarz i ręce. Z lubością przytknął nos do pachnącego lnianego ręcznika. Odwiesił go i próbował sobie przypomnieć:

– Co Serpentyń mówił o tej kolacji? Dyskutowali o przyrodnych braciach i niegospodarności. A potem o Raczyńskich, ale on nie był pewien, czy to się wiązało z tym poprzednim tematem. Powiedział też, że na wzmiankę o braciach pan Poniński uciszył Tercjusza wzrokiem.

– Może przez wzgląd na kogoś z obecnych?

– A może nie chciał omawiać takich spraw przy służbie? Zapytam Tercjusza, ale jeżeli to o nim była mowa, bez wątpienia się wykręci.

– Pasowałyby – ocenił Mateusz.

– Mógł znaleźć w bibliotece jakieś dokumenty świadczące o jego pokrewieństwie z Ponińskimi i prawie do spadku. Akt ślubu? Urodzenia? – Jan stał przy parapecie i bębnił weń palcami. – Czekaj, Mateuszu. Przyczepiłem się do przyrodniego brata seniora. A może to chodziło o przyrodniego brata juniora?

– Na razie braliśmy pod uwagę przyrodnią siostrę – przypomniał kamerdyner. – Amerykańską siostrę.

– Mógł mieć dużo starszego przyrodniego brata, a ten brat córkę.

Mateusz potrząsnął głową niczym pies wypuszczony z kąpieli.

– Naprawdę powinniśmy to rozrysować.

– Dam Tercjuszowi czas do obiadu na znalezienie statutu. W bibliotece księgi nie ma, więc wyniósł ją albo on, albo ktoś inny, kto był w pałacu w piątek po południu. A jeśli Tercjusz jej nie znajdzie, spytam Mariusza.

Wyciągnął z szafy buty i wpatrywał się w nie z niesmakiem. Przy takiej pogodzie skórzane półbuty były niczym narzędzie tortur.

– Chwilowo odkładam na bok sprawę Adama – oświadczył. – Do jutrzejszej rozmowy z Edwardem. Sam wiesz, że nie umiałem wzbudzić w sobie poruszenia tym zabójstwem, ale to wczorajsze zdarzenie w parku to zupełnie coś innego.

– Ale skoro to pan Edward zaniósł kolację panienki i tylko on...

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Pewne jest to, że wziął miseczkę, zaniósł ją do góry, a potem znaleziono martwego psa. Nie wiemy, ile osób miało styczność z tym jedzeniem. Kto to ugotował? Pani Felicja? Kto miał do tego dostęp w kuchni? Czy ktoś jeszcze to jadł? Skąd wzięła to pani Barbara? Kto wchodził do pokoju Natalii? – zastanowił się. – W gruncie rzeczy nie jesteśmy nawet pewni, czy to Edward zaniósł ten kleik, ryż, czy co to tam było.

Wstał i sięgnął po marynarkę:

– Idę na dół. A dla ciebie mam zadanie: zorganizuj mi rozmowy z panią Felicją i Balbiną.

W jadalni zastał tylko Tercjusza.

– Towarzyszka się spóźnia? – zagadnął, nalewając sobie wody z karafki. Na jedzenie nie miał ochoty, a kawy wolał nie pić, bo i tak czuł już nadmierne pobudzenie. Najchętniej w ogóle by nie siadał.

– Coś jest dzisiaj markotna. Nie udało się przekupić jej nawet czekoladą. Poszła na górę. Prawdziwa kobieta – rzucił pan Drojewski sentencjonalnie, po czym się poskarżył: – Ja też nie jestem dziś przy apetycie. Powiedz, że w to nie wierzysz, Janie.

– Nie wierzę. Ale fakt jest jeden. Ktoś to zrobił. Kto?

– Nie mam pojęcia. Każdy mógł wejść do pokoju szkolnego. Nawet junior.

– Junior? Sądziłem, że nie interesował się córką.

– Bo tak było. Ale ja sam widziałem, jak tamtego popołudnia wychodził z pokoju Lili.

Obraz rozpaczającego wdowca zupełnie nie pasował do juniora, natomiast uwagę Jana przyciągnęło coś innego.

– A co ty robiłeś na piętrze?

– Ja... – przełknął głośno ślinę – ...potrzebowałem atlasu, a w pokoju chłopców jest ich najwięcej.

Morawski tego nie skomentował. Zajął swe miejsce przy stole i zadał kolejne pytanie:

– Czy tamtego popołudnia był tu ktoś poza domownikami?

– Tylko ten awanturnik.

– Chodzi mi o wczesny wieczór.

Tercjusz przez chwilę się zastanawiał.

– Nie. Ze względu na żalobę nikt nas nie niepokoił. Przyjechał tylko lekarz. Chciał się upewnić, czy Adamowi, znaczy się seniorowi, nic nie dolega. I chyba zgubił u któregoś z pacjentów stetoskop, bo pytał, czy może się rozejrzeć.

– W jakim wieku jest ten lekarz? To był ten starszy?

– Doktor Klauziński. Jest kilka lat młodszy od naszego gospodarza.

Jan postanowił, że później pomyśli o lekarzu. Na razie coś go pchało do mówienia, do chodzenia, do atakowania.

– Wiem, że jakieś dwa lub trzy tygodnie temu doszło do pewnej rozmowy. Tu, przy kolacji. Możliwe, że padły wtedy ważne słowa.

– Tak?

– To było chyba dzień przed porodem pani Lili. Byłeś ty i pan Adam, a na początku posiłku także pani Barbara, ale źle się poczuła i wcześniej poszła do siebie.

Tercjusz wpatrywał się w Morawskiego. Po chwili zmarszczył brwi i wolno pokiwał głową.

– Tak, pamiętam coś takiego. Ale zupełnie nie kojarzę, o czym mogliśmy rozmawiać.

– O przyrodnich braciach. O bankructwach. I jeszcze o tym, że są sytuacje, gdy nawet pan Poniński nie zdołałby pomóc.

– Nie wiem – zagadnięty wzruszył ramionami. – Ciągle o czymś takim dyskutujemy. Przez to archiwum. Nie uwierzyłbyś, jakie przypadki zdarzały się w czasie...

– I było coś o Raczyńskich – Jan nie był zainteresowany przypadkami zdarzającymi się w czasie.

– O Raczyńskich? – rezydent ponownie się zamyślił. – Pamiętam, że to z tobą rozmawiałem o Edwardzie i Róży. O ich odmienności. Może zapytasz Barbarę? Może ona pamięta? Choć nie jestem pewien, czy wtedy jeszcze z nami siedziała, czy już poszła.

Morawski nie odpowiedział. Patrzył badawczo na Drojewskiego i zastanawiał się, czy mężczyzna naprawdę nie wie, czy nie chce powiedzieć. Raptownie zmienił temat:

– Dlaczego pani Eufemia nagle postanowiła wydać za ciebie Teklę?

– Nie wiem, Janie. Przecież już mówiłem.

Młody człowiek zapatrzył się w zwijaną przez siebie serwetkę. Gdy nadał jej kształt harmonijki, podniósł wzrok na Tercjusza i oznajmił:

– Pan Poniński musi poznać prawdę o swym najstarszym synu. Nie mogę znieść, że cała wina, wszystko, co najgorsze, zrzucane jest na tego, który moim zdaniem jest uczciwym, prawym człowiekiem – na chwilę zamilkł, a potem mówił dalej: – Powinien się dowiedzieć od kogoś bliskiego. Najlepiej od ciebie. Ale jeżeli nie podejmiesz się tego, ja mu jutro powiem. Wszyscy zgadzają się cierpieć, byle tylko nie zadać mu tej rany. Złóżcie nawet Edwarda na ołtarzu. Ale tak być nie może. Trzeba z tym skończyć.

Wstał i wyszedł. Nie znosił szantażować ludzi.

\*\*\*

W holu czekał na niego Mateusz.

– Pani Felicja jest w kuchni.

– Mogę tam teraz pójść? Pewnie jest zajęta.

– W kuchni jest już posprzątane po śniadaniu, bo niedługo służący wychodzą do kaplicy.

Szli w stronę gospodarczego alkierza.

– Przypuszczam, że nikt ze służących nie wie o prawdziwych okolicznościach śmierci Tobiego...

– Raczej nie.

W opustoszałej kuchni siedziała pani Felicja, która w ciemnej, nobliwej sukni całkowicie różniła się od tamtej dobrej wróżki kuchennej, jaką zapamiętał Morawski. Usiedli i od razu przeszedł do rzeczy:

– Pani Felicjo, mam tylko kilka krótkich pytań. Chciałbym, aby mi pani obiecała, że ich pani nikomu nie powtórzy. Mogłyby wywołać zbędne poruszenie wśród służby.

Popatrzyła na niego zaniepokojona, ale szybko skinęła głową:

– Dobrze. Obiecuję.

– W dniu pogrzebu pani Lili przygotowała pani dla Natalii kolację. Ryż na mleku.

– Tak. Pamiętam. Z sosem powidłowym.

– Pani go nałożyła, polała sosem, a pani Barbara zabrała.

– Nie. Panienka nie lubi ryżu na ciepło. Ugotowałam znacznie wcześniej, polałam sosem, zakryłam i postawiłam tam na kredensie – wskazała mebel stojący przy wyjściu z kuchni.

– I jak długo tam stał?

– Tak ze dwie godziny – zastanowiła się. – Może nawet trzy, bo pamiętam, że miska już tam była, gdy pan Adam rozmawiał z doktorem tuż przy tych drzwiach.

Jan poczuł dreszcz, ale nie chciał, żeby kucharka zaczęła przypisywać tej informacji zbyt duże znaczenie, więc lekkim tonem zachęcił ją, by kontynuowała:

– Pan Tercjusz wspominał, że doktor przyjechał tu tego dnia i czegoś szukał.

– Tak. Często zagląda tu do mnie, żeby coś przekazać w biegu. Wie pan, jak to jest z lekarzami. Nigdy nie mają na nic czasu.

– Opiekuje się domem od lat, prawda?

– Tak, pan Adam kiedyś powiedział, że każdy powinien wybrać sobie lekarza w swoim wieku, aby mogli razem się starzeć – wszyscy troje się uśmiechnęli. – Tak. Jestem pewna, że miseczka już tam wtedy stała. Akurat mieliśmy podwieczorek, kuchnia była pusta i gdy weszłam od strony naszej jadalni, to obaj panowie stali przy drzwiach i rozmawiali.

– Przyszli skądś razem?

– Nie sędzę. Pan Adam chyba wracał z podwórza, a doktor zawsze wchodził od strony pałacu.

– A kto zaniósł kolację panience?

– Powinna była to zrobić Nela, ale gdzieś zniknęła. W końcu pani Barbara się zainteresowała, dlaczego to tam jeszcze stoi.

Morawski poczuł rozpacz. Liczył, że z łatwością ustali, kto miał dostęp do kolacji dziewczynki, a tu pula, początkowo złożona z kucharki, pani Barbary i Edwarda, powiększała się w zastraszającym tempie. Pokiwał głową. Wstał, a razem z nim Mateusz.

– Bardzo pani dziękuję, pani Felicjo.

– Czy coś nie tak z tym ryżem panienki? – zaniepokoiła się kucharka. – Musiał jej smakować, bo potem Nela zaniósła jej jeszcze krem czekoladowy.

– Nie, nie, wszystko było z nim dobrze.

\*\*\*

– Nic nie mów, Mateuszu – zapowiedział Jan kamerdynerowi, który kłusował za nim

w stronę głównego budynku.

– Znalazłem Balbinę. Już przedtem! – zawołał. Morawski się zatrzymał.

– Doskonale. Gdzie jest?

– Kazałem jej czekać w bocznym saloniku. Tym przy jadalni.

Weszli do zacienionego o tej porze wnętrza. Stała tam w kącie zupełnie nieruchomo, zapewne w tej samej pozycji, w jakiej zostawił ją kwadrans wcześniej Mateusz.

– Usiądź, Balbino – poprosił Jan.

Dygnęła, ale nie usiadła, Morawski zatem też stał.

– Tamtego dnia, gdy był pogrzeb – zobaczył, że zmarszczyła brwi, więc dodał: – pogrzeb pani... – dostrzegł na jej twarzy gonitwę myśli. W końcu rozpromieniła się i przytaknęła. Mógł mówić dalej: – Wieczorem wróciłyście z panią do pokoju.

– Tak.

– Spotkałyście kogoś po drodze? Doktora?

– Tak – przyznała, a Jan z trudem narzucił sobie opanowanie.

– I w pokoju była pani Barbara. Tobi leżał martwy.

– Tak.

– Pomogłaś pani Barbarze go zabrać.

– Tak.

– I co było dalej? – zmarszczyła czoło, a Morawski na widok tego wysiłku podsunął: – Natalia dostała krem czekoladowy na kolację.

Balbinka ucieszyła się; najwyraźniej ten fakt był jej znajomy:

– Tak. Czekoladowy.

– Potem położyłaś ją spać.

– Tak.

– Piesek z aksamitu był?

– Tak – tu Jan się zdziwił. Pani Barbara i Nela mówiły przecież coś innego.

– A potem była burza.

– Stukało i huczało – piastunka szeroko otworzyła oczy. – Poleciałam do kuchni.

– A pani Barbara poszła po Natalię i nie mogła znaleźć szmacianego pieska.

– Tak – kiwnęła głową z pełnym przekonaniem.

– Ale mówiłaś, że piesek był – zwrócił jej uwagę Morawski.

Zmarszczyła czoło. Nagle się rozjaśniła:

– Mówiłam.



Jan patrzył na nią oszołomiony i zastanawiał się, czy jest sens pytać ją, dlaczego nie zwróciła uwagi na to, że Tobi otruł się przed burzą, a wszyscy dyskutowali o trutce w piwnicy. Zaryzykował:

- Piesek panienki, Tobi, zatrzał się w pokoju u góry.
- Tak.
- A służący powtarzają, że piesek się zatrzał w piwnicy.
- Tak – w każdym przypadku mówiła prawdę.
- To zatrzał się u góry czy w piwnicy?

Ta rozbieżność najwyraźniej dotychczas nie zaprzętała jej umysłu. Uśmiech znikł z jej twarzy, jakby ktoś zgasił świeczkę.

Morawski uprzytomnił sobie, że jej zeznanie o obecności doktora na piętrze domu jest zupełnie bezwartościowe, bo piastunka zgadzała się z każdą sugestią, w zależności od tego, czego jej zdaniem życzył sobie rozmówca.

Zdesperowany Jan wymienił spojrzenia z Mateuszem. Ruszył do drzwi i nagle przyszedł mu do głowy pewien concept. Musiał sprawdzić, czy ona zna inne słowo niż „tak”.

- Widziałaś na piętrze doktora? – powtórzył.
- Tak.
- A widziałaś na piętrze Floriana?

Tak się skoncentrowała, że aż zacisnęła pięści. Po czym odpowiedziała zdziwiona:

- Nie.

## Rozdział 33.

– Obiecałem Jacentemu, że po niego pójde – przypomniał sobie kamerdyner, gdy wyszli z saloniku.

– Spotkamy się w kaplicy.

Rozstali się. Gdy Jan był w holu, usłyszał za sobą szybkie kroki.

W jego stronę zmierzała pani Barbara. Zatrzymała się, zaskoczona jego widokiem. W gładkiej czarnej sukni wyglądała na starszą. Zauważył też, że jej szczupła twarz jeszcze zmaląa. Chyba wszyscy stracili apetyt.

– Dzień dobry – przywitała go. – Właśnie wybieram się na mszę.

– Źle się pani czuje?

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej. Ale to nerwy, nic więcej.

Stali przy uchylonych drzwiach do jadalni. Wskazał je dłonią i weszli do środka. Na stole nadal tkwiły naczynia po wzgardzonym śniadaniu. Widocznie służący nie zdążyli ich jeszcze posprzątać.

– Zapomniałem wczoraj spytać o przyjazd policjantów.

– Byli tu zaledwie pół godziny. Weszli do pokoju Adama i odjechali. Chcieli tylko coś sprawdzić przed pierwszą rozprawą – potarła dłonie. – Pan najprawdopodobniej wyjedzie do tego czasu?

Nie był pewien, czy to pan Poniński jej to zasugerował, ale wolał nie pytać, by nie wprawiać pani Barbary w zakłopotanie.

– Chciałbym spotkać się z doktorem Klauzińskim. Czy sądzi pani, że będzie dzisiaj w domu?

– To chyba jedyny dzień, kiedy można go zastać. Najpewniej w porze obiadu.

– Wiem, że pan Adam uznał zagadkę za rozwiązana, ale kilka kwestii nadal mnie niepokoi. Wydaje mi się, że mogłaby pani mi pomóc.

– Bardzo chętnie.

– Usiłuję ustalić, kto jest obecnie spadkobiercą ordynacji.

– Niestety, nie pomogę panu. Nie znam szczegółowych warunków.

– Ktoś mi wspominał, że pan Adam dyskutował o tym z Tercjuszem.

Wzruszyła ramionami.

– Wielokrotnie podejmowali temat dziedziczenia, szczególnie odkąd pan Tercjusz odkrył jakieś nieznane przedtem dokumenty rodowe.

Jan na chwilę zamilkł. Nikt dotychczas nie wspominał mu o nowym znalezisku. Poza

Sewerynem. Czyżby bibliotekarz coś zataił? Po raz kolejny?

– Chodzi mi o konkretną rozmowę, która odbyła się jeszcze za życia pani Lili. Podobno była pani przy niej obecna.

– Być może. Często jadam kolację razem z panami.

– Rozmowa dotyczyła bankructw, niegospodarności i braci przyrodnych. Nie wiem, niestety, o kogo chodziło.

– Coś kojarzę – zmrużyła oczy – lecz tylko to, że taki temat w ogóle poruszono. To było chyba tego wieczoru, kiedy bardzo źle się czułam i koncentrowałam się przede wszystkim na tym, by uciekać wzrokiem przed błyskami sztućców.

W obecnym nastroju Jan nie był nawet w stanie zdobyć się na okazanie współczucia. Natychmiast podsunął drugi motyw:

– A Raczyńscy? Czy to coś pani mówi?

– To też było podczas tej kolacji? – przytaknął. Wydęła wargi. – Raczyńscy i przyrodni bracia? Może chodziło o to, że pani Róża, wychodząc za hrabiego Edwarda, miała już dwójkę dzieci z pierwszego małżeństwa, a sam hrabia jednego syna?

– A wie pani? Nie pomyślałem o tym. Muszę się temu przyjrzeć.

– A może panowie zmienili temat i dalszy ciąg rozmowy dotyczył bogatego księgozbioru w Rogalinie? Pan Tercjusz ostatnio często kontaktował się z tamtejszym bibliotekarzem.

To było możliwe. Jan chciał ją spytać o coś jeszcze, ale dostrzegł nerwowe spojrzenie, jakie rzuciła w stronę drzwi, powiedział więc tylko:

– Nie zatrzymuję pani. Ja również za chwilę przyjdę do kaplicy.

\*\*\*

Patrzył za odchodzącą, po czym ruszył za nią, lecz zamiast udać się w stronę wyjścia, zaczął wchodzić po schodach. Gdy był na podeście, zdał sobie sprawę, że nie wszyscy opuścili pałac. Ktoś się kłócił w górnym holu. Przystanął i wstrzymał oddech. Rozpoznał podekscytowane głosy Serpentyna i Neli, aczkolwiek nie był w stanie wychwycić wszystkich słów:

– Chyba nie sądzisz... z byle pokojówką? – to powiedział on.

– Ale przecież... obiecałeś... – prawie skamlała.

– Niczego...

– ...pierścionek...

– Już go... A poza tym nie po to... Adamem...

– Gdybym wiedziała... Spróbuj mnie zdradzić...

– Nie strasz mnie, bo pożałujesz – syknął.

Końcówkę Morawski zrozumiał całą, bo mężczyzna zbliżał się do klatki schodowej. Jan zbiegł do holu, a stamtąd uciekł do bocznego saloniku. Tam zawrócił i spokojnie siedł

w stronę schodów. Z naprzeciwka statecznym krokiem nadchodził Seweryn, poprawiający klapy błyszczącej marynarki. Ukłonił się i byłby poszedł dalej, gdyby gość się nie odezwał:

– Myślałem, że wszyscy już poszli na mszę i nawet chciałem wrócić do siebie, żeby opóźnieniem nie zakłócać nabożeństwa.

Serpentyn strzelił obcasami, lekko się zgiął w służalczym ukłonie i wyciągnął z kieszonki połyskujący złotem zegarek.

– Mamy dokładnie pięć minut, jaśnie panie.

Z góry zbiegała Nela:

– Jak mogłeś... – zaatakowała lokaja, lecz natychmiast przerwała, gdyż zobaczyła Jana. Osłupiała, po czym zasłoniła usta i uciekła w stronę alkierza.

– Ach te kobiety – Serpentin z politowaniem pokręcił wypomadowaną głową. – Człowiek się do takiej uśmiechnie, a jej się od razu wydaje, że to oświadczy.

Wykwintnym gestem giętkiej ręki wskazał Morawskiemu kierunek, a w drodze do wyjścia kontynuował swe ubolewania:

– Chyba oszalała, jeżeli sądzi, że się z nią ożeni. I to teraz, kiedy mam zostać majordomusem. Każda ochmistrzyni mnie przyjmie.

– Słyszałem, że Jacenty czuje się lepiej – zdołał powiedzieć Jan. Tylko na tyle pozwoliły mu zaciśnięte zęby.

– To są ostatnie podrygi.

Morawski na to nie zareagował. Minęli drzwi do pokoi juniora i wyszli na zewnątrz. Znajdowali się dokładnie na wprost kaplicy i drewnianej wieży.

– Dla mordercy to położenie na uboczu musiało być bardzo korzystne – skomentował Jan.

– Tak – przytaknął z unizonym uśmiechem lokaj. – Dlatego w pierwszej chwili byłem przekonany, że winien jest ktoś spoza pałacu. Jakiś zazdrosny mąż z Berlina, ewentualnie szaleniec od tej prostaczki z Galicji. Ktoś taki.

– Albo ten przyrodni brat pana Ponińskiego.

– Pan Tercjusz.

– Nie wiadomo, czy to jest on.

– Musi być on – Seweryn pogardliwie wyduł usta. – Siedzi tu za darmo od lat, nawet na cygara go nie stać. Ale nasz pan jest dumny z rodu i dlatego woli go trzymać tu w ukryciu.

– I pani Eufemia uznała te argumenty, prawda?

– Skąd pan... – zdradził się nie tak znowu sprytny Serpentin.

– Sama mi powiedziała, że się znacie – Jan pomyślał, że nawet jeżeli nie była to prawda, to w każdym razie pani Bocheńska nie wyparła się swych kontaktów z lokajem,

który teraz wysoko uniósł głowę.

– Byłem pewien – oznajmił – że to pan Tercjusz jest mordercą. No, ale teraz, gdy się okazało, że to pan Edward chciał otruć panienkę, od razu wiemy, kto zabił mojego pana.

Morawskiego uderzyło, że Serpentyń wiedział o zatrutym posiłku Natalii, choć służby o tym nie poinformowano.

Nie zdołał jeszcze ustalić, jaką rolę w życiu juniora odgrywał śliski lokaj. Może coś dla niego załatwiał? Pieniądze? Narkotyki? Zapytany wąż ze wszystkiego by się wywinął. Po raz pierwszy Morawski zaczął rozważać, czyby nie poprosić seniora o zgodę na przeszukanie kwater służby. Tylko czy taki lawirant jak Seweryn przechowywałby jakiegokolwiek dowody swej winy? I co by to mogło być? Kwity? Bizuteria? Bo przecież nie księga. A poza tym co wiedziała o nim Nela?

## Rozdział 34.

Murowana kaplica była skromna, a tuż przy niej stała stara drewniana dzwonnica, która liczyła chyba tyle lat, co otaczające ją drzewa. Była to zapewne pozostałość dawnej świątyni.

Do kaplicy prowadziły podwójne drzwi, nad którymi umieszczono piękny witraż w kształcie półkola. Jan wszedł, przeżegnał się i od razu zauważył schody prowadzące w dół do krypty.

Wnętrze wypełnione już było mieszkańcami i pracownikami pałacu. W pierwszej ławce siedział Mariusz z Natalią, widoczną ponad oparciem tylko dzięki wysokiemu uczesaniu, w drugiej tkwił samotny Tercjusz. Jan dosiadł się do niego.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Morawski brał w nim udział raczej bezmyślnie i rozglądał się dookoła.

Centralny punkt stanowił dębowy ołtarz z obrazem Matki Boskiej. Nie było ambony, a tylko podest obwiedziony balustradą, która dzieliła kaplicę na dwie części. Na ścianach wisiały epitafia, tablice pamiątkowe i kilka obrazów o tematyce religijnej. W jednym z nich Jan rozpoznał wizerunek św. Antoniego Padewskiego. Wszystko spowijał kir.

Duchownym odprawiającym mszę był najprawdopodobniej ów ksiądz dobrodziej, któremu przyganiała Eufemia. Świadczyły o tym dobrotliwe spojrzenie i zrudziała sutanna, smętnie zwieszająca się z długiego ciała, na którym nie było chyba grama tłuszczu. Tak, ten człowiek nie wyglądał na kogoś, kto interesowałby się światowymi inicjatywami i kto tuczyłby się na przyjętkach organizowanych przez nadgorliwe parafianki.

Nabożeństwo przebiegało zgodnie z tradycyjnym układem i Jan zatopił się w rozmyślaniach. Przypomniawszy sobie swego dziadka, któremu najlepsze pomysły przychodziły do głowy w czasie mszy. On sam doznawał przebłysków geniuszu, gdy zanurzał się w wodzie albo układał *jigsaw puzzle*. Tutaj nie mógł się skoncentrować. Chyba przeszkadzały mu smętne, przygnębiające zawodzenia starszych służących i specyficzny zapaszek przepojonych naftaliną żałobnych ubrań.

Msza trwała bardzo krótko.

Przygnębiony Tercjusz wstał i nie patrząc na Jana, wyszedł. Za nim podążyli pani Barbara, Mateusz, dyskretnie eskortujący Jacentego, i inni służący.

Jan został w ławce i obserwował pana Ponińskiego: senior się podniósł, ujął dziewczynkę za rączkę i ruszyli w stronę wyjścia. Każde z nich niosło bukiet kwiatów. Nie opuścili kaplicy, lecz zaczęli schodzić do krypty. Po pokonaniu kilku stopni pan Adam odwrócił się, spojrzał na Jana, który dotarł właśnie do wyjścia z kaplicy, i gestem zaprosił gościa, by przyłączył się do tej pielgrzymki.

W podziemiu znajdowały się rodzinne grobowce, a na płytach niektórych z nich,

chyba tych bardziej wiekowych, umieszczono popularne w poprzednich stuleciach portrety trumienne.

Senior z wnuczką stali przy pierwszej płycie po lewej stronie.

– Tu leży babcia Natalia – wyszeptła jej mała imienniczka. – To jej ukochane kwiatki – dodała, wskazując na bukiet przyniesiony przez pana Adama.

– „Souvenir de la Malmaison” - mruknął Jan, a widząc zdziwione spojrzenie pana Ponińskiego, dodał: – To była ulubiona odmiana także mojej babci.

Senior pogłaskał blad różowe płatki:

– Poza oświadczeniami nigdy nie powiedziałem jej, że ją kocham. Proszę nie odkładać tego w nieskończoność – poradził swemu gościowi. – Ja już wkrótce nie będę miał komu tego wyznać.

Uklęknął. Morawski odszedł z Natalią. Idąc w stronę schodów, zauważył kwiaty na sąsiedniej płycie. Nie odczytał napisów na dwóch bardziej odległych tablicach, ale na tej umocowanej najbliżej przejścia widniało: „Adam Poniński 1900”, a pod spodem: „Byłeś tylko snem”.

Razem z dziewczynką wrócił do kaplicy, pozostawiając w krypcie klęczącego seniora.

U góry czekał na nich duchowny.

– Pan Adam modli się przy grobie żony – wyjaśnił Jan.

– Święta kobieta – pokiwał głową ksiądz. – Cnotliwa, pobożna, miłosierna. Biedacy do dziś ją wspominają. Prawdziwa kobieta z Ewangelii. Zimą i latem, niezależnie od pogody i zdrowia, przybywała w każde święto na nabożeństwo do kościoła.

– Myślałem, że msze odbywają się tutaj.

– Tylko w niedziele. W święta pani Natalia jeździła do kościoła parafialnego. Zresztą to ona wystarała się o indult dla kaplicy na odprawianie nabożeństw – skromny duchowny popadł w zadumę, po czym nagle się zreflektował. – Panu Adamowi jako kolatorowi też niczego nie mogę zarzucić. Dbą o kościół, ale co najważniejsze, nie zapominają o żadnym z potrzebujących.

Jan ponownie poczuł się skonfundowany. Ten człowiek, Mariusz, wymykał się ocenie. Nie sposób było odrzucić świadectwo wystawione przez takiego chrześcijanina, jak stojący koło niego ksiądz.

Natalia odeszła od nich i próbowała zanurzyć dłoń w misie kamiennej chrzcielnicy.

Wtedy ksiądz spytał szeptem:

– Czy można mu pomóc?

– Nie wiem. Próbuję wyjaśnić to... zabójstwo. Czy ksiądz zna dobrze Edwarda?

– Znam go długo, ale nie wiem, czy dobrze. Chrzciłem go. A i pana Adama znam całe życie. Już jako dziecko przyjeżdżałem w te okolice do rodziny.

– A czy on... Edward... mógł to zrobić?

– Wszyscy jesteśmy zdolni do grzechu. Załóżek zła tkwi w każdym z nas. Otrzymaliśmy go już od pierwszych rodziców.

Z nieuczęszczanego zakamarka pamięci Jan wydobył zasłyszany w dzieciństwie fragment:

– *I rzekł Pan do Kaina: Gdzie jest Abel brat twój?*

Nie pamiętał dalszego ciągu, więc dokończył ksiądz:

– *Który odpowiedział: Nie wiem. Zalim ja jest stróżem brata mego? I rzekł do niego: Coś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi [27].*



## Rozdział 35.

Na widok zbliżającego się Jana Mateusza zerwał się z parkowej ławki, na której siedział razem z Jacentym.

– Wyjeżdżam, Mateuszu. Pilnuj jej – Morawski głową wskazał Natalię skaczącą wokół marszałka. Odciągnął kamerdynera na bok i szepnął: – Spróbuj ustalić, skąd pochodzi Serpentyń.

Służący chciał coś powiedzieć, ale przeszkodziło mu w tym osłupienie. Zanim zaś odzyskał mowę, zbliżył się do nich senior, a wtedy Mateusz taktownie się odsunął.

– Panie Adamie – zagadnął Jan – chciałbym się spotkać z doktorem Klauzińskim.

– Ale po cóż? – spytał ze znużeniem pan Poniński, jakby liczył na to, że młody detektyw wyjedzie. – Przecież wszystko jest jasne.

Morawski nie chciał się spierać, jako że zadanie ujawnienia prawdy na temat juniora pozostawił Tercjuszowi.

– Nie pomogłem panu. Jedyne, co mogę zrobić, to skłonić pana Edwarda, by się przyznał. Musi pan zatem znosić mnie pod swoim dachem do jutra.

Spodziewał się, że na takie stwierdzenie senior zareaguje protestami i tak właśnie się stało, a co więcej, pan Adam zaofiarował się, że odprowadzi swego gościa do stajni.

Już na podwórzcu gospodarczym pan Poniński próbował przekonać Jana, by pojechał powozem.

– Niedobra pogoda na jazdę wierzchem.

Morawski się upierał i w końcu gospodarz ustąpił. Osobiście wybrał konia i objaśnił, jak dojechać do doktora Klauzińskiego.

Jan bez kłopotu trafił do obszernego domu na skraju miasteczka. Przed gankiem podbiegł do niego młody chłopak i odprowadził konia. Drzwi otworzył stary kamerdyner z miotlastymi bokobrodami. Liberię w paski miał przepasaną wielkim płóciennym fartuchem. Jan nie zdążył się przedstawić, gdy do holu wszedł brodaty, szczupły jegomość, bez wątplenia pan domu. Był rzeczywiście kilka lat młodszy od seniora, ale podobnego wzrostu i postury.

Przybysz wymienił swe nazwisko i dodał:

– Przepraszam, że nachodzę pana w niedzielę. Jestem gościem pana Adama Ponińskiego.

Doktor umieścił na nosie binokle.

– To pan się zajmuje tym zabójstwem? – spytał dość bezpośrednio, a gdy Morawski przytaknął, lekarz odsunął się od drzwi, które sobą zasłaniał, i wskazał młodemu człowiekowi drogę: – Proszę, niech pan wejdzie.

Jan usłyszał jeszcze, jak pan Klauziński polecił lokajowi:

– Przynieś nam lemoniadę. Ale zimną.

Gabinet był zacieniony i kojąco chłodny. Ścianę po prawej stronie zajmowała wielka biblioteka, pod jednym oknem stało biurko, a przy drugim – okrągły stolik i trzy fotele. Uchylone drzwi prowadziły do urządzonego na biało pokoju; Jan zdążył zauważyć w nim parawan, zanim doktor przymknął skrzydło.

Usiedli w fotelach i gość wyjaśnił:

– Chciałbym porozmawiać z panem właśnie o sprawie zabójstwa.

– Ma pan szczęście. Dziś po południu wracam do Kissingen. Wie pan pewnie, że przyjechałem tu wezwany telegramem pana Adama.

Wszedł służący z tacą, na której stał dzbanek i dwie szklanki. Odstawił wszystko na blat, ukłonił się i zniknął.

– Koszmarny upał, prawda? – zagadnął doktor, częstując gościa pachnącym płynem. Sam wypił trochę, oparł się jednym ramieniem o podłokietnik i spytał: – Co mogę dla pana zrobić?

Jan już po drodze postanowił nie wspominać o zamachach na Natalię. Lekarz nic o tym nie wiedział – taką przynajmniej Morawski miał nadzieję – i lepiej, aby tak pozostało.

– Próbuje na prośbę pana Ponińskiego ustalić, kto mógł zabić jego syna. A dokładniej, kto inny niż Edward – uściślił, a Klauziński wydał usta i pokiwał głową ze zrozumieniem. – Wiem, że to pan został wezwany do zmarłego.

Doktor najwyraźniej lubił opowiadać *ab ovo*, bo uznał za stosowne cofnąć się kilka kroków do tyłu.

– Tak. Najpierw przysłano do mnie do uzdrowiska telegram, że pani Lili zaczęła rodzić. Proszono, bym wrócił. Natychmiast ruszyłem w drogę, ale przybyłem za późno.

– Za późno, by uratować dziecko.

– Za późno, by uratować dziecko i matkę. Do dziecka pojechał mój zastępca, doktor Charkowski. Jest wprawdzie młody, lecz to bardzo utalentowany medyk. Ale też nie zdołał nic zrobić, bo chłopiec urodził się owinięty pępowiną.

– I za wcześnie.

– Według mnie to było miesiąc za wcześnie, a zatem dziecko miałoby wszelkie szanse na przeżycie. Przyczyną śmierci było uduszenie. Na szyi była bruzda o szerokości pępowiny. Na pomoc było za późno. Poród przyjęła pani Barbara, która *notabene* poważnie wystraszyła biednego doktora. Nie wiem, czy pan tego doświadczył, ale ona potrafi zachowywać się bardzo energicznie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi interesy pana Ponińskiego.

Jan mruknął potakująco, a lekarz opowiadał dalej:

– Doktor Charkowski miał jednak na tyle przytomności umysłu, że zbadał panią Lili. Stwierdził u niej lekkie krwawienie. Uznał je za niegroźne, zalecił odpoczynek i zimne

okłady. Wyjechał, prosząc, by w razie potrzeby po niego posłano. Ja, nie wiedząc o śmierci dziecka, wyruszyłem w drogę z Kissingen. Dotarłem tu kilkanaście godzin po porodzie. Gdy wysiadałem przed domem, przyjechał po mnie posłaniec z pałacu z wiadomością, że pani Lili nie żyje.

– Pani Barbara mi opowiadała, jak siedziała całą noc przy pani Lili i nic nie wskazywało na to, że z tej biedaczki uchodzi życie.

– Tak. Gdy przyjechałem do pałacu, pani Barbara sama wyglądała jak śmierć. Ale to zrozumiałe po tylu godzinach czuwania i po takich przeżyciach. Robiła sobie wyrzuty i płakała, że niczego się nie spodziewała.

– Poza Ponińskimi nie ma nikogo na świecie – Jan dopił lemoniadę i zapatrzył się w szklanekę.

– Jeśli o mnie chodzi to śmierć pani Lili zupełnie mnie nie zaskoczyła. Ta biedna kobieta już dawno straciła wolę życia. Umierała od miesięcy. Przez pewien czas obawiałem się nawet, że popełni samobójstwo. Na szczęście do tego nie doszło.

Morawski pomyślał, że ze względu na Natalię było to naprawdę szczęście.

Zza drzwi dobiegł ich szcęk metalu.

– Może zostanie pan na obiedzie? – zapytał doktor. – Niestety, nie mogę panu zaproponować niczego wykwintnego. Widzi pan, ja i Feliks prowadzimy dziś kawalerskie gospodarstwo. Na te minione dwa tygodnie zgodziłem do gotowania kucharkę, ale wczoraj zakończyła już pracę i dzisiaj mamy odgrzewany obiad, a potem wyjeżdżamy.

Jan się wahał – wczoraj stracił apetyt, ale miał zamiar zapytać doktora jeszcze o kilka spraw, a nie chciał przetrzymywać w gabinecie kogoś, kto lada chwila miał wyjechać, a musiał przedtem coś zjeść.

– Proszę się nie obawiać – lekarz niewłaściwie odczytał skrupuły swego gościa. – Najbardziej krwawą część historii mamy już za sobą.

Młody człowiek się uśmiechnął. Wstali i doktor Klauziński wskazał dłonią drogę do jadalni.

Pokój stołowy, wypełniony masywnymi dębowymi meblami, również pozostawał w cieniu, a to dzięki rozłożystemu drzewu owocowemu, którego gałęzie wciskały się do środka przez otwarte okno. Waza z zupą stała już na stole, a obok niej dwa nakrycia. Widocznie Feliks przyzwyczajony był do niespodziewanych gości swego pracodawcy. Panowie usiedli i doktor przystąpił do nalewania zupy.

– Prawdziwy niedzielny obiad – westchnął z lubością po zjedzeniu kilku łyżek. – Rosół.

Przez chwilę jedli w milczeniu, a potem doktor rekomendował rosół jako wyśmienite danie na czas upału i próbował namówić gościa na przyjęcie dokładki. Nie rozmawiali o zabójstwie.

Dopiero gdy Feliks postawił na stole półmisek z plastrami wołowiny, zalanymi sosem chrzanowym i otoczonymi ziemniakami i warzywami, pan Klauziński wrócił do sprawy, z którą przyjechał Morawski.

– Kontynuując interesujący pana temat, po śmierci pani Lili postanowiłem zostać tu kilka dni i odwiedzić stałych pacjentów.

– I wezwano pana ponownie. Tym razem do młodego Adama.

– Nie wiedziałem, co się stało. Po prostu pewnego ranka... pamiętam, że to było po tej strasznej burzy... przygalopował parobek. Pojechałem z nim do pałacu i dopiero tam się dowiedziałem, że junior został zastrzelony. Z bliskiej odległości. Pod brodę.

– Czytałem opis. Pan przeprowadził sekcję?

– Nie, ale rozmawiałem z lekarzem policyjnym – Morawski dostrzegł, że doktor w trakcie nakładania mięsa najpierw rzucił mu badawcze spojrzenie, a potem zagadnął sztucznie obojętnym głosem. – A dlaczego pan pyta? Czyżby coś pana dziwiło?

– Kilka rzeczy. Na przykład ta ranka na przegubie.

– Pamiętam. Całkiem świeże skaleczenie – Jan patrzył na lekarza i widział jego mądre, lekko znużone spojrzenie. – Coś jeszcze?

– Karty na stół? – zaryzykował Morawski, a gospodarz wykonał dłonią gest „Pan przodem”. – Byłem zaskoczony, że nie wymieniono objawów zażycia morfiny.

– Nareszcie przechodzimy do rzeczy – pochwalił go Klauziński i z lekarską precyzją operował kawałek mięsa na talerzu. – Nie wymieniono ich, gdyż obecności morfiny nie stwierdzono. I powiem wprost, że również mnie to zaskoczyło, bo młody Poniński znajdował się w zaawansowanym stadium morfinizmu. W bardzo zaawansowanym. Miał wszystkie objawy: fizyczne i psychiczne.

– A mimo to...

– W chwili śmierci nie znajdował się pod wpływem morfiny. Oczywiście lekarz przeprowadzający sekcję stwierdził stan przewłocznego zatrucia morfiną. Wymienił ślady ukłuć, wychudzenie, niedrożność jelit i wiele innych objawów, którymi nie będę pana zanudzał. Ogólnie organizm w stanie kompletnej degeneracji.

– A skąd pan wie o objawach psychicznych?

– Miałem z nim niewielki kontakt, ale sporo czasu spędzam w Poznaniu, a poza tym każdego lata ordynuję w Niemczech. A tam było i jest o młodym Ponińskim głośno. Oczywiście, nie biorę wszystkiego, jak to się mówi, na wiarę, ale nasłuchawszy się pogłosek, wiedziałem, na co zwracać uwagę przy bezpośrednim spotkaniu.

– I?

– Sztuczne podekscytowanie, zwężone źrenice, ślady krwi na mankiecie. To zauważyłem w czasie krótkiej rozmowy – lekarz przybrał ton wykładowcy: – Narkomania na dłuższą metę prowadzi do zmian osobowości, do deprawacji etycznej. Pojawia się skłonność do oszustw, osłabienie pamięci, urojenia prześladowcze. Morfinista musi zwiększać dawki, bo organizm szybko się przyzwyczaja – doktor gwałtownie zatrzymał się w środku tej prelekcji. – Ale tego nie muszę chyba tłumaczyć człowiekowi światowemu. – Jan uniósł brwi, a lekarz zmrużył oko: – O panu też słyszałem.

Morawski posłał mu krzywy uśmiech. Gospodarz sięgnął po kolejny płat wołowiny, hojnie polał go sosem i westchnął:

– Tak. Narkomania to prawdziwa plaga. To choroba, którą powinno się leczyć.

– Tylko jak sobie poradzić z głodem morfinowym, który pojawia się po odstawieniu narkotyku?

Ledwie Jan to wypowiedział, przyszło mu do głowy, dlaczego w pokoju juniora nie było ampułek. Ktoś pozbawił go tego, co było dla niego ważniejsze niż woda i powietrze, i doprowadził go tym samym do stanu, w którym narkoman był zdolny do wszystkiego. Tylko po co? A poza tym to przecież Adam stał się ofiarą.

– Słyszał pan o tym najnowszym wynalazku Bayera? – zagadnął lekarz. – Nazywa się heroina i wykorzystywana jest do leczenia morfinizmu. Można było to na nim wypróbować. Choć na niego było chyba za późno. Widziałem go podczas Wielkanocy i oceniłem, że to już nie potrwa długo. Najwyżej kilka miesięcy.

– Rozumiem, że nie powiedział pan o tym seniorowi Ponińskiemu?

– Nigdy w życiu by mi nie uwierzył.

– Cały czas mnie zastanawia, jak człowiek pod każdym względem racjonalny, logiczny i sprawiedliwy może być na jednym punkcie do tego stopnia zaślepiony.

– Każdy z nas ma swoje bóstwo – wzruszył ramionami doktor. – Podzieliłem się moją opinią z panią Barbarą, ale nie sądzę, by ostrzegła pana Ponińskiego.

Jan był tego pewien. Wzmianka o wierze seniora w syna przypomniała mu o rzekomej troskliwości młodego Adama:

– Do spotkania z juniorem, tego w czasie świąt, doszło z pana czy jego inicjatywy?

– Co dziwne, z jego. Twierdził, że niepokoi się stanem ojca i szczegółowo wypytywał o jego zdrowie. Wie pan coś o tym?

W trakcie gdy Morawski debatował, czy wolno mu powiedzieć prawdę, doktor Klauziński po raz kolejny w czasie tej rozmowy dowiódł, że nie na darmo cieszy się opinią doskonałego diagnostyka:

– Wypytywał mnie w taki sposób, jakby chciał ustalić, czy ojciec długo pożyje. Pomyślałem sobie, że spieniężył już wszystko, co mógł, i pożyczą akonto przyszłego spadku.

– I co mu pan odpowiedział?

– Że pan Poniński cieszy się wspaniałym zdrowiem i dożyje setki.

Jan przypomniał sobie fragment listu, w którym junior zapewniał nieznanego adresata, że już niedługo spłaci długi, bo „stary nie będzie żył wiecznie”.

Do jadalni wszedł służący, sprzątnął naczynia, a po chwili wrócił i przed każdym z panów postawił talerzyk z ciastkiem agrestowym i kieliszek, zaś na środku stołu butelkę z tokajem. Wszedł, a doktor nalał wina do kieliszków.

– Kto pana zdaniem to zrobił? – spytał zniecierpliwiony Morawski.

– Edward. I powinni go uniewinnić. Wiem, co mówię. Młody Adam Poniński był kompletnie amoralny. Już pomijam te jego wybryki w mieście, ale za to, co zrobił

z własną żoną, należała mu się kara z niebios. Zamienił jej życie w koszmar. To on ją zabił. Nie chciała żyć, więc umarła.

– Tak, wiem, że ją dręczył, ciągał po spelunkach, że...

Lekarz spojrział na niego z politowaniem:

– Przecież on w czasie ich podróży poślubnej przegrał ją w karty! – rozsierdził się i dla ukojenia wypił cały kieliszek naraz. – Na szczęście dał jej potem spokój i pozwolił tu zamieszkać. Zaskoczył mnie tym, ale doszedłem do wniosku, że chyba mu się znudziła.

– To dzięki Edwardowi. Zaszantażował brata, że jeżeli nie pozwoli pani Lili tu zamieszkać, to on, Edward, wyjawii ojcu prawdę o nieukończonych studiach, narkotykach i długach.

– Musi pan go uratować – zdecydował medyk.

– Próbuję, ale to nie takie proste – Jan dłuhał w ciastku. – Edward nie chce zeznawać, więc nie mam punktu zaczepienia.

– A wariant obrony koniecznej? – podsunął Klauziński. – Zmarły miał lekkie zasinienia. I tę ranę, która powstała tuż przed śmiercią. Może się z kimś szarpał? Z jakimś napastnikiem?

– Jest kilku kandydatów. Na przykład lokalny lichwiarz.

– Nie wiem, czy tu pan kogoś znajdzie. Junior był sprytny i nie robił sobie wrogów w najbliższym otoczeniu ojca.

– Wiem, że jakaś rodzina z Galicji oskarża go o doprowadzenie ich córki do samobójstwa.

– Lepiej. Jestem pewien, że w Poznaniu i Berlinie znajdzie pan takich osób na pęczki. Poza tym warto byłoby zainteresować się tą jego wesołą kompanią. Mogło dojść wśród nich do konfliktu.

Jan odniósł wrażenie, że lekarz usiłuje odesłać go jak najdalej od pałacu. Postanowił nie wspominać o wątku brata przyrodniego. Przynajmniej nie otwarcie.

– A pan długo tu mieszka?

– Całe życie. Ja jestem miejscowy. A dlaczego pan pyta?

– Pomyślałem, że może zna pan okolicznych mieszkańców. Przez przypadek wyszło na jaw, że nie wszyscy mają alibi na czas morderstwa. Na przykład bezskutecznie próbuję się dowiedzieć, co robił tamtej nocy pan Eustachy.

– Bocheński? – Morawski przytaknął i doktor bez wahania odpowiedział: – Na pewno pracował.

– Ale co on robi? Kogokolwiek pytam, każdy odpowiada, że coś tam dłubie. Może pan mi to wyjaśni?

– Eustachy jest z wykształcenia botanikiem, a poza tym studiował rolnictwo w Halle. Pracował także dla zakładów Romana Maya, z którym znał się z czasów studiów we Wrocławiu. Specjalizuje się w uprawie buraków cukrowych. Zajmuje się nowymi

odmianami, doborem nawozów i czymś tam jeszcze.

– To dlatego pan Poniński go wspiera?

– Oczywiście. Pan Adam pilnuje rządcy u Bocheńskich, aby zapewnić Eustachemu spokój do prowadzenia badań. Chodzi o ustalenie odpowiednich proporcji nawozów. Nie znam szczegółów, ale to ma związek z saletrą chilijską i solą potasową. Gdy wprowadzono uprawę buraka, zawartość cukru w korzeniach wynosiła dziesięć procent. Teraz przekracza dwadzieścia. W tym powiecie uprawa buraków jest jedną z najważniejszych gałęzi rolnictwa i dobrze prowadzona, przynosi poważne dochody.

– Pan Eustachy nie umiał określić, co robił w noc zabójstwa.

– Zaraz. To było w czasie tej burzy, prawda? – lekarz się zastanowił. – Przecież był tutaj! Przyjechał do mnie wieczorem, bo chciał pożyczyć mikroskop, który i tak stoi nieużywany podczas mojej nieobecności. Rozpętała się ulewa i zaproponowałem, żeby został na noc.

– Dlaczego się nie przyznał?

– A koszmar Eufemia dopuściła go do głosu?

Jan się zaśmiał. Rzeczywiście – nie.

– Ona też tamtej nocy była poza domem – wyznał.

– Co pan powie? No, tu panu nie pomogę. Ona mnie nie znosi – Klauziński nie wyglądał na zrozpaczonego – bo nie chciałem uznać jej za śmiertelnie chorą z przepracowania i zalecić wyjazdu do wód, jak sobie tego życzyła.

– Powinien był pan to zrobić, choćby przez litość dla jej męża.

– On sobie zorganizował własne zacisze. Ma laboratorium na folwarku. Należy chyba do tych, którzy uważają, że każdy żonaty mężczyzna powinien mieć swój azyl. Z dala od oka cyklonu.

Jan spojrzał na zegarek. Robiło się późno i nie chciał zabierać lekarzowi więcej czasu.

– Panie doktorze, jeszcze tylko jedno pytanie. Niezwiązane z tym śledztwem.

– Słucham.

– Czy był pan w pałacu po śmierci pani Lili, ale przed śmiercią Adama?

Zapytany przez chwilę się zastanawiał, po czym stwierdził:

– Tak. Byłem tego dnia po pogrzebie pani Lili.

– A czy wchodził pan na piętro?

– Tak, szukałem stetoskopu. Zniknął mi tuż po przyjeździe i liczyłem na to, że może zostawiłem go w pokoju zmarłej.

Jan skinął głową, podziękował i wstał. Lekarz odprowadził gościa do drzwi, a na pożegnanie rzucił:

– A Natalka ma nową bonę?

– Nie.

– Naprawdę? Jechała ze mną w pociągu jakaś Angielka i myślałem, że to do nich. Wsiadła na tej samej stacji.

– A pamięta pan, kiedy to było?

– No... kiedy tu wracałem. Przyjechałem w dniu śmierci pani Lili, więc to było jakieś dwa tygodnie temu.



## Rozdział 36.

Jan niespiesznie wracał. Marzył, by jak najszybciej znaleźć się w chłodnych wnętrzach pałacu, ale odstraszał go wysiłek, jaki musiałby włożyć w bardziej dynamiczną jazdę.

Robiło się coraz duszniej i parniej, powietrze gęstniało, a niebo skryło się za mętnym, brudnym woalem czegoś, co jednak nie było chmurami. Zamiast złocistego słońca widoczna była tylko upiorna, oślepiająco biała kula.

W pobliżu miejsca, które uznał za granicę majątku, dostrzegł przebłąski tafla jeziora. Miał ochotę sparafrazować króla Ryszarda: „Królestwo za kąpiel!”.

Zostawił konia na podwórzu gospodarczym. Korciło go, by przejść skrótem koło kuchni, ale mogłoby to zostać uznane przez przewrażliwionych służących za złamanie zasad obowiązujących gości.

Przerzucił marynarkę przez ramię i szedł podjazdem w stronę wejścia do pałacu. W pewnej chwili uniośł głowę. Na prawo pomiędzy drzewami zobaczył dach kaplicy i wieżę. Przesunął wzrok w lewo i wysoko nad ziemią zauważył małą figurkę w bieli. Natalia! Musiał tam być jakiś mur czy budynek, na który wcześniej nie zwrócił uwagi, a który teraz przesłaniały mu zarośla. Dziewczynka go nie widziała, tylko w podskokach się obracała. Zatrzymał się zaniepokojony. Gdzie ten Mateusz? Naraz Natalia uniosła rękę i zniknęła z pola widzenia. Spadła!

Jan rzucił się w tamtą stronę. Zgubił marynarkę. Dobiec! Jak najszybciej! Wzywać pomocy? Kto ją tam wpuścił samą? Wysokie buty przeszkadzały w biegu. Brakowało mu tchu. Serce waliło w szalonym tempie. Pot płynął wzdłuż kręgosłupa. Kierował się na wieżę, ale nie był pewien, gdzie spadło dziecko. Słyszał tylko szum własnej krwi. I swoje myśli. Ktoś ją zepchnął? Była tak wysoko! Ponad krzewami! Stanął przed żywopłotem cisowym. Pobiegł w prawo. Do końca. Ślepy zaułek. Cofnął się. Był w labiryncie. W lewo. Potem w prawo. Gdzieś tu musiała być. Wpadł za zakręt. Znowu ściana. Zaklął. Skrecił.

I kogoś potrącił.

Roześmiany Mateusz trzymał za rękę Natalię, która wesoło podskakiwała, prosząc:

– Jeszcze raz. Skoczę jeszcze raz!

Trudno powiedzieć, kto bardziej wystraszył się tym zderzeniem.

– Co się stało? – wydukał kamerdyner, z niepokojem wpatrując się w Jana – czerwonego na twarzy, spoconego, ledwo dyszącego. Morawski pochylił się, oparł dłonie na kolanach i próbował złapać oddech.

– Myślałem... Widziałem... jak spadała... przez te zarośla...

Mateusz położył mu dłoń na plecach i z troską zaglądał w twarz.

– Wujek zachorował? – zbliżyła się dziewczynka.

– Trochę.

Jan opadł na kamienną ławkę.

– A na co? – dopytywała się młoda dama.

– Na panikę. Zaraz poczuje się lepiej.

Kamerdyner wytarł Morawskiemu twarz chusteczką.

– Myślałem... że ktoś ją zepchnął – wycharczał Jan.

– To mi zaczyna wyglądać na obsesję – surowo ocenił kamerdyner. – Musi pan trochę się uspokoić. Proszę nie zapominać, że pański ojciec chorował na serce.

Jan nawet nie miał siły się odciąć. Rozejrzał się, chcąc ustalić, skąd wzięła się jego pomyłka i na czym polegało złudzenie wysokości. Zobaczył nieczynną fontannę o szerokim kamiennym basenie. Przy podstawie stała drewniana skrzynka, a obok leżał spięty pęk rurek. Do marmurowej misy fontanny przystawiona była drabina. Po niej najprawdopodobniej wspinała się Natalia.

Służący wachlował Jana chusteczką, a zachwycona dziewczynka ręką.

– Chodźmy do wieży – zaproponowała. – Tam jest wiatr.

– I cień – dodał Mateusz. – Tak, chodźmy.

Morawski pozwolił wyprowadzić się z płataniny cisowych ścieżek. Wyszli wprost na alejkę wiodącą z pałacu do kaplicy i dotarli do drewnianej dzwonnicy.

– Może usiądziemy? – kamerdyner przyglądał się swemu pracodawcy, jednak ten pokręcił przecząco głową.

Weszli do środka i ruszyli do góry. Schody były wąskie i strome jak w kurniku. Natalia wspinała się pierwsza. Jedną ręką z trudem sięgała do poręczy, drugą obejmowała aksamitnego pieska. Jan podążał tuż za nią, z niepokojem przyglądając się zmurszałym deskom. Wszystko skrzypiało i pojękiwało, a wiatr wiał bezustannie. Wieża przypominała komin powietrzny.

– Zamknęli tu chyba wszystkie przeciagi z okolicy – mruknął Mateusz.

– Rzeczywiście – odwrócił się w jego stronę Morawski. – Szumi tu jak w muszli.

Gdy dotarli na najwyższy poziom, Jan spytał Natalię:

– Często tu przychodzisz?

– Bawimy się tu z mamusią w księżniczkę. Trzeba siedzieć i czekać na księcia.

Morawski pomyślał kwaśno, że to strategia wielu kobiet.

Podeszli kolejno do każdego z czterech okienek, zabitych – na szczęście – gwoździami. Jedno wychodziło na kaplicę, jedno na pałac, pozostałe dwa na park.

Natalia próbowała ich namówić, by pociągnęli za sznur dzwonu, ale Mateusz stanowczo odmówił:

– Ktoś mógłby to potraktować jako wezwanie do pożaru.

Zeszli i usiedli na tej samej kamiennej ławce, na której po mszy odpoczywał Jacenty. Natalia spacerowała w pobliżu z Bobim. Byli podobnie ubrani: ona w białej sukience z czerwoną wstążką we włosach, piesek w białym aksamicie z czerwoną obrozą. Jak na portrecie w pokoju Lili.

– Spóźnił się pan na obiad.

– Zjadłem u doktora Klauzińskiego.

– Jaki jest?

– Domyślam się, co się kryje za tym pytaniem. Tak, może być bratem seniora. Pasuje wiekiem i postawą. Potwierdził, że był tu tamtego popołudnia. Ale powiedział też, że w czasie burzy Eustachy był u niego. Za jednym zamachem zapewnił alibi sobie i tamtemu.

Przy okazji Morawski wyjaśnił Mateuszowi charakter zajęcia pana Bocheńskiego.

– Przynajmniej wiemy – stwierdził kamerdyner – dlaczego pan Poniński toleruje Eufemię. No i możemy wykreślić pana Eustachego z listy braci.

Jan zaprotestował:

– To, że Eustachy wykonuje wartościową pracę, nie oznacza przecież, że nie jest spokrewniony z Mariuszem.

– Wyimaginowana rodzina seniora ciągle nam się rozrasta.

– Tak. Dzisiaj dodałem lekarza i księdza.

– O księdzu nie pomyślałem – wyznał zdumiony Mateusz.

– Kandydatem numer jeden pozostaje Tercjusz – Morawski wstał. – Nie wiesz, co robi?

– Przerzuca do góry nogami bibliotekę. Zastanawiam się, czy ta księga w ogóle istnieje. Może to tylko wytwór wyobraźni?

– Zapominasz, że w piątek miałem ją w ręku. To zniknięcie jest bardzo znamienne – a widząc uniesione brwi Mateusza, wyjaśnił: – Morderca zabierając ją, nieświadomie dał nam znać, że ta księga jest ważna – wpatrzył się w twarz przyjaciela i zmrużył oczy. – Tak się zastanawiam, czy to chodzi o statut... Przecież jest zatwierdzany w urzędzie, więc łatwo można by wydobyć odpis.

Stał i nogą przesuwając jakiś zabłąkany kamyczek.

– Ciekawe – odezwał się kamerdyner – co napadło pana Tercjusza z tym szukaniem. Mówię panu, to wygląda na jakiś szal.

– Zrobiłem tak, jak ci zapowiadałem. Ostrzegłem go, że jeżeli dzisiaj nie powie Mariuszowi prawdy o juniorze, to ja to zrobię. Być może postanowił znaleźć księgę i tym mnie zająć.

– Tak się tam miota, że służący zaczęli plotkować. Pani Felicja się martwi, czy to się źle nie skończy. Podobno młody pan Adam też był przed śmiercią pewien, że coś mu zginęło.

– Tamtemu zginął narkotyk, bez którego nie mógł żyć. Doktor uważa, że denat znajdował się w finalnym stadium morfinizmu i dlatego zaskakujące jest, że w chwili śmierci nie był pod wpływem narkotyku.

– A może – zasugerował Mateusz – wiedział, że się kończy, więc popełnił samobójstwo, ale w taki sposób, by obciążyć brata?

– A przedtem odstawił narkotyk? Niemożliwe. Ktoś mu go wcześniej zabrał. I dodatkowo podjudził go przeciw Edwardowi.

– Ktoś chciał wywołać agresję?

– Właśnie. Przypomnij sobie, co powiedział Tadeusz. Że wszystko byłoby jasne, gdyby to junior zabił. I ta pomyłka pani Barbary... Zawołała: „Edward nie żyje!”. A może tak miało być? Wyprowadzony z równowagi narkoman chciał zabić brata, a tamten się bronił?

– A może to pan Poniński dowiedział się o wszystkim i skonfiskował synowi narkotyki? Nie zdziwiłbym się.

– I nieświadomie doprowadził do kłótni synów? – szli powoli w stronę pałacu. – Ale co z Natalią? Chyba nie sądzisz, że senior mógłby...

– Na pewno nie.

Weszli do pałacu przez drzwi w alkierzu. Natalia dołączyła do nich i wzięła Jana za rękę.

– Co z Jacentym? – spytał Morawski.

– Z każdą chwilą lepiej. Zwłaszcza że Serpentyń poprosił panią Barbarę o kilka godzin wolnego i gdzieś zniknął. A pani Felicja tak się przejęła zaleceniami Kałużnej, że każde danie każdego posiłku Jacentego zawiera cebulę. Na obiad dostał zupę cebulową, knedle z cebulą i zrazy z cebulą. Na podwieczorek zapewne będzie ciasto z cebulą lub cebulowy budyń.

Natalia pobiegła korytarzem do holu. Kamerdyner z niepokojem spoglądał na swego pracodawcę. Od wczorajszego pikniku pogodny zwykle Morawski stracił nie tylko apetyt, ale też humor.

– Udało ci się ustalić cokolwiek w sprawie Serpentyń? – spytał Jan.

– Pochodzi z pobliskiego majątku. Matka jest praczką w pałacu, a ojciec fornałem – Mateusz uśmiechnął się złośliwie. – On sam twierdzi jednak, że jest nieślubnym synem kogoś wysoko urodzonego i to daje mu prawo, by pomiatać innymi służącymi. Dlaczego to pana interesuje?

– Bo przyszło mi do głowy, że pod wieloma względami, głównie jeśli chodzi o moralność, Serpentyń przypomina juniora, którego tak podziwiał – kamerdyner aż otworzył usta. – Idę do biblioteki – oznajmił Morawski. – Sprawdzę, jak przebiegają poszukiwania.

Rozstali się w holu. Mateusz ruszył z dziewczynką w stronę gospodarczej części domu i opowiadał jej, że wybiorą się do sadu do Floriana.

Jan w ostatniej chwili powstrzymał się od uwagi, by kamerdyner nie pozwalał Natalii na żadne niebezpieczne zabawy. Sam czuł, że zaczyna się zachowywać niczym przeczulona matka-wariatka.

Wszedł do biblioteki. Wnętrze wyglądało jak Armagedon [28]. Na biurku, na stole, na podłodze – wszędzie leżały opasłe tomy. Pootwierano szafki i schowki w takich miejscach, że Jan na ten widok zatrzymał się w pół kroku. Jego przekonanie, że poprzedniej nocy dokładnie przeszukał całe pomieszczenie, wydało się trochę zbyt optymistyczne. Sprawca tego kataklizmu tkwił do połowy zanurzony w czeluści witryny i z łomotem przerzucał kolejne woluminy. Morawski chrząknął. Tamten podskoczył i uderzył potylicą o półkę.

– Przepraszam! – Jan podbiegł do archiwariusza.

Tercjusz wstał z wysiłkiem i masował tył głowy. Był zarumieniony – zapewne z wysiłku i podenerwowania – na prawym policzku miał smugę kurzu, a nieliczne włosy tuż nad karkiem sterczały kępkami, jakby je szarpał w geście desperacji.

Przysiadł na fotelu i ciężko wzdychał. Jana ogarnęło coś na kształt wyrzutów sumienia, ale szybko odegnał to uczucie. Pan Drojewski wpatrywał się w przybyłego.

– Słyszę, że pojechałeś do doktora... – odezwał się w końcu.

Gość przytaknął, a Tercjusz zaczął przerzucać kartki na biurku, po czym spytał niedbałym tonem:

– Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Nie bardzo. Choć tak. Wyjaśnił mi, czym się zajmuje pan Eustachy.

Tamten uniósł głowę:

– Przecież ci mówiłem. Dłubie coś w laboratorium. Dobiera jakieś rośliny, nawozy czy coś takiego – Tercjusz zepchnął na podłogę stos kajetów.

– Chciałem wiedzieć, co go łączy z panem Adamem.

– Adam pilnuje, żeby Eufemia nie puściła ich z torbami, dzięki czemu Eustachy może się skupić na badaniach – Drojewski wzruszył ramionami. – To podobno wielki specjalista. Myślałem, że o tym wiesz, bo przecież w tej sprawie jechałeś wczoraj do niego.

– Nie widzę związku – Jan zmarszczył czoło. Tercjusz na chwilę przestał robić bałagan.

– Adam od dwudziestu lat co niedziela po nabożeństwie prowadzi zebrania Kółka Rolniczego. Uczy miejscowych włościan, jak unowocześniać gospodarstwa, jak układać płodozmian i inne takie. W tym tygodniu po raz pierwszy nie czuł się na siłach, by wziąć w tym spotkaniu udział. Poprosił Eustachego, aby go zastąpił.

Ot i tajemnica listu się wyjaśniła. I jak w przypadku większości sekretów, nie było w niej niczego sensacyjnego.

– Przepadła – mrucał gorączkowo pan Drojewski, podchodząc do jednego z regałów. – Przepadła na wieki. Jeśli już nawet Antoni jej nie znalazł...

Jan chciał zapytać o tego Antoniego, ale w porę przypomniał sobie, że zdesperowany bibliotekarz zamierzał zwrócić się z prośbą o pomoc do wyższej – niebiańskiej – instancji.

– Widziałem ją jeszcze w piątek – zapewniał rezydent, po raz kolejny poprawiając zsuwające się okulary. – Odłożyłem ją do tej szafki – wskazał na stojący z boku mebel. – Zazwyczaj chowam ją do biblioteczki z tyłu i zamykam na klucz, ale przyjechała ta okropna Eufemia i nie zdążyłem.

– Kto mógł tu potem wejść?

– Wszyscy domownicy. Służący. I Bocheńscy.

Morawski nie dodał, że tamtego popołudnia widział w pobliżu pałacu chłopców.

– Może ją wyniosłeś? – zasugerował.

– Nigdy jej stąd nie zabierałem i nikomu nie pozwalałem jej wynosić. Jeden raz pożyczył ją ksiądz, bo zapomniał przynieść swoją Biblię do kaplicy.

– A pan Poniński?

– Sprawdziłem. Nie brał – a widząc, że młody gość zmierza do wyjścia, spytał: – Wyjeżdżasz?

– Tak. Do państwa Chomackich. Chcę się spotkać z... – zatrzymał się w ostatniej chwili i wybrnął: – ...z chłopcami.

– O tej porze na pewno są nad jeziorem.

– Nad jeziorem? – Jan aż wrócił do biurka.

– Tak, takie niewielkie jezioro. Musiałeś je mijać po drodze od Klauzińskiego. Za dębowym zagajnikiem. Po lewej stronie, gdy jedzie się do pałacu. To już na terenie Adama. Przy takiej pogodzie chłopcy na pewno tam siedzą.

Morawski energicznym krokiem ruszył do drzwi. Nie wiedział, co go bardziej przyciągało: jezioro czy szansa na spotkanie Gucia, którego pragnął wypytać o matkę.

– Janie! – usłyszał i odwrócił się od progu. Tercjusz siedział z nieszczęśliwą miną.

– Pod twoją nieobecność podjąłem decyzję. Po obiedzie kazałem Adamowi iść do pokoju syna i przejrzeć jego dokumenty. Siedzi tam już dwie godziny – Morawski skinął głową i usłyszał jeszcze: – Była już jedna tragedia w idy marcowe, to dzisiaj dodam drugą: w idy lipcowe.

Jan wyszedł. Gdy był w holu, postanowił zajrzeć do jadalni, gdzie zawsze znajdowało się coś chłodnego do picia. Popchnął lekko uchylone drzwi. Przy oknie stały dwie dziewczyny w strojach służących – chyba elewki, które widział przy porzeczkach – i polerowały kieliszki. Buzie im się nie zamykały.

– Naprawdę tak jej powiedział?

– Tak, a ona mu na to przypomniała o pierścionku.

– I co?

– Powiedział, że już go nie ma. A ona, że jeżeli się z nią nie ożeni, to wraca do

rodziców.

– A gdzie ona znajdzie posadę na tej wsi pod Wieliczką?

Ta lepiej poinformowana wzruszyła ramionami.

– Wolałabym, żeby teraz nie odchodziła. Wyobrażasz sobie, ile nam przybędzie roboty?

## Rozdział 37.

Jan przejechał przez dębowy lasek i znalazł się nad niewielkim jeziorkiem, ze wszystkich stron otoczonym drzewami. Jediną przerwę w tym szpalerze stanowiła ta właśnie polanka, na której się zatrzymał. Przywiązał konia w cieniu, zabrał pożyczony ze stajni pled, rozebrał się i ruszył w stronę wody.

Połąć soczyście zielonej trawy raptownie się kończyła, następował niewielki uskok i zaczynał się wąski pas żółtego piasku, prowadzący do krystalicznej wody. Dno było gładkie i czyste.

Jan kilka razy przepłynął jezioro wzdłuż, czując, jak z każdym ruchem znika z jego ciała napięcie, a z umysłu mętlik.

Naraz doznał radosnego olśnienia: Edward nie miał powodu, by zabijać Natalię! Po co miałby to robić on, który jako jedyny wie o istnieniu Gucia, a tym samym zdaje sobie sprawę z tego, że córka Adama nie jest ostatnią spadkobierczynią!

Poprzednie przekonanie Jana o niewinności Edwarda opierało się na instynkcie, teraz znalazł także racje rozumowe.

Wyszedł na brzeg. Powietrze nadal było prawdziwie tropikalne i nie bardzo chciało mu się ubierać, ale przypomniał sobie wrażenie wszechobecności pani Eufemii. Dla przyzwoitości sięgnął więc po spodnie.

Położył się na szorstkim kocu i próbował uporządkować myśli. Szybko z rozważań tych wyrwały go zbliżające się krzyki, śmiechy i młodzieńcze skrzypienie, które rozpoznałby wśród setki głosów.

– To pan? – rzucił Teoś. – Jak pan znalazł nasze tajne miejsce? – stali wokół Morawskiego i przyglądali mu się z góry.

– Nie krzycz tak! – jeszcze głośniejszym głosem zawołał młody Chomacki. – Zaraz ściągniesz tu Eufemię.

Jan uśmiechnął się, usłyszawszy echo własnych strachów.

– Ale ukrop – Teoś otarł czoło, chwycił koszulę na wątłej piersi i zaczął się wachlować. – Chyba meteor trzasnął w Ziemię, wypadła z orbity i teraz mamy tu równik.

Upał rozpulchnił jego skórę, jeszcze bardziej uwypuklając wszystkie nierówności.

Młodzi ludzie od razu zauważyli mokre włosy Morawskiego.

– Kąpał się pan – zapiał dyszkantem Izio, marszcząc nos z niesmakiem.

– Mmm. Też idziecie?

– Nie możemy – odpowiedział markotnie i wyjaśnił: – Obiecaliśmy mamie, że nie będziemy pływać bez nadzoru. Nie chcemy jej oszukiwać.



– Bardzo słusznie – Janowi podobało się to poczucie honoru. – Chętnie będę wam służył za nadzór. Umiecie pływać?

– Mowa! – popatrzeni na siebie podekscytowani.

– No to wskakujcie!

Nie musiał im tego dwa razy powtarzać. Rozebrali się w pół minuty, rzucając rzeczy na jedną stertę. Jan pamiętał, jak wstydlivi bywają chłopcy w pewnym wieku, więc dyskretnie przymknął oczy. Usiadł na kocu dopiero wtedy, gdy usłyszał plusk i okrzyki: „Ale cudo!”. Miał wątpliwości, czy Gucio za nimi podąży, ale okazało się, że tak. Pływał zresztą najlepiej: może nie najszybciej, ale w przepięknym stylu, który wzbudził podziw Morawskiego.

Sięgnął po książkę, którą rzucili na koc. *Sokole oko*. Pewnie przygotowują się do oskalpowania Eufemii.

Święta trójca wesoło się bawiła. Chłopcy ścigali się, podtapiali, wszystko załatwiali krzykiem. W końcu wyszli, ubrali krótkie kalesonki i ulokowali się na kocach, wydobytych z kryjówki w starym pniu.

– Nie wiem, co za dobry wiatr tu pana przywiał, ale uratował nam pan życie – oświadczył Izio.

– Fakt – przyznał Teoś. – Garówa jest niezemska. Prawie wyschliśmy jak pieprz.

Przez chwilę się nie odzywali. Gucio wszedł do wody i brodził przy brzegu, zaglądnąc w płataninę korzeni. Starsi, upewniwszy się, że chłopiec nie słyszy, spytali szeptem:

– Jak panu idzie śledztwo?

– Bardzo wolno – zobaczył ich tajemnicze miny. – Wiecie coś?

– Byliśmy z moimi rodzicami w mieście – wyznał Izio. – Dzisiaj. I widzieliśmy tego lokaja.

– Lokaja? Z pałacu?

– Tak, tego... – Teoś szukał słowa.

– Oślizgłego – podrzucił Izio. – Był z takim człowiekiem i słyszeliśmy, jak ojciec szepnął mamie, że to oszust i lichwiarz.

Poczęstowali Jana znaczącymi spojrzeniami i iście szpiegowskimi mrugnięciami. W tym momencie dołączył do nich Gucio i natychmiast zmienili temat:

– I co, poznał pan boską Eufemię? – rozluźniony Izio prawie nie miewał kłopotów z łamiącym się głosem.

– Tak jak ostrzegaliście, najechała nas w piątek.

– Urzędziła wam ostatni zajazd w Wielkopolsce? – spytał Teoś, gimnazjalista, który zgodnie z zarządzeniem pruskiego ministerstwa szkolnictwa nie miał prawa znać arcydzieł literatury polskiej, ponieważ taki twór jak Polska nie istnieje.

– Jest nie do zniesienia. To ciągle pouczanie, ta jej rzekoma świętość... – Izio pokręcił

z obrzydzeniem głową.

– Dlaczego rzekoma? – zainteresował się Jan.

– Prześladuje księdza Marka za to, że jest nie-za-an-ga-żo-wa-ny, a nam najchętniej kazałaby chodzić do kościoła dwa razy dziennie. Zmusza wszystkich do udziału w spotkaniach z tym dziwnym misjonarzem, a wie pan, czym się zajmuje? – Jan zrobił wielkie oczy. – Wywołuje duchy.

– Skąd wiecie? – Morawski parsknął śmiechem.

– Bo widzieliśmy.

– Tu niedaleko mieszka w starym dworze taka pani Agata. Ona ma trochę... – Izio znacząco pokołowrotkowoła dłonią po czole – nie po kolei w głowie.

– Gdzie niedaleko?

– Za tym laskiem. Jak się skręca w aleję kasztanową prowadzącą do pałacu. Jej mąż miał tu kiedyś gospodarstwo, ale po jego śmierci pani Agata sprzedała ziemię panu - Ponińskiemu, a dom zatrzymała. I u niej spotyka się kilka pań podobnych do Eufemii. Istne czarownice. Kręcą po nocy stolikiem i przywołują siły nieczyste.

– Same są siły nieczyste.

– Podpatrywaliście je? – Jan żartobliwie pogroził im palcem. – To bardzo nieładnie włóczyć się po nocy i zaglądać ludziom do okien.

– Jakim ludziom? – komicznie zdziwił się Teoś.

– A skąd się tam wzięliście?

– To przez Gucia – wyjaśnił Teoś. – Poprzedniego dnia pojechał na spotkanie ze swoją mamą do miasteczka. Miał wrócić, ale wszystkie nasze wozy były tego dnia zajęte i Gucio musiałby tam zostać aż do następnego dnia.

– Tak – wtrącił Izio – a mieliśmy jechać razem z tatą do jego znajomego, gdzie są szczenięta; Guciovi bardzo zależało, żeby je zobaczyć.

– Więc pomyśleliśmy, że po niego pojedziemy. I gdy wracaliśmy, to się rozpętała ta okropna burza.

Morawski zmartwiał. Musiał mieć bardzo dziwną minę, bo Teoś wyjaśnił:

– Wtedy, kiedy zastrzelono młodego pana Adama.

– Aha – tylko na to było Jana stać.

– Więc gdy zaczęło grzmieć, to akurat byliśmy koło pani Agaty – ciągnął Izio. – Postanowiliśmy poprosić ją, by nas przenocowała.

– Ale zobaczyliśmy ten sabat czarownic – zachichotał Teoś – i stwierdziliśmy, że burza jest mniej niebezpieczna.

– Nie wyobraża pan sobie, co to był za widok. Sześć wiedźm pochylonych nad stolikiem, a ich makabryczne oblicza oświetlała od spodu świeczka – Teoś z Iziem doskonale naśladowali te makabryczne oblicza, obciążając przy tym skórę policzków

w dół.

– I co zrobiliście?

– Ulokowaliśmy się razem z końmi w stajni pani Agaty, a gdy burza przeszła, ruszyliśmy do domu. Baliśmy się, że Gucio się przeziębi, bo wracaliśmy w ulewie.

– Nie widzieliście nikogo w okolicy?

Starsi chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Chodzi panu o to zabójstwo? – spytał Teoś, a gdy Morawski przytaknął, chłopak stwierdził z żalem: – Nikogo nie widzieliśmy.

Przez chwilę milczeli. Jan wpatrywał się w bure niebo, które z każdą chwilą zdawało się osiadać coraz niżej.

– Nie ma pan przypadkiem czegoś na ząb? – spytał Izio. – Już ze dwie godziny nic nie jedliśmy.

Samozwańczy opiekun pływakki nie mógł ich, niestety, w tej kwestii poratować.

Gucio się nie odzywał, siedział na skraju trawy, nogi trzymał na jasnym piasku i kreślił jakieś figury patykiem. Lekko się pochylał i na karku pod cieniutką skórą wyraźnie rysowały się kręgi, niczym rozciągnięty sznur koralu.

Morawski go zagadnął:

– A twoja mama, Guciu? Mieszka w okolicy?

Szczuplaczek odwrócił się w stronę pozostałej trójki i oparł na wyprostowanej ręce.

– Została guwernantką. Po śmierci taty – głos mu zadrżał, ale chłopiec dzielnie zagryzł dolną wargę. – Pracuje, ale tam gdzie znalazła posadę, jest tylko dziewczynka i mama musiała mnie odesłać do szkoły do Poznania.

– I często się widujecie?

– Przyjechała teraz. Na jeden dzień. A przedtem widzieliśmy się na Wielkanoc.

Na widok smutnej miny Gucia wtrącił się Izio:

– Ale moja mama obiecała, że gdy przyjedziemy na wakacje na świętego Michała, to zaprosi mamę Gucia do nas do domu.

Drobnemu chłopcu aż rozbłysły oczy, ale prawie natychmiast znowu zwrócił się w stronę wody.

– Masz bardzo miłych rodziców – wyznał Morawski Iziowi.

– Niezłych.

– Wspominali, że Gucio otrzymał stypendium od tego samego fundatora, co Teoś.

– Tak – z zapałem przytaknął sam Teodor – porządny człowiek z tego naszego doktora.

– Doktora? To lekarz? – zdziwił się Jan. Nie przypuszczał, że lekarze zarabiają tak dobrze, by stać ich było na fundowanie prywatnych stypendiów.

– Ja nie wiem – Teoś wzruszył ramionami. – Ale mamy pisać do niego o naszych postępach i nazywać go doktorem Lydgate.

– Wyznaczył ci jakieś warunki, które musisz spełniać? Jakieś oceny? Osiągnięcia?

– Zostałem wybrany ze względu na oceny z nauk przyrodniczych. Wiem też, że od lat wspiera zawsze jednego ucznia naszego gimnazjum. Dopiero w tym roku zgodził się przyznać stypendium Guciovi jako drugiemu.

– Pani Chomacka mówiła, że to dzięki twemu wstawiennictwu.

– Miałem nadzieję, że dobry doktor się zlituje.

– Teoś tak zawsze – wtrącił Izio. – Żyje w przekonaniu, że każdy problem cudownie się rozwiąże. I tak się naprawdę dzieje.

Jan spojrzał pytająco na Teosia, a ten się zaśmiał:

– To było tak: gdy byłem w kwincie, zmarła stara ciotka, która mnie wychowała. Nic nie zostawiła i wiedziałem, że będę w szkole tylko do końca semestru. Ale wierzyłem, że wszystko się ułoży. I zgłosił się doktor. A gdy nie wiedziałem, co się ze mną stanie w czasie wakacji, to zaprosili mnie państwo Chomaccy. A gdy mi zależało na tym, by Gucio mógł się dalej uczyć, znowu pstryk – tu strzelił palcami – i stał się cud.

– Nie wiadomo tylko, co będzie dalej. Na uniwersytecie – Izio był w duecie połówką pesymistyczną. – Tata już obiecał, że opłaci jego stancję, ale skąd Teoś ma wziąć resztę pieniędzy?

– Korepetycjami zarobię na utrzymanie, a na chesne pożyczę.

– Ale kto pożyczyci studentowi?

– Ja ci pożyczę – oznajmił zdumionym chłopcom Jan.

Teoś zaczął się śmiać.

– Widzisz? – zwrócił się do przyjaciela. – Mówiłem ci. Trzeba tylko wierzyć.

– Naprawdę mu pan pożyczyci?

– Naprawdę – Morawski był pełen podziwu dla determinacji i pogody ducha przyszłego radiologa.

– Oddam.

– Ale z czego? – wskazał problem Izio.

– Zdobędę Nagrodę Nobla i panu oddam. Słyszał pan o tym?

– Wiem, kim był Nobel i słyszałem o jego testamencie, ale od kilku lat tak to się ślimaczy, że straciłem nadzieję na jakikolwiek efekt.

– W zeszłym miesiącu została wreszcie zarejestrowana fundacja [29] i od następnego roku mają być przyznawane nagrody – ekscytował się Teoś. – Za wybitne osiągnięcia naukowe. W kilku dziedzinach. Także w fizyce i chemii. Te interesują mnie najbardziej. Zdobędę nagrodę i wszystko panu oddam.

– Walcz, a ja będę się chwalił, że cię znam.

Zapanowało miłe milczenie, przerwane w końcu jednoznacznym odgłosem, dochodzącym z żołądka któregoś z głodomorów. Należało koniecznie uzupełnić niedobory.

Zerwali się i zaczęli ubierać.

– Mama pytała, co z Natalią – przypomniał sobie Izio. – Jak ona daje sobie radę?

– Dziadek jeszcze jej nie wyjaśnił, co się stało z rodzicami.

– Mama powiedziała, że gdyby trzeba było, to się nią zaopiekuje. Bo mama zawsze marzyła o córce. A poza tym moi rodzice zrobiliby dla pana Adama wszystko.

– Pomógł im? – zainteresował się Morawski.

Chłopak, już ubrany, przytaknął.

– Tata odziedziczył majątek strasznie zadłużony. Groziła mu subhasta i nawet krewni umyli ręce. Pan Poniński zaufał mu i pożyczył pieniądze. Tata pracował jak wół i wszystko oddał.

– Kiedy to było?

– Dawno. Jakies trzydzieści lat temu. Chyba.

## Rozdział 38.

Gdy Jan wrócił do pałacu, wewnątrz panowała grobowa cisza. Jakby ktoś umarł. Po raz pierwszy poczuł, że znajduje się w domu żałoby. Złapał się na tym, że idzie na zewnętrznych krawędziach stóp i oddycha prawie szeptem.

Tak samo musiał poruszać się Walek, gdyż jego nagłe pojawienie się przyprawiło Jana o kołatanie serca.

– Jaśnie pan kazał mi pilnować, kiedy pan wróci – wyszeptał służący. – Prosił, aby pan do niego przyszedł. Jak najszybciej.

Morawski skinął głową i cofnął się ze schodów w stronę alkierza. W saloniku skręcił w lewo do gabinetu. Zatrzymał go idący z tyłu lokaj.

– Nie tu. Jaśnie pan jest tam – wskazał alkierz. – U młodego pana.

Jan wydał usta. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Senior siedział tam od pierwszej.

Stanął w progu izby Sinobrodego. Nabrał tchu. Wszedł bez pukania.

Wewnątrz było oślepiająco jasno. Chyba po raz pierwszy od lat. Jakie to symboliczne! Mariusz wpuścił światło do pokoju syna. Wpuścił światło do jego życia. A przede wszystkim wpuścił światło do swego umysłu.

W pokoju wyglądało trochę tak, jak kilka godzin wcześniej w bibliotece. Tam był Armagedon, tu natomiast senior urządził *dies irae* [30]. Taką przynajmniej Jan miał nadzieję.

Pan Poniński postanowił zbadać sprawę gruntownie. Szafki były pootwierane, zawartość częściowo powyciągana. Na kanapie leżały obsceniczne fotografie dzieci, przemieszane z dokumentami bankowymi, wypisami notarialnymi i korespondencją prywatną. Nietknięta była tylko pokazowa biblioteczka.

Senior siedział przy biurku, a na blacie przed nim piętrzyły się stosy kartek, które chyba próbował posegregować. Podniósł wzrok na wchodzącego. Miał zaczerwienione oczy, wklęsłe policzki.

– Przejrzałem – wychrypiał. – Przejrzałem to wszystko – trzęsącymi się dłońmi uniósł jakiś dokument.

Morawski podszedł.

– Sprzedał cały majątek Lili – ciągnął pan Adam. – Wszystko. Próbowałem ocenić wartość. Ale to są tak ogromne kwoty, że... – pokręcił głową. – A to jeszcze nic – podniósł kilkanaście kartek. – Weksle, skrypty. Znali go chyba wszyscy bankierzy i lichwiarze w Niemczech.

Odłożył plik i przez chwilę wpatrywał się w zgromadzone dowody swej klęski.

Sięgnął po pojedynczy arkusik:

– To było w szufladzie. Z datą jego śmierci. „Niedługo wszystko spłacę, bo przecież stary nie będzie żył wiecznie” – przeczytał i podał Janowi.

– Ja już to widziałem – odpowiedział zagadnięty cicho.

Senior chyba nawet tego nie usłyszał.

– A te wyceny ordynacji? I świadectwo jakiegoś lekarza: „Adam Poniński, urodzony w 1832 roku, obecny ordynat”... Przecież to dotyczy mnie!

– Pański syn pożyczka na poczet spodziewanego spadku – Morawski postanowił być brutalny. – Obliczał, kiedy pan umrze.

Tamten zbladł.

– *Post-obit* – wyszeptał ze zgrozą. – To po to pojechał do Klauzińskiego? Nie chodziło o troskę o mnie?

– Właśnie.

Wyglądał żałośnie, ale gdy tylko Jana brała pokusa, by go pocieszyć, przypominał sobie gehennę, na którą ten człowiek skazał niewinną Lili, przypominał sobie, z jaką bezwzględnością wydał wyrok na Edwarda. Stał z boku, lekko opierał się o regał z książkami i przypatrywał panu Ponińskiemu.

– Nie znalazłem żadnych dokumentów jego kancelarii – wyznał senior.

– On nie prowadził kancelarii. W ogóle nie skończył studiów.

Mariusz na chwilę schował twarz w dłoniach, a gdy ją uniósł, od śmiertelnej bieli jaskrawo odcinały się niepokojące pręgi szkarłatnych rumieńców.

– Chcę wiedzieć wszystko. Chcę wypić ten kielich do dna.

I Jan opowiedział. O narkomanii, o hulaszczym życiu w Berlinie, o klice przyjaciół-degeneratów, o prześladowanej guwernantce, o dziewczynie w Galicji.

– Infamia – wycharczał Mariusz.

Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. Morawski nabrał tchu i wyjawiał wszystko, co wiedział o koszmarze, przez który przeszła Lili – nie pominął nawet tego, o czym usłyszał od doktora.

Senior siedział nieruchomo niczym posąg. Dłonie oparł na rozłożonych kartkach, a głowę nisko zwiesił.

– Edward powinien był mi powiedzieć.

– Po pierwsze, nie uwierzyłby mu pan. A po drugie, Edward zawarł z bratem układ. Dowiedział się o haniebnym postępowaniu Adama wobec żony i zagroził mu, że jeżeli nie pozwoli jej zamieszkać tu na stałe, on poinformuje pana o prawdziwym życiu pańskiego ukochanego syna – Jan z dużą satysfakcją użył tych ostatnich słów.

– Ma pan rację, nie uwierzyłbym – starzec zmarszczył czoło. – Nic na to nie wskazywało. Nie doszły mnie żadne informacje. Nawet pogłoski.

– W pańskim otoczeniu panuje zmowa milczenia. Chyba nawet wolnomularze nie strzegą swych sekretów tak, jak pana domownicy i sąsiedzi.

– A ja nic nie widziałem. Ale wiadomo – spojrzał szybko na Jana – nie ma większego ślepeca niż ten, kto nie chce widzieć.

Przez chwilę bezmyślnie gładził jakiś stosik, potem wyprostował ramkę ze zdjęciem.

– To, co tu znalazłem – wyznał – jest jeszcze gorsze niż jego śmierć. Dopiero teraz straciłem syna. To jednak prawda, że najboleśniejże są rany zadane przez dzieci.

Zapatrzył się w fotografię Lili.

– Biedny, biedny Edward. Kochał ją i musiał żyć ze świadomością, na co ją skazałem – pan Poniński niespodziewanie porzucił smętny ton i odwrócił się w stronę Jana. – Co im się stało? Skąd nagle Adam się dowiedział, że Edward kocha Lili? I ten pistolet. Kto go tu przyniósł?

Morawski pokiwał głową i wyduł usta. Tak, jego też to uderzyło. Myślał o tej zaskakującej opinii lekarskiej. Brak śladu morfiny w organizmie. Junior uporczywie szukający czegoś przed śmiercią. Dziwne pobudzenie, o którym wspominał Tercjusz. I puste miejsca w pudełkach aptecznych.

Na biurku zauważył biżuterię: naszyjnik i kolczyki. Zapatrzył się w te precjoza. Coś było nie tak.

– Należały do mojej żony – starszy człowiek dostrzegł wzrok gościa. A potem dodał gorzko: – Nawet to postanowił sprzedać. Jej ukochany komplet.

W tym momencie Jan uświadomił sobie, co nie pasowało. W środę widział naszyjnik, kolczyki i pierścionki.

– Znalazł pan to tutaj?

– Tak, w jego marynarce.

Morawski postanowił na razie nie alarmować seniora.

– A pamięta pan, kto wchodził do pokoju od środy, kiedy ja tu byłem?

– Chyba nikt. Poza policją wczoraj.

– Pan był z nimi?

– Dołączyłem do nich po kilku minutach. Wprowadził ich Seweryn.

Jan zmrużył oczy. Widzieli Serpentina w alkierzu. Kiedy? W czwartek? W piątek?

Pan Adam wyraźnie oklapł. Stracił swą wyniosłość i pychę. Zabrano mu to, co było dla niego najcenniejsze. Dumę z syna.

– Dobrze, że Tercjusz mi powiedział – westchnął. – Zawsze był moim prawdziwym przyjacielem. Wie pan, mógł stąd wyjechać, bo dziesięć lat temu odziedziczył całkiem poważną kwotę. Koniecznie chciał mi ją przekazać, bo twierdził, że jeżeli będzie miał pieniądze, to je straci.

Młody człowiek nie zareagował na ten nostalgiczny wtęt o wiernym towarzyszu.



Chciał wiedzieć, na ile ostatnie godziny wpłynęły na opinię seniora o morderstwie.

– Co teraz sądzi pan o zabójstwie syna?

– Zdaję sobie sprawę – odpowiedział zapytany po chwili – że Edward mógł mieć powody, by zabić brata. Ale nie wybaczę mu tego czyhania na Natalię – dodał tym dawnym, irytująco autorytarnym głosem.

Jan się ucieszył. Mariusz nareszcie to pojął. Morawski zapomniał o całym dystansie, jaki narzucił sobie w kontaktach z tym zaślepionym, choć tak wartościowym człowiekiem. Błyskawicznie podszedł do biurka, przysunął sobie krzesło, usiadł z twarzą zwróconą do seniora, oparł się łokciem o blat i oświadczył:

– Nie wierzę, że Edward próbował zabić Natalię.

– Tak, wiem – odparł tamten dość kwaśno. – Zostawił pan tu tego swojego kamerdynera, żeby pilnował małej – Jan spróbował przywołać minę wyrażającą skruchę. – Tak się do niej przyczepił, że przez cały ranek nie udało mi się zostać z nią sam na sam.

Siedział i wpatrywał się we wspólne zdjęcie synowej i wnuczki.

– Tylko Edward mógł zatruć jej kolację – przypomniał.

– Nieprawda – Morawski zdecydowanie pokręcił głową. – Sprawdziłem to. Kilkanaście osób miało dostęp do jedzenia. Nie wyłączając pana.

Mężczyzna milczał.

– Pan w to wierzy? – zaatakował go Jan. – W to, że Edward mógłby na zimno zaplanować morderstwo małej dziewczynki?

Senior poklepał młodego człowieka po ramieniu.

– Drogi chłopcze, jeszcze wczoraj odpowiedziałbym ci, że nie. Ale teraz, gdy zrozumiałem, jak mylnie oceniałem Adama, nie ufam swoim wnioskom. I we wszystko uwierzę.

– Sam pan to zauważył – nie ustępował Jan. – Te dwa przestępstwa są zupełnie różne. Dopuszczam możliwość, że Edward odpowiada za śmierć brata, ale to drugie? Nie. Albo obu zbrodni dopuściła się jedna osoba i to nie jest Edward, albo on zabił starszego brata, ale ktoś inny poluje na Natalię i usiłuje zrzucić winę na pańskiego syna – intensywnie wpatrywał się w seniora. Po chwili dodał dobitnie: – Dlatego muszę wiedzieć, kto jest spadkobiercą.

– Wszystko zostało opisane w statucie.

– Statut zaginał. Był w bibliotece w piątek, ale zniknął. Tercjusz szuka go od rana. Nie pamięta pan kolejności dziedziczenia?

– Najpierw Adam, potem Edward, potem Gustaw. Kobiety dziedziczą tylko w sytuacji, gdyby zabrakło męskich potomków.

– Ale sytuacja się skomplikowała. Synów nie ma. Wiemy, że Gustaw miał żonę i przecież może mieć syna, o którego istnieniu pan nie wie. Prawda?

– Prawda.

– To kto odziedziczy: córka najstarszego syna czy syn najmłodszego?

– Nie wiem – ordynat na Stępowie był skonfundowany. – Nie pamiętam, szczerze mówiąc. Miałem przecież trzech synów, więc...

Morawski wpatrywał się w niego z napięciem. Dopiero po chwili zdecydował się mówić, ale bardzo ściszył głos:

– A teraz wypowiem coś, tylko proszę się nie gniewać, bo ja już jestem wystarczająco tym zdenerwowany, ale nie umiem pozbyć się tej myśli... Co się stanie, jeżeli... jeżeli Natalia też umrze, a Gustaw jednak nie będzie miał syna?

– Jednym słowem umrę bezpotomnie?

– Tak.

– Nie wiem.

– I tu jest klucz do sprawy. Ten, kto odziedziczy majątek, usiłuje zamordować pańską wnuczkę.

## Rozdział 39.

– Gdzie pan był? – Mateusz przyglądał się swemu pracodawcy z niesmakiem. – Moja matka by powiedziała, że wygląda pan jak siódme dziecko stróża.

– Sześcioro pierwszych wygląda lepiej? – chciał wiedzieć Jan. – Najpierw byłem nad jeziorem – kamerdyner krytycznym spojrzeniem obrzucił pogniecioną koszulę Morawskiego i jego potargane włosy – a po powrocie rozmawiałem z seniorem.

Mateusz od razu zmienił obiekt swego sarkania:

– Nie potrafię opisać, jak mnie ten człowiek irytuje. Drażni mnie jego ślepotą, ale z drugiej strony jest dla swoich pracowników taki dobry. Wie pan, co on wymyślił? Wysłał Jacentego do piwnicy i kazał mu spisywać najcenniejsze wina. Jacenty siedzi sobie w chłodzie i pęka z dumy, że pan powierzył mu takie odpowiedzialne zajęcie.

– Izio mi powiedział, że pan Chomacki wiele zawdzięcza seniorowi.

– Sam pan widzi – Mateusz kiwnął głową i od razu się zainteresował: – Spotkał się pan z chłopcami?

– Tak, nad jeziorem – Jan wyciągnął się w fotelu. – Trochę porozmawialiśmy. Przy okazji wyszło, że najwyraźniej miałeś rację co do naszego Serpentyna. Prawdziwy z niego łajdak. Swoją drogą powinienem był zainteresować się już wtedy przy kolacji, skąd zna tego lichwiarza. Bo musi go znać, skoro wypomniał tę znajomość Tercjuszowi.

– Ale o czym pan mówi?

Morawski popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem:

– Zaczyna mnie męczyć to, że działamy osobno. Ciągle muszę sobie przypominać, czego się ostatnio dowiedziałem, i ci to przekazywać.

– Ale to pan sam...

– Tak, wiem. Pilnujesz Natalii i Jacentego. Co ty robisz? – przyglądał się kamerdynerowi, który zdawał się dyskretnie go obwąchiwać.

– Nic. Sprawdzam, czy nie śmierdzi pan żabami – Morawski popatrzył na Mateusza z przyganą. – I co z tym Serpentynem?

– Nad jeziorem spotkałem świętą trójcę. Ci dwaj starsi spryciarze widzieli dzisiaj śliskiego Seweryna w mieście z jakimś człowiekiem, którego pan Chomacki określił jako lichwiarza.

– Nasz znajomy awanturnik?

– Być może. Ale posłuchaj dalej. Byłem teraz w alkierzu, dokąd Tercjusz wysłał seniora w poszukiwaniu prawdy – podekscytowany Mateusz już chciał o coś zapytać, ale Jan powstrzymał go ruchem ręki. – Po kolei. Jeśli będę co chwila zmieniał temat, niczego się nie dowiesz. Pamiętam, że gdy byliśmy tam pierwszego dnia, w marynarce juniora

znalazłem biżuterię: naszyjnik, kolczyki i dwa pierścionki. Dzisiaj senior natrafił tylko na naszyjnik i kolczyki.

– Przecież widzieliśmy Serpentyna, jak stamtąd wychodził.

– Pamiętam – Jan sięgnął po świeżą koszulę.

– Zabrał pierścionki. Obiecał jeden Neli, ale potem się wycofał. I pojechał do miasteczka.

– Może. I jeszcze jedno, Mateuszu. Wiem, co w noc zabójstwa porabiała nasza obrończyni moralności i krzewicielka wiary.

– Aż się boję zapytać...

– Wywoływała duchy. Bez wątpienia w towarzystwie równie nadaktywnych chrześcijanek. Tu, niedaleko pałacu.

Mateusz się zaśmiał.

– Czyli teoretycznie...

Jan wzruszył ramionami i kończył ubierać się do kolacji.

– Teoretycznie. Ale ciekawsze jest to, że tej samej nocy przebywała w okolicy ta tajemnicza matka Gucia.

Kamerdyner wsunął dłonie we włosy i w oszołomieniu wpatrywał się w swego pracodawcę.

– O co oni grają?

– O pieniądze – odparł Jan bez wahania. – Albo o zemstę.

– Może ci z Galicji?

Morawski przypomniał sobie podsłuchane elewki.

– Gdy wychodziłem z biblioteki, wiesz, po powrocie od lekarza, chciałem wejść do jadalni. Wewnątrz rozmawiały dwie dziewczyny. O Neli. Podobno zagroziła Serpentynowi, że jeżeli się z nią nie ożeni, to ona rzuci pracę i wróci do rodziców – zrobił dramatyczną przerwę. – Do Wieliczki.

– Do Wieliczki? – konsternacja Mateusza trwała tylko chwilę. Naraz twarz mu rozbłysła. – Dziewczyna spod Krakowa – aż przysiadł.

Morawski mocował się ze spinkami przy mankietach.

– Musimy się jeszcze dowiedzieć... – zaczął.

– Chce pan znać moje zdanie? – przerwał mu Mateusz. – Pański podstawowy problem polega na tym, że już pan za dużo wie.

Jan chciał coś odpowiedzieć, ale tylko otworzył usta, zdumiony trafnością tej uwagi. Niezadowolony spojrział na kamerdynera:

– Dowiedz się, gdzie zniknęła Nela tamtego wieczoru – a widząc zdumiony wzrok Mateusza, wyjaśnił: – Nie pamiętasz? Dlaczego pani Barbara wzięła z kuchni kolację Natalii? Bo Nela gdzieś się zawieruszyła.

Jan wybrał granatowy krawat w złotawe paski. Mateusz wstał, by pomóc w wiązaniu.

– Miał mi pan opowiedzieć o panu Adamie – przypomniał. – Jak on to znosi?

– Jest złamany.

– Sam to sobie zafundował – zawyrokował służący dość okrutnie.

– Pod tym jednym jedynym względem zabrnął w błąd jak w herezję. Porozdawał synom scenariusze, obsadził ich w odpowiadających jemu rolach i na takim założeniu zbudował cały gmach swojego i ich życia.

– Gmach, który teraz runął mu na głowę.

– Już poniósł ogromną karę. A to dopiero początek. Sam musisz przyznać, że poza tą jedną sprawą jego postępowanie może budzić wyłącznie podziw.

Mateusz niechętnie przytaknął.

– Pytał go pan o tę rozmowę? O braciach przyrodnych?

– Planowałem, ale zupełnie mi to uciekło z głowy. Gdy z nim rozmawiałem zwróciłem uwagę na to, co już wcześniej uderzyło także mnie. Że wszystko tak dziwnie się poskładało. Ktoś powiedział juniorowi o miłości brata, ktoś zabrał mu narkotyki, ktoś podłożył pistolet. Doktor też to zauważył. Ale jednocześnie zasugerował, że ten, kto zabił juniora, mógł działać w obronie koniecznej. Wtedy mogła powstać ta ranka na przegubie.

– Może się zahaczył?

– O co? O spinkę do mankietu? Weź tę szczotkę i celuj we mnie jak z pistoletu.

Podał Mateuszowi szczotkę w srebrnej oprawie, a gdy ten wymierzył, Jan najpierw prawą ręką, potem oburącz złapał kamerdynera za przegub i próbował obezwładnić. Spinka nie stykała się z ciałem napastnika.

– To musiało być na dłoni – stwierdził Mateusz.

– Przyglądałem się Edwardowi. Na lewej ręce ma wyłącznie gładką obrączkę.

– Może jakaś kobieca błyskotka?

– Ale czyja? Pani Barbara ma alibi. Bez przerwy była ze spanikowanymi służącymi. Nela też. Cała kobieca służba nawzajem świadczy o sobie. Eufemia? Tekla?

Obaj popatrzeni na siebie rozbawieni.

\*\*\*

Jan siedł korytarzem. W górnym holu dostrzegł ubraną na czarno postać, która na jego widok oderwała się od kolumny. Nela.

– Proszę pana! – mężczyzna przystanął. – Pamięta pan, jak opowiadałam panu o tym człowieku, który wtedy w nocy biegł po trawniku? W czasie burzy?

– Pamiętam.

– Ja wiem, kto to był. Przedtem bałam się powiedzieć, ale dzisiaj postanowiłam wszystko wyznać.

Morawski żałował, że nie ma tu nigdzie bukmachera. Gotów był się założyć, co usłyszysz.

– Jestem pewna, że to był Seweryn.

– Seweryn? – udał zdziwienie gość. – Ten lokaj?

– Tak. On miał różne takie układy z panem Adamem i pewnie się pokłócili.

– A nie wiesz, jakie układy?

– Seweryn coś dla pana Adama załatwiał, jeździł do miasteczka z posyłkami. Ale nigdy nie chciał mi nic powiedzieć.

– Dobrze. Wezmę to pod uwagę. Dziękuję.

Kiwnął jej głową i zaczął schodzić w dół. Dostrzegł wahanie na jej twarzy.

– I jestem pewna... jestem pewna, że widziałam u Seweryna pierścioneł pani Lili.

Uśmiechnął się i odszedł.

Była bardzo, bardzo zawiedziona. Chyba liczyła na to, że Morawski pobiegnie i zaaresztuje Seweryna. Albo każe mu się z nią ożenić.

\*\*\*

Gdy wszedł do jadalni, przy stole siedział tylko Tercjusz, ale Morawski spodziewał się tego. Nie przypuszczał, by Mariusz miał ochotę na towarzystwo.

Na stole królowała fantazyjna różowawa konstrukcja, udekorowana grzybami, małymi jajkami i innymi drobiazgami.

Jan usiadł i Tercjusz nałożył im na talerze mus z szynki.

– Odesłałem służbę – wyznał.

Morawski skinął głową i sięgnął po butelkę białego wina.

– Czy on ma do mnie pretensje? – spytał niespodziewanie pan Drojewski po kilku minutach dłubania w galaretowatej przystawce.

– Nie. Wprost przeciwnie. Jest ci wdzięczny.

– Naprawdę? – pocziwiec cały się rozpromienił.

– Powiedział, że jesteś jego jedynym przyjacielem.

Tercjusz najpierw złożył ręce niczym do modlitwy, po czym złapał za sztucce i zaczął żarłocznie jeść.

– Od rana nic nie mogłem przełknąć – wyznał między kolejnymi kęsami.

I tak upłynął im posiłek. Tercjusz machał sztuccami, dobierał, jadł, dolewał wina, pił i chwalił kunszt Felicji.

Potem nastąpiła zmiana dekoracji. Na stole zjawiała się pieczona kaczka i zielony groszek, ale poza tym wszystko przebiegało podobnie jak przy pierwszym daniu. Błysk noża i widelca, aromat spieczonej skórki, maślany smak groszku, chłupot dolewane go wina, mlaskanie Tercjusza i jego niekończąca się opowieść o tym, gdzie szukał księgi

i dlaczego, gdzie nie szukał i dlaczego, gdzie będzie szukał i gdzie nie będzie szukał.

Jan, pochłonięty własnymi myślami, dosyć nieuważnie podążał za tym sprawozdaniem.

Nagle zdał sobie sprawę z otaczającej go ciszy. Podniósł wzrok. Zaniepokojony Tercjusz wpatrywał się w niego sponad okularów.

– Czym się martwisz? Prawie nic nie zjadłeś.

– Ależ zjadłem – przekonywał Morawski i aby odwrócić uwagę od swego apetytu, zagadnął: – Pamiętasz, Tercjuszu, moje pytanie o Raczyńskich?

– Rozmawialiśmy o różnicy między panią Różą a jej mężem.

– Tak. Pytałem też panią Barbarę o tę kolację. Jej zdaniem mogło chodzić o to, że każde z państwa Raczyńskich wniosło do małżeństwa dzieci z poprzednich związków.

Rezydent przybrał skupioną minę i przytaknął.

– Tak rzeczywiście było.

– Chciałbym o tym poczytać. Poszukam w bibliotece.

– Coś ci znajdę. I jeśli pozwolisz, nie będę ci towarzyszył. Mam tego pomieszczenia na dzisiaj dosyć.

\*\*\*

Morawski siedział w bibliotece i przeglądał podsunięty mu przez Tercjusza rocznik „Dziennika Poznańskiego”. Znalazł potwierdzenie tego, co rano powiedziała pani Barbara. To jednak nie wniosło niczego nowego. Może pokolenie wstecz? Po chwili w innym czasopiśmie natrafił na ciekawostkę dotyczącą poprzedniej generacji. Raczyński miał syna ze związku z mężatką i ożenił się z obcą kobietą, która zgodziła się oświadczyć, że chłopiec jest jej rodzonym synem! Jan próbował to dopasować do historii Ponińskich. Co za bzdura!

A w ogóle to kiedy był ślub seniora? Musi być gdzieś wpis. W kronice rodzinnej, oczywiście.

Wróciła ta wątpliwość, czy zaginięcie księgi jest związane z próbą ukrycia statutu, czy niebezpiecznej dla kogoś adnotacji w kronice.

Jeżeli jednak coś jest nie tak z datą ślubu seniora, to przyrodniego brata należałoby szukać w pokoleniu Adama, Edwarda i Gustawa. O kogo mogłoby chodzić? Przecież w otoczeniu nie ma żadnych młodych mężczyzn.

## Rozdział 40.

Jan wrócił do sypialni z kilkoma tomami pożyczonymi z biblioteki. W królestwie Tercjusza nadal panował rozgardiasz uniemożliwiający swobodne poruszanie się. Morawski ciągle na coś wpadał, potrzącał, przewracał, aż w końcu postanowił przenieść się w zacisze swojego pokoju.

Po upływie półgodziny dołączył do niego Mateusz.

– Panią Felicję opanowała czarna rozpacz. Twierdzi, że przestali panowie jeść.

– Mariusz się nie pojawił, a ja nie byłem głodny. Nawet Tercjusz nie zdołał tego skompensować.

Kamerdyner podniósł jedną z książek, spojrział na stronę tytułową i spytał:

– Czego szukamy?

– Jakiegoś ogniwa łączącego Raczyńskich z braćmi przyrodnymi. Ale nawet taki uznany plotkarz jak Motty milczy na ten temat.

– Uczepił się pan słów tego łotra, a on to na pewno wyssał z palca.

Jan podniósł na przyjaciela wzrok. Musiał przyznać, że kryło się w tym sporo racji. Czyżby dał się nabrać?

Wzmianka o Serpentynie przypomniała mu o rozmowie z Nela. Opowiedział Mateuszowi o zmianie jej zeznań.

– To jasne – podsumował – że kieruje nią chęć wzięcia odwetu na niewiernym Sewerynie. Ale kogo naprawdę widziała? Kim była ta osoba biegnąca w czasie ulewy?

– Zapewne mordercą. Zabił Adama i pobiegł zastawić pułapkę na panienkę.

– Jedno jest pewne: z listy potencjalnych zabójców możemy wykreślić Mariusza. Jego reakcja na znaleziska w pokoju syna nie pozostawia cienia wątpliwości. Nie miał pojęcia o prawdziwym życiu juniora.

Mateusz wzruszył ramionami. Dla niego oznaczało to rozstanie z ulubioną koncepcją.

Morawski siedział przy stole. Na białym obrusie rozłożono szkarłatną serwetkę, a na niej stała karafka i dwie kryształowe szklanki. Nalał sobie wody, trochę wypił i odstawił szklankę. Westchnął i wrócił do wertowania opasłej książki.

Mateusz przeszedł do swojego pokoiku i poświęcił się jakimś skomplikowanym manewrom nad pudełkiem z akcesoriami fajkarza.

– Dowiedziałeś się, gdzie zniknęła Nela? – zagadnął Jan.

– Nikt nic nie wie. Wszyscy tłumaczą się zamieszaniem.

Morawski westchnął i odłożył ciężki tom na stół. Odsunął krzesło i usiadł



z wyprostowanymi nogami, opierając brodę o mostek.

– Zamieszanie, wszędzie zamieszanie – mruknął.

Zamyślił się i stracił poczucie czasu. Z tego stanu wyrwał go Mateusz, który podszedł ze swym ulubionym *churchwardenem* w dłoni.

– Czuję, że nastąpi jakiś przełom – oznajmił. Jan spojrział na niego zdziwiony, a wtedy przyjaciel wyjaśnił: – Zawsze tak jest, gdy zasiada pan w tej pozie Stańczyka.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki coś przyciągnęło wzrok Morawskiego do kryształów stojących na stole. Jedna ze szklanek – ta, z której pił – leżała przewrócona. Woda wylała się na serwetkę i obrus. Najwyraźniej Jan potrącił ją, odsuwając ciężki tom, a ona miękko i bezszelestnie przewróciła się na tkaninę.

Zerwał się, odłożył książkę – na szczęście suchą – na krzesło, Mateusz przestawił karafkę i szklanki na parapet. Morawski podniósł serwetkę. Na obrusie widniała czerwona plama. Kamerdyner sięgnął po obrus.

I naraz na jego przegubie zacisnęła się dłoń Jana.

– Czekaj.

– Muszę to szybko wyprać, bo potem...

Nie skończył. Zobaczył minę Morawskiego i puścił białą materię. A Jan wpatrywał się w plamę jak zahipnotyzowany.

– Zostań tu! – polecił i rzucił się do drzwi. Od progu zawołał jeszcze: – Niczego nie ruszaj. Niczego!

Biegł, jakby od tego zależało jego życie. Dotarł do pokoju dzieciennego i dopiero wtedy uświadomił sobie, która jest godzina. Rozwiązał i zsunął buty. Otworzył drzwi. Przeszedł przez pokój szkolny. Zajrzał do sypialni. Balbina spała. Natalia spała. Bobi spał. Na szczęście ten ostatni spoczywał w nogach łóżka dziewczynki, a nie w jej ramionach. Jan delikatnie sięgnął po pieska i na palcach wyszedł. Gdy wydostał się na korytarz, biegiem ruszył do swojej sypialni.

Zastał Mateusza w tym samym miejscu, w którym go zostawił, zamienionego w słup soli niczym żona Lota. Na widok pieska kamerdyner wytrzeszczył oczy.

Z szyi zwierzaczka Jan odczepił czerwoną obrozę, położył na obrusie i polał wodą z karafki. Poprzyciskał, pomazał, podniósł. Na obrusie pozostał czerwony ślad. Dla pewności polał wodą jeszcze inny fragment szkarłatnego paska i przyłożył go do białego, aksamitnego futerka. Po chwili odsunął obrozę. Na szyi pieska widniała jasnoczerwona bruzda.

Popatrzył roziskrzonymi oczyma na Mateusza.

– Widziałeś? – zapytał głosem drżącym od triumfu.

Wywołany do odpowiedzi kamerdyner lekko odwrócił głowę w bok i spojrział z ukosa.

– Widziałem.

– Nie rozumiesz? – służący pokręcił przecząco głową. – Tamtej nocy była przecież

ulewa. Zabawka nie jest poplamiona. Gdyby w noc burzy piesek został na dworze, aksamit byłby zabarwiony na czerwono – Mateusz przenosił wzrok z Jana na pieska i z powrotem. – Rozumiesz? To nie Edward. Nareszcie mam dowód.

– Ale jego aresztowano dopiero kolejnego dnia – przypomniał kamerdyner. – Miał jeszcze jedną noc na zastawienie pułapki.

Morawski pokręcił głową.

– Padało przez kilka kolejnych dni. Przypomnij sobie słowa rządcy. Przypomnij sobie, co mówił Florian. Rozpogodziło się tuż przed naszym przyjazdem. To nie mógł być Edward, bo wtedy siedział już w więzieniu.

Mateusz ciężko opadł na fotel.

– Jeśli nie on, to kto?

– Nie wiem. Ale skoro Edward nie mógł wynieść zabawki, można założyć, że to nie on otruł Tobiego. Zatem ktoś inny poluje na Natalię.

– Ale kto? – powtórzył zdenerwowany kamerdyner. – Jeśli to nie pan Edward biegł wtedy po trawniku, to kto?

Jan zmarszczył nos.

– Kto to był na trawniku? – powtórzył. – Kogo Nela mogła tam widzieć? – naraz doznał kolejnego olśnienia: – Skoro ona tak łatwo zmienia zdanie, to czy w ogóle tam ktoś był?

Błyskawicznie robił przegląd wypowiedzi pokojówki.

– Co z tego, co nam powiedziała, jest prawdziwe? Nie wiemy. Czy kiedykolwiek złapaliśmy ją na kłamstwie? Na zmyślaniu?

– Raczej nie.

– Zaraz. Co to było z raną Walka? Najpierw przybiegła, krzycząc, że Walek poważnie się zranił. Wezwała panią Barbarę na pomoc. Potem okazało się, że rana jest nieznaczna, a sama Nela chwaliła się koleżankom, że to ona opatrzyła skaleczenie. Znasz ten typ: potrafiłaby elementarz zmienić w powieść płaszcza i szpady.

Mateusz na podstawie tego spostrzeżenia dokonywał korekty całej konstrukcji. A przynajmniej próbował.

– Czyli nikogo tam nie było, a my cały czas szukaliśmy...

– Poczekaj! Może kogoś widziała, a może nie. Na tym polega problem z ludźmi, którzy tak jak Nela ubarwiają sobie rzeczywistość. To jak w bajce o chłopcu i wilku. Tyle razy zmyślają, że w końcu im nie wierzysz, nawet gdy powiedzą prawdę.

Wpatrywał się w poplamiony obrus.

– Ten, kto to zaplanował, tym razem przedobrzył. Od początku czułem, że Edward nie mógłby popełnić czegoś takiego.

– Ale wszystko na niego...

– Nie – Morawski mówił twardym, stanowczym głosem. – Mógł zabić taką kanalię jak jego brat. Ale nie zastawiłby pułapki na dziecko. A dzisiaj nad jeziorem zrozumiałem, że nie miał powodu, by zabijać Natalię, bo jako jedyny wiedział o istnieniu Gucia.

– Kto zatem?

– Każdy. Wiesz przecież, ile osób miało dostęp do jedzenia. A nawet nie chce mi się liczyć tych, którzy mogli wynieść pieska. Pałac był rzekomo pusty ze względu na żałobę, ale jak się zastanowić, to każdy tu był w ciągu minionego tygodnia.

– Dlaczego tygodnia?

– Dziś jest niedziela. Przyjechaliśmy w środę, a wtedy już od dwóch dni świeciło słońce. Zabawkę wyniesiono między poniedziałkiem a sobotą – Jan pogłaskał Bobiego. – Dobry piesek.

Mateusz uważnie przypatrywał się swemu pracodawcy.

– Od pikniku nie był pan taki szczęśliwy.

– Nie rozumiesz? To mnie dręczyło. Odpowiedzialność Edwarda za próby uśmiercenia małej. Teraz wiem, że to nie on.

Położył dłoń poniżej splotu słonecznego i delikatnie się poklepał. Służący uśmiechnął się znacząco i wstał:

– Już idę. Pani Felicja ma obficie zaopatrzoną spiżarnię.

Morawski w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Tylko nie rób jej problemu – pojął w końcu intencję Mateusza.

– Oszaleje ze szczęścia. Jest załamana, że panowie nie jedzą.

Wyszedł. Jan wziął Bobiego na ręce i go poinformował:

– Wracasz do pani. Musisz jej pilnować.

Odniosł pieska, zamknął drzwi, zabrał buty i wrócił do sypialni.

Kilka minut później zjawił się Mateusz, niosąc cztery olbrzymie kawały placka serowego z wiśniami i polewą czekoladową. Jan nawet nie sięgnął po łyżeczkę. Kamerdyner patrzył osłupiały na swego pracodawcę, który wielkimi kęsami pochłaniał ciasto i oblizywał czekoladę z palców. Przy trzeciej porcji młody detektyw stwierdził:

– Nikomu nie mów, co odkryliśmy.

– Ale przecież pan Mariusz musi się dowiedzieć, że to nie...

– Jeszcze nie teraz. Ten, kto poluje na Natalię, musi się czuć bezpieczny – Morawski zmarszczył czoło i na chwilę przestał jeść. – No tak, ale przekonany, że ona jest spadkobierczynią, będzie nadal na nią czyhał.

Kamerdyner natychmiast zaproponował:

– Przeniosę sobie materac z pokoju chłopców do sali szkolnej i będę tam spał.

Jan skinął głową z aprobatą i wgryzł się w ostatni kawałek ciasta:

– Doskonale. Czuwamy na zmianę.

Mateusz pokręcił głową.

– Nic z tego. Poprzedniej nocy prawie pan nie spał, a potem cały dzień gdzieś pana nosiło. Ja tam idę.

– Jesteś pewien?

– Tak. Na jutro zapowiada się znowu upał, a pan wybiera się do więzienia.

Jan kładł się do łóżka pewien, że nareszcie odpocznie.

## Rozdział 41.

Odkąd w jego umyśle umilkła ta uporczywa melodia „Edward nie mógł tego zrobić” i zastąpił ją hymn „Edward tego nie zrobił”, Jan odzyskał spokój i swobodę myślenia. Ustała wewnętrzna szamotanina.

Do późna czytał, a potem próbował przeanalizować zgromadzone wiadomości. Starął się przede wszystkim wykreślić choć część osób z wydłużającej się bezustannie listy kandydatów na brata przyrodniego jednego z panów Ponińskich. Złapał się na niegodnej myśli, że dobroczynność seniora poważnie utrudnia mu zadanie – w legionie obdarowanych musiał znaleźć tego jednego człowieka. Chyba ta filantropia przypominała mu o doktorze, który wspierał Teosia i Gucia w ich szkolnej karierze.

Zanurzył twarz w poduszkę i z lubością wdychał jej zapach. Niepowtarzalna woń świeżej pościeli od zawsze działała na niego niczym środek nasenny.

Obudził się o trzeciej, o tej niebezpiecznej godzinie nagłych konstatacji i oświeceń. Najwyraźniej wieczorne rozmyślenia wywołały jeden z tych snów, w których nasza pamięć i podświadomość tak pomysłowo przeplatają ze sobą różne wątki. Śniło mu się, że to senior jest tajemniczym doktorem! Twórca tej koncepcji z uznaniem dla siebie stwierdził, że jest to pomysł bardzo prawdopodobny i całkowicie zgodny z *credo* pana Adama, z ową teorią wędkę i ryby. Tak, to by do niego pasowało. Ale ten pseudonim. Lydgate? Pan Poniński sięgnąłby do starożytności. Do Arystotelesa, Seneki czy też może Archimedes, który byłby stosownym patronem fundatora, kładącego nacisk na wykształcenie przyrodnicze. Ale Lydgate?

Umysł Jana uczeplił się tego wątku. Gdzie on słyszał to nazwisko? To chyba nie postać historyczna. Bohater literacki? Kojarzył się z kobietą. Pisała o nim kobieta. Pod męskim pseudonimem. Jan robił przegląd znanych mu autorek, spełniających ten warunek. Zerwał się. George. George Sand! Musiał to sprawdzić. W bibliotece? Nie widział tam literatury francuskiej, a poza tym odstręczał go panujący tam bałagan. Pokój Lili. Tam były francuskie książki. Wyskoczył z łóżka, narzucił na siebie cienki jedwabny szlafrok i bosy wyszedł z sypialni. Wziął stojącą na korytarzu zapaloną lampę i wszedł do buduaru. Tak, były tu. Sięgnął po kilka. Przewertował je, ale nie natrafił nigdzie na ślad nazwiska doktora. Zresztą przy tak bogatym dorobku tej autorki, chaotyczne poszukiwania były bezsensowne. Zawiedziony, wrócił do siebie i położył się z powrotem do łóżka.

I już po chwili uznał się za idiotę. Przecież Lydgate nie jest nazwiskiem francuskim! Znowu ruszył potok skojarzeń. Lydgate. Co to było? Przyszła mu na myśl Konstancja. Widział to u niej? Chłopcy powiedzieli: „doktor Lydgate”. To był lekarz? Jak miał na imię? To musiała być literatura angielska, bo z tego języka Konstancja tłumaczyła książki. Nagle go olśniło. Ponownie wstał i szedł do biblioteki. Pierwszego dnia widział tam powieści angielskie z Tauchnitz Edition. Od razu trafił do regałów z literaturą współczesną – były to nieliczne półki, które ostały się wobec zapałów pana Drojewskiego. Jan znalazł to, czego szukał. Usiadł przy biurku i się zamyślił. Jedno się wyjaśniło.

Podniósł się, by odłożyć książkę, lecz nagle przypomniała mu się scena, gdy niespodziewanie wszedł w piątek do biblioteki i zastał Tercjusza skrzętnie coś chowającego do szuflady biurka. Morawski sięgnął do gałki i spróbował wysunąć szufladę. Nie drgnęła. Rozejrzył się. Gdzie archiwariusz mógłby ukryć klucz? Nie wykazywał się przebiegłością, wbrew własnemu przekonaniu i przypisywanemu sobie podobieństwu do Ulissesa. Akurat w tym momencie rzuciła się Janowi w oczy stojąca na biurku waza grecka w stylu czarnofigurowym, na której przedstawiono króla Itaków przywiązanego do masztu statku. Jan sięgnął ręką do wazy. Coś brzęknęło. Metal uderzył o ceramikę. Klucz.

Otworzył szufladę. Wewnątrz leżał ten mały czarny notes, który wtedy przelotnie widział. Przerzucił kilka stron „12/07/00 kolacja – kurczęta pieczone w słoninie”, „13/07/00 obiad – karp smażony”. Jan zaczął głośno się śmiać. Tercjusz, niczym wielki Pepys, zapisywał każdego dnia, co zjadł!

Schował dziennik, zamknął szufladę, odłożył klucz do skrytki i wrócił do sypialni. Była dopiero czwarta. Świtało.

\*\*\*

Gdy rano wszedł do jadalni, zastał tam tylko Tercjusza.

– A nasza śliczna towarzyszka?

– Zjadła dzisiaj wyjątkowo bez marudzenia i pobiegła do góry. Pytała o ciebie i obiecała, że przyjdzie, by ci powiedzieć „Dzień dobry”.

Morawski podszedł do bufetu. Nałożył sobie kilka plastrów boczku i dwa smażone jajka, a gdy usiadł przy stole i zaczął jeść, Tercjusz wyraził swe gorące uznanie.

– Widzę, że apetyt wrócił.

– Tak, czuję, że to będzie bardzo dobry dzień – Jan sięgnął po dzbanek z kawą.

– Coś się stało?

– Rozwiązałem pewną zagadkę.

– Znalazłeś mordercę?

– Nie. Ale wiele się spodziewam po rozmowie z Edwardem.

– Cóż więc wykryłeś?

Jan przez chwilę nie odpowiadał, trochę przesadnie demonstrując swe zainteresowanie śniadaniem.

Odgryzł kawałek chleba, popił kawą i oświadczył:

– Znam tożsamość dobroczyńcy Teosia i Gucia.

– Nie sądziłem, że to cię interesuje.

– Samo stypendium nie, ale ten wątek mylił mi trop – zauważył, że Tercjusz jadł trochę wolniej. – Chłopcy zdradzili mi wczoraj pseudonim tego hojnego człowieka.

Po tych słowach Jan wstał i poszedł po pieczone pomidory.

Wrócił na miejsce, posolił warzywa i zabrał się do jedzenia.

– Nie interesuje cię, kto to taki? – zagadnął po chwili.

– Kto to taki? – powtórzył Tercjusz niczym echo.

– Doktor Lydgate. Bohater książki George Eliot – Jan odłożył sztućce i uniósł wzrok.

– Tercjusz Lydgate.

Morawski patrzył na swego towarzysza. Liczył, że napotka to dobrotliwe spojrzenie sponad okularów, które tak dobrze już znał, ale tamten nie zareagował. Wobec tego zapytał wprost:

– I co ty na to?

Tercjusz „Lydgate” Drojewski odpowiedział dopiero po minucie milczenia:

– Jak na to wpadłeś?

Jan zrelacjonował w skrócie swój poranny ciąg myślowy.

– I wszystko zaczęło mi się układać – wyznał. – Twoja niechęć do klasycznego wykształcenia, szacunek pana Adama do ciebie. Musiałeś zajmować się czymś poważnym, bo ktoś taki jak on nie ceniłby zwykłego utracjusza. A wczoraj wspomniał, że dziesięć lat temu otrzymałeś pokaźny spadek, który chciałeś mu przekazać do dyspozycji. Nie dokończył swej opowieści, ale przypuszczam, że gdy ci odmówił, postanowiłeś ufundować to stypendium. Stypendium, którego jedynym warunkiem jest to, że wybrany gimnazjalista musi uczyć się w szkole realnej i zdobywać bardziej praktyczną wiedzę, niż ty miałeś szansę.

Tercjusz pokiwał głową.

– Chciałem, aby choć jeden chłopak ustrzegł się takich tarapatów, w jakie ja popadłem. Jestem ofiarą systemu edukacji, który forsuje program odpowiedni tylko dla zawodowych filologów lub tej garstki uprzywilejowanych, którzy nigdy nie będą musieli na siebie zarabiać.

– Dziewięćdziesiąt procent czasu poświęcanego na naukę języków martwych.

– Całe życie spędziłem nad książkami. O historii starożytnej i literaturze rzymskiej wiem naprawdę wiele, ale dziesięcioletnie dziecko zna się na rachunkach lepiej niż ja. Zresztą znasz moje dzieje. Straciłem cały majątek, a wtedy znalazł mnie Adam i chciał mi zwrócić pieniądze, które mu pożyczyłem na tę jego wyprawę wojenną.

– Ale ich nie przyjąłeś.

Hojny biedak wzruszył ramionami.

– Nadal nie umiałem liczyć, ale poznałem, co to bieda i chciałem jej uniknąć. Zostałem tu jako archiwariusz, a gdy dziesięć lat temu przypadł mi spadek i Adam nie zgodził się nim zaopiekować, ufundowałem stypendium.

Jan nakładał konfiturę malinową na ciepłą bułkę. Tak, wszystko pasowało. I Mariusz musiał wiedzieć, na co jego przyjaciel spożytkował odziedziczoną sumę. Spożytkował w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Teoś jest drugi? – spytał Morawski.

– Trzeci. Mogłem sobie pozwolić tylko na jednego naraz.

– I kilka miesięcy temu napisał do ciebie. O Guciu.

– Tak – podekscytowany Tercjusz zapomniał o jedzeniu. – Jego matki nie było stać na naukę przygotowawczą przed egzaminami do gimnazjum, a Teoś rozpisywał się o zdolnościach tego malca.

Jan zmrużył oczy i zrozumiał coś jeszcze.

– I doktor Lydgate przekazał pieniądze. Pożyczzone od tego lichwiarza – dołał sobie kawy. – Byłeś taki zaniepokojony, gdy chłopcy tu przyszli. Myślałem, że... – Morawski ugryzł się w język. Prawie się zdradził! Przecież Tercjusz nie wie o istnieniu syna Gustawa!

– Co myślałeś?

– Że twoja znajomość z lichwiarzem jest taka podejrzana. Wiesz, chodzi o to, że prawdopodobnie także junior miał z nim kontakt – wybrnął. – Mogę wiedzieć, co zastawiłeś?

– Mój złoty zegarek. Patek Philippe. Ostatnia pamiątka dawnych dobrych czasów.

Młodszy z mężczyzn nagle się zaśmiał:

– Przypuszczam, że prawie dostałeś ataku serca, gdy twój podopieczny Teoś zjawił się tu jako najlepszy przyjaciel sąsiada?

– W pierwszej chwili bałem się odezwać – przyznał sponiony Drojewski – ale potem byłem zadowolony, że będę mógł obserwować, jak się zmienia.

Nastąpiła cisza. Morawski kończył jeść śniadanie i myślami krążył już wokół czekającego go wyjazdu.

– Jedziesz do Edwarda? – spytał rezydent.

– Tak. Chcę mu zadać kilka pytań, które mogą sporo wyjaśnić.

– On tego nie zrobił – zapewnił Tercjusz. – Chodzi mi o tę pułapkę w parku. I o zatrutą kolację. Nie zrobił tego.

– Wiem.

Przez chwilę pan Drojewski wpatrywał się w Jana, jakby czekał na ciąg dalszy, ale skoro nic takiego nie nastąpiło, zmienił temat:

– Była tu u mnie Felicja – Morawski uniósł wysoko brwi. – Przyszła spytać, czy jedziesz do więzienia, bo chciała przygotować zaopatrzenie dla Edwarda.

– Jadę i chętnie będę służył za kuriera.

Dopił kawę i nagle uświadomił sobie, że fundowanie stypendium nie stanowi dowodu niewinności w sprawie zabójstwa.

\*\*\*

Jan stał z Mateuszem przy wejściu do pałacu, czekając na powóz, który miał go zawieźć



na lokalną stacyjkę.

– A co, jeśli się okaże, że pan Edward jednak zabił brata? – martwił się kamerdyner.

– Najważniejsze, że nie próbował zamordować bratanicy.

Nagle z góry dobiegło ich wołanie:

– Hop, hop!

Unieśli głowy i w oknie zobaczyli Natalię, wychylającą się w ich stronę i machającą chusteczką.

Tuż za nią Jan dostrzegł jakiś cień. Wróciło to samo przerażenie, które poraziło go wczoraj. Rzucił się do wejścia, potrącił w holu Tercjusza i ruszył schodami do góry. Słyszał za sobą kroki i jakieś tłumaczenia Mateusza. Przeskakiwał po kilka stopni. Biegł korytarzem i wpadł do pokoju szkolnego.

Na parapecie stała Natalia, a obok niej klęczała Balbina. Durna, bezmyślna Balbina.

– Wujcio? – ucieszyła się dziewczynka. – Widziałeś, jak ci machałam?

– Widziałem. Widziałem.

Zdjął ją z parapetu i w tym momencie wpadł Mateusz.

– To się źle skończy – oznajmił służący.

Morawski chciał warknąć na tę idiotkę, której powierzono opiekę nad dzieckiem, ale spojrzał na jej uśmiechnięte oblicze i zrozumiał, że żadna reprimenda niczego nie zmieni.

Z dzieckiem na ręku wyszedł z pokoju i na korytarzu poinstruował kamerdynera przez zaciśnięte zęby:

– Nie odstępuj jej na krok. Wymyśl coś. Zapewnij jej jakieś atrakcje. Nie wiem zresztą.

Zeszli do holu. Pani Barbara rozmawiała z seniorem, na ławce siedział zdezorientowany rezydent, a przez uchylone drzwi do jadalni widać było Nełę.

– Bardzo cię przepraszam, Tercjuszu – krzywo uśmiechnął się Jan. – Coś mi się... przywidziało.

Podał małą Mateuszowi. I podjął decyzję. Musi zapewnić dziecku bezpieczeństwo.

– A, byłbym zapomniał – odezwał się głośno. Bardzo głośno. – Dobrze, że są tu państwo wszyscy – Stukot naczyń w jadalni umilkł. – Mam dla pana wspaniałą wiadomość – zwrócił się do pana Ponińskiego. – Gustaw pozostawił prawowitego syna.

Uśmiechnął się. Skinął głową. Wyszedł.

To powinno załatwić sprawę.

## Rozdział 42.

Gdy Jan wysiadł na stacji w Gostyniu, wiedział już, jak zmusi Edwarda, by wyznał, co wie. Morawski spodziewał się zresztą, co usłyszy, ale chciał być pewien.

Przez tę samą co poprzednio procedurę przebrnął szybciej i sprawniej. Strażnik najwyraźniej zachował go we wdzięcznej pamięci, bo nawet nie poszedł spytać więźnia, czy przyjmie gościa. Po prostu zaprowadził Jana do celi.

Nastąpiło znajome skrzyknięcie, zgrzyt sztaby i furkot klucza. Poniński coś szkicował, ale uniósł głowę i wstał. Zdaniem przybyłego nie wyglądał lepiej, ale też nie gorzej. Morawski szybkim spojrzeniem omiótł celę. Na parapecie dostrzegł taką samą menażkę, jaką we czwartek dostarczono z hotelu, istniała zatem szansa, że Edward przerwał strajk głodowy. Na stoliku nocnym stał prezent od Tercjusza. Butelka była do połowy opróżniona. Jan uznał to za doskonały znak. Edward wypił akurat tyle, by poprawić sobie nastrój.

– Nie spodziewałem się pana – oznajmił Poniński.

– Mówiłem, że przyjadę – Morawski postawił na krześle przywiezione z pałacu skórzane pudło. – Z pozdrowieniami od pani Felicji.

Edward lekko się uśmiechnął i jego podobieństwo do Natalii stało się niezwykle uderzające.

Przeniósł walizę na łóżko i wskazał Janowi krzesło.

– Przyjechałem, bo sprawa się skomplikowała – oznajmił gość, siadając.

Oskarżony również zajął miejsce.

– Mogła się jeszcze bardziej skomplikować?

– Tak. W sobotę w pałacu była policja.

– Nie mogą dać ojcu spokoju? – warknął porywczo. Wstał, oparł się ramieniem o framugę okienną i wpatrywał w uliczkę.

– Doszli do wniosku – kontynuował Jan – że swym milczeniem próbuje pan kogoś osłaniać.

– Co takiego? – Poniński gwałtownie zwrócił się do mówiącego.

– Popytali, powęszyli i stwierdzili, że najbliższą panu osobą jest ojciec.

– Chyba nie chce pan powiedzieć...

– Podobno znaleźli dowody jakichś przestępstw młodego Adama przeciwko ojcu. Uznali, że pan Poniński o wszystkim się dowiedział i kierowany dumą rodową, postanowił usunąć niegodnego spadkobiercę.

– To jakiś absurd – wypluł Edward, wpatrując się w Morawskiego z niedowierzaniem.

– Utwierdziła ich w tym jeszcze jedna okoliczność. Pański ojciec bez przerwy powtarzał, że pan jest niewinny. Jego pewność również uznano za przesłankę, że to on jest prawdziwym sprawcą – Jan swobodnie przypisywał śledczym argumentację swego własnego kamerdynera.

– Ojciec tego nie zrobił – oznajmił Poniński, ponownie wyglądając przez okno.

– Teraz to pańska pewność jest zastanawiająca.

Nastała cisza. Długa, uciążliwa cisza. Gdy więzień się odwrócił, Jan wiedział, że wygrał.

– Jestem pewien, że ojciec jest niewinny, ponieważ to ja zabiłem Adama.

Morawski wpatrywał się w niego spokojnie i nic nie mówił. Edward nie wytrzymał tego milczenia:

– Nie wygląda pan na zdziwionego.

– Nie. Domyśliłem się tego.

– I siedzi pan tu tak spokojnie naprzeciwko zabójcy?

– Zabójstwo zabójstwu nierówne – Jan wzruszył ramionami.

Edward odezwał się dopiero po chwili:

– Przyjechałem do domu już po pogrzebie Lili i dziecka. Nie zdążyłem. Wiadomość nie dotarła do mnie na czas. Adam był w okropnym stanie. Rozdrażniony. Trzęsący się. Ojciec tylko się przywitał i zniknął.

– Wiedział pan, co się stało?

– Barbara mi opowiedziała. Najpierw o samym porodzie i krwotoku. Zaczęła płakać. Chyba czuła się winna.

– Nigdy nie rozmawialiście o małżeństwie pańskiego brata?

– Nie. Po jego ślubie przestałem przyjeżdżać do domu. Odwiedzałem ojca właściwie tylko w czasie świąt. I byłem w domu przez kilka dni zeszłego lata – oparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę. – Ta podwójna śmierć coś w Barbarze przełamała. Po raz pierwszy opowiedziała mi, co się działo w domu. Jak Adam dręczył Lili. Ale teraz przeszedł sam siebie. Mówiłem panu zresztą. Zrobił jej okropną awanturę, uderzył ją i zaczęła rodzić.

Morawskiemu przypomniał się neseser w studiu zmarłej kobiety.

– Wie pan, o co poszło? – spytał trochę zakłopotany. – Byłem w pokoju pani Lili. Stała tam spakowana walizeczka. Być może...

– A więc to prawda – Edward się wyprostował. – Barbara mi to powiedziała, ale nie byłem pewien, czy to możliwe – bił od niego jakiś blask, który jednak szybko zgasł. – W każdym razie dziecko zmarło, a zaraz za nim Lili. Zdaniem lekarza nie chciała żyć.

Jan tylko pokiwał głową, a Poniński mówił dalej.

– Zszedłem przed kolacją na dół i czekaliśmy na ojca w salonie. Adam bez przerwy

się o coś wściekał, krzyczał, że ktoś w domu kradnie. Tercjusz go pytał, co zginęło, ale mój brat odwarknął, że to jego sprawa. Atmosfera przy stole była jeszcze gorsza. Ojciec prawie się nie odzywał, ja też nie, Tercjusz wyglądał, jakby chciał się schować do mysiej dziury. Za to Adam gadał za dwóch, a pił za trzech.

– Co mówił?

– Opowiadał, co robił w Poznaniu. A gdy Tercjusz wyszedł, a tuż za nim ojciec, Adam zaczął wypytywać mnie o jakiś kabaret w Berlinie.

– Czy coś jeszcze uderzyło pana w zachowaniu brata?

– Był na zmianę czerwony i biały – przypominał sobie Edward. – Miał taki jakby tik nerwowy na policzku. Takie dziwne drżenie. I ciągle pocierał przedramiona. Dolałem sobie wina. On już więcej nie chciał. Oznajmił, że ma coś lepszego u siebie. Zapraszał mnie, a gdy odmówiłem, wyzwał mnie od świętoszków. I wyszedł.

– Burza już się zaczęła?

– Nie – odpowiedział po krótkim namyśle. – Słyszeliśmy grzmoty, od czasu do czasu błyskało, ale to jeszcze nie była burza.

– I poszedł pan do niego?

– Tak. Ale nie wiem, co chciałem osiągnąć. Wiedziałem od lat, że jest uzależniony, nieodpowiedzialny. Dałem się sprowokować.

Pokręcił głową i umilkł. Jan spróbował go zachęcić:

– O co poszło?

– Poza tą jedną rozmową przed laty nigdy nie rozmawialiśmy o Lili, ale gdy tylko wszedłem, zaczął kpić ze mnie, że się w niej zakochałem. Wyśmiewał ją, że żadna z niej kochanka, że uciekła już w czasie nocy poślubnej i ledwie ją złapał – zacisnął pięści. – Potem nagle mnie zaatakował, że go ze mną zdradzała, że wie o naszych schadzках w Berlinie, że ten... bachor nie był jego. Był potwornie błądy i spocony. Sięgnął do szuflady, czegoś szukał. Naraz wyciągnął pistolet i zarechotał: „Na twoim miejscu bym nie podskakiwał”. Wstałem i kazałem mu odłożyć broń. Ręka mu się trzęsła, też wstał, machał pistoletem i krzyczał, żebym się wynosił. Nie sądziłem, że broń jest nabita. Przecież wszyscy wiedzieli o morfinie i do głowy by mi nie przyszło, że on może posiadać pistolet. Odwróciłem się do wyjścia, ale wtedy zawołał: „Dobrze, że zdechła. Teraz znajdę sobie prawdziwą kobietę”. Cofnąłem się i kazałem mu się zamknąć. Podniósł pistolet i powiedział: „Lepiej uważaj”. Złapałem go za nadgarstek, zaczęliśmy się szamotać. Rozległ się strzał. Zobaczyłem jego dziwną minę. Taką zdumioną. Po szyi pociekła mu krew.

Edward wpatrywał się w swe zaciśnięte dłonie. Po chwili odezwał się martwym bezosobowym tonem, jakby chodziło o kogoś innego:

– Nie wiem, kto nacisnął spust. Może on, może ja. Osunął się na ziemię. Rzuciłem na niego pistolet. Nie wiem, co było dalej. Pamiętam tylko twarz ojca pochylonego nade mną.

Morawski ciężko westchnął. Po chwili Edward podniósł na niego wzrok i mówił tak,

jakby apelował o łagodny wyrok:

– Zmienił jej życie w piekło. Zabił ją. I śmiał się z tego. Traktował jej śmierć jak dowcip. Był niepoczytalny, podły, nieludzki. Ale nie chciałem go zabić.

Janowi przypomniała się trapiąca go od początku wątpliwość:

– Dlaczego nic pan nie powiedział po aresztowaniu?

– Dopiero rozmowa z panem w czwartek uświadomiła mi, że zamiast milczeć, powinienem być przyznać się do zabicia brata z powodu zazdrości. Skazaliby mnie i sprawa byłaby zamknięta.

– Ale dlaczego nie wytłumaczył pan, jak do tego doszło? Działał pan w obronie koniecznej.

– Aby się wytłumaczyć, musiałbym wyznać prawdę o mojej miłości do Lili, a przede wszystkim o degeneracji Adama.

– Przecież pański ojciec musi...

– Pan nie rozumie – przerwał mu ostro Edward. – Ojciec kochał Adama nade wszystko. A skoro ja i tak go zabiłem, to niech chociaż ojciec się nie dowie, że jego wspianały Adam katował żonę, był nędznikiem i narkomanem.

– On już wie.

– Wie? – Poniński wbił w Jana wzrok. – Skąd?

– Tercjusz kazał mu iść do siedziby syna.

– I wszystko wie?

– Tak. Poszedłem tam i dla pewności dopowiedziałem resztę.

Edward zmarszczył czoło i zmrużył oczy.

– Już w czwartek wspomniał pan, że Barbara wyjawiała ojcu moją miłość do Lili. Tak mnie to zaskoczyło, że nie spytałem, jak zareagował.

– Był zdziwiony, ale potem stwierdził, że postąpił pan jak człowiek honoru i starał się unikać bratowej.

– Gdy pan odjechał, zrozumiałem, że Adam musiał się stoczyć na samo dno, skoro nawet Barbara go odstąpiła. Dotychczas zawsze osłaniała go przed ojcem.

– Raczej osłaniała ojca przed synem. Bo to wdzięczność dla pana Ponińskiego seniora nią kierowała.

Uwięziony pokiwał głową i powiedział:

– Za chwilę poproszę o widzenie z prokuratorem i wszystko wyznam, ale została jeszcze jedna sprawa, która nie dotyczy władz. Mnie skażą, więc ktoś będzie musiał przejąć opiekę nad synem Gustawa.

– A żona pańskiego brata?

– Mary Ann jest bardzo dobrą, skromną kobietą. Ale to ja zostałem ustanowiony opiekunem chłopca. Rok temu zdecydowałem, że powinien pójść do szkoły.

– A kiedy ich pan widział?

– Byłem u nich właśnie rok temu. Pewnie gdyby żył jego ojciec, chłopiec zostałby w domu, ale w tej sytuacji umieściłem go w szkole przygotowawczej w Bedford. Proszę to przekazać ojcu. W moim mieszkaniu w Berlinie znajdzie wszystkie dokumenty dotyczące spraw Gustawa, a także adres Mary Ann. Zresztą mam teraz aż nadto czasu i najlepiej będzie, jeśli wszystko ojcu opiszę – a potem dodał, jakby zapewniał Jana o szlachetności seniora: – Jakiegokolwiek uczucia żywiłby wobec Gustawa, bez wątplenia zapewni swemu wnukowi utrzymanie.

Edward najwyraźniej jeszcze sobie nie uświadomił, że jeżeli on zostanie skazany, mały Gucio może stać się spadkobiercą ordynacji.

Naraz wzrok Jana spoczął na dłoni Edwarda. Przypomniał sobie wynik obdukcji.

– Ten krążek na pańskim palcu to nie jest obrączka, prawda? To pierścionek.

Morawski odwrócił własną dłoń spodem do góry. Edward zrozumiał tę niewypowiedzianą prośbę i powtórzył gest. Na małym palcu lewej ręki nosił pierścionek z piękną perłą w złotej oprawie. Klasyczna panieńska błyskotka. Najwyraźniej jedna z łapek, które przytrzymywały klejnot, w trakcie szarpaniny zraniła Adama. Kamień odwrócony był do wnętrza dłoni, na której pozostawił odciśnięty ślad.

– Pierścionek, który pani Lili dała panu w listopadzie zeszłego roku w Berlinie.

– Skąd pan wie, że spotkaliśmy się w Berlinie?

– Pewna dziewczynka z dumą zaprezentowała mi swój piękny domek dla lalek.

Oczy Ponińskiego rozblęły, lecz natychmiast odwrócił twarz.

Morawski się zachmurzył. To, że oskarżony przyznał się do odpowiedzialności za śmierć Adama, zamykało jedną kwestię, ale pozostały do wyjaśnienia tamte dwa zamachy. Sprawa znacznie gorsza. Niemająca nic wspólnego z siedzącym koło Jana człowiekiem. Poza tym może, iż nagły zgon jego brata otworzył komuś drogę do olbrzymiego spadku. Patrzył na Edwarda. Czy powinien go niepokoić? A może on coś wie. O tym bracie przyrodnim? O Gustawie? Coś, czego wagi dotychczas sobie nie uświadamiał?

Podjął decyzję i opowiedział o próbach zamordowania Natalii.

W pierwszej chwili więzień oniemiał. Wplótł palce we włosy i wpatrywał się w swego gościa. W końcu wykrztusił:

– Pan chyba nie wierzy... Nie mógłbym... Boże... naprawdę!

Wtedy Jan zrelacjonował, co wykrył, po czym spytał:

– Kto mógłby dopuścić się czegoś takiego? – tamten tylko pokręcił głową. – Niech pan myśli!

– Nie wiem. Na litość boską, nie wiem – Poniński przełknął głośno ślinę i gorączkowo polecił: – Niech pan jedzie i jej pilnuje. Przecież nawet w tej chwili...

– Została pod opieką mojego przyjaciela. Ufam mu całkowicie.

Mimo to się podniósł. Dowiedział się tego, czego mógł się tu dowiedzieć. Musiał

pomyśleć. Od wczoraj coś go dręczyło. Ktoś coś powiedział.

Więzień również wstał.

– Proszę jej strzec. Jest wszystkim, co zostało po Lili – dodał zdławionym głosem.

Edward wyraźnie uznawał swe życie za przegrane. Jan widział to już w czwartek, lecz teraz nagle przyszło mu do głowy, jak wyrwać młodego Ponińskiego z apatii.

– Trzeba koniecznie stąd pana wydobyć, bo ktoś będzie musiał się nią zaopiekować. Zresztą nie tylko Natalią. Także Guciem. A pański ojciec jest coraz starszy.

– Morderca nie jest stosownym opiekunem dla dzieci.

– Obaj wiemy, że istnieje wiele okoliczności łagodzących.

Tamten prychnął i gorzko się uśmiechnął:

– Zabiłem go i to jest fakt.

Morawski podszedł do drzwi i zastukał, dając znać, że chce wyjść. Przypomnił sobie swój dylemat, czy istnieją zbrodnie usprawiedliwione.

Wyciągnął dłoń do Edwarda.

– Mogę pana pocieszyć?

– Nie ma dla mnie pocieszenia.

– Pański brat sprzedał i roztrwonił cały majątek żony. Znalazłem też u niego skrypty świadczące o tym, że pożyczał ogromne środki pod zastaw spodziewanego spadku. Do tego była dołączona ocena stanu zdrowia waszego ojca. A gdy wszedł pan do brata wieczorem, on pisał list, że „stary nie będzie żył wiecznie i wtedy wszystko odda” – spopielały na twarzy Edward wpatrywał się w Jana. – Pański brat był tak uzależniony od narkotyków, że dla ich zdobycia posunąłby się do wszystkiego. Najprawdopodobniej także do zamordowania ojca. Pan po prostu uprzedził jego krok.

## Rozdział 43.

Jan przed opuszczeniem więzienia poprosił o rozmowę z prokuratorem. Urzędnik prawie natychmiast zgodził się na spotkanie i z wielką ulgą przyjął wiadomość, że Edward Poniński zamierza złożyć zeznanie.

Gdy Morawski wyszedł na ulicę, spojrzął na zegarek. Miał trochę czasu do odejścia pociągu i postanowił zjeść obiad w hotelowej restauracji, tej samej, z której dostarczano Edwardowi posiłki.

Nie miał ochoty zbyt szybko wracać do pałacu. Musiał pomyśleć. Przyszło mu do głowy, że wysiadzie z powozu w okolicy jeziora, gdzie poprzedniego dnia się kąpał, i tam odbędzie sjęstę.

Wstąpił do cukierni zlokalizowanej tuż przy dworcu.

– Proszę o cztery buchty.

Usługująca dziewczyna zmarszczyła czoło i pokręciła przecząco głową.

– Drożdżowe bułki? – próbował. – Brioszki?

Nadal nic. W końcu wskazał ciastka, o które mu chodziło.

– Ady to są szneki z glancem, a nie jakie tam broszki – zwróciła mu uwagę.

Zgodził się na szneki z glancem, zapłacił i w ostatnim momencie wskoczył do lokalnego pociągu.

Dojechał do maleńkiej stacyjki, wsiadł do powozu i wyjaśnił stangretowi, gdzie chciałby się zatrzymać. Chłopak spojrzął na niego dziwnie, ale spełnił prośbę. Zamierzał czekać, lecz Morawski zapewnił go, że wróci do pałacu pieszo.

Stangret poinstruował go jeszcze, jak dojść nad jezioro, po czym odjechał.

Jan przez chwilę za nim spoglądał, szybko jednak zszedł z drogi. Zerwał się wiatr, zaczął unosić piasek i smagać nim nieprzyjemnie po twarzy, wciskać do ust i uszu.

Między drzewami było spokojniej. Morawski zdjął kapelusz, zwinął i schował do kieszeni. Z tego powodu uwielbiał panamę – było to jedyne nakrycie głowy, które można zrolować, a potem rozłożyć bez szkody dla kształtu.

Dotarł nad jezioro. Powierzchnia wody marszczyła się niczym tarka, a w powietrzu unosił się zapach przywiany z pobliskich pól. Było cicho i sielsko. Nierealnie.

Pływał bardzo długo, aż poczuł przyjemne zmęczenie.

Ze skrytki chłopców wyciągnął koc, położył się na nim i za jednym zamachem pochłonał trzy drożdżówki.

Potem wrócił do swych rozmyślań. Po wyznaniu Edwarda musiał przeanalizować sytuację na nowo.



Kto mógł zatruć kolację? Przy piątej osobie Jan się poddał. Zabawka? Mógłby liczyć podejrzanym do wieczora. Nie. Trzeba wrócić do zabójstwa Adama. Edward twierdzi, że to on nacisnął spust. Teraz to nieistotne. Tym się zajmie sąd i biegli. Pytanie jest inne. Skąd bierze się to dziwne wrażenie, że młodymi Ponińskimi ktoś manipulował? Czy to nie senior spytał: „Co im się nagle stało?”. Adam dowiedział się o uczuciu brata, zniknęły ampułki, a za to pojawił się pistolet. Nie, nie tędy droga. Tak też nic nie ustalili. A ta rozmowa przy kolacji? Bracia przyrodni i Raczyńscy. Przecież przestudiował wczoraj całą historię rodu. Żadnej analogii.

Z kieszeni marynarki wyciągnął swój miniaturowy notes *moleskine* i przerzucał kartki, które zapisał w ciągu ostatnich kilku dni. To były tylko przebliski. Co go dziwiło, czego nie wiedział, czego nie rozumiał. Pytania, uderzające wypowiedzi, przedmioty. Od ampułek, przez wiek Seweryna, pierścionek Lili, nazwisko Gucia, aż do toniku Jacentego. Zawsze tak postępował. Notował oderwane myśli.

Próbował posegregować swe zapiski. Znaleźć wzór. Schemat. Po chwili odsunął je zniechęcony i przycisnął kajet kamieniem.

Nie mógł się skupić. Już od początku żałował, że nie przywiózł ze sobą ani jednego zestawu *jigsaw puzzle*. Te drewniane klocki były mało praktyczne w podróży i dlatego zostawił je w kufrze w Poznaniu. Wprowadzono, co prawda, kartonowe układanki, płaskie i lekkie, ale na razie tylko dla dzieci.

Z portfela wyciągnął szyfry, nad którymi pracował od wyjazdu z Awinionu. Czasami dzięki nim udawało mu się wspaniale skoncentrować: próbował rozkodować tekst, posługując się najpierw najłatwiejszymi cezarami, potem szyfrem Vigenère'a. Szyfr lorda Playfair był już na tyle skomplikowany, że pochłaniał całą uwagę, zamiast pomagać skupić się na bieżącym problemie. Podobno w końcu ministerstwo dało mu szansę...

Teraz Janowi nie chodziło o rozwikłanie zagadki awiniońskiego tekstu i dlatego ograniczył się do najprostszych metod. Celem było osiągnięcie maksymalnej koncentracji, by w takim stanie wrócić do sprawy Ponińskich. Odnosił wrażenie, że coś mu umknęło. Czuł, że na jedno z dręczących go pytań istnieje jednoznaczna odpowiedź, na podstawie której zdołałby odgadnąć resztę.

Odłożył szyfry. Nie wiedział, ile czasu upłynęło.

W pewnej chwili, całkowicie oderwany od rzeczywistości, całkowicie odprężony, przewertował kartki dotyczące morderstwa. W oczy wpadło mu jedno z pytań. Dotychczas występowało w jego świadomości tylko w zestawieniu z innymi. Teraz zobaczył je oddzielnie. Zrozumiał, że na to akurat pytanie zna odpowiedź.

Gdy w rozszyfrowywanej wiadomości odkrywał, jaką literę należy podstawić pod któryś ze znaków, zazwyczaj jedno z krótszych słów stawało się prawie jasne. Brakowało litery. Wypróbowywał trzy możliwości. Wybierał i wstawiał odgadniętą literę w kolejne słowa. Następne kroki przybliżały go do rozwiązania.

Tak było z zagadką morderstwa. Gdy uświadomił sobie jeden fakt, sąsiedni stał się jasny. Potem znalazł odpowiedź na następne pytanie, znowu na następne i na kolejne. Znał wyjaśnienie. Wszystko pasowało. I wtedy zrozumiał, że to, co odkrył, to tylko konsekwencja czegoś, co wydarzyło się wcześniej. Po chwili ekscytacja związana

z udanym rozplątaniem tajemniczego kłębaka ustąpiła miejsca oszołomieniu. A potem posępnej zgrozie.

## Rozdział 44.

Szedł przez park. Wiedział, że nie posiada dowodów potwierdzających tę okropną koncepcję. Musiał zaryzykować i sprowokować mordercę. Ale czy był w stanie zapewnić bezpieczeństwo kolejnej ofierze?

Nad brzegiem strumienia Morawski spotkał chłopców, którzy spośród konarów wybierali tyczki odpowiednie do budowy wigwamu. Z wielkim entuzjazmem przyjęli jego propozycję spędzenia indiańskiej nocy pod gwiazdami. Umówili się na spotkanie tego wieczoru przy gloriecie.

Jan trochę nadłożył drogi i poszedł najpierw do kaplicy. Nacisnął klamkę świątyni. Drzwi nie drgnęły. Potem zajrzał do wieży. Poza świstem wiatru, ze środka nie dobiegały żadne odgłosy.

Alejką ruszył do pałacu. Wszedł bocznym wejściem przy alkierzu i z ociąganiem skręcił do gabinetu. Czekало go trudne zadanie poinformowania pana Ponińskiego, że Edward przyznał się do winy. Zapukał. Cisza. Wszedł. Tam też nikogo nie było. Czyżby senior jakby nigdy nic wyruszył w pole?

W saloniku prawie zderzył się z Serpentyńcem.

– Szukam...

– Jaśnie pan jest w sypialni jaśnie pani – lokaj przyłożył dłoń do piersi i głęboko się skłonił. – Czekam na pana.

Jan starał się nie zwracać uwagi na węzowe ruchy służącego, gdy ten co chwila wyprzedzał go, by następnie przepuszczać przed sobą. Dotarli na piętro i Serpentyń z ważną miną zapukał, po czym błyskawicznie przywarł uchem do powierzchni drzwi. Coś najwyraźniej usłyszał, bo nacisnął klamkę i popchnął skrzydło.

Morawski znalazł się w kobiecej sypialni urządzonej w kolorze brzoskwiniowym. Rozejrzał się, ale nikogo nie zauważył. Jego uwagę przyciągnęło wielkie łóżko, nad którym wisiał obraz Czarnej Madonny. Powyżej przymocowano koronę, z której zwieszała się tkanina baldachimu.

Naprzeciw łóżka stał kominek, a nad nim wisiał obraz przedstawiający kobietę z trójką kilkunastoletnich chłopców. Jan podszedł i zaczął przyglądać się postaciom. To musiała być pani Natalia. Edward odziedziczył nie tylko jej talent plastyczny, lecz także wygląd zewnętrzny, a przede wszystkim te charakterystyczne oczy. Najmłodszy chłopiec, Gustaw, którego gość dotychczas nie widział, przypominał seniora Ponińskiego – ta sama wyprostowana postawa, zdecydowany zarys szczęki. A z boku Adam. Długa broda i blisko osadzone oczy. Jakby z innej rodziny. Morawski odniósł podobne wrażenie, jak przy oglądaniu zdjęć. Najstarszy syn był tu obcy. Przyjrzał się jeszcze podpisowi. Marceli Krajewski. Portrecista wielkopolskiego ziemiaństwa.

Cofnął się o krok i jednym spojrzeniem ogarnął całą czwórkę. Tak. Teraz rozumiał

jeszcze więcej.

Naraz drgnął. Z boku dobiegł go głos:

– To moja żona.

Jan odwrócił się w stronę okna. Na fotelu, częściowo zasłonięty aksamitną kotarą, siedział senior.

– Natalia jest do niej niesamowicie podobna – wyznał młody człowiek.

– I Edward – pan Poniński wstał i zapatrzył się w obraz. – Latami warczałem na nią, ale nic sobie z tego nie robiła. Nie zdawałem sobie sprawy, że łagodziła wszystkie konflikty. Potem umarła i wszystko się popsuło. Zawiodłem ją. Nie dopilnowałem chłopców. A tak mnie prosiła.

Opadł z powrotem na fotel. Jan podszedł do niego i z troską mu się przyglądał.

– I cóż? – senior zadał w końcu to pytanie, które nawet na chwilę nie chciało ich opuścić.

– Edward przyznał się do winy.

Pan Poniński ukrył twarz w dłoniach.

– Wszystko się zgadza – wyszeptał. – Abel i Kain, synowie Adama.

Jan krótko powtórzył relację Edwarda z tragicznego wieczoru. Opowiedział o prowokacjach Adama, o kpinach z Lili, pistolecie, szarpaninie, strzale.

– Dlaczego milczał? – Mariusz w końcu podniósł głowę.

– Bo musiałyby wyznać prawdę o bracie. Bo musiałyby sprawić panu ból.

– Tercjusz mi powiedział, że gdy moja żona umierała, kazała Edwardowi opiekować się mną.

Pokręcił głową i zamilkł. Choć Jan czuł, że senior wolałby cierpieć w samotności, nie odchodził, gdyż zbyt wiele kwestii pozostawało otwartych. Dyskretnie podszedł do okna, nie odzywał się, ale też nie wychodził.

Już nad jeziorem zaczął mu się zarysowywać pomysł sprowokowania zbrodniarza. W drodze do pałacu przemyślał kolejne kroki, a teraz musiał tylko starannie rozplanować je w czasie.

Upłynęło kilka, może kilkanaście minut, ale pan Poniński nie wykazywał zamiaru zajęcia się trudnymi zagadnieniami: faktem istnienia wnuka i atakami na Natalię.

– Panie Adamie, dziś rano, gdy wyjeżdżałem...

Mariusz uniósł dłoń:

– Nie teraz.

Nagle wstał i skierował się do drzwi. Jan ruszył za nim. Gdy stanęli w progu, spróbował jeszcze raz:

– Panie Adamie, pozostaje sprawa otrucia psa i pułapki w parku. Tak jak wczoraj mówiłem, nie wierzę, aby...

– Jutro. Proszę dać mi czas do jutra – senior szedł korytarzem w stronę klatki schodowej. – Jestem znużony. Chcę zostać sam.

Morawski dogonił go na podeście i złapał za ramię. Poza tamtymi dwoma, pozostawała jeszcze trzecia bolączka:

– Czy pamięta pan tę biżuterię? Tę, którą pan zidentyfikował jako należącą do pańskiej żony?

Pan Poniński patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Biżuterię?

– Tak. Przepraszam, że do tego wracam w takiej chwili, ale chciałbym wyjaśnić drobną wątpliwość.

– Ale o co chodzi?

– Pokazał mi pan naszyjnik i kolczyki, a ja w środę widziałem także pierścionki.

Mariusz zmarszczył czoło:

– To znaczy, że ktoś...

Jan nie odpowiedział wprost.

– Czy mógłbym... czy zgodziłby się pan, abym przeszukał pokoje służących? Niestety, z pewnych względów wolałbym to zrobić bez ich wiedzy.

Senior kiwnął głową i zaczął schodzić w dół.

– Niech pan robi, co chce. To i tak nie ma znaczenia.

Gdy znaleźli się w holu, z jadalni wynurzył się Tercjusz.

Radośnie powitał gościa:

– Tak długo cię nie było, że zacząłem się obawiać, czy w ogóle wrócisz! – Naraz dostrzegł wstrząśniętego seniora: – Coś się stało?

Tamten nie zareagował. Szedł w stronę bocznego saloniku.

– Dzisiaj wróciłem – odpowiedział Jan Tercjuszowi – ale jutro wyjeżdżam.

To zatrzymało pana domu. Cofnął się.

– Wybacz pan, ale raczej nie wezmę udziału w kolacji – Morawski się uklonił, a senior zaapelował do swego przyjaciela: – Tercjuszu, zajmiesz się naszym gościem?

– Oczywiście, ale co...

– Wiem, że w razie potrzeby we wszystkim mnie zastąpisz.

W tym momencie nadeszła pani Barbara, a zaraz za nią Mateusz, który jednakże na widok zgromadzenia bezszelestnie się cofnął i skrył wewnątrz głębokiej futryny.

Jan zwrócił się do pani domu:

– Jutro wyjeżdżam, pani Barbaro. Czy z tej okazji zaszczyci nas pani swym towarzystwem przy kolacji? Wiem, że nie siada pani do stołu, gdy są obcy...

– Doskonały pomysł – zdecydował natychmiast senior. W tej sytuacji pani Barbarze nie pozostało nic innego, jak tylko skinąć głową. Jan nie widział jej twarzy, bo kobieta stała w cieniu.

Pan Poniński ruszył do siebie, ale zatrzymał go zdezorientowany Tercjusz:

– Adamie, ale co się stało?

Mariusz stanął w pół kroku i na chwilę znieruchomiał. Następnie odwrócił się w stronę pytającego i oznajmił czystym głosem:

– Edward się przyznał – zrobił pauzę i dodał: – A za wszystko odpowiedzialność ponoszę ja.

Dwójka jego domowników zamarła. Pierwszy ocknął się archiwariusz.

– Nie wierzę. Mówię ci, że on kogoś osłania.

Senior pokręcił głową. Odwrócił się i odszedł. Usłyszeli jeszcze:

– *Acta est fabula* [31].

Stali jak zaczarowani.

Panowanie nad sobą szybciej odzyskała pani Barbara. Bez słowa zawróciła i poszła tam, skąd przyszła.

Tercjusz patrzył w ślad za przyjacielem, po czym rzucił Janowi wyzywająco:

– A ja i tak w to nie wierzę.

Zakręcił się na pięcie i odszedł do biblioteki.

I wtedy z półmroku wyłonił się Mateusz.

– Wydaje mi się, że pan Mariusz nie powinien zostawać sam – Jan przeniósł na niego wzrok. – A jeśli wybierze rozwiązanie honorowe? Tak postępowali Rzymianie. Katon. Seneka. Brutus. Marek Antoniusz.

## Rozdział 45.

Jan nie skomentował tych wróżb godnych samej Kasandry. Mateusz też zamilkł i odezwał się dopiero wtedy, gdy dotarli do sypialni:

– Wiedział pan? – zaatakował Morawskiego od progu.

– Byłem pewien, że to powie – kamerdyner zmarszczył czoło, zaniepokojony dwuznacznością tego stwierdzenia.

Jan powtórzył słowa Edwarda. Mateusz tylko raz przerwał tę relację: usłyszawszy, jaki wybieg skłonił młodego Ponińskiego do złożenia wyznania, karcąco zacmokał. Poza tym milczał, a wreszcie zawyrokował:

– Trudno go winić, że zastrzelił brata. Takiego brata.

Morawski wpatrywał się w przyjaciela:

– Czy to możliwe, że jego bratanek został wysłany do Polski, a on, Edward, o tym nie wie? – zmrużył oczy i bębnił palcami po stole. Kamerdyner nie zdążył otworzyć ust, gdy padło kolejne pytanie: – Co tu się działo po moim wyjeździe?

– Po tym, jak wystrzelił pan w nich tę partyjską strzałę? – wszystko wskazywało na to, że Mateusz, zainspirowany postacią Mariusza, uzupełniał ostatnio swe wiadomości z dziedziny kultury starożytnej. – Najpierw oniemieli. Potem pan Tercjusz zawołał: „Słyszaleś, Adamie? Mamy wnuka!”. Ale pan Poniński nic nie powiedział, tylko odszedł do siebie. Pani Barbara też się nie odezwała. Jak ją znam, to planuje ściągnięcie chłopca tutaj.

– A Natalia?

– Pilnowałem jej cały dzień. Ale bałem się, że coś może grozić Guciovi.

– Celowo nie podałem imienia ani wieku.

Mateusz pokiwał głową ze zrozumieniem. Potem zaczął opowiadać o poprawiającym się samopoczuciu Jacentego, o wciskającym się wszędzie Serpentynie, o Neli, która głosi, że zamierza rzucić pracę. Jan zareagował na wzmiankę o pokojówce:

– A służba wie o Guciu?

– Tak. Nela to od razu roztrąbiła.

– Na to liczyłem.

– Była tu słodka Eufemia.

– Rozmawiała z Nelą? – a gdy kamerdyner przytaknął, zadowolony Morawski skinął głową. A zatem wiedzą już wszyscy.

Mateusz przyglądał mu się bacznie.

- Pan coś wie.
- Tak. Wiem już prawie wszystko.
- I nic pan...

Jan nie pozwolił mu skończyć. Podszedł do szafki nocnej. Wyciągnął neseser, uniósł pliki kartek, książki, mapy i odsunął wyściółkę z marokinu. Ze schowka wyciągnął klucz dziwnego kształtu.

– Muszę sprawdzić dwa pomieszczenia w tym domu – oznajmił. – Ale tak, aby mnie nie odkryto. I ty mi pomożesz.

Mateusz tylko skinął głową.

- A w nocy... – zaczął Morawski.
- W nocy?
- W nocy zaczaimy się na mordercę.
- Przecież morderca jest w więzieniu. Mówił pan...
- Co mówiłem?
- Że pan Edward się przyznał.
- I tak właśnie było.

Wyszedł, a służący po chwili pobiegł za nim.

\*\*\*

Jedno z tych pomieszczeń usytuowane było na piętrze, jedno na poddaszu. Jan zajrzał do obu, a w tym czasie Mateusz pilnował, by nikt go nie zastał przy tym raczej dwuznacznym zajęciu. Musiał skorzystać z wytrychu, by otworzyć szafę. Znalazł oprawiony na czerwono tom, a w nim to, czego się spodziewał.

Potem pokręcił się jeszcze koło alkierza juniora i ponownie zajrzał do wieży. Do kaplicy nie udało mu się wejść. Była nadal zamknięta, a nie chciał uszkodzić swego precyzyjnego klucza, próbując sforsować ten ciężki zamek.

Wracając do sypialni, spotkał panią Barbarę, która wychodziła z pokoju Natalii.

- Bajka na dobranoc? – zagadnął.
- Tak – uśmiechnęła się blado. – Przyznaję, że mam już trochę dość tej księżniczki, ale mała nie chce słuchać niczego innego.

Rozstali się.

\*\*\*

Jan przebierał się do kolacji.

– Co jest tematem dnia na dole? – spytał Mateusza. – Bo zakładam, że wieści z więzienia obiegły dom lotem błyskawicy.

– Wnuk zdecydowanie wygrywa. Nawet wiadomość o przyznaniu się pana Edwarda nie wywołała takiego poruszenia.



Morawski przez chwilę się nie odzywał. Kamerdyner wiedział, że zaraz nastąpi narada wojenna.

Jan spojrzął na przyjaciela:

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, dziś w nocy morderca zaatakuje. I dlatego mam dla ciebie propozycję: co byś powiedział na indiańską noc pod gwiazdami?

Mateusz wysoko uniósł brwi. Czuł, że czeka go sporo zajęć, zanim dane mu będzie zapalić fajkę pokoju.

\*\*\*

Przy kolacji Janowi dopisywał apetyt. Zjadł kilka kawałków galantyny z kurczaka, a gdy Jacenty – w wyraźnie lepszej kondycji – wniósł polędwicę *à la* Wellington, nawet Tercjusz nie był w stanie zjeść więcej niż Morawski. Młody detektyw czuł ów atawistyczny apetyt mężczyzny szykującego się do stoczenia bitwy.

Pomiędzy kolejnymi łykami przekazał w skrócie swą rozmowę z Edwardem, pomijając jednak wulgarne wypowiedzi Adama, które doprowadziły do kłótni braci.

Pan Drojewski przyglądał się jedzącemu gościowi z życzliwością, natomiast pani Barbara z coraz większym niesmakiem. Sama prawie się nie odzywała i niewiele jadła. Wyglądała na wycieńczoną. Miała podkrążone oczy i upiornie bladą twarz, na której ostatnie dni wryły głębokie bruzdy, szczególnie wyraźne w okolicy ust. Jedyne pytania, jakie zadała, dotyczyły nowo odkrytego wnuka pana Adama, ale nawet wtedy mówiła ledwo słyszalnym głosem. Jan nie miał na ten temat zbyt wiele do dodania. Oznajmił tylko, że Edward obiecał wszystko ojcu opisać. Tercjusz również wykazywał wielkie zainteresowanie chłopcem, ale frasował się perspektywą kolejnego przyjazdu policji.

– Szkoda, że nie mamy w okolicy żadnych krewnych, do których moglibyśmy wysłać Natalię. Nie powinna się stykać z Prusakami.

– Pani Chomacka zapraszała Natalię do siebie – przypomniał sobie Jan. Pan Drojewski po chwilowym zawahaniu pokiwał głową z entuzjazmem, a wtedy gość dodał: – Pan Adam mógłby ją tam codziennie odwiedzać.

– Wyśmienity pomysł.

Wniesiono lody karmelowe i Morawski natychmiast ich spróbował. Były idealnie gładkie, gęste, ciągnące się. Wspaniałe. Pozostała dwójka odmówiła. Rozmowa właściwie ustała i pani Barbara szybko się pożegnała. Pewnie była zmęczona, choć możliwe, że rozdrażnił ją Jan, który nałożył sobie drugą porcję deseru.

Panowie nie siedzieli długo w jadalni. Rozstali się w holu. Tercjusz udał się do biblioteki, a Jan do gabinetu seniora.

Zapukał i wszedł.

## Rozdział 46.

Minęła jedenasta. Siedzieli zamknięci w przypałacowej kaplicy. Jan, Tercjusz i Mariusz. Upływały kolejne minuty. Dwaj starsi mężczyźni siedzieli w ławkach i starali się nie okazywać narastającego zniecierpliwienia.

Jan syknął. Poderwali się i podeszli do małego okna wypełnionego kolorowymi szybkami.

Od strony pałacu zbliżała się niewyraźna postać, niosąca jasny tłumoczek:

– Co to jest to białe? – szepnął Mariusz.

Usłyszeli cieniutki głosik.

– Ależ to Natalia! – zakrzyknął Tercjusz.

Postać otworzyła drzwi do wieży i zniknęła razem z dzieckiem. Pan Adam podbiegł do drzwi.

– Nie – próbował go odciągnąć Morawski. – Jeszcze nie.

Senior szarpał klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Jan popchnął Mariusza w stronę okna, akurat w chwili, gdy tajemnicza postać wyszła z wieży i ruszyła w stronę zarośli. Młody człowiek przyłożył palec do ust.

– Cicho – polecił i wskazał najwyższy poziom dzwonnicy. Za brudną szybą maleńkiego okienka pojawiło się coś białego, pod tym kątem zamazanego.

– Kto to jest? – zirytowany Poniński zaatakował Jana.

Ten ktoś wrócił, niosąc coś przypominającego wiadro. Musiało być metalowe, sądząc po odgłosie, jaki wydało w zetknięciu z kamienną opaską wokół wieży. W drugim ręku postać trzymała ciemną latarnię. Otworzyła drzwi i zniknęła wewnątrz.

– Musimy natychmiast wyjść – senior szarpał Morawskiego za ubranie. – Ta wieża jest wyschnięta na wiór. On to podpali.

– Zdążymy – odpowiedział mu Jan półgłosem.

– Na szczęście latarnia nie była zapalona – szepnął Tercjusz.

Morawski podszedł do drzwi kaplicy. Włożył klucz w zamek. Cicho przekręcił. Uchylił drzwi. Upłynęła minuta lub dwie. Ten ktoś wyszedł.

Oni też wyszli.

Nierozpoznawalna przez witrażowe szybki postać teraz ukazała im się wyraźnie. Senior aż przystanął:

– Barbara? Co ty tu robisz?

Skamieniała. Widzieli jej twarz w świetle księżyca. Zbliżyli się.

– Próbuje zabić pańską wnuczkę – odpowiedział za nią Jan.

– Co? – Mariusz złapał go za rękaw. – Ale dlaczego?

– Bo uważa, że poświęciła całe życie człowiekowi, który jest winien śmierci jej ukochanego ojca.

– Co za bzdury! – senior zapomniał o niebezpieczeństwie grożącym Natalii i zaatakował oskarżyciela.

– Ależ tak – Morawski mierzył się z kobietą wzrokiem. – Z tego powodu udusiła noworodka, uśmierciła panią Lili i doprowadziła do tragicznej sprzeczki między pańskimi synami.

– Pan oszalał!

– To ona oszalała. Z nienawiści. Gdy się dowiedziała, że nie pomógł pan jej zrujnowanemu ojcu, przez co tamten popełnił samobójstwo.

– To nieprawda!

– Prawda – wściekła Barbara odsłoniła zęby. – Właśnie, że prawda.

Senior się spłoszył. Nie spodziewał się, że ona przytaknie.

– Ale ja... – chciał protestować.

– Był twoim bratem! – opanowała ją furia, krzycząc pluła śliną. – Był twoim bratem, a ty pozwoliłeś mu umrzeć.

– Nic nie rozumiesz – pan Poniński się opanował. – Był narkomanem. Tak jak Adam. Twój ojciec napisał do mnie, że stracił majątek. Od razu wysłałem mu pieniądze na pokrycie najpilniejszych...

Nie pozwoliła mu dokończyć:

– Nie wierzę ci – głos jej się łamał. – Niczego mu nie wysłałeś! Zabiłeś go! Zniszczyłeś mi życie! Ale ja zniszczyłam twoje!

– Wysłałem mu pieniądze – senior mówił surowym tonem, ale nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie – a on natychmiast kupił morfinę. I przedawkował. Rozumiesz, dziewczyno? Przedawkował. Byłaś dorosła. Myślałem, że wiesz.

Patrzyła na niego otępiała.

– To nieprawda – szepnęła. – Nieprawda.

– Czy kiedykolwiek usłyszałaś ode mnie nieprawdę? Wiesz, że brzydzę się kłamstwem!

Jan, zafascynowany rozgrywającą się sceną, dopiero teraz zauważył błyski na najwyższym poziomie wieży.

– Pali się! – krzyknął i podbiegł do drzwi.

Otworzył je szarpnięciem. Fala gorąca uderzyła go niczym obuchem. Wielki filar, na którym wspierała się cała konstrukcja, płonął jak gigantyczne polano. Języki ognia wspinały się po schodach. Komin powietrzny zadziałał idealnie. Pożar rozprzestrzenił się

błyskawicznie.

Morawski odwrócił się do Tercjusza.

– Biegnij po pomoc!

Tamten nawet nie drgnął.

– Natalia! – senior rzucił się do przodu. Jan złapał go w ostatniej chwili, wyciągnął z wnętrza, przewrócił na ziemię i razem z Tercjuszem gasił palący się surdut.

Na tle jaskrawego prostokąta otwartych drzwi Morawski dostrzegł jakiś ruch. Wyprostował się.

Sparalizowana w pierwszym momencie kobieta wbiegła do wieży, zasłaniając odruchowo twarz przed płomieniami. Jan ruszył do wejścia i widział jeszcze, jak ona wspina się po schodach, ale zaraz zasłoniły ją bluzgające snopy ognia.

Słyszeli coraz szybsze strzały płomieni, jęki drewna, łomot spadających desek. Dym wydierał się na zewnątrz kłębami. Główny wspornik zaczął się wyłamywać, aż wreszcie z szalonym trzaskiem pękł. Morawski ledwie zdążył cofnąć się od wejścia i uciec przed walącą się wieżą. Pomógł Tercjuszowi podnieść pana Adama i wyprowadzić go poza rejon zagrożenia.

Stali we trójkę – osłabły Poniński w środku – i wpatrywali się w piekielne ognisko.

– Moja mała dziewczynka – wyłkał znękany senior rodu.

Ogień ich zahipnotyzował. Nie zauważyli, że od strony kępy drzew ktoś nadchodzi. Ubrany na czarno Mateusz. Podszedł i podał Mariuszowi niesiony tłumok.

Przysypiająca Natalia zawinięta w czarny męski płaszcz. Dziadek wziął ją na ręce i opadł na kolana. I zapłakał. Tym suchym, spazmatycznym szlochom, jakim zwykle płaczą starcy.

## Rozdział 47.

Pan Poniński upierał się, że chce dowiedzieć się wszystkiego natychmiast, ale Morawski był nieugięty. Razem z Mateuszem zaaplikowali seniorowi solidną dawkę wyciszającego kordiału przyniesionego od Kałużnej. Tercjusz nie chciał lekarstwa, natomiast Natalia go nie potrzebowała, gdyż usnęła na dobre, zanim dziadek przyniósł ją do pałacu.

Rano Jan samotnie zjadł śniadanie. Nie był pewien, o której godzinie pojawi się pan Adam, więc poszedł obejrzeć zgliszcza. Spod zwęglonych belek wydobywały się gdzieś tam pojedyncze smużki dymu, a dookoła roznosił się charakterystyczny gorzki swąd, gryzący w gardło i wyciskający łzy z oczu.

Wieża spłonęła doszczętnie – ogień wprost pożarł suchą konstrukcję i nie pomogły sikawki, sprowadzone przez pracowników folwarku. Przybyli błyskawicznie, wezwani alarmem podniesionym przez chłopców, którzy obserwowali wydarzenia z pobliskiego platana. Dzięki temu pożar nie przeniósł się na drzewa i udało się zabezpieczyć kaplicę.

Po powrocie do pałacu Jan usłyszał, że pan Poniński i pan Drojewski oczekują go w gabinecie.

Siedzieli w fotelach przy stole. Senior był przezroczystry i wyraźnie osłabiony, natomiast Tercjusz wyglądał wprost kwitnąco. On też zerwał się na widok wchodzącego:

- Czekamy na ciebie, Janie, a ty sobie gdzieś spacerujesz.
- Przepraszam. Chciałem zobaczyć pogorzelisko. Gdzie Natalia?
- Zabrała Mateusza na przejażdżkę. A ty siadaj i opowiadaj.

Mariusz tylko skinął głową. Morawski zajął wskazane miejsce i z troską przyjrzał się panu domu. Z boku szyi seniora zauważył mocne zaczerwienienie. Prawdopodobnie oparzył go palący się surdut.

- Jak się pan czuje? – spytał Jan.
  - Dochodzę do siebie – pan Poniński mówił cichym i lekko zachrypniętym głosem.
  - Przepraszam, że naraziłem panów, zwłaszcza pana Adama, na takie przeżycia, ale nie miałem żadnych dowodów na potwierdzenie mojej teorii. Wiedziałem, że wszystko musiało odbyć się tak, jak przypuszczałem, ale to było za mało. Musiałem sprowokować morderczynię, by sama wszystko wyznała.
  - Jeśli chodzi o mnie – oznajmił Tercjusz – to nic z tego nie rozumiem. Musi być winna, bo sama to przyznała, ale ta historia wykracza poza moje możliwości pojmowania.
  - Ja też mam mętlik w głowie.
- Jan poruszył się w fotelu. Oparł się o podłokietniki i splótł dłonie.

– Nie wiem, od czego zacząć. Chyba zatem opowiem wszystko od początku. Czyli od pamiętnej kolacji.

– Tej przed śmiercią Adama?

– Nie. Od tej, która miała miejsce ponad tydzień wcześniej. Siedzieli państwo we trójkę w jadalni, pani Barbara i obaj panowie. Rozmowa zeszła na bankructwa ziemian. Tercjusz poczynił uwagę, że nie każdy zadłużony majątek można uratować, i dodał, że nawet pan Adam nie zdołał pomóc swemu przyrodniemu bratu. Prawda? – mężczyźni wymienili spojrzenia, a Mariusz zmarszczył czoło. – Potem nastąpiła chyba jakaś wzmianka o Raczyńskich, a pan Poniński uciszył Tercjusza wzrokiem. Być może ze względu na obecność służby.

– Tak – senior wolno pokiwał głową – teraz sobie przypominam.

– A pamięta pan reakcję pani Barbary?

Odpowiedział dopiero po namyśle:

– Nie jestem pewien, czy ona jeszcze wtedy z nami była. Tamtego wieczoru dostała silnej migreny.

– Wyszła pod pozorem migreny, bo dotarło do niej, że tym przyrodnim bratem był jej ojciec.

– Ale ona wiedziała, że Paweł był moim bratem.

– Sądziła, że przybrany – podkreślił Jan. – Wiedziała to, co wszyscy. Że pański owdowiały ojciec ożenił się z matką Pawła, również wdową. Każde z nich miało z poprzedniego małżeństwa dziecko. Ale pani Barbara nie wiedziała, że jej ojciec był naturalnym synem pańskiego ojca, a tym samym pana starszym przyrodnim bratem.

– Myślałem, że Paweł jej to powiedział.

– Odkryłem to przypadkowo w kronice – wtrącił Tercjusz. – Nigdy mi nie wyjaśniłeś, Adamie, jak to było możliwe.

– Mój ojciec zakochał się w Emilii, mężatce, która żyła z mężem w separacji – wyjaśnił senior. – Nie mogła uzyskać rozwodu, ale ona i mój ojciec mieli romans. Urodził się Paweł. Mój ojciec pod naciskami rodziny ożenił się z moją matką, a ona zmarła przy moich narodzinach. Gdy miałem sześć lub siedem lat, zmarł mąż Emilii. Rok później, po odbyciu przepisowej żałoby, ojciec się z nią ożenił.

Jan skinął głową i kontynuował:

– A Paweł zamieszkał z wami. Jako przybrany starszy brat, choć w rzeczywistości był pańskim bratem przyrodnim, bo mieliście tego samego ojca – pan Adam przytaknął. – A zatem pani Barbara odkryła prawdę. Nie wiem, czy już wtedy, czy dopiero później, ale odszukała w kronice rodzinnej wpis odnotowujący fakt urodzin jej ojca. Tego wpisu nie byłoby tam, gdyby Pawła nie łączyły z rodziną Ponińskich związki krwi. To ją ostatecznie przekonało. Zamknęła się u siebie, twierdząc, że źle się czuje, i sądzę, że wtedy dokonała się w niej całkowita zmiana. Słyszał pan jej zarzuty wczoraj pod wieżą. Idealizowała ojca i nie zdawała sobie sprawy z jego nałogu, który doprowadził go do bankructwa. W ciągu tamtej nocy uświadomiła sobie, że poświęciła najlepsze lata życia człowiekowi, który zamordował jej ukochanego ojca, człowiekowi, przez którego opuścił ją narzeczony. Panu, panie Adamie. Musiała się zemścić. I najwyraźniej postanowiła zabrać panu to

samo – pana rodzinę, przyszłość, nadzieje. Nie chodziło o to, by pana zabić, tylko o to, by pan cierpiał, by pan patrzył, jak giną pana najbliżsi, jak pana sen o rodzie obraca się w pył.

W gabinecie nastała cisza. Siedzieli i głęboko oddychali. Wreszcie odezwał się pan Poniński:

– Nie mogę w to uwierzyć. Ona? Taka oddana, taka wdzięczna?

– Oddana i wdzięczna, bo ją pan przygarnął. Bo dzięki panu pozostała w tej samej sferze. Ale tamtej nocy zrozumiała, kim mogłaby być, gdyby wypełnił pan to, co uważała za braterskie obowiązki wobec jej zmarłego ojca. Gdyby uratował go pan od katastrofy. Dopiero następnego dnia wyszła ze swojego pokoju, ale już jako inna osoba. Wywołali ją służący, gdyż rozpoczął się przedwczesny poród pani Lili. Lekarz nie przyjeżdżał, a zielarki – na szczęście dla samej pani Barbary – nie musiała wzywać, gdyż od pewnego czasu nasilał się między nimi konflikt. Nie wiem, czy chłopiec urodził się owinięty pępowiną, ale na pewno był żywy.

– Skąd pan to wie?

– Proszę sobie przypomnieć służącą, która rzekomo postradała zmysły. Powtarzała z uporem, że słyszała krzyki dziecka. Pani Barbara odesłała później dziewczynę do rodziny, by tam odpoczęła, choć w rzeczywistości chodziło o to, by nikt nie zaczął przysłuchiwać się temu, co opowiadała pokojówka. Gdy przyjechał młody lekarz, pani Barbara potraktowała go tak protekcyjnie, że spłoszony doktor ledwie ośmielił się rzucić okiem na noworodka. Znalazł na jego szyi bruzdę o szerokości pępowiny, ale był tak zdenerwowany autorytarnym zachowaniem kobiety, że nie przyjrzał się bliżej ani dziecku, ani łóżysku. Opierając się na jej oświadczeniu, uznał ten przypadek za zgon śródporodowy. Potem stwierdził u pani Lili lekki krwotok, zalecił zimne okłady i pojechał. A właściwie został wypędzony przez wszechwładną szarą eminencję.

– To są tylko domysły – zauważył pan Poniński. – Mogła odesłać tę pokojówkę z troskliwości.

– To prawda – zgodził się Jan. – Tak właśnie z początku uważałem. I tu pojawia się pierwszy ślad złej woli. Lekarz zalecił zimne okłady, klasyczny środek przy krwawieniach. To było dwa tygodnie temu. W miniony piątek sam pan polecił ogrodnikowi, by otworzył lodownię, dodając, że od kilku tygodni nie czerpaliście lodu, ponieważ nie było upału, a ponadto dysponujecie wystarczająco chłodną piwnicą – strzał był celny. Senior zmarszczył czoło. Jan dodał: – Proszę to sobie wyobrazić: żona młodego dziedzica ma krwotok i nikt nie posyła po lód?

– Może Barbara zapomniała o tym ze zdenerwowania? – podsunął Tercjusz. – To mogło być przeoczenie.

– Trochę dziwne – skrzywił się Morawski. – Tu dołączę kolejny wątek, aczkolwiek opieram się tylko na swych podejrzeniach. Wszyscy państwo zauważyli, że w ostatnich dniach gwałtownie pogorszyło się samopoczucie Jacentego. Jego dolegliwości przypisywano wiekowi, pogodzie, problemom z krzepliwością krwi. Właśnie ze względu na nie Jacenty od lat przyjmuje syrop od zielarki, który silnie rozrzedza krew. Otóż uważam, że w dniu porodu pani Barbara zabrała mu preparat i oddała odrobinę wymieszaną z wodą, natomiast większość zaaplikowała pani Lili. W efekcie lekkie

krwawienie zmieniło się w prawdziwy krwotok.

– Ale czy coś takiego jest możliwe?

– Znałem przypadek samobójstwa, gdy desperat wypił lekarstwo o takich właściwościach, położył się w wannie pełnej ciepłej wody i podciął sobie żyły. U krwawiącej, osłabionej kobiety specyfik mógł przyczynić się do śmierci. Zanieśliśmy resztę lekarstwa do Kałużnej, ona je spróbowała i stwierdziła, że zostało rozwodnione. *Notabene* zabranie toniku Jacentemu i obserwowanie, jak z każdym dniem pogarsza się jego stan, można uznać za próbę morderstwa.

Popatrzył na nich, ale nie wyglądali na przekonanych. Raczej na oszołomionych. Kontynuował:

– Ciąg dalszy panowie znają. Pani Lili umiera, przyjeżdża lekarz – tym razem doktor Klauziński – i potwierdza śmierć z wykrwawienia. Pani Barbara musiała jeszcze tylko usunąć dwóch braci.

– Trzech – przypomniał Tercjusz. – Ona nie wiedziała o śmierci Gustawa.

– Może wiedziała, a może nie. Trzeba spytać Edwarda, czy jej się z tego zwierzył. Wracajmy jednak do ostatnich dni. Po śmierci pani Lili przyjechał młody Adam. Zamknął się u siebie, ale to zachowanie uznano za naturalne. Tylko pani Barbara ośmielała się zakłócać jego samotność. Wiem to od ciebie, Tercjuszu.

– Tak właśnie było.

– Odwiedzając młodego, wykonała krecią robotę. Nastawiła juniora przeciw bratu. Opowiadała mu, że Edward kochał Lili, że spotykali się w Berlinie. Sugerowała, że zmarły chłopiec był synem Edwarda.

– Skąd pan to wie? – oburzony senior oparł dłonie na stole, jakby zamierzał wstać.

– To są zarzuty, które młody pan Adam wyrzucił bratu w twarz w czasie kłótni, a sam by tego nie wymyślił – wyjaśnił Morawski spokojnym głosem. – Poza tym pani Barbara truła tymi rewelacjami także mnie. A dzień lub dwa przed pogrzebem schowała narkotyki pańskiego syna. Wiedziała, że bez morfiny stanie się agresywny, zdolny do wszystkiego. Podrzuciła też do jego pokoju nabity pistolet.

– Ale po co? – zdenerwował się Tercjusz. – To nie ma sensu, skoro to Edward zastrzelił Adama.

– Tak – przytaknął Jan. – Ten etap nie przebiegł zgodnie z planem. Ale jestem pewien, że miało być tak, jak mówiłem. Proszę sobie przypomnieć, panie Adamie, jak pani Barbara przybiegła do pana, krzycząc: „Edward nie żyje!”. Na to liczyła. Zamierzała doprowadzić narkomana do szału, by zastrzelił brata.

– Ale to nie pasuje – tym razem zaprotestował senior. – Przecież zostałyby prawowity dziedzic.

– Pański najstarszy syn znajdował się w tak skrajnym stadium morfinizmu, że zostało mu zaledwie kilka miesięcy życia. Pani Barbara wiedziała o tym od doktora Klauzińskiego. Poza tym oskarżono by go o zamordowanie brata.

Przez chwilę czekał, czy przedstawią jeszcze jakieś zastrzeżenia, ale milczeli.



– A zatem gdy dotarł tu Edward, wszystko było przygotowane. Jedynej przeszkody morderczyni upatrywała w nim samym. Bała się, że zrównoważony mężczyzna będzie unikał brata i nie da się sprowokować. Dlatego po raz pierwszy się przełamała i uraczyła Edwarda opowieścią o ciągu bestialstw, jakich Adam dopuszczał się na żonie, a które doprowadziły ją do śmierci. Od samego Edwarda wiem, że pani Barbara opowiedziała mu, jak to w narkotycznym transie Adam zrobił żonie awanturę, uderzył ją i doszło do przedwczesnego porodu.

Tamci siedzieli jak skamieniali.

– Nie wiem, w którym momencie narodził się pomysł, by usunąć Natalię i winą za to obciążyć Edwarda, ale to również było zaplanowane. Tych dwóch pierwszych morderstw dopuściła się niejako *impromptu*, ale potem działała z pełną premedytacją. Wręczyła Edwardowi jedzenie dziewczynki, niestety, łakomy piesek zjawiał się w pokoju wcześniej i to on padł ofiarą. Powiedziała później, panie Adamie, że nie chciała pana dodatkowo przybijać. Prawda jest taka, że nic nie powiedziała, bo wtedy roztoczono by nad Natalią staranną opiekę. A skoro ta pierwsza próba się nie powiodła, musiała nastąpić kolejna.

Rozpętała się burza, potem doszło do kłótni i strzału. Ta nawałnica nieoczekiwanie przyniosła morderczyni same korzyści, gdyż dzięki piorunom i grzmotom pani Barbara zapewniła sobie wyśmienite alibi. Ciągłe była na widoku i w towarzystwie wielu osób. Zajmowała się dzieckiem, uspokajała służbę. W międzyczasie przewróciła pojemnik z trutką i temu „wypadkowi” przypisano śmierć psa. Rano znaleziono ciało Adama. Wyobrażam sobie jej zdumienie – Jan z półśmiechem pokręcił głową. – Przecież to miał być Edward. Szybko jednak się okazało, że to nawet lepsze rozwiązanie. Ukochany syn arystokraty zabity przez młodszego brata. Wszystko składało się idealnie. Potem przyjechałem ja z zadaniem uniewinnienia Edwarda. Wiedziała, że to on strzelał, należało więc tylko odpowiednio mnie nakierować.

– Dlatego przyszła do mnie i wyznała, że Edward kochał Lili – senior nareszcie przestał zaprzeczać.

Jan pokiwał głową.

– Podsunęła mi motyw. Ale idźmy dalej. Nadszedł czwartek. Morderczyni miała kolejny pomysł na usunięcie dziecka. Już wcześniej zabrała zabawkę Natalii i tej nocy zastawiła pułapkę w ulubionym miejscu zabaw dziewczynki. Wiedziała, że najdalej za dwa dni mała tam będzie.

– Skąd wiedziała? – zareagował pan Adam.

– W czwartek policja zapowiedziała swój przyjazd na sobotę, prawda?

– Tak.

– Dlaczego zaproponował pan w sobotę, abyśmy urządzili piknik przy gloriecie?

– Żeby Natalia nie miała kontaktu z Prusakami. Sama Barbara mi to podsunęła... – ostatnie słowa pan Poniński wypowiedział bardzo wolno.

Jan spojrzał na niego triumfalnie. Wtedy odezwał się Tercjusz:

– Skąd wiesz, że w czwartek wyszła do parku?

– Bo Kałużna widziała, jak pani Barbara zbierała zioła w czasie pełni. A pełnia była w czwartek. Dwunastego.

– Ale przecież to Edward wyniósł zabawkę – przypomniał senior. Tercjusz już był gotowy zaprzeczyć, ale Morawski szybko się odezwał:

– Niczego takiego nie zrobił – i opowiedział im krótko o swym odkryciu, o farbującej obroży i o panującej od kilku dni suszy. – Nie przewidziała tylko, że Tercjusz postanowi chować się razem z Natalią. Nigdy tego nie robił.

– Dotychczas zawsze musiałem jej szukać – wzruszył ramionami pan Drojewski – a teraz tobie przypadło to zadanie.

– Po wypadku w parku pan Adam zorganizował śledztwo, a pani Barbara po raz kolejny urządziła nam teatr, wyjawiając prawdę o zatruciu Tobiego. Częściową prawdę, bo nie wspomniała, że to ona zatrąła kolację Natalii. Te jej dwa wyznania były zresztą doskonałym posunięciem. Szła ze swymi zwierzeniami do pana, bo знаła pańską nieugiętą bezstronność i wiedziała, że nie będzie pan skrywał prawdy, niezależnie od tego, jak przykra miałyby się okazać.

Senior siedział i sądząc po jego naburmuszonej minie, właśnie sobie uświadamiał, do jakiego stopnia jego protegowana nim manipulowała.

Jan nie ustawał:

– A dzień wcześniej, w piątek, postarała się, abym się dowiedział, że osiem miesięcy wcześniej pani Lili była w Berlinie i widziała się z Edwardem.

– Powiedziała to panu?

– Nie. Zapropowała Natalii, by pokazała mi swój pokój. A tam był domek dla lalek, który mała dostała od wujka. Na każdym kroku pani Barbara kierowała mój wzrok na fakty utwierdzające mnie w przekonaniu, że to pchany rozpaczą Edward zabił zdegenerowanego męża swej ukochanej.

– I tak się stało – mruknął senior.

– Wiedziałem... czułem, że to nie Edward poluje na Natalię. To musiał być ktoś, kto skorzysta na śmierci dziewczynki. Szukałem osoby, która przejmie ordynację – Jan wpatrzył się w pana Adama i wyznał: – Już od czwartku wiedziałem, że Gustaw miał syna, aczkolwiek nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tego panu nie powiedziałem.

– Aż do wczoraj.

– Musiałem. Żyłem w ciągłym strachu, że ktoś zabije małą. Ujawnienie faktu istnienia chłopca miało jej zapewnić bezpieczeństwo. Dopiero wczoraj po południu zrozumiałem, kto stoi za tym pogromem. Ale nie miałem dowodów. Musiałem sprowokować morderczynię. Ale przedtem chciałem zyskać stuprocentową pewność. Musiałem znaleźć księgę. Dlatego poprosiłem pana Adama o zgodę na przeszukanie domu.

– Sądziłem, że chodziło o te pierścionki czy naszyjniki, o które mnie pan pytał. Te brakujące.

– To przy okazji – Jan machnął ręką. – Musiałem wejść do pokoju pani Barbary. Znalazłem księgę, a w niej wpis o narodzinach jej ojca. A przedtem zapewniłem sobie jej

obecność przy kolacji, dzięki czemu Mateusz miał czas, by przygotować się do roli księcia przybywającego po uwięzioną księżniczkę.

Mariusz zmarszczył czoło, więc Jan pospieszył z wyjaśnieniem:

– Pańska wnuczka uwielbiała bawić się z mamą w dzwonnicy. Wracając tego popołudnia do pałacu, zastanawiałem się, w jaki sposób byłoby najprościej zaaranżować śmierć Natalii. Edward był w więzieniu, więc to musiało wyglądać na wypadek. Doszedłem do wniosku, że stara wieża nadaje się do tego idealnie. Nikogo by nie zdziwiło, że stęskniona dziewczynka poszła tam w nocy szukać mamy i zaproszyła ogień. Upewniłem się o słuszności tego rozumowania, gdy zobaczyłem, że pani Barbara chowa w zaroślach kankę z naftą. To zresztą były tylko przygotowania. Chyba nie zamierzała realizować planu tej samej nocy. Zwłaszcza gdy usłyszała, że następnego dnia wyjeżdżam i tym samym znikną dwie osoby kręcące się po pałacu. Postanowiłem skłonić ją do natychmiastowego działania.

Bibliotekarz wydał usta, zmrużył oczy i przypomniał sobie rozmowę przy kolacji:

– Powiedziałaś jej, że mama Izia zaprasza Natalię do siebie i że doradzisz Adamowi, by na jakiś czas wysłał tam małą.

Jan pokiwał głową:

– Byłoby jej znacznie trudniej zainscenizować wypadek na obcym terenie. W czasie naszej kolacji Mateusz poluzował ramę okienną, pożyczył z pokoju Gustawa sznurkową drabinkę i schował się na stryszku przy dzwonie. Gdy pani Barbara przyprowadziła Natalię i zniknęła, zszedł do dziewczynki, ułożył w oknie po stronie pałacu białą poduszkę i na wszelki wypadek poczekał, aż ogień zostanie podłożony.

– Chwila! – Tercjusz aż uniósł dłoń. – Jaki ogień? Skąd się tam wziął? Nie widzieliśmy, aby wchodziła z zapaloną latarnią.

– Niosła ślepą latarkę. Z prawie zakrytym płomieniem. Na dworze było na tyle jasno, że nie zauważyliśmy blasku latarni ukrytej za suknią i wiadrem z naftą. A okna w wieży były na najwyższym piętrze, więc jeżeli podłożyła ogień w połowie wysokości, upłynęło trochę czasu, zanim płomień stał się widoczny. Pamiętaj zresztą, co sam mówiłeś. Że w tej wieży zawsze wieje wiatr. To dlatego płomień rozprzestrzenił się błyskawicznie.

Siedzieli bez słowa, a każdy miał przed oczyma wczorajszą apokaliptyczną scenę.

Dopiero po pewnym czasie senior poruszył się w fotelu i wyznał:

- Ciekawi mnie, jak pan to odkrył.

Jan się uśmiechnął.

– Pamięta pan słowa, które wypowiedział w niedzielę w pokoju syna? „Co im się nagle stało?”. Przez lata trwał ten impas, nic się nie zmieniało, aż tu nagle Edward słyszy z ust bezpośredniego świadka o katuszach Lili, Adam się dowiaduje, że młodszy brat kocha jego żonę, ginie morfina, a w niezrozumiały sposób pojawia się nabity pistolet. Coś za dużo tych zbiegów okoliczności. To były cztery pytania, które pojawiały się zawsze razem. Nagle zobaczyłem jedno z nich osobno. I uświadomiłem sobie, że znam odpowiedź. Kto wiedział o miłości Edwarda do pani Lili? Tylko pani Barbara. Dalszy tok

myślenia przypominał łamanie szyfru. Miałem jedną wiadomą i uzyskaną informacją uzupełniałem dalsze wątpliwości. Od kogo Edward dowiedział się o awanturze i ciosie, który wywołał poród? Od pani Barbary.

– O jakiej awanturze? – pan Poniński aż się wyprostował.

– Wspominałem już o tym. Po przyjeździe Edwarda pani Barbara powiedziała mi, że Adam przyłapał żonę, jak się pakowała do ucieczki, uderzył ją, a pani Lili zaczęła przez to rodzić.

– Nie słyszałem o tym.

– Bo taka scysja w ogóle nie miała miejsca. Pamiętasz, Tercjuszu? Powiedziałeś mi, że ostatnio młody Adam był tu na Wielkanoc, a potem przyjechał dopiero po śmierci pani Lili.

– Tak.

– W takim razie jak mógł uderzyć żonę i spowodować przedwczesny poród? – nie umieli odpowiedzieć, ale Jan tego nie oczekiwał. – Wyglądało na to, że pani Barbara ich na siebie, mówiąc kolokwialnie, „napuściła”. Ale dlaczego? Czy była spokrewniona z Ponińskimi? Porzuciłem motyw i skoncentrowałem się na okazji. Zacząłem od drugiego przestępstwa – próby otrucia Natalii. Czy pani Barbara miała dostęp do jedzenia? Tak, a poza tym gdyby nie ona, Edward w ogóle nie miałby do czynienia z tą miseczką. Czy mogła zastawić pułapkę w parku? Znała starą studnię, wiedziała o planowanym pikniku, ba!, przecież to ona nas tam wysłała. Czy mogła wynieść zabawkę? – patrzył na nich roziskrzonym wzrokiem. – Przypomniała mi się opowieść Kałużnej. I *Sonata Księżycowa*, odegrana w czwartek, w czasie pełni. Wszystko się zgadzało. A motyw? Co mogła zyskać na tej hekatombie rodu? I uzmysłowiłem sobie, że ta hekatomba zaczęła się tydzień wcześniej, niż sądziliśmy. Od porodu. Nie rozumiałem tylko, czemu miałyby służyć te zbrodnie. I przypomniałem sobie dwie wzmianki. Gdy pan Adam przedstawiał mi panią Barbarę, powiedział, że wychowywał się z jej ojcem – senior skinął głową. – A przedtem wspomniał o tym także Tadeusz. Sama pani Barbara do tego nawiązała, gdy po raz pierwszy wypowiedziała słowa „Abel i Kain”. Ale nie chodziło o to, że Edward zabił Adama. Myślała o tym, że to pan odpowiada za śmierć swego starszego brata. Jej ojca.

– A zatem zemsta – szepnął pan Poniński.

– Skojarzyłem zaginioną księgę... – ciągnął Jan.

– Ale chodziło przecież o statut – zwrócił uwagę Tercjusz.

– Nie o statut. Po co ukrywać statut, skoro można otrzymać jego odpis w sądzie? Księga składa się z trzech części. Z Pisma Świętego, kroniki rodzinnej i statutu ordynacji. Chodziło o kronikę. O zapisy narodzin, ślubów i śmierci. Pani Barbara, widząc moje zainteresowanie, zabrała w piątek księgę z biblioteki i ukryła w swoim pokoju. Tam ją wczoraj znalazłem. Nie byłem tylko pewien, co tak wstrząsnęło panią Barbarą w czasie tamtej kolacji. A ona dotychczas nie wiedziała, że byliście spokrewnieni i nie miała pojęcia, że jej ojciec zwrócił się do pana z prośbą o pomoc. Uznała, że pan odmówił i dlatego jej ojciec popełnił samobójstwo.

Tercjusz poruszył się w fotelu i odchrząknął:

– Teraz, gdy to wszystko wyjaśniłeś, już sobie przypominam, dlaczego rozmawialiśmy o Raczyńskich. Pytałeś mnie o to, a ja błędnie nakierowałem cię na obecne pokolenie.

– A potem na poprzednie, podczas gdy należało wykonać jeszcze krok wstecz. To była ta sama sytuacja: Roger Raczyński urodził się ze związku Edwarda z Konstancją Potocką, a rodzice pobrali się dopiero później.

– Może Barbara uważała, że jej ojciec powinien być zostać oficjalnie usynowiony? W tej sytuacji to on byłby spadkobiercą.

Panowie siedzieli i usiłowali ogarnąć całość dramatu, który przez ostatnie tygodnie rozgrywał się na ich oczach.

– Skoro to nie Edward wychodził w czasie burzy z alkierza – spytał Tercjusz – to kogo widziała Nela?

– Możliwe, że nikogo. Nela lubi czuć się ważna i w tym celu ubarwia sobie życie. Tym koloryzowaniem wprowadziła niezły mętlik i to nie tylko w sprawie człowieka uciekającego z alkierza. Przedtem lokaj, który posłyszał urywki tej rozmowy o przyrodnim bracie pana Adama, podzielił się z Nelą daleko idącym wnioskiem, że tym bratem jesteś ty, Tercjuszu. Pokojówka przekazała to pani Eufemii, ale nie jako domysł, lecz fakt. Pani Bocheńska postanowiła natychmiast wydać swą siostrę za dziedzica majątku.

Niedoszły żonkoś spłonął szkarłatem.

– Uważała mnie za dziedzica?

– Tak. Ja też cię podejrzewałem. Są panowie tak bardzo różni z panem Adamem, że ta wasza przyjaźń była co najmniej zastanawiająca. Zresztą pana też podejrzewałem – oznajmił Jan panu Ponińskiemu.

– Mnie? – senior był zbyt zdziwiony, by się oburzyć. – Dlaczego miałbym zabijać syna i próbować zabić wnuczkę?

– Brałem pod uwagę możliwość, że wzorem antycznych ojców postanowił pan wykorzystać swą władzę *pater familias* i ukarać tego, kto zhańbił rodzinę.

Tercjusz pokiwał głową z aprobatą.

– A poza tym – dodał Morawski – uważałem, że jeżeli Edward jest niewinny, to swym milczeniem kogoś osłania. Kogo? Kogoś, kogo kocha. Czyli pana.

Zakłopotany senior czym prędzej odsunął rozmowę od miłości.

– Kogo jeszcze pan podejrzewał?

Jan ze śmiechem wymienił całą swą bogatą kolekcję kandydatów na mordercę, męczyczn i kobiet z otoczenia panów Ponińskich, po czym rzucił największą bombę:

– Sytuacja dodatkowo się skomplikowała, gdy Edward mi wyznał, że jego młodszy brat miał syna. Gucia. Ośmioletniego.

Wprawił ich w osłupienie.

– Gucio! – zakrzyknął Tercjusz. – Ten mój stypendysta! On się, co prawda, nazywa

Romer, ale nazwisko można zmienić.

– Długo byłem przekonany, że to on, ale spotkałem wczoraj chłopców i trochę wątpliwości wyjaśniłem. Ojciec Gucia był Anglikiem, a po śmierci męża matka z synem wrócili w jej rodzinne strony.

– Brałeś też pod uwagę kogoś związanego z tą samobójczynią z Galicji. I tego lichwiarza.

Jan pokiwał głową.

– Przy okazji – przypomniał sobie senior – co z tą biżuterią, o której pan wspominał?

Morawski opowiedział o brakujących pierścionkach, o bytnościach Seweryna w alkierzu, o jego spotkaniu z handlarzem, a także o tym, że w czasie przeszukiwania domu znalazł w pokoju służącego poważną kwotę pieniędzy ukrytą w piecyku. Dodał też, że lokaj próbuje usunąć ze stanowiska starego majordomusa.

Pan Poniński przez chwilę wpatrywał się w splecione dłonie.

– Co z nim zrobić?

Morawski był zdziwiony, że ten domowy despota pyta go o zdanie.

– Na pewno usunąć ze służby, ale musi pan zdecydować, czy oddać go policji.

Mariusz pokiwał głową.

– Napracował się pan.

– Nie wszystko odkryłem – przyznał Jan. – Nie rozumiem na przykład, dlaczego w pokoju Jacentego schowano ukradzioną morfinę. Nie wiem też, jak pani Barbara planowała wyjaśnić otrucie Natalii, skoro spodziewała się, że to Edward zostanie zastrzelony.

Senior odezwał się dopiero po chwili:

– Przeraza mnie to wszystko. Przez tyle lat mieszkałem z nią pod jednym dachem, traktowałem ją jak córkę... Nigdy bym nie przypuszczał, że jest zdolna do takich zbrodni.

– Była chyba osobą o bardzo gwałtownych emocjach. Ta wyłączna miłość do ojca, do narzeczonego, ślepe przywiązanie do pana... Niepohamowana nienawiść po prostu wybuchła pod wpływem impulsu. Nie wiemy, co by się wydarzyło, gdyby pani Lili nie zaczęła rodzić. Może po prostu pani Barbara wykrzyczałaby panu wszystko w twarz, a pan wyjaśniłby jej, co zaszło w przeszłości? Nie wiem, czy wychodząc od siebie z pokoju zamierzała zabić. Możliwe, że chłopiec urodził się z szyją owiniętą pępowiną, a ona dostrzegła okazję i ją wykorzystała. Pierwsze ofiary same weszły jej w ręce, a ona pewnie uważała się za mścicielkę wymierzającą sprawiedliwość. A morderstwo łatwo wchodzi w nawyk. Człowiek czuje lekkość, że uwolnił się od męczącego go problemu i postanawia wykorzystać tę radykalną metodę w innych sytuacjach.

– W ostatniej chwili próbowała to naprawić, ale... – senior zwiesił głowę.

– W gruncie rzeczy – wyznał Morawski – największe przerażenie ogarnia mnie na myśl o tych pułapkach zastawianych na Natalię. Przecież pani Barbara tak ją kochała, dbała o nią jak o własne dziecko. A mimo to trzykrotnie usiłowała ją zabić.

Zapadło ciężkie milczenie. Po chwili odezwał się ponownie Jan:

– Musi pan się zastanowić, co z tego ujrzy światło dzienne. Proszę to spokojnie przemyśleć.

Tercjusz popatrzył na czerwoną księgę leżącą na biurku.

– A skoro księga się odnalazła, Adamie, to kto dziedziczy?

– Mały Guccio, a po nim Natalia.

– Albo syn Edwarda – zwrócił uwagę Jan. – Przecież może mieć dziecko.

Senior się zarumienił. Właśnie zwrócono mu uwagę, że zaocznie spisał swego syna na straty.

– Co mam z nim zrobić?

– Walczyć o niego. W czasie procesu wyjdą na jaw podłości starszego, ale trzeba ratować Edwarda.

– Są szanse?

– Dobry adwokat da sobie radę. Zwłaszcza jeśli pański syn wyjawia szczegóły awantury, która doprowadziła do strzału. Pan też musiałby zeznawać, choć chyba nie byłoby potrzeby wspominać o pańskiej synowej. Mógłby pan poinformować, że syn pożyczał ogromne sumy, licząc na pańską śmierć. Że był morfinistą. A w świadectwie, które wystawił lekarz, jest wzmianka o ranie i sińcach na przegubach zmarłego, jakby się z kimś szarpał. Zachowanie Edwarda może zostać potraktowane jako obrona konieczna i zastosowanie znajdzie słynny artykuł 213. Ale przedtem musi pan zdecydować, czy wplątać do tego panią Barbarę.

Senior patrzył na Jana i z jego twarzy częściowo zniknęło to napięcie, które ostatnio z każdym dniem coraz bardziej ścigało mu rysy.

– Tak zrobię.

– Pytanie tylko, czy Edward będzie chciał żyć ze świadomością, że przez niego – przynajmniej w pewnym stopniu – zginął brat. I czy będzie chciał żyć, gdy ona odeszła.

## Rozdział 48.

Było wczesne popołudnie. Jan i pan Adam stali w gabinecie. Morawski trzymał w dłoniach portret Natalii, ten, który przedtem wisiał w pokoju pani Lili – dziewczynka i jej dwa pieski.

– Jest pan pewien, że chce mi go ofiarować? – spytał seniora.

– Tak.

– Podjął pan już jakąś decyzję w sprawie procesu?

– Jutro rano jadę do Edwarda. Wszystko mu opowiem. Ustalę z nim, co dalej – a po chwili dodał zastrzeżenie: – O ile będzie chciał ze mną rozmawiać.

– Myślę, że tak.

– Boję się tylko, że nie zgodzi się na skorzystanie z tego artykułu, o którym pan mówił. Przeczytałem to – podszedł do biurka i uniósł ciężki tom w czarnej oprawie: – *Gdyby zabójca bez własnej winy wskutek wyrządzonej bądź jemu samemu, bądź komu z jego bliskich krzywdy na ciele albo ciężkiej zniewagi przez zabitego do gniewu był pobudzony, a przez to zaraz i do czynu popchnięty...*

– Gdyby się przed tym wzdragał – zasugerował Jan – proszę odwołać się do jego poczucia obowiązku i wytłumaczyć mu, że teraz on jest razem z panem opiekunem dzieci swoich nieżyjących braci.

Senior skinął głową i odłożył księgę.

– Znam Wojciecha Trąpczyńskiego – powiedział. – Nie wiem, czy zajmuje się również sprawami karnymi, ale jest najwybitniejszym poznańskim adwokatem, więc z pewnością będzie w stanie polecić mi kogoś rzetelnego – podszedł do imponującej makiety. – Czeka mnie wiele zmian. Nie mam pani domu, nie mam ochmistrzyni, nie mam guwernantki. Zupełnie nie wiem, co zrobić z Natalią.

– To, co zaproponowałem wczoraj. Proszę ją wysłać do mamy Jurka Chomackiego. Deklarowała, że chętnie zaopiekuje się małą. A pan mógłby ją odwiedzać nawet kilka razy dziennie.

– Chyba tak zrobię, ale to i tak tylko rozwiązanie tymczasowe. Muszę zatrudnić jakąś guwernantkę.

– Spytam moją dawną nianię, czy zechciałaby zająć się Natalią. Przestała pracować kilka lat temu, ale z jej ostatniego listu przebija znużenie beczynnością i odnoszę wrażenie, że chętnie wróciłaby do tego zajęcia. Nie wiem tylko, czy da pan sobie z nią radę. Ma bardzo silną osobowość – Jan spektakularnie przewrócił oczami.

Poważny gospodarz prawie się uśmiechnął.

Morawski spojrział na zegarek. Robiło się późno. Senior zrozumiał aluzję i razem



ruszyli w stronę drzwi. Gdy pan Poniński położył dłoń na gałce, młody człowiek ośmielił się powiedzieć:

– A jeśli chodzi o panią domu...

– Tak?

– Cóż, proszę nie zapominać, że ma pan synową. Wiele cudzoziemek wspaniale przystosowało się do polskich warunków.

Senior nie odpowiedział. Wyszli do holu. Gość pozwolił sobie na kolejną zuchwałość:

– A skoro już w tylu sprawach wyrażam swoje zdanie, czy mogę mieć jeszcze jedną propozycję? – pan Poniński skinął głową, a wtedy Jan przedstawił swój pomysł: – Gdy Natalia wróci do domu od państwa Chomackich, proszę kupić jej pieska.

Dziadek zareagował dość pozytywnie, bo stwierdził:

– Ma imieniny dwudziestego siódmego.

– Ale raczej większego, niż był Tobi. Jakiegoś spokojnego i opiekuńczego. Może nowofundlanda?

– Zajmę się tym.

Otworzyły się drzwi biblioteki i dołączył do nich Tercjusz.

– Chciałem się z tobą zabrać aż do Poznania, Janie. Stamtąd mógłbym pojechać po naszego angielskiego wnuka, ale Adam się nie zgodził.

– I tak już mamy problem, co zrobić z Natalią. Napiszę do... – senior przełknął i się zaciął; nie zdołał wypowiedzieć tego okropnego słowa „synowa”, lecz zamiast tego dokończył: – ...żony Gustawa i proponuję jej przyjazd tutaj.

Pan Drojewski wsunął kciuki w wycięcia kamizelki i oświadczył:

– Natychmiast po jutrzejszej rozmowie z Edwardem ruszam do Berlina po adres pani Gustawowej.

Jan podał Tercjuszowi kartkę.

– To dane mojego plenipotenty. Przekaż to, proszę, Teosowi – a widząc zdziwioną minę pana Pickwicka, dodał: – On będzie wiedział, o co chodzi.

Wyszli przed pałac na rozświetlony słońcem podjazd.

– Dokąd teraz? – spytał senior.

– Najpierw na chrzciny do Tarnowic, a potem do Włoch. Przez Awinion.

– Do zobaczenia, Janie – Tercjusz uścisnął mu prawicę obiema dłońmi.

– Nie wiem, jak... – zaczął pan Adam.

– Ja też nie – szybko wtrącił się Morawski i podał mu rękę.

Z holu wyszła Natalia z Mateuszem.

– Już myślałem, że zostajesz – Jan rzucił kamerdynerowi.

Stał u stóp schodów, a dziewczynka w podskokach podbiegła na skraj podestu, tak że na wysokości twarzy miał te urzekające oczy – oczy Edwarda, oczy babci Natalii.

– Wyjeżdżasz? – spytała.

– Tak, jedzie się ożenić – poinformował ją Tercjusz, czciciel celibatu.

Natalia i senior wlepili spojrzenia w gościa.

– Jedziesz się ożenić? – zmarszczyła brewki.

– Co za oszczerstwo! Przecież czekam, aż ty dorośniesz!

– Naprawdę? – ucieszyła się.

– Teraz masz cztery lata. Zgłoszę się tu dokładnie za czternaście lat i się o ciebie upomnę. To będzie latem 1914 roku.

- [1] Do zamachu na księcia Walii doszło 4 kwietnia 1900 r.
- [2] Pierwszy udany lot sterowcem LZ1, skonstruowanym przez Ferdinanda von Zeppelina, odbył się 2 lipca 1900 r.
- [3] *Ist das alles, Herr Graf?* – (niem.) Czy to wszystko, panie hrabio?
- [4] Landratura – w państwie pruskim jednostka administracyjna zarządzana przez landrata, odpowiednik polskiego powiatu.
- [5] Sztalenki – noszone przy pasku łańcuszki, do których przyczepiano klucze i drobne narzędzia, np. nożyczki.
- [6] *Les extrêmes se touchent* - (fr.) przeciwieństwa się stykają.
- [7] Jaskółka – oficjalny męski żakiet, z tyłu sięgający do kolan.
- [8] *Gourmet, gourmand* – gra słów oparta na podobnym brzmieniu: *le gourmet* – (fr.) smakosz, *le gourmand* – (fr.) łakomczuch.
- [9] *Coup de foudre* – (fr.) miłość od pierwszego wejrzenia (dosł. uderzenie pioruna).
- [10] Rojber – urwis (gwara poznańska).
- [11] *Er will Sie nicht treffen* – (niem.) On nie chce się z panem spotkać.
- [12] *Könnten Sie etwas zu essen bringen?* – (niem.) Czy mógłby pan przynieść coś do jedzenia?
- [13] Kierzynka – maselnica (gwara poznańska).
- [14] Klara – słońce (gwara poznańska).
- [15] *Nie mszcząc się sami...* – cytat z Biblii Jakuba Wujka, Rz 12, 19.
- [16] *Qui s'excuse, s'accuse* – (fr.) kto się usprawiedliwia, ten się obwinia; tłumaczą się winni.
- [17] Konkokcja – (przest.) trawienie.
- [18] Marcinkowski – Karol Marcinkowski (1800-1846) lekarz i wielkopolski społecznik.
- [19] *Uld man's milk* – szkocki napój według powyższego przepisu.
- [20] Wyższa sekunda – w pruskim systemie edukacyjnym gimnazja liczyły dziewięć poziomów: (od najniższego) seksta, kwinta, kwarta, niższa tercja, wyższa tercja, niższa sekunda, wyższa sekunda, niższa pryma i wyższa pryma.
- [21] Poltalloch terier – wczesna nazwa rasy znanej obecnie jako west highland white terier.
- [22] Subhasta – przymusowa licytacja zadłużonego majątku (od łac. *sub hasta vendere* – sprzedać na licytacji).
- [23] Rondo, bastarda – ozdobne kroje pisma.
- [24] Zwonyszki – (gwara poznańska) dzwoneczki.
- [25] Statory, klunkry, glajda – (gwara poznańska) statory – naczynia kuchenne, klunkry – rupiecie, glajda – miękkie błoto.
- [26] *Cui bono?* – (łac.) Na czyją korzyść?
- [27] *I rzekł Pan do Kaina...* - cytat z Biblii Jakuba Wujka, Rdz 4, 9-10.
- [28] Armagedon – miejsce zapowiadanej w Biblii ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła.
- [29] Fundacja Nobla została zarejestrowana 29 czerwca 1900 r.
- [30] *Dies irae* – (łac.) dzień gniewu.
- [31] *Acta est fabula* – (łac.) Sztuka jest skończona.